

Mark Canter

Ember

Autor pragnie podziękować Evanowi Eartowi Dussii II, doktorowi ginekologii, za konsultację w dziedzinie implantacji embriona; Donowi Woodowi, autorowi książek popularnonaukowych, za cenne uwagi na temat pierwszej wersji tekstu; Russellowi Galenowi i Danny'emu Barorowi za pomoc przy publikacji, oraz Jackie Cantor, redaktorce, za poprawienie rękopisu i za jej złote serce.

Część pierwsza

Skamieniałe kości są nieme, dlatego niewiele można powiedzieć na pewno o życiu ludzi w czasach prehistorycznych. Zważmy bowiem ten oto fakt: kości kóz z Archipelagu Galapagos w żaden sposób nie wskazują, iż zwierzęta te potrafią wspinać się na drzewa, aby żywić się liśćmi - a zachowanie takie obserwujemy nader często. Jakie zaskakujące umiejętności człowieka neandertalskiego odkrylibyśmy, gdybyśmy mogli przyjrzeć się jego życiu?

Yute Nahadeh, *Neandertalczycy*, Pacific College Press, Deer Park, Washington 1987, str. 24

Rozdział 1

Dwaj mężczyźni i dziewczyna szli po upstrzonym drobniutkimi kwiatkami sprężystym dywanie mchu, który pokrywał tundrę aż po horyzont. John Nahadeh prowadził zaprzęg malamutów ciągnący wózek ze sprzętem wideo i narzędziami do kopania. Tuż obok maszerowała jego córka, Nika.

Yute Nahadeh został nieco z tyłu za ojcem i siostrą. Zatrzymywał się co chwila i zbierał wszystko, co nadawało się do jedzenia - grzyby, jagody mącznicy, liście zajęcej kapusty - a następnie wkładał do foliowych torebek. Przy każdym kroku wysokie buty rosłego mężczyzny zapadały się w mokry mech z głośnym kłaśnięciem.

Złoty orzeł zakołował w powietrzu i z głośnym krzykiem spadł ku ziemi. Yute kątem oka dostrzegł leminga czmychającego do nory. Orzeł odleciał.

Yute wyjął lornetkę ze skórzanego futerału, aby przyjrzeć się wielkiemu ptakowi, który kołującym lotem wznosił się w stronę słońca. Z uśmiechem skierował lornetkę na ziemię. W bajorkach i kałużach powstałych po roztopach odbijał się błękit bezchmurnego nieba. Wysokie do kolan derenie i brzozy wyrastały z karmazynowych wysp babek i wierzbówek. Kilkanaście kilometrów dalej porosłe karłowatymi drzewami wzgórza wznosiły się niczym stopnie gigantycznych schodów prowadzących do ośnieżonych szczytów gór.

Powietrze przesycone było świeżym, słodkim aromatem pyłków kwiatowych i chłodnego błota. Ten zapach obudził w nim dawny ból. Yute zdziwił się, że tęskni za domem; nie zdarzyło mu się to od czasów chłopięcych, kiedy wyjechał w poszukiwaniu „edukacji”, jak to określił ojciec. Teraz pozwolił, aby cierpienie otworzyło mu duszę na ziemię Caiyuhów, jego rodzinny kraj.

Wielka Matko, chcę cię znowu kochać. Stał bez ruchu przez dłuższą chwilę, powolnymi haustami łykając żywe powietrze.

Schylił się po pęk drobnych lili. Zębami wyciągnął słupki z purpurowych kwiatów i przeżuł ostrożnie. Smakuje jak koniczyna, pomyślał. Ciekawe, jaką mają wartość odżywczą? Czy ludzie w czasach prehistorycznych suszyli je na słońcu i przechowywali jako zapas żywności na długą zimę?

- Yute! - Zawołała siostra.

Wypluł kawałek gorzkiego srebrnego porostu i spojrzął na siostrę. Ojciec oddalił się o kilkanaście metrów, kierując się w stronę niewielkiego lodowca. Nika biegła do brata. Jej gęste ciemne włosy powiewały nad głową.

Yute ruszył siostrze naprzeciw, chowając zebrane okazy flory do torby, do której wcisnął też wełniany sweter. Chłodny poranek minął i temperatura wyraźnie się podniosła. Mimo to piętnaście centymetrów pod rozmokłym gruntem zalegała wieczna zmarzlina.

- Nogi mam jak lody owocowe - powiedział.

- Chodźże już. Przecież wiesz, że ojciec nie będzie czekał - ponagliła Nika. - Ścigamy się.

Pobiegli. Długie włosy Niki spadały jej aż do bioder.

- Co to są lody owocowe? - Spytała.

- Mrożone smakołyki. Kupię ci kiedyś, jak pojedziemy do Seattle.

- Jeśli smakują tak jak twoje nogi, to nie chcę. - Szturchnęła go w ramię i umknęła.

Yute roześmiał się i popędził za siostrą. Złapał w garść pęk jej gęstych włosów i pociągnął jak końską grzywę.

- Prr, koniku, stój!

Ojciec zatrzymał psy i czekał.

- Własnym oczom nie wierzę - stwierdził Yute.

- Tata chce, żeby między wami układało się dzisiaj jak najlepiej.

Maszerowali szeroką koleiną, którą psi zaprzęg zostawił w łańcuchu pomarańczowych maków, wśród których fruwały żółto-czarne motyle. Yute zastanawiał się, jakimi owadami żywili się ludzie ery lodowej. Na pewno jedli larwy chrząszczy i pszczoł, termity... Co jeszcze?

Psy stanęły półkolem u stóp Johna, który karmił je rybimi głowami z dużej stalowej puszkii po kawie. Stary Nahadeh był niski, mocno zbudowany. Jego czarne włosy, zebrane w gruby warkocz, zwisały do pasa kurtki ze skóry jelenia.

Yute trzymał się z dala. Bał się psów, nawet w uprzęży, a zwłaszcza kiedy jadły. John wskazał biały szczyt wyrastający z odległego łańcucha gór.

- Denali - powiedział.

Nika spojrzała za palcem ojca.

- Aha. Yute, spójrz.

Yute skierował lornetkę na szczyt, z którego ostrych skalnych krawędzi spływały długie, wąskie jezory śniegu.

- Wielki Denali.

- Rzadko można go zobaczyć tak wyraźnie - mówił John. - Przeważnie kryje swoją twarz w chmurach. Dzisiaj patrzy prosto na nas. Czuję, że coś się wydarzy. Coś niezwykłego.

- Słyszałeś? - Spytała rozpromieniona Nika. - Może znajdziemy jeszcze jednego Człowieka Tundry?

- Nie podniecaj się tak - roześmiał się Yute. - Nic jeszcze nie widzieliśmy poza lisimi bobkami. Znalezienie Człowieka Tundry to był prawdziwy dar Boga dla antropologii. Jak często zdarza się w nauce coś podobnego?

Yute otrzymał stypendium na projekt naukowy, w ramach którego miał sfilmować na taśmie wideo, jak jego ojciec poluje na karibu za pomocą miotacza dzid, której to broni stary Caiyuh ciągle jeszcze używał. Na wszelki wypadek Yute umieścił również na wozie dmuchany worek z izolacją termiczną w postaci suchego lodu. Może cuda zdarzają się parami.

Dwa lata temu John i Nika, polując u stóp tego samego wzgórza, pod którym teraz stali, natrafili na wykopaną w ziemi jaskinię, którą odsłonił przesuwający się lodowiec. W grocie znaleźli szczątki kromanieńczyka sprzed dwudziestu pięciu tysięcy lat.

Ciało było zmarznięte na kość, lecz otwarte oczy mężczyzny spoglądały na świat z otchłani wieku lodowego. Skórę i ciemnorude włosy miał pomalowane ochrą-pigmentem z czerwonej rudy żelaza. W prawej dłoni ścisnął kość z uda renifera, w której był wywiercony otwór przypominający usta z rozchodzącymi się promieniami symbolizującymi moc. Na czole miał tatuaż z wypukłych blizn układający się w ten sam wzór. Nad naszyjnikiem z pazurów niedźwiedzia jaskiniowego i kłów lwa jaskiniowego widniała szeroka rana, która prawdopodobnie spowodowała śmierć. Obok ciała znajdowały się naczynia pełne żurawin i borówek, a także kamienne narzędzia i broń. Badania pyłków kwiatowych wykazały, iż ziemię wokół grobu przykrytego łopatkami mamutów usłano naręczami fiołków alpejskich.

Człowiek Tundry zelektryzował świat antropologii, gdyż były to najstarsze zachowane ludzkie szczątki, jakie kiedykolwiek odkryto. Okazał się starszy o dwadzieścia tysięcy lat od Człowieka Lodowego z austriackich Alp. Yute postarał się, aby zwłoki umieszczono w Pacific College niedaleko Seattle, gdzie był profesorem paleoantropologii. Na miejsce znaleziska wyruszały kolejne ekspedycje - przypominało to nieco naukową gorączkę złota. Yute został szefem grupy badawczej zajmującej się Człowiekiem Tundry. Ogrom informacji, które zebrali, dostarczył materiału do dziesiątków prac doktorskich.

Nika podała bratu menażkę.

- Nad czym się tak zadumałeś?

Wzruszył ramionami z uśmiechem i pociągnął długi łyk smacznej źródlanej wody.

Nika wyciągnęła rękę po menażkę.

- Zastanawiałeś się nad propozycją ojca? - Spytała szeptem.

- Bardzo kusząca, ale wybór jest trudny - odparł cicho.

Ojciec poprosił Yute, aby zamieszkał na kilka lat w jego starej chacie w Swift Fork. John chciał, aby syn wrócił do domu i pomógł przeciwstawić się niebezpieczeństwu, które zawisło nad tradycyjnym stylem życia plemienia. Firma Canard¹ przedstawiła plan budowy zespołu kopalń złota w samym sercu terenów łowieckich plemienia Caiyuh. Pierwszy szyb miał zostać wydrążony w Kantishna Hills. Tam właśnie dzisiaj zmierzali.

Powrót do Swift Fork oznaczałby dla Yute wyrzeczenie się kariery naukowej w chwili, gdy stanął u jej progu. Przełomowym sukcesem stały się dlań badania Człowieka Tundry. Teraz jego kontrowersyjne teorie na temat życia neandertalczyków zaczynały wzbudzać coraz większe zainteresowanie w kręgach naukowych. Co prawda większość uznanych autorytetów odrzucała hipotezy Yute, lecz i tak był to wielki postęp, bo kiedyś po prostu je ignorowali.

- Ojciec mówi, że ty zawsze o czymś myślisz.

- Chyba tak - mruknął Yute. - Czy wiesz, że neandertalczyki mieli mózgi większe od naszych?

- Ale nie większe od twojego, bo na pewno by wymarli. Yute parsknął śmiechem.

- A więc uważasz, że przetrwali?

- Przecież od nich pochodzimy. Zdawało mi się, że tak mówiłeś.

- To nie to samo. My nie jesteśmy potomkami neandertalczyków, tylko ich kuzynami.

- Oni byli przygarbieni, podobni do małp. Widziałam w szkole książkę z ilustracjami.

Yute machnął ręką, jakby chciał rozwiać ten obraz.

- To wszystko nieprawda. Kiedyś uczeni tak właśnie myśleli. Stoimy na tym samym szczeblu drabiny ewolucyjnej co oni. Gdyby ubrać neandertalczyka w koszulkę z krótkim rękawem i dżinsy i postawić w przejściu podziemnym w Seattle, nikt nie dostrzegłby różnicy - normalny facet zbudowany jak futbolista, z mocną szyją i dużą klatką piersiową.

- Taki wyrośnięty przygłup.

- Wyrośnięty, to prawda; silniejszy niż mistrz olimpijski w podnoszeniu ciężarów, ale w żadnym razie nie przygłup. Mówiłem ci, że mieli mózgi większe od naszych. Wyobraź sobie rasę mniej rozwiniętą niż nasza, ale rozwiniętą nieco inaczej. Może ich inteligencja była różna od naszej.

- Czym się różniła?

- Mój Boże, sam chciałbym to wiedzieć - westchnął Yute. - Postawiłbym wtedy na głowie całą antropologię. Więc proszę cię, wykop mi jakiegoś neandertalczyka.

¹ Canard (ang.) - fałszywa wiadomość; kaczka dziennikarska (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza)

- Zrobię co w mojej mocy - odparła z uśmiechem Nika.

Yute pociągnął łyk wody i zakreślił językiem w ustach. Ten, kto powiedział, że woda nie ma smaku i zapachu, nie pił nigdy wody z arktycznego źródła. Nika dotknęła ramienia brata.

- Jeśli się tutaj przeprowadzisz, możemy go szukać razem.

- Byłoby wspaniale, prawda?

Yute nie miał jednak pewności, czy warto na to poświęcać kilka lat życia.

Przyjrzał się siostrze. Czarne oczy, czarne włosy, śniada skóra o barwie starego brązu, białe zęby. Zauważył jej kształty pod ubraniem: twarde piersi pod wypłowiałą flanelową koszulą, silne, szczupłe nogi w krótkich obciętych dżinsach. Kiedy widział ją ostatnim razem, była dziewczynką; teraz stała się młodą kobietą. Dorasta w bagnistej wiosce na końcu świata. Potrafi kopnąć psa w pysk, kiedy za głośno warczy - Yute nigdy nie ośmieliłby się tego zrobić - ale co wie o szerokim świecie? Czy w Swift Fork ma szansę dowiedzieć się czegoś o nauce, o sztuce?

Z drugiej zaś strony - czy to wszystko, co znaczy dla niego tak wiele, musi mieć wartość dla innych?

Nika spuściła wzrok i odwróciła głowę. Yute nie potrafił jednak oderwać od niej oczu. Przyszły mu na myśl kobiety, z którymi spotykał się w Seattle. Niektóre z nich uważały się za dzikie, nieokiełznane jak światła wielkiego miasta, jak ono samo: szybki seks, taniec przy ogłuszającej muzyce. Nika jest nieokiełznana jak samo serce tundry.

John podsunął im garść małych, zasuszonych rzecznych pstrągów.

- Jedzcie. Jesteśmy na polowaniu.

Spożywszy ryby, John wyjął z torby samicę łososia, przyłożył do ust i wycisnął ikrę; Nika zrobiła to samo. Yute zjadł dwa batoniki, a potem wszyscy po kolei w milczeniu napili się wody z menażki.

Po krótkim odpoczynku ruszyli naprzód. Od lodowca dzieliło ich jeszcze kilka kilometrów. Białe wąskie smugi śniegu spływały ze zbocza ku zielonej równinie.

- Słuchajcie! - Zawołała Nika. - Tato, słyszysz?

John skinął głową z uśmiechem. Yute nic nie słyszał.

- Karibu idą - stwierdził John:

Po chwili Yute usłyszał charakterystyczny odgłos dochodzący spoza lodowca. Wiedział, że racice karibu stukają przy każdym kroku, ale nie wyobrażał sobie, że tak głośno. Jako chłopiec nigdy nie chodził z ojcem na polowanie; wołał czytać książki.

- Rozkładam sprzęt - oznajmił Yute.

Wyjął kamerę oraz szeroki talerz mikrofonu kierunkowego i ustawił na trójnogu.

John wziął w jedną rękę trzy dzidy, a w drugą miotacz. Prawie dwumetrowe włócznie z drewna świerkowego utwardził wcześniej w ogniu i zaopatrzył w krzemienne ostrza. Miotacz był repliką broni z kości renifera znalezionej w grobowcu Człowieka Tundry: wyglądał jak dwumetrowa igła z rozwidleniem na końcu.

W odległości kilkuset metrów ukazała się czołówka stada karibu. Yute słyszał teraz tętent ich kopyt i głośnie parsknięcia. Przez lornetkę zobaczył około trzydziestu zwierząt. Były to w większości stare, wyleniałe krowy, kilka cielaków i młodych byków. Zza załomu lodowca dał się słyszeć odgłos znacznie większej liczby kopyt.

Serce Yute zabiło szybciej.

- Może powinniśmy się zbliżyć? - Spytał.

- Nie trzeba. Same do nas przyjdą.

Wszystko wskazywało na to, że ojciec się myli. Zwierzęta na czele zauważyły już ludzi bądź ich zwierzyły. Zatrzymywały się, cofały, inne zawracały powodując zator. Reszta stada wpadała na nie z tyłu. Niektóre karibu próbowały wyminąć krowy na czele, lecz po chwili także się zatrzymywały. Yute założył na kamerę soczewki powiększające.

John potrząsnął głową.

- Niedługo zbliżą się na odległość ręki.

Przesunął się kilka metrów do przodu i kazał Yute przygotować kamerę. Potem skinął głową na Nike, która wyjęła z kieszonki koszuli mały kościany gwizdek i dmuchnęła weń z całych sił, nadymając policzki. Yute nic nie usłyszał. Psy wokół wózka zaczęły podskakiwać i warczeć. Dmuchnęła jeszcze raz w niemy gwizdek.

Psy zaskowytały; jeden zaplątał się w skórzaną uprząż.

Nika odchyliła głowę do tyłu i zawyla jak wilk. Głębokie, żalosne zawodzenie przeszło w wysoki, wibrujący skowyt. Yute cofnął się, zaskoczony. Nika zawyla ponownie, psy zawtórowały. Yute poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku. Po chwili z drugiej strony lodowca dobiegło wycie wilków, które odpowiadały na zew.

Strach ścisnął pierś Yute. Bał się psów, a wilki napawały go przerażeniem. Powoli, z trudem wciągnął powietrze w płuca i wyrównał oddech. Podeszedł ostrożnie do sań, starannie omijając psy. Odszukał skórzany futerał i wyjął pistolet. Wsunął go do głębokiej kieszeni spodni. Gdy wrócił do trójnoga, kilkadziesiąt metrów za stadem karibu ukazała się wataha wilków.

Na czele biegł wielki czarny przewodnik. Pół tuzina szarych drapieźników sunęło za nim półkolem.

W mgnieniu oka rozproszone karibu skupiły się znów w stado i skoczyły do przodu. Kilka młodych byków i jednoroczna krowa, które zostały nieco z tyłu, popędziły za resztą.

Czarny wilk wybrał ofiarę. Rzucił się w pościg, a wataha za nim.

Młoda krowa skręciła raptownie, ale czarny wilk dotrzymał jej kroku. Pętla zaciskała się coraz szybciej. Przewodnik wyprzedził krowę, a potem skoczył nagle, odcinając jej drogę ucieczki. Szary wilk rzucił się na nią z tyłu. Krowa gwałtownym ruchem zrzuciła napastnika, ale drapieżca przetoczył się po ziemi i stał znów na nogach. Cztery wilki zdążyły tymczasem zacisnąć szczęki na tylnej nodze ofiary, próbując ją przewrócić. Krowa rwała przed siebie, oszalała z bólu i strachu.

Yute słyszał warczenie wilków i rżenie ofiary. Wyobraził sobie białka jej oczu wychodzących z orbit. Obraz ten przyprawił go o mdłości.

Czarny wilk śmignął pod brzuchem i przednimi nogami karibu do gardła. Krowa próbowała stratować napastnika, lecz był szybszy. Krew trysnęła z jej szyi. Upadła na przewodnika, który mimo to nie rozluźnił szczęk. Po kilku sekundach głowa martwej krowy opadła bezwładnie na bok.

Stado karibu szło tymczasem prosto na Johna. Zwierzęta nie galopowały, lecz biegły stępą, jedno obok drugiego. Słysząc już było stukanie ocierających się poroży, parsknięcia, sapanie i głuchy tętent kopyt. Nika przykucnęła obok psa przewodnika i obydwoma rękami chwyciła go mocno za obrozę. Yute zamierzał przewinać taśmę, lecz zamarł w bezruchu, wpatrzony w wilki rozszarpujące zdobycz.

John trzymał miotacz w zgiętym ramieniu. Ostrze włóczni mierzyło nieco do góry, jej koniec opierał się o hak miotacza. Rzeka karibu przepływała teraz przed nim, wepchnięta przez wilki między ludzi i ścianę lodu. Ukazał się potężny byk. John podniósł wysoko miotacz, wziął krótki rozbieg i wyrzucił ramię do przodu. W ostatnim ułamku sekundy ściągnął drzewce miotacza w dół. Dzida pomknęła do celu jak strzała.

Kamienny grot wbił się głęboko w ciało byka pod łopatką, w samo serce. Zwierzę wydało krótki ryk, wierzgnęło tylnymi nogami i padło martwe na ziemię. Karibu biegły dalej, omijając ciało. Nika pokrzykiwała głośno w języku Caiyuhów. Yute, wpatrzony w wilki, zapomniał włączyć kamerę i nie sfilmował polowania ojca.

Po kilku minutach stado karibu liczące około dwustu sztuk zniknęło za załomem lodowca, poszło na wschód. Nika wcisnęła włosy za kołnierz i podeszła do ojca. Przykucnęli oboje przy ciele upolowanego byka i jęli kroić je replikami paleolitycznych krzemiennych ostrzy, które dał im wcześniej Yute. Nika pracowała równie szybko jak ojciec.

- Dobrze tnie - przyznała. - Ostry jak stal.

John zerknął na nią wesoło.

- Chcesz powiedzieć, że nasi przodkowie nie byli jednak tacy głupi?

Yute filmował ich ze statywu, bo ręce wciąż mu drżały. Raz po raz spoglądał w kierunku żerujących wilków, które znajdowały się nie dalej niż trzysta metrów.

- Niektórzy z naszych młodych nie wiedzą jak się to robi - powiedział John, nie przerywając pracy. Szybkimi, zręcznymi ruchami oddzielał mięso od skóry, ścięgien i kości. - I nawet nie chcą się nauczyć.

Spojrzał w stronę kamery i udał, że zadaje pchnięcie zakrwawionym kamiennym ostrzem. Uśmiechnął się.

- Ale mój syn, który mieszka w mieście, jest inny. - Dmuchięciem odrzucił kosmyk włosów, który zsunął mu się na twarz. - Powiedz, Yute, ile karibu zamierzasz upolować tam, w Seattle?

Nika spuściła głowę i zagryzła wargę. Dłonie lepiły się jej od krwi; ramieniem otarła pot z czoła. Powietrze wypełniał ciepły, ostry zapach. Długim cięciem wzdłuż tylnej nogi oddzieliła płat mięsa z boku i rzuciła na mech. Uklękła i zaczęła zeskrobywać ze skóry cienką warstwę błyszczącego tłuszczu półokrągłym krzemiennym narzędziem, które trzymała obydwoma rękami.

- Moja matka szyła ze skóry karibu zimowe ubrania - powiedział John. - Kurtki, spodnie, rękawice, skarpetki. Buty też. Skóra z tylnej nogi jest dobra na miękkie buty. I namioty, siedzenia do sań. Nawet ja zapominam, jak to kiedyś bywało.

Odciął kawał tłuszczu z zadu byka. Zębami wyrwał spory kęs, który zostawił błyszczącą smugę na jego podbródku. Wyciągnął rękę z zakrwawionym kawałkiem sadła w stronę syna.

Yute potrząsnął głową.

- Lubieś to, kiedy byłeś małym chłopcem.

- Nie jestem już małym chłopcem, ojczu.

John wyciął nerki karibu wielkości kartofli i podał Nice, która zrobiła kilka kroków w stronę uczujących wilków. Podniosła wysoko różowawe mięso i gwizdnęła głośno przez zęby.

- Tlingaluk! - Zawołała. - Tlingaluk! Hej!

Czarny wilk uniósł łeb.

- Tlingaluk! - Potrząsnęła nerkami.

Przewodnik spuścił nisko łeb i zaczął biec truchtem w jej stronę.

Yute wstrzymał oddech i zerknął na Johna, który klęczał odwrócony tyłem. Nika przykucnęła i czarny wilk zbliżył się prawie na odległość wyciągniętej ręki. Yute poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Wyciągnął z kieszeni pistolet, wymierzył, przez chwilę trzymał zwierzę na muszce i nacisnął spust.

John i Nika drgnęli na odgłos wystrzału. Wilk podskoczył z głośnym skowytom i usiadł ciężko. Nika krzyknęła. Przewodnik stada odwrócił się i umknął z podwiniętym ogonem, wlokąc za sobą bezwładną tylną łapę. Stado rozpierzchło się i zniknęło za ścianą lodowca. Nika zerwała się i pobiegła za wilkiem. Jej długie włosy wysunęły się spod kołnierza.

John przypatrywał się temu z otwartymi ustami. Potem podbiegł do Yute i wyrwał mu broń.

- Czy jesteś aż tak ślepy? Czemu to zrobiłeś?

Yute potrząsnął głową.

- Nie wiem - wykrztusił. - Myślałem, że Nika jest w niebezpieczeństwie. John przytupnął nogą.

- Ten wilk pewnie polizałby ją po twarzy. Oddajemy przewodnikowi to, co najlepsze: nerki i słoninę. W podzięce za pomoc. Polujemy z wilkami od pokoleń, nikt nie pamięta od jak dawna.

- Przykro mi, ojciec - wydusił Yute. - Strasznie mi przykro.

John westchnął ciężko. Nika zniknęła prawie za załomem lodowca.

- Może Nika wytłumaczy wilkowi, że ten, który go postrzelił, to Caiyuh, dobry człowiek, który jednak nie wie, jak my tu żyjemy. Muszę iść za Niką. Ona jest silna, ale tundra silniejsza.

John wziął z wózka toporek i dwa koce. Wyciął nożem kawałki sadła z mięsem, owinał w płaty skóry karibu. Umieścił zawiniątka na środku koca i związał rogi, tworząc coś w rodzaju plecaka, który zarzucił sobie na plecy.

Yute stał jak wryty w tym samym miejscu, przesuwając ręką po krótko obciętych włosach. John podszedł i położył umazane krwią i tłuszczem dłonie na ramionach syna. Spojrzał mu w oczy.

- To moja wina, nie twoja. Chciałem ci pokazać, jak polujemy, a powinienem był najpierw wytłumaczyć, tak jak w książkach. Powinienem był powiedzieć ci o wilkach.

Yute skinął głową w milczeniu. Bał się, że jeśli spróbuje coś powiedzieć, wybuchnie płaczem.

- Nika nazywa go Tlingaluk. Pamiętasz to słowo?

Yute potrząsnął głową.

- To znaczy „chmura burzowa” - wyjaśnił John z leciutkim uśmiechem. Jego włosy pachniały dymem z ogniska. - Wsiądź na wózek i jedź. Nie musisz prowadzić psów; one znają drogę do wioski. Z powrotem zawsze biegną szybciej. Będziesz w Swift Fork, zanim zapadnie zmrok. Jeśli nie wrócimy późnym popołudniem... - Ścisnął mocno ramię syna. - Nie spóźnij się na samolot. Przylatuje tylko raz na miesiąc.

John odwrócił się szybko, podszedł do psów i zaczął rozplątywać uprząż. Yute przełknął ślinę.

- Powiedz Nice... - Słowa uwięzły mu w gardle.

- Powiem, że ją kochasz - przerwał John, nie odwracając głowy. - Musiałaby być bardziej ślepa od ciebie, żeby dotąd tego nie zauważyć.

Odwrócił zaprzęg i skierował w stronę wioski.

Yute spakował swój sprzęt. Potem wspiął się na wózek, usiadł okrakiem na pudłach. John krzyknął i psy skoczyły rażno w stronę domu.

Yute zerknął przez ramię.

John ruszył biegiem w ślad za Niką. Smugi krwi na mchu i kwiatkach wskazywały mu drogę.

Rozdział 2

Psy najwyraźniej ucieszyły się, że wracają do domu. Ciągnęły wózek ochoczo, szybkim, równym tempem. Przebiegły przez płytką kałużę i lodowata woda chlusnęła na gołe nogi Yute. Nawet nie drgnął. Kiedy futerał soczewek ześliznął się i uderzył go w kostkę, złapał pudełko i położył koło buta.

Gdzieś w górze rozległ się przenikliwy krzyk myszołowa. Ptak uderzył szerokimi skrzydłami, potem zwinął je i spadł jak kamień. Chwycił leminga tuż przed kołami wózka i odleciał z gryzoniem trzepoczącym się w jego szponach.

Niezwykły, piękny w swym okrucieństwie obraz sprowadził Yute na ziemię.

Dlaczego potrafię dostrzec piękno w polowaniu myszołowa, ale kiedy widzę wilka zabijającego karibu, trzęsę się cały ze strachu?

Konik polny wskoczył Yute na głowę. Sięgnął ręką, żeby go strząsnąć, lecz tylne nogi owada zaplątały się w krótkich, gęstych włosach. Wyrwał owada i odrzucił, potem wyjął spomiędzy włosów tylną nogę. Rozzłościł się, że zabił konika. Trzasnął pięścią w wózek i wyrzucił z siebie długą wiązanek przekleństw: na konika, na wilki, wreszcie na siebie samego. Rozejrzał się bezradnie po bezmiarze arktycznej pustyni i krzyknął przeciągle na całe gardło.

Z westchnieniem oparł głowę na drewnianym oparciu i spojrzał w ciemniejące niebo. Długie pomarańczowe smugi pokazały się na zachodzie; promienie słońca nie tańczyły już wśród kwiatów porastających gęsto tundrę. Yute włożył sweter.

- Ale za mnie głupiec - szepnął.

Zerwał się lekki, chłodny wiaterek. Psy nie zwalniały tempa. Wózek przetoczył się obok małego, strome go pagórka przypominającego miniaturowy wulkan, wypełniony jednak nie lawą, lecz lodem.

Opuściłem rodzinne strony w poszukiwaniu wiedzy, myślał Yute. Poszukiwanie miłości może mnie tu przywieść z powrotem.

Wózek przetoczył się przez kępę dmuchawców, rozbijając białe kulki. Yute przypomniał sobie, jak biegał kiedyś w wysokiej do piersi trawie w pogoni za białym puchem, który fruwał na wietrze.

Mógłbym zostać przez dwa lata i badać tradycje plemion indiańskich. Może nawet dostałbym na to stypendium. Uśmiechnął się. Ojciec i siostra potrzebują mnie. Mógłbym

pokazać, jak kopalnie Canarda przyczyniają się do zniszczenia tradycyjnego stylu życia rdzennych mieszkańców tych ziem.

Wciągnął głęboko powietrze i westchnął.

- Pilot może odlecieć beze mnie - powiedział cicho.

Wysokie świerki na horyzoncie wyglądały jak maszty żaglowców. Drzewa znajdowały się w połowie drogi do Swift Fork. Yute oddalił się o jakieś osiem kilometrów od miejsca, w którym strzelił do wilka. Odwrócił głowę. Chciał powiedzieć ojcu i siostrze, że zostaje. Chciał usłyszeć od Niki słowa przebaczenia, poczuć jej ręce na szyi. Syn marnotrawny wraca do domu.

Czy dogoni ich, jeśli wyskoczy z wózka i pobiegnie z powrotem? Spojrzał na zachód. Nic z tego - za godzinę zajdzie słońce. A poza tym wilki...

Zerknął na biegnące psy. Wilki nie odważą się do nich podejść. Jest brezent i kilka koców; można spędzić noc w wózku u stóp lodowca. Tam zaczeka na ojca i siostrę.

- Wracam - powiedział cicho do siebie.

- Wracamy - powtórzył głośniejszym głosem do psów.

Pociągnął za wodze, próbując zawrócić psy szerokim łukiem, ciągnęły jednak mocniej w przeciwną stronę. Wózek zachybotał się, ale nie zmienił kierunku jazdy.

Yute popchnął burtę wózka w bok. Psy pociągnęły w drugą stronę i wyprostowały go. Kilka pudełek stoczyło się na ziemię.

- Zrzuciliśmy trochę ładunku. Zawróćcie wreszcie, do cholery!

Jak ojciec tym kieruje? Yute przerzucił nogi nad kierownicą i zeskoczył za wózkiem. Złapał za rączki i skreślił wózek w lewo, aby wymusić zwrot w prawo. Psy pociągnęły mocno w tę samą stronę, niemal wrywając Yute kierownicę z rąk. Pojazd przechylił się, potoczył na dwóch kołach i przewrócił, pociągając za sobą Yute. Uprząż zsunęła się z uchwytu i psy przewróciły się siłą rozpędu. Zaraz jednak zerwały się na równe nogi, były wolne. Yute pozbiierał się, skoczył, żeby złapać luźny koniec skórzanego paska, lecz psy odwróciły się i zaczęły warczeć, obnażywszy kły. Cofnął się z uniesionymi dłońmi. Sześć malamutów złączonych uprzężą pomknęło do domu.

Yute wypluł żwir i kopnął z całej siły kępę mchu. Błoto zatkało mu nozdrza. Obmył się zimną wodą. Z nosa płynęła krew.

- Zostaję, słyszysz?! - Zawołał, odwróciwszy się raptownie w stronę wielkiej pomarańczowej tarczy słońca. - Wszystkiego się nauczę. Ojciec i siostra mi pomogą.

Postawił wózek na kołach i pozbiierał pudełka ze sprzętem. Zarzucił sobie na ramiona pas brezentu oraz dwa wełniane koce. Na wierzchu ułożył szpadel i siekiere.

Wytarł zakrwawiony nos w mokry rękaw. Musi teraz wrócić do lodowca przed zapadnięciem zmroku, aby jeszcze za dnia zbudować sobie schronienie.

Zaczął biec i pomimo chłodu wkrótce się spocił. Nawet gdyby nie odnalazł ojca i siostry, trafi do Swift Fork z zamkniętymi oczami. O to się nie obawiał. Przetrvanie nocy też nie było największym problemem. Tundra jest jak pustynia. Jedyłą różnicę stanowi lodowaty wiatr. Temperatura nie spadnie o wiele niżej, ale wiatr może zamrozić człowieka na śmierć.

Kiedy dotrze do lodowca, wykuje jaskinię w lodzie i do niej się wciśnie. Schroni się przed wiatrem, a naturalne ciepło ciała zrobi resztę. Yute wiedział, że nie będzie mu za gorąco, ale na pewno przeżyje, jeśli tylko dotrze tam przed zmrokiem. W bezksiężycową noc, pośród tundry jest ciemno jak w grobowcu.

Stanął u stóp wzgórza, gdy na ciemnym niebie zajaśniała Wenus. Wybrał miejsce, gdzie lód był cienki, i zaczął rąbać siekierą. Chciał się przebić do gruntu. Machał siekierą i łopatą wśród zapadającej ciemności. Nie widział prawie nic. Wiatr przybrał na sile. Yute wczołgał się do jaskini, rozścieliwszy wpierw brezent na twardym, zimnym dnie. Owinął się dwoma kocami jak kokonem, starannie unikając kontaktu z lodowymi ścianami. Coś twardego uciskało go w plecy, lecz był zbyt wyczerpany, żeby o tym myśleć. Zasnął niemal natychmiast.

O świcie przebudził się, drżąc z zimna.

- Wydarzy się coś wielkiego - mruknął szcękając zębami. Miał nadzieję, że będzie to coś bardziej stymulującego intelektualnie niż walka z zapaleniem płuc.

Podniósł się na łokciu i rozejrzał. Gdzie ten korzeń, który wbijał mu się w plecy przez całą noc? Wsadził rękę pod brezent i wyczuł kształt, którego z niczym nie sposób pomylić.

Ludzka dłoń.

Yute wstrzymał oddech. Cofnął rękę i spojrział na swoje palce, jak gdyby oddzieliły się od reszty ciała i uczyniły coś strasznego. Ostrożnie dotknął jeszcze raz. Wydawało się, że delikatna ręka wyciąga się do niego.

Krzyknął i cofnął się gwałtownie, uderzając głową o ścianę jaskini. Nagle parsknął śmiechem. Z drżeniem serca otworzył szeroko oczy.

- Coś wielkiego - szepnął i zerwał brezent.

Wąska dłoń wystawała z zamarzniętej ziemi.

Yute spoglądał przez dłuższą chwilę, oddychając głęboko. Czuł mocne bicie serca. Wskoczył z legowiska i złapał siekierę.

Pochylił się nisko nad ziemią, delikatnie odłupując kawałki zmarzliny. Po chwili wyłoniła się głowa okryta gęstymi włosami. W nocy po ciemku odślonił i przedziurawił

wieko uplecione z wierzbowych witek. Widział teraz zarys okrągłej jamy wykutej w skale, z której wystawała dłoń. Ciało zachowało się w idealnym stanie: nie było skurczone ani nawet zmumifikowane.

Yute spocił się mimo chłodu. Jego szyja i ramiona pokryły się gęsią skórką. Delikatnie dotknął ręki jeszcze raz. Była zimna jak lód, lecz elastyczna, nie sztywna. Zgiął palce bez trudu.

- Jak to możliwe? - Spytał z niedowierzaniem. Tkanka nie zamarzła na kość. Naczynia krwionośne napęczniały od krwi, lecz była to płynna krew, nie zamrznięta. W ciemności przeciął szpadlem skórę dłoni. Wąska smużka zaschniętej krwi pokrywała niewielką ranę.

Jak to możliwe, aby w tych żyłach zostało coś oprócz prochu i lodu? Cofnął się i ujął szpadel w ręce. Para buchała mu z ust, kiedy kopał, starając się powiększyć jaskinię. Słońce wspięło się wyżej na niebo i zrobiło się widno. Yute pracował ostrożnie, lecz energicznie. Po godzinie jama była dwa razy obszerniejsza i głębsza. Grobowiec ukazał się w całości.

Yute przykłęknął. Po krótkim wahaniu delikatnie odsunął plecione wieko.

Ukośne promienie słońca padły na uniesioną nieco do góry twarz młodej kobiety. Patrzyła prosto na swego odkrywcę. Światło odbiło się w jej ciemnozielonych oczach.

Yute wciągnął powietrze i trwał chwilę bez ruchu.

- Patrz, oto światło innego świata - powiedział.

Ciało ubrane w zgrzebną tunikę z owczej skóry spoczywało w pozycji siedzącej. Kolana kobiety były podkurczone do piersi. Prawy łokieć opierał się na kolanie, ręka zastygła więc w geście wiecznego pożegnania lub, być może, powitania. Gęste ciemne włosy dziewczyny, uplecione w drobne warkoczyki, spływały na jej ramiona i piersi. Rysy twarzy - duże oczy, wydatny nos, szerokie policzki, pełne usta i mocna szczęka - wskazywały niezbicie, że kobieta jest neandertalką.

Yute patrzył na nią oczami pełnymi łez. Do tej chwili żaden uczonej nie zobaczył neandertalczyka w takiej postaci.

- Jesteś absolutnie piękna. Czekałem na ciebie prawie przez całe życie.

Rozejrzał się. Pustka aż po horyzont. Promienie słońca odbijały się od lodu.

Jak dawno temu żyła i wędrowała ze swym plemieniem po tej arktycznej równinie?

- Proszę wybaczyć, panowie - rzekł Yute spokojnym tonem. - Doktorze Fischer, doktorze Whitcombe. O ile pamiętam, twierdzili panowie, iż neandertalczyki wymarli w Eurazji oraz na Bliskim Wschodzie i nigdy nie przedostali się przez Cieśninę Beringa do Nowego Świata. Z największą przyjemnością przedstawiam panom kobietę neandertalską, którą ponad wszelką wątpliwość można nazwać Pierwszą Amerykanką.

Yute spojrział w zielone oczy martwej dziewczyny.

- Kobieto Tundry, będziesz ukoronowaniem mojej kariery.

Zacznijmy od początku, myślał gorączkowo. Muszę dobrać zespół konsultantów, którzy przyjadą tu i wykonają wszelkie możliwe badania tego miejsca. Geodeta, geolog, fotograf, botanik - najlepiej Lynn Dreyfus - Kelly jako gleboznawca... Kilku studentów ostatniego roku, którzy przesieją ziemię wokół znaleziska...

Uśmiechnął się szeroko. Doskonale! Nie zostanie w Swift Fork, bo będzie musiał spędzać większość czasu w laboratorium pod Seattle, ale może przyjeżdżać regularnie na miejsce badań, odwiedzać Nike i ojca, zając się sprawą kopalń.

Po chwili jednak uśmiech zniknął mu z twarzy.

- Spójrz prawdzie w oczy - rzekł Yute do siebie. - Nie będziesz miał na nic czasu przez wiele lat. Badania tej neandertalki to dzieło twojego życia. Całego życia.

Musnął palcami jej policzek. Zimna skóra pokryta była delikatnym puszkciem jak brzoskwinia. Yute potrząsnął wolno głową. Zdawało mu się, że już to gdzieś widział, że pamięta. Deja vu? Poszukał w pamięci. Czyżby widział w jakiejś książce rysunek takiej neandertalki? Wykluczone. Żadne wizerunki nie oddawały wysokiej inteligencji, która wyczerała nawet z pustego spojrzenia martwej dziewczyny. Zgodnie z tym, co napisał w jednej ze swych prac - ewolucjoniści nie docenili tej rasy.

Żaden z paleoantropologów starej szkoły nie podzielał tego poglądu. Yute nie należał bowiem do ich klubu.

Zacisnął usta. Nie będzie organizował zespołu konsultacyjnego. Wstępne badania przeprowadzi w Seattle na własną rękę. Potem konsultanci przyjadą na miejsce, zrobią dokładne ekspertyzy i być może, dorzucą jakiś kamyk do piramidy wiedzy, którą on wzniesie. Główną część badań wykona sam, nawet jeśli miałby poświęcić na to długie lata. Potem stanie na szczycie piramidy i ogłosi odkrycia, których dokonał dzięki Kobiecie Tundry. Zaprowadzi nowy ład w świecie antropologii.

Gwizdnął z cicha.

To będzie rewolucja!

*

Yute przykłęknął i siekierą zrobił głębokie nacięcia w lodowym suficie jaskini. Potem uderzył płazem i sufit zapadł się z głośnym trzaskiem. Grobowiec zniknął, przykryty kilkuset kilogramami śniegu i lodu.

Obłożył neandertalkę pokruszonym lodem, a następnie owinął w dwa koce i śliski brezent, żeby łatwiej ciągnąć ciało. Maszerował szybko, równym tempem. Chciał dojść z

wózkiem do wioski i złapać samolot do Fairbanks, a potem wynająć prywatny samolot do Seattle. Dotarł do wózka po półtorej godziny marszu. Sprawdził ręką, czy ciało pozostało sztywne w suchym lodzie, a następnie ostrożnie wsunął je w biały winylowy worek i zapiął.

Opadł bezwładnie na wilgotny mech, dysząc ze zmęczenia. Oparł plecy o wózek i zwiesił spoconą głowę między kolana. Załkał cicho, nie roniąc łez. Byłoby cudownie zostać z Niką i ojcem. Ale jako uczonego nawet nie śmiało marzyć o tym, że znajdzie ciało neandertalki w nienaruszonym stanie.

Spojrzał w kierunku Denali.

Rozdział 3

Krwawy trop Tlingaluka wiódł po stoku wzgórza. Nika biegła omijając gałęzie opadłe z iglastych krzewów, które sięgały jej wysokości. Zwolniła. Po przejściu jeszcze kilku pagórków wśród zarośli mignął łeb szarego wilka i zaraz zniknął. Czujka. Stado dotarło do swego terytorium, musi więc być niedaleko.

Pot płynął strumieniami po piersi i plecach Niki. Rozpięła wilgotną flanelową koszulę i zdjęła, zawiązując w biegu rękawy wokół pasa. Chłodne górskie powietrze owiewało jej nagi tors. Drobne piersi podskakiwały przy każdym ruchu, rozsiewając kropelki potu. Odgarnęła długie pasma mokrych włosów z twarzy, zebrała z tyłu głowy i zawiązała w niedbały kok. Wąski strumień wił się u stóp wzgórza. Weszła do czystej wody, schyliła się i nabrała w dłonie lodowatej wody. Polała sobie głowę, z zimna zachłystując się powietrzem.

Na szczycie wzgórza ukazał się ten sam szary wilk. Nika widziała teraz, że zwierzę ma czarny pysk.

- Bracie Czarna Twarz - przemówiła do niego w języku Caiyuhów. - Niepokoję się o przyjaciela, twojego wodza, Tlingaluka. Czy jest ciężko ranny? Pozwól mi pójść do niego. Chcę mu pomóc.

Wilk odwrócił się i zniknął. Powrócił z dwoma innymi. Stały naprzeciwko Niki, która zaczęła się wspinać.

- Twój wódz zna mnie i mojego ojca. Bawiliśmy się razem, kiedy oboje byliśmy szczeniętami. Wpuście mnie na teren waszego stada.

Pierwszy wilk zniknął. Dwa pozostałe spuściły nisko łby, wpatrując się w Nikę bez zmruczenia oka. Zbliżała się do nich z rękami blisko ciała, z otwartymi dłońmi. Kiedy podeszła bliżej, odwróciły się i zbiegły ze wzgórza, spoglądając za siebie.

Coś ścisnęło Nikę za gardło. Bały się jej.

- Tlingaluk! - Zawołała. - Jestem twoją siostrą. Przychodzę z pomocą. Słuchaj mojego serca i nie bój się.

Spoza gęstej kępy krzaków dobiegło wściekłe warczenie i bolesny skowyt wilka. Nika zerwała się do biegu i po chwili stanęła przed wilczą gromadą otaczającą walczącą parę. Duży szary wilk próbował zacisnąć szczęki na gardle czarnego wilka, który wił się pod jego brzuchem.

- Tlingaluk! - Krzyknęła Nika i podbiegła, lecz kilka wilków stanęło jej na drodze, warcząc z obnażonymi kłami. Rozejrzała się rozpaczliwie. Chwyciła w dłonie suchą gałąź, lecz pozostałe wilki przyłączyły się do kordonu.

Tlingaluk szarpał się i zawodził. Nika machnęła gałęzią, postąpiła naprzód.

- Stój! - Zawołał ojciec. - Nie ruszaj się z miejsca. To nie jest twoje plemię.

Widziała teraz, że Czarna Twarz chwycił Tlingaluka za gardło i potrząsał wściekle. Z poszarpanej rany trysnęła krew. Tlingaluk zwinął się i uwolnił z uścisku. Staął na nogach naprzeciw szarego wilka, który trzymał w pysku kłęb czarnej sierści. Tlingaluk zatoczył się i przysiadł na zranionej nodze. Ponad głową Czarnej Twarzy spojrział na Nike. Odrzucił łeb do tyłu, żeby zawyć, lecz dobył z gardła tylko charkot. Zadrżał i upadł. Czarna Twarz stał nad nim przez moment na sztywnych nogach.

Wilki otoczyły nowego przewodnika z podwiniętymi ogonami, liżąc jego pysk i uszy. Ojciec podszedł z tyłu do Niki, otoczył dłonią jej nagie ramiona. Odwróciła się i schowała twarz w jego mokrej koszuli.

- Nie płacz, córko - powiedział głaszcząc jej włosy. - Czarny wilk sam wybrał śmierć.

Nika potrząsnęła głową i spojrziała na ojca, nie rozumiejąc.

- Kiedy wilki walczą o przewodnictwo w stadzie, wystarczy, że przegrywający położy się na grzbiecie i podda. Zwycięzca nie zabije wtedy przeciwnika. Przecież wiesz o tym.

- Więc dlaczego Tlingaluk się nie poddał?

- Miał strzaskaną nogę. Nie na wiele przydałby się stadu jako kaleka. - I Czarna Twarz go zaatakował?

- Pewnie było odwrotnie. Tlingaluk był wspaniałym przewodnikiem. Wybrał najlepszego wilka i wyzwiał go do walki wiedząc, że musi przegrać, a zwycięzca zostanie nowym przewodnikiem.

Stado wilków tłoczyło się wokół Czarnej Twarzy, który nie spuszczał oka z dwojga Indian. John powoli zdjął z pleców tobołek i rzucił nowemu przewodnikowi kawał sadła. Czarna Twarz skoczył do tyłu i odbiegł kilka metrów. Pozostałe wilki poszły w jego ślady.

- Bracie Czarna Twarz - powiedział cicho John. - Dzisiaj straciliśmy twoje zaufanie. Wiem, że nie odzyskamy go od razu. Ale pozwól, abyśmy przynosili dary twoim ludziom. Może kiedyś między naszymi plemionami znów zapanuje przyjaźń, tak jak to zawsze bywało.

Wilki podczołgał się ostrożnie, węsząc trwożnie i nie odrywając spojrzenia od Johna i Niki. Chwyciwszy mięso w zęby, oddalił się na bezpieczną odległość. Połknął słoninę, odwrócił się i pobiegł truchtem w stronę wzgórza. Sześć wilków podążyło za nim. Po chwili Czarna Twarz pojawił się na szczycie pagórka, zerknął na dwoje ludzi i zniknął na dobre.

Nika chciała biec do Tlingaluka, lecz ojciec złapał ją za ramię.

- Przed nami długa droga. Przed nim też.

Odwrócili się i odeszli w milczeniu.

Po godzinie marszu stanęli na szczycie wzniesienia. Przed nimi rozpościerała się olbrzymia równina tundry. Słońce kryło się za odległymi górami, zalewając złotem ostre, postrzępione wierzchołki. John wskazał zagłębienie między dwoma pagórkami.

- Tam płynie strumyk. Nad nim rozbijemy obóz na noc.

Bez zbędnych słów zbudowali prosty szałas z gałęzi sosny i świerka wspartych o dwa drzewa. John rozesłał koce pod plecionym dachem. Potem Nika nazbierała drewna na opał, a ojciec wyciął ze starego pnia sosny rdzeń ociekający żółtym sokiem. Nika ustawiła wokół sosnowego pieńka duży stożek z gałęzi. John wyciągnął z pochwy nóż myśliwski i uderzył nim o krzemień, wzniecając iskry, które spadły na zakrzepłą żywicę. Zajął się z głośnym sykiem. Położył na płomieniu suchą gałązkę. Wzgórza i las dookoła tonęły już w ciemności. Nika wyplukała przepocone koszule w strumieniu i rozwiesiła na kołkach wbitych w ziemię opodal ogniska.

Siedzieli ramię przy ramieniu, zapatrzeni w ogień. Słodki zapach dymu z igieł rozniósł się w powietrzu. John nadział na świeżą gałązkę dwa kawałki mięsa karibu i podsmażył nad ogniem. Jedli mięso rękami, nie gardząc śliskim sadłem. Od czasu do czasu popijali źródlaną wodą z menażki. Płonące szczapy pękały z trzaskiem. Igły strzelały w górę i unosiły się ku rzece gwiazd, która świeciła na ciemnym niebie. Potem długo siedzieli w milczeniu. Tłusty Śnieżny Lis wypłynął na niebo koło Gwiazdy Polarnej.

- Ojczy - odezwała się Nika patrząc w ogień. - Dlaczego Yute zachował się tak okrutnie?

- Nie zrobił tego celowo. Bał się. Myślał, że twój wilk cię zaatakuje.

- Ale przecież ja chciałam mu coś dać. Czyżby tego nie widział?

- Lęk go zaślepił.

- A więc Yute jest głupi.

- Nie głupi. Przerażony.

- Nienawidzę go.

- Nienawiść jest taka sama jak strach. Odbiera wzrok.

- Tlingaluk był wspaniałym wilkiem.

- Miłość też może zaślepić. Pobiegłaś bez żywności, bez okrycia, bez toporka. Nie wzięłaś nawet zapalek ani krzemienia. Gdzie zamierzałaś spędzić noc?

Nika zastanowiła się przez chwilę. - Wykopałabym jamę w lodzie.

- Czym? Zębami? Nie zabrałaś nawet noża. Ubranie miałaś mokre od potu. Nie dałoby ci ciepła tej nocy.

- Nic by mi się nie stało - bąknęła spuszczać wzrok.

- Nawet latem ludzie ginęli w tundrze bez jedzenia, schronienia i ognia. Czy ty jesteś inna?

Nika wiedziała, że ojciec ma rację. Spojrzała na niego. Żółtopomarańczowe światło ogniska tańczyło i skakało po twarzy Johna. Zmarszczki złościły jego czoło i skórę przy kącikach czarnych oczu, ale policzki miał gładkie jak rzeczne kamienie. Nika zarzuciła ojcu rękę na szyję.

- Dziękuję, że za mną poszedłeś.

Trzymał ją w ramionach dłuższą chwilę, oparłszy podbródek na czubku jej głowy i kiwając się lekko.

- Poszedłbym za tobą do jaskini grizzly - rzekł chropowatym głosem.

- A czy zabrałbyś ze sobą toporek i nóż?

- Nie. Wskoczyłbym do środka nago, tak jak ty - roześmiał się. - No, mądralo, sprawdźmy, czy koszule już wyschły.

Koszule były sztywne, lecz suche i gorące. Noc zrobiła się chłodna i Nika zadrżała pod przyjemnym dotknięciem ciepłej flaneli. Na ciemnym niebie ukazała się błyszcząca poświata. Wysoko w czystym powietrzu tańczyły świetliste wstęgi czerwieni, zieleni i fioletu.

Z ogniska zostały tylko rozżarzone węgle.

- To nieprawda, że nienawidzę Yute. Już za nim tęsknię.

John pochylił tułów w geście, który w plemienu Caiyuh oznacza głębokie potwierdzenie. Ujął dłoń córki i oboje zapatrzyli się w ciemniejące żagwie. Potem owinęli się kocami i wsunęli pod szalas, przytuleni do siebie. Gdzieś niedaleko zahukała śnieżna sowa. Nika zamknęła oczy; przypomniała sobie malutkie wilcze szczenię, puszystą kulkę delikatnego czarnego futerka. Zasnęła, nim sowa zahukała po raz trzeci.

Ojciec obudził ją rankiem, gdy promienie słońca rozproszyły mgłę. Mięso było już upieczone. Po śniadaniu zeszli ze wzgórza w tundrę i skierowali się ku lodowcowi. Przeszli w bród płytki strumień. John wskazał rozmazane tropy rysia na błotnistym brzegu. Z jego posiłku zostały tylko krwawe kłęбки brunatnoszarego futra. Pewnie upolował zająca. Nieco dalej jakiś mały ssak, pewnie świstak albo lis, oddał mocz. Świeżo obgryziona kora na karłowatej wierzbie znaczyła miejsce żerowania łosia.

Zatrzymali się na chwilę w kępie gęsto oblepionych owocami jeżyn. Nazbierali kilka garści i zabrali na zapas.

Wiatr przyniósł gęstą woń grzęzawiska, błotnych traw i ptasich odchodów. Zbliżyli się do rozległego stawu, na brzegu którego utworzył się głęboki na kilkanaście centymetrów pierścień ptasich piór. Stadka młodych łabędzi sunęły po wodzie za matkami. Kilkanaście wspaniałych ptaków kołowało nad stawem, nawołując się stłumionymi, melodyjnymi gwizdami. Za kilka tygodni wyruszą na południe, jak tylko młode podrosną na tyle, aby znieść trudy długiego lotu.

- Ojczy, opowiedz mi o swoich wyprawach łowieckich z dziadkiem.

- Znowu?

Skinęła głową.

- Słyszałaś to już pewnie z pięćdziesiąt razy. - Nie szkodzi. Lubię słuchać, jak opowiadasz. John uśmiechnął się.

- Wczesną jesienią, zaraz po odlocie łabędzi, ale przed pierwszym mocnym śniegiem wyruszyliśmy na daleką wyprawę łowiecką. Byłem tam ja, ojciec, moi bracia Billy Złamany Ząb i Jack Anvik, i jeszcze kilku innych mężczyzn. Maszerowaliśmy przez wzgórza do miejsca, gdzie rzeka Tanana wpada do Kuskokwim.

- A ty byłeś najmłodszy.

- Miałem dwanaście lat, kiedy zabrali mnie ze sobą pierwszy raz. Byłem tak podniecony, że chyba się posikałem.

- Zawsze to powtarzasz - roześmiała się Nika.

- A ty zawsze się śmiejesz... Spotykaliśmy inne grupy myśliwych: Athapaskanów znaną Telidy i Tonzony, a czasem Inupaków z zachodu. Wszyscy prowadzili ze sobą zaprzęgi psów objuczonych bagażami. A kiedy spadł pierwszy śnieg, strumienie zamarzyły i ziemia się wygładziła, budowaliśmy sanie. Psy ciągnęły je po górach, w których polowaliśmy na karibu, łosie i górskie owce. Wszyscy próbowali dorównać mojemu ojcu. Ale nikomu się to nie udało...

Rozbijaliśmy obozy w przepięknych miejscach. A kiedy docieraliśmy w końcu do Tanany, śnieg już topniał. Wielkie bryły lodu odrywały się z hukiem. To było coś wspaniałego, potężnego - cała ta wielka, zimna biel poruszała się, żyła. Rzeka Kuskokwim nie była ani trochę spokojniejsza. Zszywaliśmy wysuszonymi ścięgami siedem lub osiem skór łosie i naciągaliśmy na stelaż z gałęzi wierzb i topoli. Później uszczelnialiśmy łączenia żywicą sosny. Cała piętnastka wchodziła do takiej olbrzymiej łodzi razem z tuzinem psów, łukami, włóczniami i stosami zamrożonego mięsa. A potem spływaliśmy przez porohy wrzeszcząc jak banda pijaków...

- Ale nie piliście alkoholu.

- Nie, tylko rzeka tak na nas działała. Niosła nas z powrotem do wzgórz, przemoczonych i zmarzniętych na kość prawie tak samo jak mięso. Stamtąd wracaliśmy piechotą do domu.

- Babcia i wszyscy ludzie z wioski biegli wam na powitanie.

- Śpiewaliśmy pieśń myśliwską, a oni biegli śpiewając pieśń o powrocie do domu. Przyjemnie było wracać z żywnością dla rodzin.

- Zrobiłabym wszystko, żeby to przeżyć.

John westchnął.

- Teraz wszyscy mają specjalistyczny sprzęt łowiecki, tratwy, strzelby z celownikami, skutery śnieżne, motorówki, kamery wideo... A co się stanie z naszym krajem, jeśli Canard zbuduje tu kopalnię?

- Dlatego tak lubię słuchać twoich opowieści o tym, jak dawniej bywało.

- Wiem. A mnie ogarnia potem smutek.

Dotarli do lodowca. John pierwszy zauważył jamę w lodzie. Pobiegł, a Nika podążyła za nim. Liczył, ile śladów wchodzi do środka, a ile wychodzi.

- Yute? - Spytała z szeroko otwartymi oczami. John potrząsnął głową.

- Nie ma go tam. Tyle samo śladów wchodzi, ile wychodzi. Chwycił siekierę leżącą koło wejścia i zamachnął się z całej siły.

- Módl się, żebym miał rację. Nika złapała łopatę. - Pomogę ci.

- Odsuń się - wydyszał. - Potrzebuję dużo miejsca, aby szybko pracować. Nika widziała kiedyś mężczyznę z ich wioski, który upadł zimą po pijanemu i zmarzł na kość na progu domu. Lód zatkał mu nos, a oczy zbieleły od szronu. Zagryzła wargę i patrzyła na kawałki lodu spadające jej pod nogi.

John w kilka minut wyrąbał metrowy tunel w zapadniętym lodzie. Oparł się na trzonku siekiery, dysząc ciężko.

Nika bała się podnieść wzrok.

- Powiedz mi, tato.

- W porządku, nikogo tam nie ma.

Podszedł i objął córkę ramieniem. Poczowała ciepło jego rozgrzanych mięśni.

- Co się stało? - Spytała.

- Trudno powiedzieć. - Schylił się i zajrzał do wnętrza tunelu. - Nigdy nie widziałem, żeby jama lodowa się zapadła. Gdyby była ze śniegu, to co innego. Śnieg bywa zdradliwy, ale lód...

Odwrócił się z pokazną bryłą w ręku.

- Coś tu się nie zgadza. Przecież posłałem Yute do wioski z psami. Czemu wracał, i to na nogach?

John uklęknął, aby przyjrzeć się dokładniej śladom.

- *Aiyoo!* Spójrz tutaj. - Wskazał zagłębienie w lodzie. - Co to jest?

Przesuwali dłońmi po odcisniętym w lodzie kształcie drobnego ciała, które Yute położył w tym miejscu na plecach. Było szczupłe i muskularne. Nika rozpoznała kobiecy zarys bioder.

- Kobieta? - Spytała.

John zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

- Tutaj?

Spojrzał w stronę tunelu.

- Sprawdźmy, czy w jamie nie kryje się coś więcej.

John odrzucił łód z tunelu, aż dokopał się do gołej ziemi. Odwrócił się i spojrzał na Nika z otwartymi ustami.

- Skąd wiedział, gdzie szukać? - Spytał.

- Czego, tato? - Nika wczłogała się za ojcem.

- Znalazł jeszcze jednego człowieka z Pradawnego Plemienia. Ale nie mam pojęcia, skąd wiedział, że właśnie tu trzeba kopać.

- *Wa Denali!* - Zawołała Nika. - Tak bardzo o tym marzył...

- Ale jak to się stało? Stracił tu mnóstwo czasu. Nie umiał odróżnić kamienia od lisich bobków.

Nika roześmiała się, zdumiona, ale zarazem uradowana z odkrycia brata.

- Wyobraź sobie, jak my bylibyśmy zagubieni w mieście.

John wypogodził się, uśmiech wypłynął na jego twarz.

- A więc Yute okazał się wielkim myśliwym - wytropił swoją zwierzynę pod lodem.

- *Aiyoo!* - zawołała Nika i zajadłowała wysokim tonem. John klasnął w dłonie i zaczął wybijać rytm. Lodowy pył wzbił się z jego ramion. Tańczyli oboje posuwistymi, długimi krokami, w przód i w tył. John śpiewał pieśń myśliwską swego dzieciństwa.

*

Ukośne promienie popołudniowego słońca oświetlały lodową jamę. John i Nika skończyli jeść przekąskę z czarnych jeżyn i szykowali się do dalszej drogi. Smuga światła wpadła do wnętrza komory grobowej. Coś błysnęło.

- Zobacz, co to jest - polecił John, ale Nika wczłogała się już do jaskini. Błyszczący przedmiot miał okrągły kształt, był płaski i gładki. Wystawał pomiędzy skał tuż koło komory grobowej.

- Ciężki - stwierdziła Nika. Trzymała w ręku metalowy dysk wielkości kaczego jaja, zawieszony na pleconym skórzanym postronku. Przedmiot lśnił jasno w promieniach słońca.

- Kruku Psotniku - rzekł cicho John. - Czyżbyś spletał nam kolejnego brzydkiego figła?

- Złoto - wykrztusiła Nika.

John rozejrzał się czujnie.

- Musimy to zachować w tajemnicy, Nika. Jeśli Canard się dowie, wyrosną tu szyby od morza do gór.

Dysk wykuty z bryły złota wyglądał jak amulet. Na jego powierzchni widać było głębokie złobienia, które układały się w groteskową twarz podobną do eskimoskich masek demonów: wydłużone oczodoły w kształcie pętli, zakrzywiony nos, zębate usta wykrzywione w grymasie, zmarszczone, sękaty czoło.

- Czaszka? - Zastanawiała się Nika.

Z ust wystawały ostre, szczurze zęby. Nos był pusty, lecz w oczodołach kłębiły się maleńkie figurki. W prawym, większym oczodole widać było dorosłych i dzieci - jeśli twórca zamierzał odtworzyć naturalne proporcje. Poniżej kłębówiska ludzkich postaci Nika rozróżniła dwa wilki lub duże psy. W lewym, mniejszym oczodole rozpoznała dwie owce, dwa kozły, dwa woły pizmowe i dwa zwierzęta, które przypominały niezgrabne wizerunki słoni.

- Nic nie rozumiem.

- To ma coś wspólnego ze światem duchów - stwierdził John. - Para każdego gatunku zwierząt towarzyszy zmarłym w drodze, aby zapewnić im pożywienie w tamtym świecie.

- Ale tu są słonie.

- Jakie słonie?

- O, tutaj. To słonie, ogromne zwierzęta z długimi nosami.

John uniósł brwi.

- Widziałam je na rysunkach w szkolnych książkach - nie ustępowała Nika. - Słonie są pięć razy większe od morsów i mają pięć razy dłuższe kły.

John gwizdnął cicho przez zęby.

- Wielka Matka wykarmiła takimi stworzeniami mnóstwo ludzi. To prawdziwa góra mięsa w owczej skórze.

Nika parsknęła śmiechem. Ojciec nigdy nie chodził do szkoły, lecz nie mylił się co do ilości mięsa. Tyle że słonie żyją wyłącznie w gorących dżunglach, w miejscach takich jak Floryda.

Wzięła amulet z ręki Johna i obracała w palcach z podziwem.

- Spójrz, tato.

Po drugiej stronie artysta wyrzeźbił klucz łabędzi lub innych ptaków. Nike zaintrygował artyzm rysunku.

- Wydaje mi się, że nosiła go jakaś wyjątkowa osoba.

- Podoba ci się?

Nika skinęła głową. Założyła rzemiek na szyję. Złoty dysk zaświecił na jej cynamonowej skórze. Zdawało się, że ptaki wzlatają do nieba.

- Na razie możesz nosić amulet - zgodził się John. - Ale kiedy wrócimy, będziesz musiała go schować.

Zerknęła na złoty dysk i przesunęła palcami po wypolerowanej powierzchni.

- Musiała go nosić szamanka.

- Czy on do ciebie mówi?

Nika cofnęła szybko dłoń i potrząsnęła głową.

- Nie trzeba się obawiać, kiedy duchy przemawiają. To zaszczyt. Jeśli uważają, że jesteś dość świadoma, aby mówić do ciebie, musisz się z tym pogodzić i słuchać.

Znowu potrząsnęła głową.

- Moja matka często rozmawiała z duchami - uspokajał ją John. - Nie bój się. Jestem przy tobie.

Nika zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech. Ujęła amulet w dłoń i przycisnęła do serca. Zaczęła mówić niemal natychmiast.

- Ona była wodzem plemienia Pierwszych Ludzi. To wszystko, co czuję. Szamanka i jej lud...

Otworzyła oczy.

- To dziwne. Nie widzę ich, ale czuję. Tak jakby...

- Powiedz.

- Nie potrafię ich zobaczyć, ale jakbym czuła ich zapach. Tak jak się czuje nadchodzący śnieg, który przypomina o minionych zimach, tak jak zapach grzebień mamy, który napętnia smutkiem. Ten zapach, zapach ludzi, sprawia że... Czuję, jakbym ich pamiętała, jakbym ich znała. Prawie ich pamiętam, ale nie pamiętam.

Nika spojrzała na ojca. - Różnili się od nas. John skinął głową.

- Yute zabierze ją teraz do Seattle jak nowo poślubioną żonę. Znam go. Wiem, jaki będzie o nią zazdrosny. Będzie ją trzymał w ukryciu, tylko dla siebie. W każdym razie będzie próbował. I pewnego dnia urodzi im się dużo dzieci.

- Dzieci?

- Książek - roześmiał się John. - Moimi wnukami będą książki z małżeństwa syna ze starożytnymi zwłokami.

Zachodzące słońce zalało wzgórza i szczyty gór miedzią. John zarzucił na ramię topór i szpadel.

- Jesteś dość wypoczęta, żeby iść dzisiaj do wioski?

Nika skinęła głową.

- Pozwól mi nieść jedno z narzędzi. John podał córce szpadel i ruszyli w drogę.

Thusty Śnieżny Lis wychynął ze swej nory i wspiał się na nieboskłon. Nagle Nika doznała olśnienia.

- Tato, ten rysunek na amulecie to nie jest czaszka.

- A co?

- Mapa.

- Jak to?

- Te sęki na czole to wzgórza. Oczodoły oznaczają jaskinie. Ludzie i zwierzęta są w jaskiniach pod wzgórzami. W ustach widać dużo zębów, tak jak w Jaskini Rosomaka. Ostre skały zwisają z sufitu i wystają z podłogi.

- Jaką okolicę pokazuje ta mapa? - Nie wiem.

- W pobliżu miejsca, gdzie Yute znalazł kobietę?

- Nie wiem - powtórzyła Nika. - Ale czuję, że ludzie z Pradawnego Plemienia i ich zwierzęta są tam i czekają.

- To znaczy, że umarli.

- Tysiące lat temu. Ale wydaje mi się...

- Że ich duchy na coś czekają. Na co?

Wysoka do kolan trawa szeleściła pod ich butami. Nika wciągnęła w nozdrza aromat ziół i kwiatów, który mieszał się w chłodnym, wilgotnym powietrzu z zapachem jej ciała. Ojciec pachniał potem i sosnowym dymem. Spojrzała w niebo na Wielką Niebieską Rzekę, jak gdyby chciała wciągnąć w nozdrza zapach gwiazd.

- Czekają na wiosnę - rzekła wreszcie, dotykając koniuszkami palców amuletu z kluczem ptaków wodnych powracających do domu. - Wtedy się odrodzą.

Rozdział 4

O godzinie trzeciej w nocy zapaliło się światło w Ośrodku Badań Prehistorii Człowieka w Pacific College, który znajdował się w Deer Park na przedmieściu Seattle. Yute Nahadeh pochylił się nad pulpitem z nierdzewnej stali i szybko wystukiwał polecenia na klawiaturze komputera. Ubrany był w biały fartuch laboratoryjny z nazwiskiem wyhaftowanym dużymi czerwonymi literami nad lewą kieszenią. Oczy miał podkrążone, na jego brodzie czernił się czterodniowy zarost, krótkie ciemne włosy falowały w strumieniu zimnego powietrza wpadającym z otworu wentylacyjnego w suficie pokrytym płytami dźwiękoszczelnymi.

Obok stało krzesło, ale Yute nie siadał. Wpatrywał się w ekran z rękami skrzyżowanymi na piersiach, kciukiem wciskając i puszczając guzik długopisu. Oddalił się szybkim krokiem od biurka, lecz po chwili wrócił i znów wlepił wzrok w ekran komputera.

Na ścianie wisiał napis po łacinie: *Homo sum: humani nil a me alienum puto*. Poniżej Yute umieścił angielskie tłumaczenie - „Jestem człowiekiem i nic co ludzkie nie jest mi obce” - bo zmęczył się wyjaśnianiem odwiedzającym, co znaczy łacińska sentencja.

Za nim, wzdłuż ściany wyłożonej zielonymi kafelkami, bielił się rząd szkieletów w chromowanych ramach. Pierwszy przypominał szympansa z długimi ramionami i krótkimi, pałkowatymi nogami. Następne szkielety były większe, o grubych kościach; przypominały ludzkie, lecz ich czaszki miały spłaszczone czoła i duże wały nad oczodołami. Drugi od końca stał szkielet o silnych kościach, ale pod innymi względami niczym nie różniący się od ludzkiego. W potężnej dłoni trzymał włócznię. Jako ostatni stał nieco wyższy, delikatniej zbudowany szkielet człowieka. Na jego czaszce tkwiła czapka uniwersytecka z purpurowo-złotą szarfą Pacific College. Szkielet trzymał w uniesionej dłoni kamienny toporek, którym mierzył w czaszkę sąsiada, jakby zamierzał ją strzaskać.

Ze szklanego terrarium na kontuarze pod przeciwną ścianą dobiegł głośny szelest. Nieregularny kształt przykryty był płachtą czarnej satyny. Yute podszedł, uniósł szklane wieko. Okrycie poruszyło się i szelest stał się głośniejszy. Pod satyną tysiące błyszczących chrząszczy pożerało ostatnie kawałki ciała lemura z Madagaskaru. Odgarnął owady drucianą szczotką do czyszczenia probówek, odsłaniając prawie czysty szkielet wielkości domowego kota.

Zamknął wieko. Jeszcze jeden dzień.

Na ekranie komputera bursztynowy kursor migał na tle pustej siatki. Yute wsparł dłoń na oparciu krzesła i ziewnął przeciągle. Łyknął kawy, ale zaraz wypluł zimny, gorzki napój z powrotem do kubka.

- Szybciej! - Warknął na komputer.

Za kilka minut, jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z planem, pozna odpowiedź na nurtującą go zagadkę, jak ciało Kobiety Tundry przetrwało tysiące lat w tak doskonałym stanie.

Temperatury panujące na tej szerokości geograficznej powodują głębokie zamarzanie ludzkiego ciała. A ponieważ woda zwiększa objętość przy zamarzaniu, proces ten nieuchronnie prowadzi do zniszczenia tkanek poprzez rozerwanie wewnętrznej struktury komórek bądź rozsądzenie ścian komórkowych. To właśnie stało się z Człowiekiem Tundry. Głębokie zamrożenie uchroniło jego ciało od rozkładu, lecz pod mikroskopem komórki przedstawiały żalony widok. Inaczej u Kobiety Tundry: tkanki jej ciała w ogóle nie zamrzły. Biopsja wykazała, że wewnętrzne organy jej ciała również pozostały nietknięte. Funkcjonowałyby doskonale, gdyby przenieść je do ciała żywego pacjenta.

Naukowa intuicja podpowiedziała Yute, żeby zasięgnąć opinii biochemika z Departamentu Rolnictwa, który zajmował się metodami przeciwdziałania zamarzaniu zbóż. Biochemik przesłał Yute bazę danych dotyczącą białek zwanych stabilizatorami nadchłodzającymi. Te wyspecjalizowane proteiny, obecne w organizmach arktycznych ryb, roślin i owadów, działają jako naturalna ochrona przed zamarzaniem, pozwalając na ochłodzenie tkanki do temperatury poniżej zera stopni bez szkody dla niej. Uczeni z Departamentu Rolnictwa wstrzykiwali stabilizatory do owoców cytrusowych w celu zapobieżenia głębokiemu zamarzaniu. Metoda okazała się niesłychanie skuteczna. Yute czekał na bazę danych długie trzy tygodnie, a ostatnie cztery dni - z kilkugodzinną przerwą na sen - spędził porównując białka z ciała Kobiety Tundry z wzorami w bazie danych. Analiza przebiegała piekielnie wolno, Yute zdążył porównać zaledwie cztery proteiny. Bez powodzenia.

Wreszcie na czerwonej siatce pojawiły się zielonkawe kropeczki. Yute pochylił się w stronę ekranu. Co my tu mamy? Kropki ułożyły się w nieregularny wykres, dwuwymiarowy model trójwymiarowej molekuly. Yute przyjrzał się dokładnie, a następnie wprowadził polecenie porównania wykresu z modelami z bazy danych.

Pasuje. Uczeni z Departamentu Rolnictwa nazwali glikoproteinę AFP2.

- Nareszcie! - Wyszepiał. Kobieta Tundry jadła pokarm zawierający naturalne stabilizatory, które wypełniły jej tkanki.

Czy zrobiła to umyślnie? Yute zerknął w stronę drzwi, za którymi znajdowała się chłodnia. Skąd wiedziałaś, co jeść?

Fala wyczerpania ogarnęła go niczym mgła, tłumiąc wszelką zdolność koncentracji. Yute usiadł przy biurku, potarł czoło i pomasaował mięśnie szyi. Wszystko na nic. Teraz, kiedy znalazł odpowiedź na najważniejsze pytanie, które dręczyło go od tygodni, wytrzymałość organizmu i umysłu przysła. Nie mógł opierać się dłużej zmęczeniu. Położył głowę na skrzyżowanych ramionach i usnął.

Śniło mu się, że widzi strumień krwi spływający do otworu ściekowego w posadzce rzeźni. Słyszał kropelki skapujące do rury pod podłogą. Krowa karibu leżała na betonie z rozciętą szyją, a z tyłu na ostrych hakach wisiały rzędami zamrożone płyty mięsa.

Yute patrzył, jak rosły mężczyzna w zielonym chirurgicznym fartuchu przecina piłą czaszkę karibu. Dopiero gdy przeczytał nazwisko wyhaftowane nad kieszenią, rozpoznał siebie, profesora anatomii porównawczej. Spojrzał na swoje ciało okryte zimowym ubraniem, jakie nosili Indianie Caiyuh - nie, to było coś o wiele bardziej prymitywnego: ciężkie, niewprawną ręką pozszywane skóry.

Czerwona mgielka przyskała na fartuch profesora za każdym ruchem piły, a z jego nozdrzy buchały kłęby białej pary. Wtem naukowiec chwycił karibu za rogi i podniósł czaszkę niczym wieko, odsłaniając maleńką złotą kobietę w pozycji siedzącej, najwyraźniej martwą.

Yute wciągnął głęboko powietrze. Profesor wydawał się nieporuszony.

- Mała kobieta w czaszce karibu kierowała postępowaniem zwierzęcia - wyjaśnił. - Ta krowa była nadzwyczaj inteligentna, mądrzejsza niż moglibyśmy przypuszczać. Większość karibu nosi bowiem w głowach miniaturowe karibu, zgodnie z tym, czego należałoby się spodziewać.

- Czy my też nosimy w głowach maleńkie ludziki? - Spytał Yute.

- Ma się rozumieć - odparł profesor. - Jak inaczej moglibyśmy świadomie poruszać się i działać?

- A kto mieszka w głowie tych maleńkich ludzików w naszych głowach? Kto nimi kieruje?

- Świetne pytanie, godne uczonego. Przekonajmy się zatem.

Profesor wyjął scyzoryk i kolistym ruchem przeciął głowę miniaturowej kobiety. Wąski strumień ostrego światła wydobywał się z nacięcia pod ostrzem noża, odbijając się od zegarka mężczyzny. Zmrużywszy oczy, profesor zdjął czaszkę. Światło zalało całe

pomieszczenie. Uczony zasłonił sobie oczy dłonią i zajrzał do środka przez szczelinę między palcami. Nagle otworzył usta.

- Co tam jest? Co pan zobaczył?

Lecz profesor, drugie ja Yute, odwrócił się bez słowa i odszedł, z każdym krokiem coraz bardziej pochylony, a potem zmienił się nagle w olbrzymiego czarnego wilka. Zniknął w ciemności.

Yute zbliżył się do źródła światła. Wsunął palce do wnętrza małej czaszki i wyjął iskry czystej, intensywnej energii. Mrowiący prąd przebiegł mu z ramienia przez całe ciało. Wtem zauważył, że w centrum iskry znajduje się twardy rdzeń wielkości główki szpilki, w którym tkwi coś jeszcze mniejszego. Zmrużył oczy i przyjrzał się dokładnie. Był to ludzki embrion.

Yute zbudził się i poderwał głowę znad biurka. Rzut oka na ścienny zegar powiedział mu, że spał sześć godzin. Powolnym ruchem podniósł się z krzesła, drząc w środku.

Przecucia i sny. Mendelejew wyśnił układ okresowy pierwiastków. Dzięki temu możliwe stało się określenie własności jeszcze nie odkrytych pierwiastków. Kekule rozwiązał zagadkę budowy benzenu - sześć atomów węgla połączonych w okrąg - śniąc o wężu pożerającym własny ogon.

- A jeśli mój sen oznacza to, co wydaje mi się, że oznacza? - Spytał Yute na głos.

Włączył maszynkę do kawy i popędził do łazienki. Chciał wziąć gorący prysznic i jednocześnie się ogolić, żeby nie tracić czasu.

Trzymał w szafce kilka wykrochmalonych białych koszul, aby móc pracować bez przerwy. Przez trzy dni zużył jednak wszystkie czyste koszule, zarzucił więc na gołe ciało pulower i świeży fartuch.

Yute nie pamiętał, kiedy ostatnio jadł - może przedwczoraj? Nie chciał wychodzić teraz z laboratorium, wyjął więc z kosza pół czerstwej bułki i przełknął, popijając czarną kawą. Drugą filiżanką popił pastylki witaminy C i multiwitamin. Otworzył nowy pakiet chirurgiczny, wyjął czepek, izolowane buty i maskę. Wyszorował ręce do łokci, włożył sterylne rękawiczki. Przez jednorazowy ręcznik przekręcił klamkę chłodni i wszedł do środka. Temperatura i wilgotność były ustawione na poziomie typowym dla tundry w zimie.

Powoli zdjął foliową osłonę ze stołu laboratoryjnego; zapach środka dezynfekcyjnego wionął z czterech płyt z nierdzewnej stali, nachylonych w stronę otworu ściekowego. Szczupłe kobiece ciało odcinało się złotawą barwą od wypolerowanego metalu. Yute nie ustalił jeszcze, czy kolor skóry jest naturalny, czy też powstał jako efekt uboczny powolnego

utleniania przez dwieście pięćdziesiąt wieków zamrożenia. Całe ciało pokryte było jasnym puszkami, który odbijał światło, podkreślając jeszcze bardziej złoty kolor skóry.

Kobieta miała sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. Jej niesłychanie rozwinięte umięśnienie i zaokrąglone kształty nasuwały skojarzenie z przerysowanymi postaciami leśnych boginek i marsjańskich księżniczek z komiksów - z tą jednak różnicą, że Kobieta Tundry miała duże ręce i stopy. Yute nie zdziwił się, że ciało dziewczyny sugerowało jej wielką siłę; kości neandertalczyków były znacznie grubsze i gęściejsze od kości współczesnych ludzi, a silny szkielet istnieje wyłącznie po to, aby podtrzymywać potężną muskulaturę. Yute zanotował: „Gdyby odżywiała się tak jak współcześni ludzie - dużą ilością krowiego mleka, witamin i składników mineralnych - byłaby niezwykłą Amazonką”.

Boginka przedstawiała teraz okropny widok: jej czaszka była otwarta i pozbawiona mózgu jak pusta miska, a ciało twarzy i szyi zostało odcięte od kości. Yute zaczął sekcję od usunięcia skóry głowy, nie naruszając splecionych w warkoczyki włosów. Później przepiłował czaszkę nad łukiem brwiowym i spędził prawie dwa miesiące tnąc mózg w poszukiwaniu odpowiedzi na zagadki ewolucji człowieka.

Mózg kobiety miał objętość nieco ponad tysiąc pięćset centymetrów sześciennych, czyli około stu centymetrów więcej niż mózg współczesnego człowieka. Yute spodziewał się tego, gdyż odlewy czaszek innych neandertalczyków wskazywały na podobną wielkość, lecz jako pierwszy miał okazję obejrzeć wewnętrzną budowę tego organu. Dowiedział się między innymi, że zakręt obręczy - ta część mózgu, która odpowiada za zmysł smaku, a także pamięć i emocje - jest o siedemdziesiąt procent większy niż u współczesnego człowieka, a macierz nerwów węchowych w górnej części przewodu nosowego - o wiele gęściejsza.

Lecz największą niespodzianką, która z pewnością wprawi w osłupienie ortodoksyjnych ewolucjonistów, okazała się wielkość półkul mózgowych, czyli struktur zawiadujących myśleniem i językiem. Życiem tej neandertalskiej „dzikuski” kierowały półkule mózgowie o osiemnaście procent większe niż u przeciętnego współczesnego człowieka. Zaskoczyło to Yute, ponieważ ośrodki mowy na przedniej części półkul okazały się mniejsze. Oto dylemat biologiczny: w porównaniu ze współczesnymi ludźmi neandertalka miała o wiele większy obszar mózgu odpowiadający za samoświadomość, a znacznie mniejszy - za umiejętność mówienia.

„Co to dla niej oznaczało? - Pytał Yute w swoich notatkach. Czyżby potrafiła myśleć abstrakcyjnie i sięgać daleko wyobraźnią, lecz nie miała możliwości przekazania tego innym? Czy musiała posługiwać się językiem ciała bądź migowym? Czy gdyby żyła w naszych czasach, mogłaby się nauczyć czytać i pisać?”

Badanie języka i gardła dało odpowiedź na jedną z najstarszych zagadek antropologii: Narządy mowy neandertalczyków były rozwinięte w wystarczającym stopniu. Dowodził tego kształt przewodu głosowego oraz kostki gnykowej podtrzymującej język. Nieco wyżej położona krtań Kobiety Tundry sprawiałaby jedynie, że jej głos byłby nieco wyższy niż głos współczesnych ludzi. Pozostało tylko zbadać, czy ma połączenia nerwowe, które pozwoliłyby artykułować dźwięki ludzkiej mowy.

Yute posmarował skórę wacikiem nasączonym alkoholem i wbił grubą igłę w szerokie naczynie krwionośne poniżej obojczyka. Zdjął pieczęć z probówki, pobrał jedną czwartą objętości zimnej, ciemnej krwi. Następnie wyciągnął igłę i posmarował ślad nakłucia alkoholem.

Dwa miesiące temu rozpoczął badanie kobiety od wszechstronnych analiz krwi. Nie przeprowadził tylko jednego badania, bo nie przyszło mu to do głowy: testu ciążowego.

Wybiegł z chłodni z probówką, aby jak najszybciej naprawić swój błąd. Po kilku minutach na matrycy testowej ukazał się niebieski okrąg.

Kobieta Tundry była w ciąży.

Świat zawirował mu w oczach, myśli przebiegały po głowie jak huragan. To pewnie płód. Na pewno jest już za duży. Jeśli zarodek zmienił się w płód, nic nie da się zrobić. Ale gdyby znalazł w Kobiecie Tundry embriona we wczesnym stadium rozwoju, mógłby implantować go innej kobiecie... Nie, na pewno jest już za późno.

*

Yute przysunął nogą szafkę z instrumentami ułożonymi na tacy i stanął przy stole chirurgicznym. Jego ręce w gumowych rękawicach drżały, kiedy wyciągnął je przed siebie. Oddychał powoli, aby uspokoić nerwy. Ręka drżała jeszcze, gdy robił pierwsze głębokie nacięcie na brzuchu, tuż nad kością łonową. Kwadrans później wyjął macicę i jajowody, umieścił na stalowej tacy. Różowy organ rozrodczy był wielkości małej gruszki. Z grubszego końca wychodziły dwie rurki. Yute przykrył ciało i zaniósł tacę do stanowiska wideomikroskopu. Wsunął błyszczącą końcówkę mikroskopijnej soczewki przez szyjkę do wnętrza macicy i obejrzał ściankę.

Nie znalazł płodu.

- Na razie wszystko w porządku - westchnął.

Przełączył mikroskop na mniejsze powiększenie i zaczął metodycznie przeszukiwać ścianki macicy. W ciągu dziesięciu minut sprawdził każdy centymetr śluzówki. Nie było embriona.

Otworzył usta i poruszył szczęką. Czy to możliwe? Zarodek w wyściółce macicy jest niesłychanie trudny do wyjęcia i implantacji, lecz embrion w jajowodzie byłby idealny: łatwo wyjąć go pipetą i umieścić w łonie innej kobiety.

Zaczął od lewego jajowodu, wsuwając soczewkę z największą ostrożnością. Spostrzegł zarodek niemal natychmiast.

Wstrzymał oddech.

Przezroczysta kulka o przekroju grafitu ołówka. Pod mikroskopem wyglądał jak chmura mydlanych bąbelków wewnątrz większego bąbla. Bąbelki to komórki. Yute naliczył ich osiem. Zarodek nie zdradzał żadnych oznak rozkładu i - tak samo jak pozostałe tkanki kobiety - nie miał w sobie kryształków lodu.

- Żywy - wyszeptał Yute.

Uśmiechnął się głupawo i potrząsnął głową. Zaznaczył położenie embriona czterema fioletowymi strzałkami, potem odniósł macicę z powrotem do chłodni, zdjął z tacy i ostrożnie umieścił z powrotem w brzuchu kobiety.

Nie było powodu obawiać się, że zarodek nie przetrwa w chłodni tak długo, jak będzie trzeba. Mimo to Yute czuł, że musi się śpieszyć.

Rozdział 5

Krople drobnego deszczu marszczyły zieloną kałużę na ulicy, wzdłuż której rosły drzewa. W kałuży odbiły się najpierw żółte, zaraz później czerwone światła ciężarówki. Rozległ się pisk hamulców, a potem głęboki świst wypuszczanego powietrza. Po chwili kałuża odzyskała zieloną barwę; ciężarówka śmieciarka przyśpieszyła z warkotem silnika i odjechała, rozchlapując wodę na chodnik.

Oleiste spaliny i słodkawe wyziewy gnijących śmieci wdarły się do otworu zrzutowego pojemnika z napisem „Goodwill Industries”. Wewnątrz niewielkiego drewnianego pudła Jimmy Ozette usiadł na stosie starych ubrań, aby przeczekać dżdżysty dzień.

- Fru - powiedział, puszczając metalową klapę. Opadła z łoskotem, odcinając dostęp bladego porannego światła. W środku byłoby teraz całkiem ciemno, gdyby nie jasne smugi wokół otworu zrzutowego i tylnych drzwi.

- Hej - odezwała się dziewczyna siedząca obok.

- Rany, Chena, jak ty tu możesz czytać?

Dziewczyna odłożyła książkę, jedną z kilkunastu, jakie ktoś wrzucił do pojemnika razem z ubrankami i zabawkami, mimo że napis głosił „Pojemnik wyłącznie na ubrania”.

- Jak myślisz, która jest godzina?

- Jeszcze wcześniej, a ja już umieram z głodu.

- Muszę iść do ubikacji - powiedziała dziewczyna.

- Numer jeden?

- Dwa.

- No to do dupy.

- Przecież mówię.

Roześmieli się.

- No dobra. Czuję się tu jak kret. Wynośmy się.

Przezołgali się przez stos ubrań, który służył im za łóżko, i wyszli w siąpiący deszcz. Jimmy przytrzymał drzwi otwarte, żeby zerknąć na ubrania w świetle dnia.

- Jest tam jakiś płaszcz?

- Nigdy nie widziałam, żebyś nosił płaszcz.

- To prawda - przyznał przetrząsając łachy. - A co byś powiedziała na flanelową koszulę? Moja już zaczyna cuchnąć.

Znalazł flanelową koszulkę w czerwono-czarną kratę, lecz była olbrzymia, miała na kołnierzyku naszywkę XXL. Podniósł jeszcze cienki granatowy sweter z wełny i szarą koszulkę w tym samym rozmiarze.

- Wyobraź sobie małe, zielone, zapłakane dzieci - powiedział unosząc koszulkę. - A to chyba zostało po jakimś zielonym olbrzymie, któremu się zmarło.

Jimmy'emu udało mu się wreszcie wybrać flanelową koszulkę w ostrym pomarańczowym kolorze.

- Ale paskudztwo! - Zachichotała Chena.

- No i co z tego? Mój rozmiar.

Zmienił koszulkę, rzucił starą na stos ubrań i zamknął drzwi. Obluzowana metalowa klamka zakołysała się. Jimmy wyjął z kieszeni džinsów dwa drewniane śrubokręty i przymocował klamkę.

- Teraz naprawdę muszę iść - stwierdziła Chena.

- Stacja Shella.

Jimmy wziął ją za rękę i poszli w stronę stacji benzynowej o jedną przecznicę dalej. Każde niosło w ręku plastikową torebkę foliową.

Jimmy Ozette był niski i szczupły jak na piętnastolatka. Czarne oczy, proste czarne włosy, wydatne kości policzkowe i lekko zakrzywiony nos już na pierwszy rzut oka zdradzały, że w jego żyłach płynie indiańska krew. Chena Kynaka była w tym samym wieku, o trzy centymetry wyższa i nieco cięższa. Pochodziła z plemienia Quanoot, podobnie jak Jimmy, lecz miała jaśniejszą skórę, włosy i oczy, ponieważ w żyłach jej rodziny od stu lat płynęła odrobina białej krwi po rosyjskich i angielskich handlarzach skór.

Chena miała na sobie dzinsy i przybrudzoną różową koszulkę, tę samą, którą włożyła tydzień temu, gdy razem z Jimmym wskoczyli po południu na prom płynący na stały ląd. Obrazek na jej koszulce przedstawiał orkę z wyszczerzonymi zębami w kasku futbolowym. Zwierzę trzymało pod płetwą piłkę. Nad rysunkiem widniał napis dużymi literami „Liceum w Whaler Bay”, a poniżej drugi napis z liter w kształcie indiańskich pali totemowych: „Orki”. Jimmy stwierdził, że wymyślił tę nazwę ktoś stuknięty.

- Nikt nie wie, co to jest orka. Czy nie mogliśmy się nazywać Wieloryby Zabójcy? - Pytał. Często zadawał pytania typu: „Czemu zdarzyło się to, a nie coś innego?”

Jimmy i Chena planowali ucieczkę od prawie roku; czekali tylko, aż Jimmy skończy szesnaście lat, żeby móc dostać pracę w barze szybkiej obsługi. Ale w zeszłym tygodniu matka Jimmy'ego przewróciła się znowu po pijanemu, tym razem łamiąc sobie nadgarstek i

obojczyk. Oprócz tego prawie przegryzła sobie język. Jimmy uznał, że musi uciekać, zanim matka połamie się w kawałeczki na jego oczach.

Chena miała pięciu starszych braci, którzy pracowali przy wyrębie lasu, tak samo jak ojciec. Matka oczekiwała, że Chena od dziecka będzie dzielić z nią trud opieki nad mężczyznami, większość czasu spędzającymi poza domem. Chena miała jednak buntowniczą wizję świata, w której - o zgrozo - liczyły się jej własne pragnienia. Jimmy przynajmniej nie musi się przejmować tym, że ktoś będzie go szukał, myślała.

Stacja benzynowa była otwarta. Pracujący tam chłopak bez problemów dał im klucze do łazienki. Jimmy zauważył, że Chena zabrała ze sobą książkę dla dzieci. Przewrócił oczami.

- Dokończę czytać w ubikacji - wyjaśniła.

- Przecież to dla dzieciaków.

- Chcę się dowiedzieć, czy książkę poświęci królestwo dla ratowania swych poddanych.

On jest egoistą, ale może się poprawi.

- Dla jakich dzieci jest ta bajka?

- Boja wiem. Dla ośmiolatków albo jakoś tak.

- A więc książkę na pewno okaże się dobry i poświęci swoje królestwo - stwierdził zdecydowanie Jimmy otwierając drzwi toalety z napisem „Dla panów”. - Książki o tym, jacy ludzie są naprawdę, pisze się dla starszych.

Po wyjściu z ubikacji Chena zawiązała koszulkę na biodrach i z obnażonym torsem stanęła przed umywalką. Wyjęła mydło z torebki, umyła ręce, twarz i pachy. Sięgnęła po papierowy ręcznik, ale pojemnik był pusty, więc wytarła się kawałkiem papieru toaletowego.

- Miałaś rację co do bajki - stwierdziła po wyjściu. Deszcz nie przestawał siać.

Jimmy wzruszył ramionami.

- Chodźmy coś przegryźć.

Chena wzięła go za rękę i poszli, dumni ze swej miłości. I pogodni, mimo że deszczowe chmury zamknęły przedmieście w słoju szarości, mimo że nie wybierali się po żywność do supermarketu z półkami pełnymi smakołyków, lecz na zaplecze, gdzie wyrzuca się odpady.

*

Słońce przedarło się przez zwartą zasłonę chmur i zalało blaskiem parking dla pracowników uczelni. Yute Nahadeh miał na sobie niebieską nylonową bluzę, białą koszulkę i szorty. Postawił prawą nogę na betonowej barierce i dotknął piętą asfaltu, rozciągając mięśnie łydki. Wiatr był chłodniejszy niż zwykle na początku jesieni. I dość porywisty; w

zatoce pojawiły się już pewnie żaglówki. Yute postanowił zrobić dziesięciokilometrową pętlę wzdłuż nabrzeża.

Wykonał skłon do prawego kolana. Obmyślał treść ogłoszenia, które planował zamieścić w „Seattle Times” i „Post-Intelligencer”, a także w kilku pomniejszych dziennikach i gazetkach uniwersyteckich. Yute szukał zastępczej matki dla zarodka z ciała Kobiety Tundry.

- Jak się masz, doktorze?

Yute podniósł głowę. Nadchodził Robert Duncan, siwowłosa mężczyzna z kozią bródką, profesor historii sztuki i notoryczny plotkarz. Nie było sposobu, aby mu się wymknąć.

- Świetnie. A ty?

- Nie najgorzej. - Duncan najwyraźniej miał ochotę na pogawędkę. W szarym garniturze i czarnej muszce wyglądał jak brat bliźniak pułkownika Sandersa. – Jak tam twój urlop dziekański? Podobno pracujesz od kilku tygodni dzień i noc.

Yute zerknął na chmury pędzone silnym wiatrem. Zbliżał się front wyżowy, a wraz z nim złota jesień.

- Wszystko idzie po mojej myśli. Nawet lepiej, niż się spodziewałem.

- Co to za tajemnica, którą ukrywasz w laboratorium? Znalazłeś brakujące ogniwo ewolucji? Pops mówi, że pozwalasz mu sprzątać u siebie tylko w wyznaczonych godzinach.

Yute z uśmiechem potrząsnął głową.

- Mam tam lemura z Madagaskaru. Być może, jest to całkiem nowy gatunek. Nie chcę niczego zdradzać przed publikacją. Wpadnij kiedyś, to pokażę ci szkielet. Niemało się dzięki niemu dowiedziałem. Chętnie bym dłużej pogadał, ale bardzo mi się dzisiaj śpieszy - usprawiedliwił się Yute omijając Duncana.

- Jak zwykle nic nie można od ciebie wyciągnąć - zdążył powiedzieć bliźniak pułkownika Sandersa.

- Wiedzy jest tyle, że żaden z nas nie jest w stanie jej objąć. Dlatego się specjalizujemy, prawda?

Yute włączył stoper i pobiegł.

- Specjalizacja?! - Zawołał Duncan. - Wiesz o historii więcej ode mnie. A ja nie wiem nic o jaskiniowcach!

Yute nie odwrócił się. Skręcił w uliczkę za budynkiem z piaskowca, w którym mieściła się biblioteka. Tam zwolnił i wyrównał tempo. Miał do pokonania trasę dziesięciu kilometrów. Jego długie nogi poruszały się miarowo w rytm oddechu.

Po przebiegnięciu ośmiu przecznicy przeskoczył ogrodzenie z łańcucha kotwicznego i znalazł się na ścieżce prowadzącej do przystani. Bez wysiłku mijał spacerujących i biegnących ludzi. Sprawiało mu to przyjemność. Doganiał biegacza i po pewnym czasie zostawiał w tyle. Troje młodych ludzi na trawie pod olbrzymimi wiązami zginało się w tanecznych ruchach gimnastyki tai chi. Szczupła, drobna Wietnamka rozkładała parasol nad wózkiem do sprzedawania hot dogów. Yute zbliżył się do drewnianych doków i slipów; w słonawy aromat powietrza wmieszała się woń ryb. Ponad lasem aluminiowych i drewnianych masztów kołowały stada mew. W oddali, za przystanią, po zatoce sunęły żaglówki. Ich białe żagle przypominały wydęte gardła ptaków morskich w tańcu godowym.

Yute przypomniał sobie o Kobiecie Tundry i zauważył, że badania, które dotąd przeprowadził, nasunęły mnóstwo pytań. Jakie białka zapobiegły zamrożeniu tkanki? Z czego pochodziły? Skąd neandertalka wiedziała, co jeść? Skąd w ogóle bierze się ludowa wiedza medyczna?

Indianie z plemion arktycznych, między innymi Caiyuhowie, wycinali nadnercza upolowanych karibu i dawali ciężarnym kobietom i małym dzieciom. Analiza chemiczna wykazała, że gruczoł zawiera olbrzymie ilości witaminy C, niesłychanie ważnego związku, który niełatwo znaleźć w innych rodzajach żywności spożywanych przez mieszkańców tych szerokości geograficznych. Lecz nauka odkryła ten fakt dopiero niedawno, a Indianie znali go od tysięcy lat. Jak się dowiedzieli?

Wszyscy wiedzą, że jedzenie marchwi poprawia widzenie w nocy. To prawda, gdyż marchew zawiera duże ilości beta-karotyny, której organizm potrzebuje do wytwarzania witaminy A, a ta z kolei służy do produkcji retynalu, jednego ze składników światłoczułego pigmentu w siatkówce. Światło rozkłada pigment, wysyłając w ten sposób sygnał do ośrodka w mózgu odpowiedzialnego za widzenie czarno-białe, które jest szczególnie przydatne w nocy. Wie o tym współczesna nauka. Ale ludzie od wieków twierdzili, że marchew poprawia widzenie w ciemności. Skąd wiedzieli?

Kora wierzby jako środek przeciwbólowy, glina kaolinowa i skórka z jabłek na biegunkę - z tych ludowych medykamentów produkuje się aspirynę. Lista jest długa. Skąd wiedziały o nich akuszerki, babcie i indiańscy szamani?

Co do jednego tylko Yute miał pewność: Kobieta Tundry nie zdobywała wiedzy metodami naukowymi. Nie posługiwała się obserwacjami, eksperymentami, nie wysuwała hipotez i teorii. Ona po prostu wiedziała.

Yute zawrócił, gdy stoper pokazał 28:05:36. Biegł swoim ulubionym tempem cztery i pół kilometra na minutę. Z taką prędkością pokonywał trasę maratonu. Kiedy poziom

endorfiny podnosił się po około pięciu kilometrach, wpadał w trans i biegł długimi susami, oddychając głęboko.

Chodnikiem z naprzeciwka zbliżał się mężczyzna w dżinsach i nylonowej kurtce z wielkim czarnym rotweilerem na skórzanej smyczy. Na masywnej szyi psa skórzana obroża połyskiwała srebrnymi ćwiekami. Yute prześliznął się między samochodami i przebiegł na drugą stronę ulicy. Minał się z dwiema blondynkami w kolorowych koszulkach, które biegły szybko, wymachując ramionami. Uśmiechnęły się na widok Yute.

- Dzień dobry! - Zawołały chórem.

- Tak, to bardzo piękny dzień - odpowiedział Yute z uśmiechem.

*

Na wzgórzu w pobliżu przystani Chena i Jimmy siedzieli na ławce obserwując dziesiątki kolorowych żagli podskakujących na falach zatoki Puget Sound. Z placu zabaw dobiegały śmiechy i piski dzieci bawiących się pod opieką rodziców. Brodaty mężczyzna rzucał wysokim łukiem latający talerz w stronę kudłatego psa, który łapał zabawkę prawie za każdym razem. Kobieta w słomianym kapeluszu malowała akwarelą pejzaż przystani.

Chena zebrała się na odwagę i podeszła do małej Wietnamki o siwiejących włosach, która siedziała na płóciennym stołku pod parasolem.

- Dzień dobry - powiedziała dziewczyna z uśmiechem.

Wietnamka skinęła głową i podniosła się powoli, ale nie odwzajemniła uśmiechu.

- Mój chłopak i ja możemy pomóc pani w zamian za dwa hot dogi – mówiła dalej Chena. - Nie mamy pieniędzy.

Kobieta potrząsnęła głową marszcząc brwi i usiadła z powrotem.

- A gdybyśmy popchnęli ten ciężki wózek pod górę, kiedy będzie pani wracać?

- Mąż to zrobi - odparła kobieta sięgając do nitki, która wystawała z jej bawełnianego pantofla.

- Moglibyśmy go umyć.

- A czy jest brudny?

Nie, jest tak czysty, że można by na nim robić operacje chirurgiczne, pomyślała Chena spoglądając na swoje odbicie w aluminiowej powierzchni.

- Daj spokój, Chena - odezwał się Jimmy z rezygnacją. Leżał z rozpiętą pomarańczową koszulką pod olbrzymim sykamorem na ławce. Jego długie czarne włosy opadały na trawę.

Biegacz w niebieskiej bluzie minął wózek, ale po chwili zawrócił. Wietnamka zerwała się na równe nogi.

- Czym mogę panu służyć?

- Poproszę dwa bardzo długie hot dogi - powiedział mężczyzna i zwrócił się do Cheny.

- Lubisz z kapustą i przyprawami?

Chena spojrzała za siebie, ale nikogo tam nie było. Biegacz zwracał się do niej.

- Tak, owszem.

- A twój chłopak też lubi z przyprawami?

- Tak, proszę pana.

- Poproszę dwa hot dogi ze wszystkimi przyprawami.

Chena uśmiechnęła się. Mężczyzna odwzajemnił uśmiech. Był Indianinem, wysokim podobnie jak jej bracia, przystojnym, z ciemnymi, błyszczącymi oczami. Sprzedawczyni podała mu hot dogi, a on wręczył je Chenie.

- Hej, Jimmy! - Zawołała Chena i rzuciła się w stronę ławki. To był ich pierwszy gorący posiłek od tygodnia. - Dziękuję! - Krzyknęła przez ramię. - Jesteśmy panu bardzo wdzięczni.

- Bardzo proszę. Uważajcie na siebie.

Mężczyzna wyjął pieniądze z kieszeni bluzy i zapłacił. Chena obserwowała go przez moment. Był doskonałym biegaczem. Nie spojrzał za siebie, aby napawać się swoim dobrym uczynkiem. Miał klasę.

Jimmy połknął swojego hot doga w mig, Chena zaś smakowała każdy kawałeczek. Zamknęła oczy i przeżuwała powoli. Jej długie, falujące kasztanowe włosy zwisały nad ławką. Nigdy nie wyobrażała sobie, że hot dog może tak smakować.

Poczuła ciepłe futerko ocierające się o jej kostkę i jednocześnie usłyszała miauczenie kota. Zapach gorącej parówki przyciągnął wychudzoną szarą kotkę. Jej sierść była umazana jakąś tłustą czarną substancją podobną do oleju samochodowego.

Chena odgryzła kawałek mięsa i podała kotce.

- Nie rób tego - mruknął Jimmy.

- Ona też jest głodna. Popatrz, jaka milutka.

- Idź sobie coś znaleźć na przystani - powiedział Jimmy popychając lekko kotkę czubkiem buta. - Leżą tam sterty rybich wnętrzności. Nie będziesz musiała płacić.

Kotka czmychnęła.

Chena wylizała kawałeczki cebuli, kapusty, keczupu i musztardy, które zostały w papierowym rożku. Jimmy zwinął papierek w kulkę, cisnął w stronę drucianego kosza na śmieci. Papierek odbił się od krawędzi. Chena podeszła i wrzuciła go do środka. Wyjęła z kosza starannie złożony egzemplarz „Seattle Times” i w drodze powrotnej do ławki przebiegła wzrokiem po nagłówkach. Jimmy położył głowę na jej kolanach, słuchając z

przymkniętymi oczami, jak czyta na głos fragmenty artykułów. Potem odszukała stronę z ogłoszeniami.

- Posłuchaj: „Zawodowy przewodnik safari, myśliwy o męskiej urodzie, w wieku pięćdziesięciu dwóch lat, którego życiorys przypomina powieść Hemingwaya, szuka atrakcyjnej, niekonwencjonalnej, kochającej ryzyko kobiety do trzydziestu lat, w celu wspólnego przeżycia romantycznej przygody”.

- Kochającej ryzyko? - Zachichotał Jimmy. - Pewnie będą na siebie polować w dżungli.

- Na to wygląda.

Podnieśli głowy, usłyszawszy hałas na chodniku. Czterech nastolatków jechało na deskorolkach. Mieli na sobie jaskrawe koszulki dobrane kolorystycznie do desek, kasków oraz ochraniaczy na kolana i łokcie.

- To musi być przyjemne - zauważyła Chena i wróciła do lektury gazety. - „Przystojny, zamożny ortodonta, ortodoksyjny Żyd w wieku trzydziestu dwóch lat poszukuje boginki seksu, którą będzie cenił. Jada tylko kosherne potrawy”.

Parsknęli śmiechem.

- Niech sobie wynajmie kucharkę i padnie przed nią na kolana - stwierdził Jimmy.

- To jest dopiero pokręcone - zauważyła Chena. - „Dwudziestoosmioletni wielbiciel honorów z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych poszukuje partnerki o takich samych upodobaniach, w wieku od osiemnastu do czterdziestu ośmiu lat, gotowej do zaspokajania niezwyklej fantazji erotycznych”.

Cheną wstrząsnął dreszcz.

- Beznadziejny romantyk - podsumował Jimmy. Usiadł, objął Chenę, przesunął policzkiem po jej szyi i pocałował. Dziewczyna zachichotała, zasłoniła się ramieniem.

- Łaskoczesz mnie!

Jimmy objął ją mocno w talii i sam zaczął czytać ogłoszenia.

- Co to znaczy „rubensowski”? - Spytał po chwili.

- Hmm?

- „Atrakcyjna absolwentka renomowanego uniwersytetu w wieku czterdziestu ośmiu lat o kształtach rubensowskich”... - Zawahał się Jimmy.

- Ach, rubensowskich - powtórzyła Chena.

- Nieważne... „Wielbicielka muzyki klasycznej, literatury, wykwintnych posiłków i dobrego wina poszukuje głębokiej miłości, wspólnego śmiechu i cichych rozmów z inteligentnym mężczyzną lubiącym seks”. Jakaś bogata dama porzucona przez męża.

- Rubensowski to znaczy gruby - wyjaśniła Chena. - Peter Paul Rubens był malarzem, który kilkaset lat temu malował portrety nagich otyłych kobiet. Wtedy właśnie takie kobiety uważano za piękne. Zamiast „Jestem gruba” można powiedzieć „Mam rubensowskie kształty”.

- I liczyć na to, że jakiś facet o gustach podobnych do Rubensa przeczyta ogłoszenie.

- Tak samo można powiedzieć „korpulentny” zamiast „tłusty”.

- Jesteś niesamowita - powiedział z uśmiechem Jimmy. - Coś mi się zdaje, że nie tylko twoi rodzice będą cię szukać. Wiesz kto jeszcze? Nauczyciele. W naszym liceum nigdy nie będzie takiej uczennicy jak ty, to pewne.

Chena poczuła, że się rumieni.

- Po prostu dużo czytam.

- Zauważyłem.

Pieszczotliwie uszczypnęła Jimmy'ego w ramię. Odłożyła gazetę i objęła go, przymknawszy oczy i wtuliwszy twarz w jego rozgrzane słońcem włosy. W domu nikt jej nigdy nie chwalił, a jemu przychodziło to tak naturalnie.

- Może ja też powinienem dać ogłoszenie: „Samotny czerwonoskóry płci męskiej w wieku poniżej trzydziestu pięciu lat, dobrze umięśniony i przystojny jak na Indianina, chwilowo bezrobotny, ale z dużymi nadziejami na przyszłość - jeśli tylko wyprowadzi się z drewnianego pojemnika na stare ubrania, gdzie obecnie mieszka - poszukuje atrakcyjnej, wykształconej kobiety o silnym instynkcie macierzyńskim”.

- I czego byś od niej chciał? - Spytała Chena z urażoną miną.

- Żartuję - odparł Jimmy wzruszając ramionami. - Wyciągnąłbym od niej pieniądze, żebyśmy mogli spełnić nasze marzenie.

Jimmy i Chena rozmawiali o swoim marzeniu niemal codziennie od pół roku - od chwili gdy ich przyjaźń rozkwitła i zamieniła się w miłość. W pierwszej wersji mieli poczekać, aż oboje skończą szesnaście lat, uciec z domu i znaleźć pracę, która pozwoliłaby na wynajęcie taniego mieszkania. Chena miała pracować i jednocześnie chodzić do liceum wieczorowego, gdzie chciała zdobyć dyplom. Miała się specjalizować w pedagogice lub w literaturze, a może skończyć szkołę pielęgniarstwa. Jimmy zaś miał pracować na trawlerze, a po ukończeniu osiemnastu lat zdobyć licencję kapitana i dowodzić kutrem rybackim. W przyszłości, gdyby udało się zaoszczędzić, kupiłby własny statek.

Szkopuł w tym, że nie mogli dłużej czekać ze zdobywaniem świata. Jimmy kochał swoją bezmyślną matkę, przez którą tyle wycierpiał. Musiał uciekać, nim serce mu pęknie jak meksykański orzech, który młóci się tak długo, aż wyleci smakowite nasionko.

- Ja też mogłabym dać ogłoszenie - powiedziała Chena. - „Samotna rdzenna Amerykanka, piętnastoletnia, gotowa uczyć się i pracować ciężko, aby spełnić swoje marzenia, poszukuje mężczyzny w tym samym wieku, którego mogłaby pokochać na całe życie. Mężczyzna ten również musi być rdzennym Amerykaninem, najlepiej z plemienia Quanoot, musi mieć podobne marzenia, a także powinien dążyć razem z nią do celu i umieć docenić jej wysiłki. Najlepszym kandydatem byłby pewien słodki przystojniak Jimmy James Ozette”.

Jimmy uśmiechnął się i wziął Chenę w ramiona. Długo nie wypuszczali się z objęć.

Chena podniosła gazetę.

- Sprawdźmy ogłoszenia o pracy. Może znajdzie się jakaś dorywcza robota typu mycie okien czy coś takiego, do której przyjmą piętnastolatków.

Jimmy też czytał, ale dochodził do jednej trzeciej strony, kiedy Chena kończyła i odwracała kartkę. Gwizdnął cicho.

- Mówiłem, że trudno będzie cię zastąpić w liceum.

Chena wskazała ogłoszenie tłustym drukiem na samej górze strony:

Uwaga młode kobiety

40 000 dolarów w 9 miesięcy:

Lekarz poszukuje zdrowej kobiety w wieku od 18 do 30 lat, która zgodziłaby się na implantację embriona. Anonimowy klient zapłaci 5 000 dolarów za samą operację plus 10 000, jeśli ciąża zakończy się urodzeniem dziecka. Po porodzie zastępcza matka otrzyma 25 000 dolarów, co w sumie wynosi 40 000 dolarów za okres 9 miesięcy. Nie będą brane pod uwagę kobiety palące, pijące alkohol lub używające narkotyków. Stan zdrowia zostanie stwierdzony na podstawie badań krwi. Zgłoszenia proszę wysłać na adres P.O. Box, Deer Park, WA 98 121.

Chena spojrzała w niebo z ustami otwartymi ze zdumienia. Jimmy skończył chwilę później.

- O rany! - Powiedział.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- We wczorajszej gazecie tego nie było - stwierdziła Chena. - Ten facet nie podaje numeru telefonu, tylko adres, więc nikt się jeszcze nie zgłosił.

Mówiła z coraz większym podnieceniem.

- Wiem, że nie wyglądam na osiemnaście lat, ale spróbuję go przekonać. Jeśli dziewczyna zachodzi w ciążę, może decydować o sobie, nawet jeśli jest niepełnoletnia.

- Chciałabyś to zrobić? - Jimmy zmarszczył brwi. - Zająć w ciążę i w ogóle?

- Pewnie. Jestem zdrowa. Mama mówi, że wszystkie jej porody były łatwe. Kobiety z rodu Kynaka są stworzone do rodzenia dzieci.

- Twój ojciec z pewnością tak uważa, ale...

- Ale co?

- No wiesz... Chodzi o to, jak on ci to zrobi?

- Ależ to nie ma nic wspólnego z seksem! To zwykły zabieg medyczny. Możesz być przy tym. Chciałabym, żebyś był.

- Chodzi o to, że... To się stanie z innym mężczyzną... Bez seksu, ale... Ty jesteś przecież moją dziewczyną.

- I to właśnie jest najlepsze, nie rozumiesz? To nie będzie nasze dziecko. Nawet nie moje. To embrion. To znaczy, że implantują go, i hokus-pokus! - Mam w sobie czyjeś dziecko. To mógłby być mały Chińczyk albo ktokolwiek.

- Chcesz mi powiedzieć, że ty, która oddajesz małemu kotu część swojego hot doga, nie będziesz nic czuła do tego dziecka? Przecież je urodzisz.

- Zrobię wspaniałą przysługę jakiejś parze, która nie może mieć dzieci.

- On będzie chciał białej kobiety.

- Jestem częściowo biała. Powiem mu, że mój brzuch jest biały. Jimmy, on naprawdę może mnie wybrać.

Jimmy westchnął i potarł bliznę na nosie złamanym przez matkę.

- To brzmi zbyt pięknie, żeby było prawdziwe.

- Właśnie to mnie martwi. - Chena przeczytała ogłoszenie drugi raz, a potem trzeci, na głos. Objęła Jimmy'ego i wybuchnęła płaczem.

- Tak, wiem - szepnęła głaszcząc ją po policzku. - To przerażające patrzeć, jak ktoś podaje nam na dłoni nasze marzenie. To wydaje się takie proste. Ale nie mamy pewności, że on cię wybierze.

Chena skinęła głową i płakała cicho, oparta o pierś Jimmy'ego.

- A z drugiej strony czemu miałyby się nie udać? Raz w życiu i nam może się przytrafić coś dobrego. Tyle jest bajek dla dzieci o aniołach stróżach. Niemożliwe, żeby wszystko to zostało zmyślane. Coś w tym musi być. W życiu na pewno jest coś dobrego. W każdym razie mam taką nadzieję.

Jimmy ujął Chenę za podbródek.

- Słuchaj, nawet jeśli te pieniądze nie spadną nam z nieba, mamy siebie, tak jak sobie obiecaliśmy. Prawda, Cheno z klanu Jastrzębi?

Tak nazywał się klan jej matki.

Chena uśmiechnęła się i zerwała na nogi. Wzięła Jimmy'ego za rękę i pociągnęła.

- Tak, Jimmy z klanu Wydr. Chodźmy.

- Dokąd?

- W Deer Park na pewno jest tylko jedna poczta. Znajdziemy ją i skrzynkę numer sześćdziesiąt siedem. Poczekamy na tego doktora.

*

Yute przyśpieszył, gdy znalazł się pół kilometra od miasteczka uniwersyteckiego.

Minął kilku robotników pracujących nad otworem osłoniętym parawanem z płótna. Dwóch brzuchatych mężczyzn pochyliło się nad włazem. Mieli na sobie kaski ochronne i szare kombinezony z białym napisem „Służba Energetyczna Seattle”.

Szybko się zjawili, pomyślał Yute. Nie było ich tu, kiedy biegłem w tamtą stronę.

Jedną przecnicę dalej na środku ulicy otwarto drugi właz; stała tam służbowa półcieżarówka z migającymi światłami ostrzegawczymi. Mocno zbudowany mężczyzna w czerwonym kasku trzymał w rękach krótkofalówkę.

- ...U nas nic nie widać. To musi być z waszego końca. Odbiór.

Yute zerknął na termometr z zegarem na ścianie banku. Nie świecił się. W oknach biurowców także nie było widać światła; żółty obrotowy znak na dachu stacji benzynowej Shella tkwił nieruchomo. Mimo że Yute spocił się w biegu, poczuł zimny dreszcz na karku, jakby ktoś wylał mu na plecy kubel lodowatej wody. Wyrwał sprintem do przodu i skręcił koło budynku biblioteki. Złapał się za głowę, gdy zobaczył, że w oknach uczelni nie pali się ani jedno światło. W całym miasteczku uniwersyteckim nie było prądu, a więc także w jego laboratorium.

To oznaczało, że chłodnia nie działa.

- Nie, tylko nie teraz! - Krzyknął i rzucił się biegiem do elektryków. Mężczyzna z radiem kucnął przy włazie i spoglądał w dół.

- Jak długo nie ma prądu?! - Zawołał Yute w biegu.

Mężczyzna zmarszczył brwi, potem spojrzął z powrotem w otwarty właz. Yute podbiegł i stanął obok niego.

- Jak długo nie ma prądu i jak długo jeszcze nie będzie? Mężczyzna zmierzył Yute wzrokiem nie wstając z miejsca.

- A kto pyta?

- Doktor Yute Nahadeh z Pacific College. Przeprowadzam niesłychanie ważny eksperyment w laboratorium, który wymaga ciągłego chłodzenia.

- Nie macie awaryjnego zasilania, tak jak w szpitalach?

- Nie, nie mamy. Tylko akumulator do oświetlenia, ale on nie zasila chłodni. Jak dotąd chłodnia była rzadko wykorzystywana. Znajdowały się w niej tylko cztery okazy: dwa lemury i dwa szympanse. Yute uznał, iż generator gazowy na wypadek awarii sieci to zbędny wydatek. Nie przewidział, że coś takiego może się wydarzyć akurat teraz, gdy trzyma w chłodni Kobietę Tundry.

- Powinien pan sobie sprawić generator gazowy - doradził elektryk. - Mike, trzeba chyba sprawdzić całą sieć, bo tutaj nic nie widać. Będziemy w kontakcie - powiedział do krótkofalówki.

Wsadził radio w metalowy uchwyt za pasem i wstał. Był parę centymetrów niższy od Yute, ale cięższy.

- Nie wiemy jeszcze, co się stało. Nie mogę powiedzieć, jak długo potrwa naprawa, ale wygląda na to, że nie uwiniemy się szybko. Przykro mi. Może upłynąć parę godzin, zanim ustalimy miejsce awarii. Naprawa też potrwa kilka godzin, może pół dnia.

Chciał pozbyć się prędko intruza i wrócić do pracy.

- Jak długo nie było napięcia? - Spytał Yute. Zauważył nazwisko elektryka wyhaftowane na kieszonce. - Panie Douglas, to bardzo ważne.

Mężczyzna pochylił się nad włącznikiem.

- Kiedy odebraliście pierwszy telefon o awarii?

- Co? - Odezwał się kobiecy głos.

- Spytaj Toma, kiedy odebrał pierwszy telefon o awarii.

Po chwili kobieta stanęła u stóp drabiny.

- Podobno godzinę temu. Tom mówi, że potrzebuje niebieskiego zestawu pomiarowego. - Odwróciła się. - I lepszej latarki, bo ta, którą ma, jest do niczego.

- Jak długo potrwa zainstalowanie awaryjnego generatora w moim laboratorium? - Spytał Yute majstra.

Mężczyzna wszedł do środka po sprzęt i nie odwracając się odpowiedział:

- To nie należy do moich obowiązków. Poza tym nasze generatory służą wyłącznie do celów służbowych.

- Panie Douglas, nie wiem, jak przekonać pana o wyjątkowości tej sytuacji. - Yute położył dłoń na zgiętych plecach majstra. - W grę wchodzi okaz naukowy bezcennej wartości. Nigdy nic go nie zastąpi. Czy może mi pan pomóc?

- Mogę panu powiedzieć, gdzie kupić generator, i podać numer telefonu firmy, która go zainstaluje. Niech pan zadzwoni do...

- Nie ma na to czasu!

Mężczyzna odwrócił się i zbliżył twarz do twarzy Yute.

- Słuchaj, kolego. Za każdym razem, gdy zabraknie napięcia, ktoś zaczyna panikować. „Za dwie godziny ślub mojej córki”, „Zaprosiliśmy na kolację senatora z żoną”, „Moje rybki kosztują trzy razy tyle ile pan zarabia”. Słyszałem już wszystko. Nic nie mogę zrobić. Nie jestem Panem Bogiem. Nie trzymam piorunów w kieszeni. Musi pan poczekać tak samo jak wszyscy. Przykro mi. Na przyszłość niech pan sobie zainstaluje awaryjny generator, a teraz mi da pracować, to naprawimy tę cholerną instalację.

Yute nie czekał na ostatnie zdanie. Odwrócił się i pobiegł do laboratorium.

- Może wystarczy obłożyć to lodem! - Zawołał za nim majster. - Naprawa jak nie potrwa parę godzin. - Zatrzasnął drzwi samochodu.

Yute pędził do swojego laboratorium na czwartym piętrze, przeskakując po trzy stopnie.

Co tam zastanę? - Myślał w panice. Kobieta Tundry była schłodzona, lecz nie zamrożona. Roztopienie więc nie grozi. A więc co? Zaczął żałować, że nie zna dokładniej fizyki procesu chłodzenia.

Oby tylko embrionowi nic się nie stało. Reszta może zamienić się w proch. Żeby tylko embrion był bezpieczny.

W budynku paliło się awaryjne oświetlenie. Yute przekręcił klucz w ciężkiej kłódce. Klamka ustąpiła z metalicznym stuknięciem. Zawahał się. Z głębokim westchnieniem pociągnął drzwi i wszedł. Szron na ścianach roztopił się i woda spłynęła na aluminiową podłogę. Odsunął płachtę folii okrywającą ciało. Ciało zachowało ten sam ciemnozłotawy odcień. Dotknął skóry. Była chłodna, lecz nie zimna. Mokra. W końcu odważył się wciągnąć powietrze. Nie poczuł odoru. W powietrzu wisiał zapach mokrej skóry i włosów, ale nie rozkładu. Jeszcze nie.

Co dalej? Postarał się myśleć spokojniej.

Zrobiłem sekcję mózgu, krtani, języka, czyli najważniejszych części organizmu. Niektóre organy zakonserwowałem w formaldehydzie. Sporządziłem bardzo dokładne notatki. Wykonałem więc najważniejszą część pracy. Jeśli ciało ulegnie teraz rozkładowi, nie

stracę nic naprawdę ważnego. Zostanie mi jedyny na świecie kompletny szkielet neandertalki. O niej mogę na razie zapomnieć. Muszę się zająć zarodkiem, żywym neandertalczykiem.

Wybiegł z chłodni i wskoczył pod prysznic. Zarzucił na siebie czysty strój chirurgiczny, odpieczętował zestaw sterylnych instrumentów i rozłożył na zielonej ściereczce na stole laboratoryjnym. Wszedł z powrotem do chłodni, wyjął macicę z jajowodami i umieścił w naczyniu. Właśnie w tym momencie zapaliły się światła i rozległ się szum generatora chłodni.

Tak czy owak, muszę to teraz zrobić, postanowił. Nie wolno ryzykować ponownego zamrażania tkanki, bo proteiny ochronne mogą nie zadziałać. Następnym razem ciało może zamarznąć na kość.

Sterylną łyżeczką zebrał śluz z wnętrza jajowodu i zanurzył w miseczce z roztworem zawierającym glukozę i antybiotyk. Z naczyniem w ręku podszedł do mikroskopu.

Zarodek wyglądał na nie naruszony. Yute delikatnie wciągnął go w maleńki plastikowy cewnik i wpuścił do roztworu. Kropelki potu wystąpiły mu na czoło.

- Niech żyje królowa - wyszeptał i opadł na krzesło.

Zaczerpnąwszy powietrza, przykrył naczynie porowatym wieczkiem i umieścił w ogrzewalniku, który zaprogramował tak, aby w ciągu sześciu godzin temperatura zwiększyła się od pokojowej do naturalnej temperatury macicy. Embryon stopniowo odzyska normalny metabolizm i zacznie się dzielić. Teraz Yute nie miał już wiele czasu na szukanie zastępczej matki. Zarodek przetrwa w roztworze dzień lub dwa, ale nie można ryzykować dłuższego oczekiwania.

Zerknął na zegarek. 10:39. Jak mam znaleźć do jutra odpowiednią kobietę? Biegać po miasteczku i namawiać każdą zdrowo wyglądającą dziewczynę? Niezbyt stosowne zachowanie, przy tym żadnej gwarancji, że kogoś znajdę. A dzisiaj jest sobota!

Zaczął chodzić nerwowo po laboratorium. prostytutki. Sprzedają swoje ciała. Ale wtedy narażam się na kontakty z alfonsami. Poza tym one piją, narkotyzują się, palą, może trafić się AIDS. Chyba że znalazłbym jakąś nowicjuszkę, jeszcze nie zniszczoną. Nic z tego. prostytutka bierze pigułki antykoncepcyjne. Nie można by implantować od razu. Potrzebuję zdrowej kobiety, gotowej do implantacji najpóźniej jutro.

Yute usiadł i przypomniał sobie, że nie jadł jeszcze śniadania. Nagle klasnął w dłonie. Dziewczyna, której zafundował hot dogi! Nie była prostytutką. Po prostu uciekła z domu. Piętnaście lub szesnaście lat. Zbyt młoda z punktu widzenia prawa, ale biologicznie w idealnym wieku do urodzenia dziecka. Na pewno nie będzie rozpowiadać, jak zaszła w ciążę. W ramach umowy mogę im zapewnić mieszkanie.

Zdjął strój chirurgiczny i wskoczył w dżinsy. Złapał najmniej pogniecioną koszulę, jaką znalazł w koszu z bielizną do prania. Powąchał pod pachą i wrzucił z powrotem. Zamiast koszuli włożył górną część zielonego stroju chirurgicznego. Wybiegł z pokoju i popędził po schodach.

Rozdział 6

Yute Nahadeh wiercił się niespokojnie na skórzanym siedzeniu swojego kremowego roadstera marki Mercedes, rocznik 1956. Zaparkował na szczycie wzniesienia, po którym biegła ulica Hill Street. Mógł stamtąd objąć wzrokiem cały park aż do przystani. Zerknął na zegarek. Upłynęły trzy godziny i ani śladu dwojga młodych bezdomnych. Co się z nimi stało?

Lustrował wzrokiem ścieżki parku niczym radar, od północnej strony do południowej. Przechylił fotel samochodu, szukając najwygodniejszej pozycji.

Obszedł już cały park, wypytał Wietnamkę, która sprzedała mu rano hot dogi, zaczepiał przechodniów. Zataczał koła jak pies, który zgubił trop, ale wszystko na próżno.

Nerwowo spojrział ponownie na zegarek, potem rzucił jakieś przekleństwo i walnął otwartą dłoń w kierownicę.

Czy przyjąłem właściwą strategię? Może powinienem mimo wszystko spróbować z dziwkami? Nie ma alternatywy dla pigułek, ale musi się znaleźć choćby kilka takich, które są uczulone, więc uciekają się do sprężynki, a w ostateczności do aborcji. Tylko jak je odszukać?

Westchnął ciężko. To beznadziejne.

Upływ czas stał się namacalny niczym ciężkie, tropikalne powietrze. Yute odsunął okienko, mimo że wieczór zaczynał się robić chłodny; słońce skryło się już za horyzontem. Czas uciekał. Yute nie postrzegał jego biegu w postaci strużki piasku przesypanych się w klepsydrze - wydawało się, że czas oblepia mu ciało jak płachta foliowa. Yute czuł, że jeśli w ciągu kilku godzin nie znajdzie zastępczej matki, czas zadusi i jego, i embriona.

Wyprostował fotel i włączył silnik.

*

- Zimno mi, Chena.

Jimmy wsadził ręce do kieszeni. Siedzieli na betonowej ławce naprzeciwko poczty.

- Może zostawić kartkę i wrócić jutro?

- I co napiszemy? „Chcę zostać zastępczą matką. Czekam na kontakt w pojemniku na stare ubrania pod świerkiem i jodłą”?

Za dużym plastikowym oknem błyszczała srebrzysta skrzynka pocztowa, którą zidentyfikowali wcześniej. Chena nie spuszczała jej z oka, kiedy ktoś wchodził do budynku. Teraz jednak mogła patrzeć spokojnie, bo w środku zostało tylko kilka osób, które zamiatały i myły podłogi.

- Facet chyba nie przyjdzie o tej porze sprawdzać skrzynki.
- Skąd wiesz? Może wraca tędy do domu ze szpitala albo z kina.
- Chodźmy stąd. W piekarni na pewno wyrzucili już stare bułki.
- Wiedziałam. Jesteś po prostu głodny. Ale spójrz na to z innej strony: jeśli dostanę tę pracę, będziemy mogli jeść wędzonego łososa, bażanty, małże, kozie mleko jabłka...
- Przestań, bo mnie ściska w żołądku.

- ...Dziczyznę, marynowaną dynię, biszkopty... - Chena wyobraziła sobie wielki drewniany stół uginający się od potraw podczas wesela w wiosce i roześmiała się. - Ja pierwsza z nim porozmawiam.

- Dobrze. A ja muszę coś zrobić, żeby nie zamarznąć. Zaraz wrócę.

Kierownik poczty wyrzucił ich wcześniej ze środka, uznając za włóczęgów. Główna część budynku była teraz zamknięta, lecz drzwi frontowe stały otworem dla klientów wynajmujących skrzynki pocztowe. Może kiedy sprzątacze skończą pracę, będą mogli wśliznąć się z Jimmym i schronić przed chłodnym wiatrem wiejącym od zatoki.

Po kilku minutach Jimmy wrócił ze zwiniętym w grubym rulonie brezentem, jakiego używa się do osłonięcia samochodu przed słońcem. Chena nie spytała, skąd Jimmy go wziął. Przytulili się i zaczęli całować ze śmiechem. Woń ich ciał przypominała Chenie zapach grzybów, które zbierała w lesie sto kroków od domu.

Wysunęła głowę, kiedy ulicą przemknął mercedes. Za kierownicą siedział czarnowłosy mężczyzna.

- Jimmy, spójrz!

Chłopak wysunął głowę spod okrycia. Samochód zatrzymał się przed znakiem stop, błyskając tylnymi światłami. Potem ruszył.

- Spóźniłeś się - powiedziała Chena. - To był ten sam facet, który kupił nam rano hot dogi.

*

Po półgodzinie Yute dotarł do starszej, bardziej zaniedbanej części Seattle. Krążył powoli wzdłuż chodnika, oceniając spacerujące prostytutki. Liczył na to, że znajdzie jakąś młodą dziewczynę, ale się zawiódł. Nastolatka o filipińskiej urodzie w różowych elastycznych szortach i puszystym swetrze zarzuconym na ramiona zbliżyła się do okna od strony pasażera i szła przez chwilę obok samochodu, reklamując swoje umiejętności. Była w odpowiednim wieku, lecz drobnej budowy, a neandertalskie dziecko mogło być duże. Yute potrząsnął głową i pojechał dalej.

Nieco dalej spostrzegł czarną nastolatkę o wydatnych piersiach i szerokich biodrach. Podjechał bliżej i zatrzymał się. Ta mogła być dobra. Murzynka rozmawiała z białą prostytutką w złotych spodniach, która uśmiechnęła się i zbliżyła do samochodu. Potrząsnął głową i wskazał czarnoskórą dziewczynę. Czarna prostytutka z trudem ukryła zdziwienie. Roześmiała się cicho i podeszła. Yute zauważył jednak, że wyrzuciła papierosa, machnął więc ręką i odjechał.

- Głupi peda! - Krzyknęła za nim, podnosząc środkowy palec.

To idiotyzm, pomyślał. Nic w ten sposób nie działał. Zmarnował już prawie pięć godzin na bezowocne poszukiwanie kandydatki. Wszystkie, które dotąd spotkał, mogły odpaść po badaniach krwi albo były nieodpowiednie z innych względów.

Zatrzymał się na światłach. Kobieta wyglądająca na zbliżającą się do czterdziestki, w szpilkach, fioletowych szortach i wydekoltowanej kamizelce podeszła do okna od strony kierowcy. Ubarwione na granatowo włosy opadły jej na twarz, kiedy pochyliła się, aby pokazać swoje duże piersi. Zapachniało perfumami, papierosami i alkoholem. Była dokładnym przeciwieństwem tego, czego Yute szukał.

Puściła do niego oko.

- Stara, ale jara, kochanie. Potrafię zrobić to, na co młodsze się nie odważą. Nikogo jeszcze nie zawiodłam.

Potrząsnął głową. prostytutka zamierzała odejść.

- Zaczekaj! Znasz dużo dziewczyn?

- Szukasz czegoś specjalnego?

- Tak.

- Jesteś gliną?

- Nie.

- A może prywatnym detektywem? Szukasz czyjejs zaginionej córki?

- Nie. Jestem lekarzem. Spojrzała mu uważnie w twarz.

- Nie wyglądasz na lekarza, ale na glinę też nie. Raczej na aktora z westernu.

- Wsiadaj - powiedział Yute. - Mam zielone światło.

Taksówkarz zaczął trąbić z tyłu. prostytutka rzuciła mu wiązanek przekleństw i obesła wóz. Yute podniósł drzwi samochodu, które pojechały płynnie do góry na tłokach z nierdzewnej stali.

- Klawy wóz - zauważyła prostytutka. - Umie latać?

Złapała za klamkę i pociągnęła w dół.

- Nie trzaskaj...

Za późno. Yute skrzywił się słysząc łoskot drzwi.

- Przepraszam. Trzeba było mówić od razu.

Skręcił za rogiem. Taksówka pojechała prosto. Kierowca wrzeszczał coś z twarzą zaczerwienioną ze złości.

- Zrywaj się, palancie - rzuciła prostytutka niedbale, pokazując mu palec.

Yute spojrział na nią.

- Możesz mi pomóc...

- To będzie kosztować - odparła przesuwając dłonią po tablicy z czarnego orzecha.

- W porządku. Potrzebuję...

- Jeśli chodzi ci o jakiś wyjątkowy numer, to jestem gotowa na wszystko, wierz mi.

- Zamknij się i słuchaj. Nie chodzi mi o seks. Mój klient szuka zastępczej matki.

Wynajął mnie, żebym zaimplantował embrion młodej, zdrowej kobiecie. Sytuacja jest gardłowa, bo został mi tylko jeden dzień na znalezienie odpowiedniej kobiety. Embrion nie wytrzyma dłużej.

- Chcesz zapłodnić dziewczynę, która pracuje? - Spytała prostytutka marszcząc brwi.

- Zapłacę czterdzieści tysięcy dolarów za dziewięć miesięcy.

- Dziewczyna z dobrym ciałem, która zna się na robocie, może zarobić więcej.

- Tak, ale nie będzie musiała wychodzić na ulicę. Zajdzie w ciążę i ma wolne przez dziewięć miesięcy. Jej ciało samo zrobi wszystko, co trzeba, a ona będzie miała wakacje. Zapewnię jej mieszkanie i wikt.

- Dziwne - stwierdziła wykrzywiając karminowe usta. - Ale może któraś chciałaby na to pójść.

- Szukam takiej, która niedawno wyszła na ulicę; młodej, niedoświadczonej. A najlepiej, żeby dopiero zamierzała spróbować.

- Zawsze się takie kręcą.

- Chodzi mi o dziewczynę, która nie pali, nie pije i nie używa narkotyków.

Prostytutka parsknęła śmiechem.

- Aha. I do tego ma być wegetarianką, która odżywia się samymi kielkami i owocami.

- Roześmiała się powtórnie. Śmiech zmienił się w kaszel. Odsunęła okno i splunęła.

- Masz rację, jestem stuknięty.

Prostytutka kaszlała jeszcze, kiedy zatrzymał samochód.

- Dokąd byś poszła, gdybyś nie miała gdzie spać w taką chłodną noc?

- Do schroniska. Ale tobie chodzi o kogoś, kto prysnął z domu, tak? Wtedy omijałabym schroniska szerokim łukiem, bo papcio właśnie tam by mnie szukał.

- Nie jestem ojcem. Szukam dwojga młodych Indian, których spotkałem rano w parku nad zatoką.

- Owszem, wiem, gdzie powinieneś ich szukać - stwierdziła łapiąc za klamkę.

Drzwi podniosły się z cichym syknięciem.

- Gdzie?

Prostytutka wyszła z samochodu.

- A, zapomniałem. - Yute sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął dwudziestkę ze skórzanego portfela na banknoty. - Proszę.

- Daj spokój. Bierzesz więcej za pobranie próbki moczu.

- Nie jestem lekarzem medycyny. Nie pracuję z żywymi pacjentami.

- Więc nie musisz płacić dodatkowego ubezpieczenia. Za mało - powiedziała prostytutka pocierając palcami.

Podał drugą dwudziestkę. Wcisnęła banknot do portmonetki.

- Gdybym była na gigancie, pewnie trzymałabym się blisko pojemników.

Yute potrząsnął głową na znak, że nie rozumie.

- Pojemników na starą żywność. Najlepsze są te blisko supermarketów. Co wieczór wywalają tam tonę żywności. Bezdumni ustawiają się w kolejce.

- Kwik-Save! - Zawołał Yute.

- To blisko miejsca, gdzie ich widziałeś, tak? Nawet bezdomne dzieciaki nie odchodzą daleko od kuchni.

- Zgadza się. Dzięki.

- Łatwy zarobek - zauważyła prostytutka z uśmiechem. - To się chyba nazywa seks oralny.

Trzasnęła z całej siły drzwiami i odeszła.

Kwik-Save, pomyślał Yute. To moja ostatnia, nikła szansa uratowania embriona.

*

Chena i Jimmy w pośpiechu, drżąc z zimna, szli do supermarketu Kwik-Save. Każdego wieczora około ósmej z delikatesów wyrzucano worki czerstwych bułek i chleba, a także zepsutych owoców i warzyw.

- Kurza twarz, chyba się spóźniliśmy - zauważył Jimmy. Kilkoro starszych ludzi przetrząsało już odpadki. Kobieta w golfie i brudnych spodniach stała w wielkim metalowym koszu, podając drewnianą skrzynkę chudemu mężczyźnie z długimi strąkowatymi włosami i skołtunioną brodą. Na dnie pojemnika leżało parę kiści bananów.

- Przegapiliśmy szansę - mruknął Jimmy.

Kościsty mężczyzna uśmiechnął się ukazując popsute zęby i skinął ręką na przybyszów.

- Wystarczy dla wszystkich. Podzielimy się z wami.

- Jasne - potwierdziła kobieta. - Nie ma obawy, nie ugryziemy was.

Oparła się na rękach, przelożyła jedną nogę nad krawędzią pojemnika, a potem drugą; zeskoczyła na asfalt.

Chena i Jimmy podziękowali i wzięli banany. Na skraju parkingu znaleźli kawałek trawy pod wiązem i usiedli do posiłku. Niektóre owoce były całkiem dobre, miały tylko zgniecione lub pęknięte końce. Chena z uśmiechem patrzyła na Jimmy'ego, który połknął banana w taki sam sposób jak rano hot doga. Poza tym nic więcej nie mieli dzisiaj w ustach.

- Małpison - powiedziała.

- Jasne - odparł z pełnymi policzkami.

Jedli w milczeniu. Tamtych dwoje usadowiło się na betonowej barierce opodal śmietnika. Zamienili kilka słów, potem podeszli do Cheny i Jimmy'ego.

- W pojemniku zostało jeszcze kilka toreb bułek i pudełko pomarańczy - powiedziała kobieta. - Może byście weszli tam i je wzięli?

- Pewnie - zgodziła się Chena. - Ja się tym zajmę. Tamta jednak mrugnęła i wskazała kciukiem Jimmy'ego.

- Zostaw brudną robotę mężczyźnie. Jimmy już wstał na nogi.

- Nie ma sprawy. Gdzie te torby? Nic tu nie widać.

- Pod tylną ścianą.

Jimmy wskoczył na pojemnik, przerzucił nogi i spadł w cuchnącą ciemność. Brodaty mężczyzna jednym susem znalazł się przy pojemniku. Zatrzasnął klapę i skobel. Kobieta chwyciła Chenę od tyłu i zamknęła jej usta brudną dłonią. Z pojemnika dochodziły przekleństwa Jimmy'ego i odgłos głuchych uderzeń w metalową ścianę.

Chena próbowała krzyżeć.

- Co robisz? Przestań! To boli!

Kobieta wlokła opierającą się Chenę w ciemny zakątek śmietnika. Mężczyzna rozejrzał się i ruszył za nimi.

- Wystarczy dla wszystkich - powiedział przyciskając wargi do ust Cheny.

Poczuła na twarzy dotknięcie jego tłustych włosów. Mężczyzna pochylił się, żeby ściągnąć jej spodnie. Chena ze wszystkich sił kopnęła go kolaniem w twarz. Zawył z bólu, uklęknął zakrywając oko i dysząc ciężko.

- Głupia dziwka! - Wrzasnęła kobieta i zacisnęła ramię na krtani Cheny. Dziewczyna broniła się rękami i nogami, ale nie mogła się wyrwać.

Mężczyzna tymczasem odwrócił głowę i podniósł się z jękiem. Łypnął na Chenę z wściekłością zdrowym okiem i syknął złowieszczo. Chena zrozumiała, że zbliża się śmierć. Ogarnął ją dziwny spokój.

Nagle jakaś potężna dłoń chwyciła twarz mężczyzny, obróciła jego ciałem jak lalką i grzmotnęła głową o śmietnik. Włóczęga spłynął po ścianie jak brudna szmata. Kobieta puściła natychmiast dziewczynę i uciekła. Chena zatoczyła się na drżących nogach, usiadła ciężko na betonie. Zobaczyła nad głową ciemną sylwetkę swego wybawcy. Mężczyzna złapał ją pod ramiona i postawił.

Zamrugła, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Ten sam, który kupił im hot dogi w parku.

- Nic ci nie jest? - Spytał.

Skinęła głową, próbując złapać oddech.

- Uwolnij Jimmy'ego.

Yute otworzył klapę pojemnika. Jimmy wyskoczył na asfalt, upadł i zerwał się jak sprężyna, klnąc na czym świat stoi.

- Chena, co ci zrobili?

Jego ciemne oczy były mokre od łez.

- Nic mi się nie stało.

Ledwie to powiedziała, odór śmieci, potu i zepsutych zębów wypełnił jej nozdrza. Zwymiotowała.

Jimmy przytulił ją i rozplakał się jak małe dziecko.

- Chena, tak mi przykro, tak bardzo mi przykro.

- Już dobrze, nic mi nie jest - uspokoiła go łkając. - Próbowali mnie... Ale im nie wyszło.

Pogładziła Jimmy'ego po włosach.

- Cicho, już wszystko dobrze. Patrz, kto mnie uratował.

Spojrzeli na Yute, którego ciemna sylwetka ledwo rysowała się w bladym świetle.

Rozdział 7

Chena siedziała na drewnianym taborecie w laboratorium pełnym stalowych blatów. Podłoga była zielona, a ściany wyłożone glazurą. Ku swemu zdziwieniu wcale nie czuła się zdenerwowana. Jimmy siedział obok, pocierając palcem bliznę na nosie. Miał na sobie fartuch chirurgiczny z podwiniętymi rękawami; Chena włożyła ciemnoniebieski bawełniany szlafrok.

Uśmiechnęła się do Jimmy'ego, uściśniła go za rękę i pocałowała. Ich czyste, wilgotne włosy pachniały rozmarynowym szamponem, a rozgrzana skóra mydłem miętowym. Prysznic to cudowna rzecz.

- Nie denerwuj się - szepnęła. - Chcę tego. To przepustka do naszych marzeń.

Białe kartony z chińskimi potrawami leżały otwarte na blacie. Jimmy zdążył już pochłonąć dwie paczki krewetek z ryżem. Chena czuła dziwny bukiet zapachów szamponu i mydła, czosnku i gorącej musztardy, lizolu, alkoholu i formaldehydu.

Zakręciło jej się w głowie, gdy sobie uzmysłowiła, jak dziwnie się wszystko ułożyło. To było jak magia, jak indiańska opowieść o duchach opiekuńczych. Tak jakby ktoś niewidzialny pociągał za sznurki ludzkich losów. Szukali z Jimmym doktora Nahadeha, a on szukał ich. Tak miało być.

Yute stał odwrócony tyłem i otwierał paczki z jednorazowymi przyrządami do badania krwi. Przerwał na chwilę, aby potrzeć sobie kark. Denerwuje się jeszcze bardziej od Jimmy'ego, pomyślała Chena.

Yute odwrócił się.

- Możemy zaczynać. Gotowi?

- Jestem gotowa - odparła Chena.

- Najadłaś się do syta?

- O tak. Było bardzo smaczne. Dzięki.

- Naprawdę dobre - potwierdził Jimmy.

- Cieszę się. - Yute przygotował strzykawkę i igłę. - Zaczniemy od pobrania krwi.

Chena podwinęła rękaw i zacisnęła dłoń. Yute owinał jej ramię gumową opaską, wytarł skórę alkoholem, pobrał dwie próbówki krwi. Zdjął opaskę i zajął się przeprowadzaniem testów.

- Nie ściągaj rękawa. Chcę ci zmierzyć ciśnienie. To zajmie parę minut. Przeprowadzam badania na obecność wirusów, które mogłyby zagrażać zarodkowi.

- Nie ma obawy. Z nią wszystko w porządku - powiedział Jimmy zmarszczywszy brwi.

Yute podszedł ze stetoskopem i opaską.

- Masz doskonałe ciśnienie. Sto jeden na siedemdziesiąt.

- Będziesz słuchał mojego serca?

- Tak.

Chena rozsunęła szlafrok, obnażając piersi.

- Nie trzeba. - Yute poprawił szlafrok i przyłożył stetoskop do materiału. - Jesteś bardzo zdrowa. Masz mocny, wolny puls.

- Mówiłem - zauważył Jimmy.

- Jak widzisz, nie ma tu stołu ginekologicznego. Przyniosę kilka ręczników i rozłożę na stole, żeby ci było wygodniej.

Yute wyszedł.

- Daj spokój. On nie robi nic złego. Jest po prostu ostrożny. Jimmy skinął głową, ale odwrócił się w drugą stronę.

- Chcesz mieć pewnego dnia własny kuter?

- Pewnie że chcę.

- Jeśli to się uda, ten dzień nastąpi o dwadzieścia lat wcześniej.

Jimmy westchnął ciężko.

- Wiem - powiedziała. - Zajdę w ciążę. To takie dziwne.

Yute wrócił z poduszką i stosem równo ułożonych białych ręczników. Ułożył je na czarnym stole.

- Jak mam się ustawić? - Spytała Chena.

- Na razie możesz tam jeszcze siedzieć. Czekam na wyniki ostatnich testów. Na razie wszystko idzie dobrze.

Stanął nad pulpitem z naczyniami i probówkami.

- Nie masz we krwi alkoholu, nikotyny, kokainy, nie chorujesz na opryszczkę, zapalenie wątroby, rzeżączkę, syfilis... - W tym momencie uruchomił się wyłącznik czasowy. Yute wziął biały plastikowy dysk i przyjrzał mu się uważnie. - Ani na AIDS - dokończył z westchnieniem ulgi.

Roześmiał się, odwrócił do Cheny i uściśnął ją lekko.

- To może się udać.

- Pewnie że się uda. Tak miało być.

- No dobrze. Wskakuj na stół.

Chena ułożyła się na ręcznikach. Yute wsunął jej poduszkę pod głowę. Spojrzała na Jimmy'ego, który wbił wzrok w podłogę, jakby liczył kafelki.

- Jimmy, pomaszujesz mi skronie?

- Jasne. Boli cię głowa?

Chena uśmiechnęła się do siebie. Jimmy przysunął taboret i zaczął gładzić palcami jej skronie.

Yute tymczasem wyjął naczynie z elektrycznego piecyka. Policzył przez powiększalnik komórki embriona. Było ich teraz szesnaście.

- Komórki się dzielą. On naprawdę żyje.

- Mam nadzieję - powiedziała Chena.

Wziął w rękę instrument zakończony sterylnym złotym drucikiem, cieńszym od włosa, i z powiększalnikiem pochylił się nad naczyniem.

- Co teraz robisz? - Spytała Chena.

- Transplantacja embriona to proces, którego nie da się kontrolować - wyjaśnił cicho Yute. - Zwiększam szanse zapłodnienia przebijając maleńkie otwory w zewnętrznej powłoce, którą zarodek musi zrzucić, żeby przeniknąć ściankę macicy.

Odpieczętował wziernik i posmarował sterylnym olejkim. Chena podniosła kolana i przytrzymała rękami przy piersi. Yute delikatnie wsunął wziernik do pochwy, odsłaniając szyjkę macicy. W samym jej środku widać było otwór wielkości ziarnka fasoli.

- Wytrzymaj jeszcze chwilę w tej pozycji.

Obrócił się na krzesło i zanurzył końcówkę cewnika w naczyniu z roztworem. Ostrożnie wessał embriona do probówki i przysunął się do Cheny. Kropelki potu perliły mu się na czole. - Nie ruszaj się teraz, proszę cię. Włożył cewnik w otwór szyjki i umieścił embriona na dnie macicy.

Rozdział 8

Płatki śniegu wirowały nad budynkiem sądu federalnego w Fairbanks. Nika zarzuciła na głowę kaptur kurtki. Wiedziała jednak, że za kilka minut będzie musiała go zdjąć, ponieważ była to kurtka zimowa, o wiele za ciepła na październik. Uszyła ją ze skóry karibu, a podszewkę zrobiła z futra polarnego lisa. Włożyła dzisiaj kurtkę oraz spodnie i buty ze skóry - mimo że nie było zbyt zimno - ponieważ nie miała lepszego tradycyjnego ubrania. Chłodny wiatr świstał w uszach, a Nika czuła ogarniający ciało żar niczym pstrąg pieczony nad ogniem w korze derenia.

John Nahadeh stał obok córki na granitowych schodach sądu, kołysząc się w przód i w tył do rytmu pieśni, którą nucił. Miał na sobie obrzędową kurtkę ze skóry łosia wybieloną przez wielokrotne smarowanie mokrą pastą ze sproszkowanego piaskowca i suszenie w słońcu. Szeroka lamówka ozdobiona wzorem w romby namalowane sokiem z żurawin sięgała mu aż za kolana. Pałką uderzał rytmicznie w okrągły bębenek z drewna wierzbowego obciągniętego skórą jelenia. Stał przed gmachem sądu jak ośnieżona góra spowita niewidzialnym ezoterycznym obłokiem.

Na schodach zebrali się Indianie ze Swift Fork, Slow Fork, Telidy, a nawet z Little Mud i Big Mud, wszyscy ubrani w tradycyjne stroje. W rękach trzymali tablice z napisami protestacyjnymi. Grupa studentów z Uniwersytetu Alaski rozwinęła transparent ze znakiem firmowym Canarda i wypisanym czarnymi drukowanymi literami sloganem: „Zbieramy bogactwa naturalne Alaski dla jej mieszkańców”. Część napisu została jednak skreślona, a słowa dopisane pod spodem zmieniały hasło tak, że brzmiało: „Odbieramy bogactwa naturalne Alaski jej mieszkańcom”.

- Zaśpiewaj ze mną, Nika - poprosił John w języku Caiyuhów. - Każdy głos jest teraz potrzebny.

Objął córkę ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Powiedz, co mam śpiewać, tato. Nie znam żadnej pieśni.

- Ja też nie. Śpiewam, co mi przychodzi na myśl.

- Znasz pieśni myśliwskie i rybackie, pieśni o narodzinach...

- Tak, znam kilka. Ale czasem wyrzucam sobie, że tyle pieśni zginęło, bo jako chłopiec byłem zbyt leniwy, żeby się ich nauczyć od dziadków. - Spojrzał na Nikę. - Nie znam ani jednej pieśni duchów, która mogłaby przemówić teraz w imieniu Ziemi i zwierząt, a

przeciwko chciwym Indianom i biznesmenom. Więc dziś muszę wymyślać pieśni na poczekaniu. Śpiewałem tak.

Zanucił prostą melodię do rytmu, który wybijał sobie na bębenu.

Wielka Matka żyje, nie wolno jej ranić.

Jeśli rozedrzesz jej serce, rozedrzesz moje.

Wielka Matka żyje, nie wolno jej ranić.

Złodzieje, to nie jest wasze miejsce.

Ona mówi, że was nie zna.

Wielka Matka żyje, nie wolno jej ranić.

Jeśli ją zranisz, zranisz też siebie.

Nika zaśpiewała z ojcem, zrazu cicho, ale potem przewyciężyła nieśmiałość i jej głos zadźwięczał mocno, czysto i wysoko jak flet.

Firma Canard planowała budowę szybu do wydobycia złota wśród wzgórz niedaleko ich domu. Indianie z sąsiednich wiosek przyjęli projekt z radością bo oznaczał dla nich pracę, a dzięki pracy kupią więcej piwa, papierosów, motocykli, łodzi, skuterów śnieżnych, majstrowie zaś będą sobie mogli nawet pozwolić na dżipa lub przyczepę mieszkalną.

Lecz większość Indian z plemienia Caiyuh w Swift Fork i Slow Fork wołała tradycyjny styl życia i nieugięcie sprzeciwiała się budowie kopalń. Ostatnio do ich protestu przyłączyło się kilka grup ekologicznych po publikacji w „National Geographic” poświęconej Człowiekowi Tundry, obok którego znalazł się krótki artykuł o planach budowy kopalń zagrażających terenom łowieckim Caiyuhów.

Jakiś młody Indianin z plemienia Chilkakot w jaskrawopomarańczowej kurtce narciarskiej i lustrzanych okularach zbliżył się do Johna i Niki.

- Hej, wy! Wracajcie do domu i bawcie się w prawdziwych Indian! Idźcie do puszczy, mieszkać tam sobie razem z niedźwiedziami!

John nie zwracał nań uwagi, ale po chwili kilkunastu młodych Indian weszło na schody i zaczęło obrzucać obelgami Johna i Nike. Trzymali transparenty z logo firmy Canard i napisem „Moja kopalnia!” W końcu tłum zaczął skandować: „Zacofańcy, zacofańcy!”

Nika poczuła, że jej twarz robi się gorąca, a gardło zaciska. Nie mogła dłużej śpiewać. Tylko nie płacz, pomyślała zagryzając mocno język. Ojciec wziął ją za rękę swoją twardą dłonią i przeprowadził przez szpaler rozwrzeszczanych młodzików. Weszli do holu sądu.

Minęli wysokiego odzwiernego przy drzwiach z mosiężnymi okuciami, który patrzył przed siebie udając, że ich nie zauważył.

Po wysłuchaniu stron w prywatnym gabinecie sędzia miał wydać orzeczenie w sprawie trzyletniego moratorium na budowę kopalń, w czasie którego miały być przeprowadzone dalsze badania wpływu inwestycji na środowisko i życie Indian.

- Tato - szepnęła Nika. John schylił głowę. - Czemu oni nie chcą zrozumieć, że to nasza ziemia i że powinni zostawić nas w spokoju?

- A czy to jest nasza ziemia?

- Mówiłeś, że nasi przodkowie osiedlili się nad rzeką tak dawno, że nikt już tego nie pamięta.

- Dziadek mawiał, że gwiazdy to nacięcia na zwęglonej kości, a każde nacięcie oznacza jedno pokolenie Caiyuhów, które łowiło ryby w rzece, polowało na karibu i górskie owce.

- Więc byliśmy tam pierwsi, przed Inupakami, Chilkakotami i Athapaskanami, nie mówiąc o białych.

- Nie, córko. Pierwsza była ziemia. Dopiero potem przyszli Caiyuhowie i rozmnożyli się jak maki w tundrze. Ziemia nie należy do nas. Ona daje nam życie. To my należymy do niej.

- Więc dlaczego tak wielu Indian chce kopalni?

- Jeśli uda nam się dzisiaj, zyskamy trzy lata, aby przekonać ich, że kopalnia i przetapialnia zaszkodzą tundrze. Poprze nas więcej ekologów, a wtedy zażądamy kolejnego przesunięcia terminu budowy. Będziemy walczyć dalej.

Zza zamkniętych drzwi sądu dobiegł odgłos kroków. Po chwili ciężkie drzwi się otwały. Ukazało się w nich dwóch białych i Indianin z plemienia Chilkakot, wszyscy ubrani w eleganckie szare garnitury i czerwone krawaty. Biały zwolnił kroku mijając Johna i Nike, zmarszczył brwi. Na jego czaszce widać było pasemko rzadkich jasnych włosów biegnące od ucha do ucha na białej łysinie. Mężczyzna, którego krawat zdobił wzór utworzony z klucza lecących złotych kaczek, kipiał ze złości. Zacisnął wargi, jakby za chwilę miał wybuchnąć. Jego towarzysz z błyszczącą aluminiową walizeczką ujął go pod ramię i pociągnął za sobą. Twarz Indianina przypominała ciemną tarczę księżyca ozdobioną długimi wąsami. Szedł wyprostowany i nie zdradzał żadnych emocji. Skinął jednak Johnowi głową.

John odwzajemnił gest powitania.

- Ten z czerwoną twarzą to Rex Kaiser, główny szef Canarda - szepnął. - Nie wygląda na zadowolonego. To dobry znak.

- Wódz Willy wyglądał w tym garniturze jak przebieraniec.

- Cicho. Wcale go nie znasz. To uczciwy człowiek.

- A ty go znasz? - Spytała zaskoczona Nika.

- Poznaliśmy się dawno temu, w tym mieście.

Nika domyśliła się, że ojciec mówi o kilku miesiącach spędzonych w ośrodku odwykowym Armii Zbawienia. Trafił tam rok po tym, jak matka Niki zmarła wydając ją na świat. John zostawił córkę w Swift Fork pod opieką babki.

- Nie powinnaś go winić za to, co robi. Troszczy się o swoich ludzi.

- Ale chce kopalni.

- Spróbuj na to spojrzeć z jego punktu widzenia. Jako chłopiec został wysłany do indiańskiej szkoły z internatem w Seattle. Nauczył się mnóstwa bezużytecznych bzdur, a po powrocie do Telidy on i inni chłopcy nie potrafili pomagać ojcom polować i łowić ryby. Podobnie z dziewczętami. Rodzice mówili: „Idźcie nakopać dzikich kartofli”, a one pytały: „A jak wyglądają dzikie kartofle? Gdzie rosną?”

- To straszne.

- Najtrudniej było chłopcom. Nie mogli znaleźć pracy w rodzinnych stronach, musieli wyjeżdżać do budowy rurociągu albo wyprowadzać się do miasta. Nie mieli co robić, zbijali baki, pili, urządzali awantury.

- On był alkoholikiem?

- Tak, ale szybko się pozbierał, tak samo jak ja. Dużo ze sobą rozmawialiśmy. Powiedział raz, że stawia sobie za cel wprowadzenie swoich ludzi w nowoczesny świat. Musisz przyznać, że mu się udało.

- A więc budowa kopani to spełnienie jego marzeń.

John skinął głową.

- Pamiętam, że terapeuci czytali nam codziennie Biblię. Nie rozumiałem zbyt wiele, ale jedno zdanie utkwiło mi w pamięci: „Jaką korzyść odniesie człowiek, który zdobędzie cały świat, a zgubi swą duszę?”

Blondynka w granatowej sukni z naszyjnikiem z pereł podbiegła do Johna, unosząc triumfalnie czarną aktówkę z symbolem organizacji ekologicznej Nasza Planeta.

- Wygraliśmy! - Zawołała. - Mogą kontynuować badania geologiczne, ale przez trzy lata nie wolno im rozpocząć wydobywania.

- Świetnie! Bardzo dziękuję, Lindo! - Powiedział John potrząsając prawniczką mocno za ramiona, aż zakołysała się jej fryzura.

- *Aya hey, Wa Denali!* - Zawołał łamiącym się z emocji głosem. - *Aya hey, yo aya hey, Wa Denali!*

Okrzyk odbił się echem od marmurowych podłóg i ścian. Łzy płynęły po twarzy Johna. Nika tylko raz widziała ojca płaczącego. Było to wtedy, gdy Yute, jej brat, przyjechał na wakacje ze szkoły medycznej. Ona też się rozplakała.

- *Aya hey, Wa Denali* - szepnęła.

- Musisz zostać z nami dzisiaj, Lindo - powiedział John ocierając łzy rękawem kurtki.
- Będzie wielkie przyjęcie. Cała wioska idzie nocą łowić ryby w przeręblu.

- Zgoda. Bardzo się cieszę. Ale najpierw muszę wrócić do hotelu i włożyć jakieś ubranie odpowiednie do prawdziwego świata. Co mam wziąć ze sobą?

- Po prostu ubierz się ciepło. Mamy wszystko, co trzeba.

Zjawiły się dwie ekipy telewizyjne. Nika zmrzyła oczy spoglądając w światło padające z kamery.

- Czy może nam pani udzielić wywiadu? - Spytał reporter prawniczkę.

- Proszę się zwrócić do pana Nahadeha. To on i jego plemię są dziś prawdziwymi zwycięzcami.

Reporter odwrócił się do Johna.

- Jest pan liderem ruchu sprzeciwu wobec budowy kopalń na wzgórzach. Czy ma pan jakieś plany z nimi związane?

- Żadnych. Chcę, żeby pozostały takie, jakie były zawsze. Piękne, słoneczne, pełne ludzi, spokojne pod okiem Denali.

- Pełne ludzi? Co pan ma na myśli?

- Czworonogich, skrzydlatych, tych co żyją w wodzie, drzew i traw... Wszystkich plemion, których domem jest Wielka Matka.

Drugi reporter podsunął mikrofon.

- Czy to prawda, że grożono panu śmiercią, jeśli nie zaprzestanie pan protestu przeciw budowie kopalni?

John wzruszył ramionami.

- Ojciec zagroził mi śmiercią, kiedy złamałem jego najlepszy nóż myśliwski. To znaczy tylko tyle, że ich rozgniewałem. Oni chcą kopalni, a ja nie. Moje plemię sąsiaduje z Athapaskanami i Chilkakotami od bardzo, bardzo dawna. W głębi serca jesteśmy braćmi...

- Dziękuję. W porządku. - Reporter zwrócił się do kamerzysty. - Wzięłeś dziewczynę? Będzie dobrym tłem dla komentarza.

Operator skinął głową. Smuga światła znów padła na twarz Niki.

- Dobra. Trzeba jeszcze złapać demonstrantów, zanim się rozejdą.

Rzucili się do drzwi, a druga ekipa ruszyła na poszukiwanie przedstawicieli Canarda.

Linda skrzywiła się z niesmakiem.

- Jak się potem dziwić, że widzowie nie rozumieją głębszej treści wiadomości telewizyjnych.

Umówili się w hotelu. John i Nika wyszli na ulicę, aby razem z całą grupą wsiąść do autobusu, który miał ich odwieźć do domu.

Na parkingu budynku sądu tłum demonstrantów opowiadających się za budową kopalni otoczył nieliczną grupkę Caiyuhów. Wymachiwali pięściami, skandując: „Moja kopalnia! Moja kopalnia!” Nagle ktoś krzyknął i wszyscy rzucili się w stronę Johna i Niki.

- Schowaj się za mną - polecił John. - Rozluźnij się i nie puszczaj moich bioder. Wykonamy taniec cieni.

Nika objęła ojca przez grubą kurtkę. John posuwał się naprzód równym, posuwistym krokiem, w milczeniu, patrząc prosto przed siebie. Tłum otoczył ich ciasno. Rozległy się przekleństwa.

- Cholerni zacofańcy! Przeszłość to przeszłość! Chcemy pracy!

- Odczep się od naszej pracy, dziadku! Nie ma dla ciebie miejsca w nowoczesnym świecie.

John nie zwalniał ani nie przyśpieszał, tylko przesuwiał się to w jedną, to w drugą stronę, przebijając się przez gąszcz rąk i nóg.

Nika dostosowywała się do jego ruchów, tak samo jak podczas tańca przy ognisku. Czowała jego siłę, gdy przeciskał się przez ciżbę. Nie była to żelazna siła klina rozłupującego drzewo, lecz powolne posuwanie się kropli deszczu wędrującej wśród stosu drewna, ślizgającej się po powierzchni szczap. Ktoś uderzył ją mocno w głowę, aż zrobiło jej się ciemno przed oczami. Nie zareagowała. Ktoś wrzeszczał jej do ucha. Widziała tylko szerokie plecy ojca, których trzymała się z całej siły.

Trwało to bardzo długo, ale w końcu wyrwali się z tłumu i stanęli na chodniku. Nika nie odwróciła się, ale wiedziała, że nikt z tyłu nie idzie. Dopiero w otoczeniu grupki Caiyuhów, kiedy ojciec klepnął ją w dłonie, Nika zauważyła, że nadal trzyma go za biodra.

- Bardzo dobrze tańczysz taniec cieni - powiedział.

Zaczerpnęła głęboko tchu, pochyliła głowę i zapłakała cicho.

- Nie trzeba teraz płakać - rzekł, unosząc łagodnie jej podbródek. Uśmiechnął się do córki oczami, które płonęły ciepło jak ognisko w lesie. - Jesteśmy bezpieczni. Wzgórza są

bezpieczne. A dziś w nocy pójdziemy łowić ryby przy pełni księżyca tak samo jak nasi przodkowie. *Aya hey, Wa Denali!*

Rozdział 9

Chena i Jimmy zatrzymali wózek na zakupy obok szeregu drewnianych stołów uginających się od świeżych owoców i warzyw na rynku, gdzie rolnicy sami sprzedawali swoje produkty. Klienci przesuwali się wąskimi alejkami dzielącymi budki sprzedawców. Tajowie, Filipińczycy, Chińczycy, Włosi gotowali, smażyli i piekli swoje potrawy. Pachniało korzennymi przyprawami. W górze srebrzyste chmury błyszcząły na majowym niebie jak łuski na grzbiecie ryby.

Chena wciągnęła głęboko powietrze.

- Co za aromat.

- Wspaniały - zgodził się Jimmy.

- Dzisiaj przygotuję taką kolację, że odpłyniesz prosto na Wyspę Starca.

Parsknęła śmiechem. Wymyśliła to zdanie już dawno. Wyspa Starca to maleńka porośnięta drzewami wysepka blisko Whaler Bay Island, którą wedle legendy zamieszkiwały duchy. Podobno wyspę zawsze otaczała mgła i *tsitsika*, „czas zmierzchu”, gdy nic nie jest całkiem rzeczywiste. Starzec, szaman, mieszkał tam ponoć od tak dawna, jak sięgają pamięcią najstarsi ludzie. Opowiadano o nim niestworzone rzeczy.

- O, znowu się rusza - powiedziała Chena. Położyła rękę Jimmy'ego na swoim okrągłym brzuchu. - Czujesz?

- O rany! To chyba będzie jakiś wielki piłkarz. Rozwiązałem zagadkę: nosisz w brzuchu sklonowanego potomka Pelego.

Doktor Nahadeh powiedział, że embrion pochodzi od anonimowego klienta, którego sam nie zna. Przekazał pierwsze piętnaście tysięcy dolarów i obiecał, że resztę otrzymają, kiedy Chena urodzi dziecko. Zadanie Cheny polegało teraz na utrzymaniu dobrego zdrowia. Poza tym oboje mieli zachować wszystko w tajemnicy. Spekulowali żartobliwie między sobą na temat tożsamości dziecka. Przychodziły im do głowy rozmaite pomysły: jajo zapłodnione spermą geniusza, mały Jezus sklonowany z komórek zebranych z Całunu Turyńskiego i podobne niedorzeczności. Kto wie? Byli jednak pewni, że jest to niezwykle dziecko. Bo jeśli nie, to po co ukrywać wszystko w tajemnicy?

Doktor Nahadeh zaglądał do nich raz w tygodniu. Troszczył się o zdrowie Cheny, a nawet Jimmy'ego. Sam zamierzał przyjąć poród w mieszkaniu.

Jeszcze trzy tygodnie. Piersi Cheny wypełniły się pokarmem i stały się ciężkie. Czują w sobie rosnące życie. Zamknęła oczy i uśmiechnęła się błogo.

- Powinnaś się teraz zobaczyć. Gdybyś weszła do ciemnego pokoju, świeciłabyś jak świetlik.

- Tak się właśnie czuję - odparła z uśmiechem Chena.

Wrzucili do wózka torbę jabłek i gruszek. Minęli budkę z kaczkami obracającymi się na rożnach i drugą z pętami kiełbasek wiszącymi obok płatów sera. Zbliżyli się do drewnianych beczek z pokruszonym lodem i świeżymi rybami. Chena wciągnęła głęboko powietrze. Oleisty, chłodny, ostry zapach morza wypełnił jej płuca, jakby zmierzał aż do serca.

- Lubisz ten zapach? - Spytał śniadoskóry Chińczyk za ladą. Miał na sobie biały fartuch poplamiony rybią krwią. Uśmiech zmarszczył skórę twarzy, oczy zwęził w szparki. W ustach błysnęły dwa złote zęby.

- Bardzo - odpowiedziała Chena.

- Ja też - zgodził się sprzedawca kiwając energicznie głową. - Ludzie powiedzieliby na pewno, że jesteśmy dziwakami. Mój ojciec, wujowie i kuzyni na Tajwanie byli rybakami, dlatego zapach ryb przypomina mi dom.

- Mnie też. Tam, skąd ja pochodzę, jeśli nie jest się drwalem albo rybakim, to jest się nikim. Albo gospodynią domową. W mojej rodzinie wszyscy są drwałami, ale lubimy ryby. To nasze główne pożywienie. Powinien pan zobaczyć moich braci przy jedzeniu. Jeden w drugiego mężczyźni na schwał.

W piersi Cheny wezbrał smutek, tak jakby dotknęła ręką powierzchni sadzawki żalu. Po raz pierwszy od ośmiu miesięcy pozwoliła sobie na tęsknotę za domem. Odwróciła od Chińczyka zamglone oczy, udając, że wybiera ryby.

Nim powrócę do domu, będę niezależną kobietą, albo prawie niezależną, pomyślała. Do domu? A więc to jednak mój dom. Ale teraz jestem z Jimmym. I tak już zostanie.

Wybrała śledzia, owinęła w biały papier i wsadziła w foliową torebkę. Podążyła Chińczykowi pięć dolarów, ale ten machnął ręką.

- Ja też często tęsknię za domem - powiedział cicho, nie przestając się uśmiechać. - Niech wam smakuje ryba. Przyjdźcie mnie odwiedzić z dzieckiem.

Chena przełknęła ślinę i podziękowała.

- O co chodziło? - Spytał Jimmy. Wzruszyła ramionami.

- Ty też tęsknisz za domem tak jak ja? - Domyślił się.

- Och, Jimmy! - Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się, na ile jej pozwalał okrągły brzuch. - Wracajmy.

- Posłuchaj, za trzy tygodnie urodzisz dziecko, weźmiemy pieniądze i wrócimy do Whaler Bay. Nikt się o niczym nie dowie. Pobierzemy się i znajdziemy mieszkanie. Ja zacznę łowić pstrągi ze swojego kutra, ty pójdziesz do szkoły dla pielęgniarek. A później będziemy mieli dzieci.

- I będziemy żyć długo i szczęśliwie - dodała z uśmiechem Chena.

- Właśnie. Tak jak w bajkach.

Część druga

Wśród uczonych rozpowszechniło się przekonanie, że ludy kromaniońskie wędrujące ze wschodu przyniosły zagładę mniej rozwiniętym neandertalczykom z zachodu. Taki rozwój wydarzeń jest jednak mało prawdopodobny. Neandertalczycy obdarzeni dużymi mózgami i potężnymi mięśniami zdolaliby się oprzeć najeźdźcom na własnej ziemi. Wydaje się raczej, iż z rasy neandertalczyków powstała rasa człowieka współczesnego i w ten sposób należy tłumaczyć ich rzekome wyginięcie.

Mowa jest tym narzędziem ewolucji, które sprawiło, że neandertalczycy w błyskawicznym tempie przekształcili się w ludzi współczesnych. Mowa okazała się nadzwyczaj cennym instrumentem, dlatego natura i społeczeństwo odrzuciły z puli genetycznej geny mniej komunikatywnych przedstawicieli gatunku. W miarę jak neandertalczycy coraz częściej posługiwali się tym narzędziem, ich krtań rosła, pozostałe narządy mowy przesunęły się w gardle coraz niżej, podstawa czaszki zaś (sklepienie jamy głosowej) coraz bardziej się zaokrąglala, nadając głowie kształt czaszki człowieka współczesnego. Twarz neandertalczyka skracala się i zbliżala do pionu, czoło się podnosiło.

W świetle tych faktów bardziej odpowiednim mianem dla naszej rasy byłaby nazwa Homo loquitur, czyli człowieka mówiącego.

Yute Nahadeh, *Neandertalczycy*, Pacific College Press, Deer Park, Waszyngton 1987, str. 76

Rozdział 10

W miarę zbliżania się terminu porodu Yute coraz częściej się martwił. Przychodziły mu na myśl liczne niebezpieczeństwa zagrażające Chenie i dziecku. Teraz siedział przy jej łóżku, sześć godzin po odejściu wód płodowych, obserwując przebieg porodu idealnie zgodny z opisem w podręcznikach medycznych. Po raz pierwszy od kilku tygodni poczuł, że mięśnie jego ramion się rozluźniają.

Chena siedziała wyprostowana na łóżku w koszulce ze słonecznikiem podniesionej tak, że widać było jej zaokrąglony brzuch. Włosy miała spocone, twarz zarumienioną, ale oczy jej błyszczały jasnym blaskiem. Nie zdradzała oznak zmęczenia. Była młoda, wysoka, miała silne kości, sprężyste stawy i mięśnie, mocne serce i płuca. Yute przypomniał sobie słowa, które powiedziała w dniu, kiedy się poznali: „Kobiety z rodu Kynaka są stworzone do rodzenia dzieci”.

Jimmy siedział obok. Miał na sobie dzinsową kamizelkę i koszulkę ze znakiem Mako Fishing Boats. Masował Chenie mięśnie podczas skurczów i podawał bidon z napojem, kiedy odpoczywała. Trzymali się za ręce i rozmawiali półgłosem. Na ścianie błękitne i różowe baranki skakały przez tęczę. Tapetę wybrała Chena.

Częstotliwość skurczów się zwiększyła. Pojawiały się teraz co dwie minuty. Chena stęknęła głośno. Krągłość brzucha przybrała podłużny kształt.

- Czuję, że powinnam zacząć przeć.

- Poczekaj jeszcze chwilę - poprosił Yute. - Najpierw cię szybko zbadam.

Ścisnął w rękę grudkę kremu i posmarował palce. Począł, aż skurcz się zakończy, a potem sprawdził szyjkę macicy. Była całkowicie rozwarta.

Uśmiechnął się.

- Świetnie, Chena. Przy następnym skurczu możesz przeć. Jesteś gotowa.

Chena jęknęła, gdy nadszedł skurcz. Twarz jej poczerwieniała i pot wystąpił na czoło. Skurcze następowały falami, jeden po drugim.

Po godzinie ukazała się główka dziecka z gęstymi kędziorami mokrych włosów.

Yute podskoczył na krześle.

- Jest! - Zawołał. - Ale ma włosy!

Chena zamknęła oczy. Jimmy pomógł jej sięgnąć ręką do mokrych włosów dziecka.

- Ma ciepłą główkę!

Kiedy skurcz zelżał, Jimmy schylił się i pocałował Chenę.

Yute wyjął z torby lusterko, które przytrzymał między jej nogami, kiedy główka dziecka wysunęła się po raz drugi.

- Chena, otwórz oczy - zachęcił Jimmy. - Możesz zobaczyć czubek jego głowy.

Yute dotknął ciemnej główki otwartą dłonią i poczuł jej ciepło przez rękawiczkę chirurgiczną. Tak długo na to czekał. Neandertalczyk, podróżnik w czasie, który przeżył dwieście pięćdziesiąt wieków, przychodził właśnie na świat.

Chena parła coraz mocniej. Główka dziecka wysunęła się dalej.

- Boli!

- Świetnie ci idzie - powiedział Jimmy.

- Strasznie boli!

- Już prawie po wszystkim. - Yute wycisnął na główkę dziecka trochę kremu. - Będzie bolało, tego nie da się uniknąć. Jeszcze trochę.

Skurcze stawały się coraz silniejsze, główka dziecka ukazywała się raz po raz, lecz nie przesunęła się w dół. Yute zacisnął zęby. Wątpliwości opadły go ze zdwojoną mocą.

- Idzie, idzie! - Zawołał Jimmy. - Przyj z całej siły.

Chena wydała głęboki jęk i ściągnęła twarz niczym indiański wojownik. Ukazało się czoło dziecka, a potem cała twarz.

Yute złożył dłonie, gotów złapać noworodka przy następnym parciu. Chena ponownie naprężyła ciało, drżąc z wysiłku, lecz ciało dziecko się nie wysunęło.

- Nie mogę! - Krzyknęła łapiąc Jimmy'ego za ramię. - Rozrywa mi kości!

- Zrób coś, człowieku. Dziecko utknęło.

Jimmy patrzył na Yute z przerażeniem.

W ciągu ostatnich tygodni Yute nauczył się praktycznie na pamięć podręcznika położniczego dla personelu medycznego pracującego w krajach trzeciego świata, z dala od szpitali. Ale przyjmował własnoręcznie poród tylko raz, na parkingu szpitala, sześć lat temu, kiedy był jeszcze praktykantem. Urodziły się wtedy bliźnięta.

Na czym polega komplikacja?

Chena krzyknęła z bólu przy następnym skurczu, lecz dziecko nie przesunęło się w dół ani o centymetr.

Yute zadrżał. Już wiedział. Dystocja ramieniowa - przypadek grożący śmiercią matki i dziecka. Ramię dziecka zaklinowuje się za kością łonową matki i nie może się przesuwać, a ścianki kanału porodowego ściskają pępowinę, odcinając dopływ krwi do ciała dziecka.

Wyobraź sobie, że to egzamin, durniu. Przypominał sobie rysunki pokazujące zaklinowane ramię. Trzeba postępować zgodnie z tym, co napisano w podręczniku. Od czego zacząć?

- Manewr McRoberts - powiedział na głos. Złapał nogi Cheny i pociągnął ją ku sobie, tak że jej pośladki zsunęły się ze stołu. - Jimmy, ciągnij jej nogi do tyłu, by kolana dotykały ramion.

Przy kolejnym skurczu Chena krzyknęła z bólu. Yute ujął głowę dziecka nad uszami i ciągnął w dół mocno, powoli. Miał wrażenie, że próbuje wyrwać korzeń z ziemi. Twarz dziecka zsiniała.

- Jimmy, zaciśnij dłoń w pięść i przyciskaj nad kością łonową. Tutaj. Spróbuj popychać ramię dziecka, a ja będę wyciągał.

Pociągnął jeszcze raz. Pot spływał strumieniami po ciele Cheny.

- Pchasz, Jimmy? Musisz pchać mocno.

- Pcham, ale nie idzie.

- Dobrze, Chena. Zrobię tu więcej miejsca - powiedział Yute sięgając po nożyce chirurgiczne. Nie chciał tracić czasu na znieczulenie, wsunął więc nożyce i przeciął. Chena wrzasnęła z bólu.

Teraz manewr Wooda.

- Muszę włożyć ręce do środka. Nie ma innego wyjścia.

Wcisnął dłonie do kanału porodowego obok główki dziecka. Oparł jedną rękę na piersi, drugą na plecach i spróbował przekreślić dziecko. Nadaremnie. Twarz dziecka przybrała ciemnoniebieski kolor.

- Dzwonię po pogotowie - powiedział Jimmy, zrywając się z miejsca.

- Za późno. Zostań, jesteś mi potrzebny.

- Za późno dla dziecka, ale może...

- Jeśli chcesz uratować Chenę, siadaj na tyłku. Jimmy przewiercił Yute spojrzeniem.

- Obyś się nie mylił.

- Weź Chenę pod ręce i pomóż mi położyć ją z powrotem na stole. Chena, przekreśl się na drugą stronę i oprzyj na rękach i kolanach.

Potrząsnęła słabo głową.

Yute ujął jej twarz w dłonie i spojrzał głęboko w oczy.

- Nie opuszczaj mnie teraz, Chena. Wszystko rozstrzygnie się w ciągu kilku minut.

Skinęła głową.

- Pomóż, Jimmy... Trzymam jej nogi... Podnieś ją i obróć.

Chena krzyknęła, kiedy układali ją na rękach i kolanach.

Następny krok: uwolnić drugie ramię. Yute wsunął palce, żeby przesunąć ramię dziecka. Drgnęło o kilka centymetrów, ale drugie nie ruszyło się ani trochę. Skurcz mięśni przycisnął je do kości łonowej niczym potężny prąd trzymający pływaka przy skale.

Ostatni krok i ostatnia szansa. Yute przełknął ślinę. Złamać obojczyk dziecka.

Namacał palcami kość unieruchomionego ramienia. Chwycił obojczyk między kciuk i dwa palce i przekręcił mocno, potem jeszcze mocniej... Wstrzymał oddech i powtórzył ruch z siłą, jakiej potrzeba do złamania grubego drewnianego ołówka. Naprężone ramię zadrżało mu, ale obojczyk dziecka pękł w końcu z głośnym chrupnięciem. Ramię momentalnie wysliznęło się z pułapki.

- Udało się! - Krzyknął Yute. - Udało się!

Złapał bezwładne ciało dziecka z pępowiną. Sina skóra pokryta była białym śluzem i krwią Cheny. Dziewczynka nie oddychała. Yute ułożył ją na plecach i dotknął piersi. Wyczuł słabiutkie bicie serca.

- Jimmy, ułóż Chenę z powrotem na plecach i wsadź poduszkę pod nogi. Okryj ją czymś i rozmawiaj z nią. Wróć, jak tylko będę mógł.

- Co z dzieckiem? - Spytała Chena słabym głosem.

Yute zassał usta i nos noworodka strzykawką, następnie założył dwa plastikowe zaciski na śliską pępowinę tuż przy skórze brzucha i przeciął nożyczkami. Kropelki potu skapywały mu z twarzy na dłonie. Owinął dziecko w koc i wytarł energicznie, żeby pobudzić krążenie krwi. Dziecko nie wydało żadnego dźwięku.

- Jimmy, podaj mi tlen.

Yute przechylił lekko główkę, przyłożył usta do ust i nosa noworodka i dmuchnął lekko, modląc się, żeby złamany obojczyk nie przebił płuca. Dmuchał jeszcze dwa razy, a potem przyłożył ucho do nosa. Dziecko zaczynało oddychać.

- No, dalej! - Dmuchał jeszcze dwa razy i słuchał. - Dasz radę, maleńka.

Przymierzał się, aby dmuchnąć po raz kolejny, ale dziecko zaczęło oddychać samo.

Yute jęknął z ulgą. Zbliżył twarz do twarzy dziecka.

- Dobrze. Tylko tak dalej. To się nazywa oddychanie. Będziesz to robić sama, przez całe życie.

Chena wpatrywała się w noworodka szeroko otwartymi oczami.

- Wszystko w porządku. Trzyma się świetnie - powiedział Yute i nagle się rozplakał.

Założył dziecku maskę i zadrżał od stóp do głów.

- Dobrze się czujesz, Chena? - Spytał pociągając nosem.

Skinęła głową.

- Dziewczynka - szepnęła.

Yute przyłożył stetoskop do piersi noworodka. Rytmiczny szum po obu stronach świadczył o tym, że płuca nie zostały uszkodzone. Skóra powoli się zaróżowiła, od piersi do twarzy, a potem w dół do kończyn. Yute powtórnie wytarł dziecko ręcznikiem, lecz tym razem usta dziewczynki zadrżały i po chwili rozległ się głośny płacz.

- Daj mi ją potrzymać - powiedziała Chena wyciągając ręce.

Yute położył noworodka na piersi Cheny. Przytuliła dziecko, przemawiając doń słodkim, śpiewnym głosem. Dziecko przestało płakać, zasłuchało się i otworzyło oczy.

- Jimmy, ona mnie rozpoznaje!

Skóra noworodka przybrała teraz głęboki różowy kolor z lekkim złotawym odcieniem.

- Popatrz na kolor jej skóry. Ona jest śliczna. A włosy... Ma już nawet brwi i rzęsy.

Jimmy zmarszczył brwi i nic nie odpowiedział.

- Musimy ją trzymać w cieple - powiedział Yute rozpościerając koc.

- Ona jest cieplutka jak grzanka.

- Ale tak trzeba - odparł Yute i okrył dziecko puszystym kocem.

- Czy z nią wszystko dobrze? Słyszałam jakieś chrupnięcie. To ja czy ona?

- Musiałem złamać obojczyk, żeby pomóc jej wyjść.

- Biedactwo - po wiedziała Chena i pocałowała dziecko w oba policzki. - Będzie musiała pójść do szpitala?

- Pęknięcie obojczyka to drobiazg. Wystarczy zabandażować, a czasem i to nie jest potrzebne. - Yute pochylił się i delikatnie dotknął ramienia dziecka. - Wygląda bardzo dobrze. Samo się zagoi.

Westchnął głęboko. A ja mam cholerne szczęście, bo to proste złamanie i kość nie przebiła płuca, dodał w myślach.

- Bogu dzięki. Słyszałaś, maleńka? Wszystko będzie dobrze. - Chena pocałowała dziecko. - Pachnie jak świeży deszcz.

Dziecko poruszyło główką w poszukiwaniu sutka. Chena podała jej pierś. Mała zaczęła ssać.

- Ale mocno. - Chena uśmiechnęła się do Jimmy'ego. - Jak mały wieloryb. Jimmy oparł czoło o głowę Cheny i zapatrzył się na ssące dziecko.

Chena syknęła z bólu, kiedy Yute usunął łożysko. Następnie zrobił jej zastrzyk z ksyłokainy i zaszył nacięcie.

Przeciął nitkę nad węzłem i spojrzął na zegarek. Była ósma rano. Wyprostował się i ściągnął rękawiczki.

Matka i dziecko odpoczywały. Mała neandertalka żyła i miała się dobrze, ale Yute był zbyt wyczerpany, żeby się tym cieszyć. Potrzebował snu. Jutro będzie miał czas na radość, na badania naukowe. Teraz czuł tylko ulgę, że jego ciekawość i ambicja nie doprowadziły do śmierci Cheny i dziecka.

*

Chena obudziła się po południu. Jimmy przyniósł jajecznicę, wafle z plasterkami brzoskwiń i sok pomarańczowy. Usiadł w nogach łóżka.

- Dzięki. Strasznie jestem głodna.

Zaczęła jeść, nie spuszczać oczu z dziecka śpiącego obok na brzuchu. Dziewczynka miała naprawdę długie włosy jak na noworodka - aż do ramion - a takiego koloru włosów Chena nigdy nie widziała: ciemnorude, prawie czarne, ale gdy padło na nie światło z okna, lśniły jak rozżarzone drewno.

Ember². Doskonałe imię dla niej.

- Jak ci się podoba imię Ember? - Spytała Chena. Jimmy zmarszczył brwi.

- Ciągłe muszę ci przypominać, że to nie jest nasze dziecko.

Chena poczuła skurcz w gardle. Położyła widelec na talerzu i odstawiła nie zjedzony posiłek. Oczy zaszły jej łzami.

- Och, Chena - westchnął Jimmy. - Wiedziałem, że tak będzie.

- To nie jest też jego dziecko. - Przecież powiedział, że...

- Sam mnie przekonywałeś, że nie powinniśmy mu ślepo wierzyć.

- Okazuje się, że mówił prawdę. Jeśli to jest indiańskie dziecko, to ja jestem biały.

- Więc gdybyśmy je zatrzymali, nie byłaby to kradzież. Ona nie jest jego córką.

- Chena, zejdź na ziemię. On przyjdzie jutro, zapłaci nam dwadzieścia pięć tysięcy dolarów i weźmie dziecko. A my pojedziemy do Whaler Bay i rozpoczniemy nowe życie.

- Powiedział, że pozwoli mi ją karmić przez kilka tygodni i zapłaci za to dodatkowe pieniądze.

- To niemądry pomysł. Przywiążesz się do niej jeszcze bardziej.

Dziewczynka podniosła głowę, spojrzała na Chenę, na Jimmy 'ego, i położyła się z powrotem.

Chena roześmiała się, zdumiona. - Widziałeś?

- Co takiego? - Spytał Jimmy.

² Ember (ang.) - rozżarzony kawałek drewna lub węgla w ognisku

- Podniosła główkę.

- No to co?

- Noworodki nie podnoszą same głowy. Patrz!

Dziecko uniosło znowu główkę i rozejrzało się po pokoju błyszczącymi oczami. Potem przekręciło się na plecy i zaczęło płakać.

- Coś takiego! Noworodki nie potrafią się przewracać na drugą stronę.

Wzięła dziewczynkę na ręce i przytuliła, kołysząc delikatnie. Dziecko przestało płakać, otworzyło buzię i zaczęło kwilić. Chena wyczuła ciepło wzbierające w piersiach. Przynęła usta dziecka do ociekającego mlekiem sutka.

Dziewczynka spociła się z wysiłku, Chena więc ją rozebrała. Niespodziewane ciepło skóry zaskoczyło Chenę. Poczowała strumień życia płynący między nią i dzieckiem.

- To działa w obie strony, prawda, Ember? - Powiedziała głaszcząc długie, miękkie włosy. - Ty też mnie karmisz. Nie wiem, jak to robisz, ale tak właśnie jest. Czuję twoją energię. Ludzie z mojego plemienia powiadają: „Rzeka płynie przez ciebie silnym strumieniem”.

Wpatrywała się w małą twarzyczkę, w czerwone usta ssące chciwie, różowe policzki i złocistą skórę. Smutek ścisnął jej serce. Przełknęła łzy.

- Kim są jej prawdziwi rodzice? - Spytała drżącym głosem.

- Nie mam zielonego pojęcia. Nie wygląda na białą ani na brązową, ani na czarną, ani na...

- Ona jest złocista jak żagiew z ogniska. A jeśli rodzice ją kochają, to gdzie są? Czemu ich tutaj nie ma?

Dziecko zamrugało powiekami i zamknęło oczy. Długie czarne rzęsy odcinały się wyraźnie od policzków. Ssała przez sen.

Chena zaśpiewała dziecku piosenkę swojego plemienia. Śpiewała ją też Jimmy'emu. Piosenka opowiadała, jak to ciężko pracujący rybak złowił morską wydrę, która za wypuszczenie na wolność obiecała mu wielki dar. Rybak zgodził się i wypuścił zwierzę. Kiedy jego żona urodziła córkę, rozpoznał w dziecku figlarną duszę wydry. Córeczka nauczyła go śmiać się, bawić i cieszyć, grać na instrumentach i tańczyć, rzeźbić i malować, opowiadać bajki i żarty. Dzięki rodzinie rybaka mieszkańcy wioski poznali umiejętności, które pozwoliły im zapomnieć choć na chwilę o trudzie pracy.

- Jimmy, jesteś pewien, że chcesz, abyśmy mieli dzieci?

- Kiedyś w przyszłości, tak. Przecież ci mówiłem.

- Byłbyś wspaniałym ojcem. Uśmiechnęła się.

Jimmy przewrócił oczami.

- No i masz. Znowu to robisz.

- Co robię?

- To co mówiłem.

Chena przysunęła dziecko do drugiej piersi. Zaczęli rozważać wszystkie za i przeciw powrotowi do Whaler Bay razem z córką.

Rozdział 11

Yute przeprowadzał analizę protein na komputerze wykorzystując bazę danych Departamentu Rolnictwa. We krwi Kobiety Tundry natrafił na trzy proteiny przeciwdziałające zamrożeniu i kilkanaście anomalii.

Radio nastawione było na wiadomości National Public Radio, a mały telewizor z wyłączonym dźwiękiem na CNN.

Sporządził w zeszycie dokładne notatki swoim charakterystycznym pismem łączącym elementy kursywy i drukowanych liter. Zerknął na ekran telewizora i sięgnął po pilota. Wysłuchał fragmentu niezwykłego dialogu - na podzielonym na dwie połowy ekranie Barbara Walters przeprowadzała wywiad z samą sobą. Na monitorze ukazał się tymczasem model molekuly.

- Ciekawe - powiedział Yute. - To będzie numer cztery.

Jak dotąd, każde białko przeciwdziałające zamrożeniu w krwi kobiety pasowało do proteiny wytwarzanej przez arktyczne rośliny bądź zwierzęta. Dwa pochodziły z odpornych na mróz porostów, a jedno z bezkręgowca, który ryje korytarze w lodowcach i żywi się rozpuszczonymi minerałami. Proteina, której model widniał teraz na ekranie - oznaczona w bazie danych Departamentu Rolnictwa symbolem AFP16 - pasowała do tej, którą wytwarza pewien gatunek arktycznej żaby spędzającej zimę w zamrzniętych stawach i wychodzącej na brzeg w czasie wiosennych roztopów.

Yute zastanawiał się, jak to możliwe, aby ktoś, kto nie miał dostępu do zdobyczy współczesnej nauki, potrafił opracować dietę z odpowiednich roślin i zwierząt w celu przeciwdziałania zamrożeniu tkanki. A może to przypadek, może żywiła się tym na co dzień?

Ale jeśli przygotowała specjalny koncentrat - na przykład ugotowała wszystkie składniki i zrobiła z nich pastę - rodzi się najtrudniejsze pytanie: Dlaczego chciała ocalić swe ciało przed zamrożeniem? Po co?

- Być może, postępowała zgodnie z nakazem swojej religii - rzekł głośno Yute i zapisał tę myśl w notatniku.

Zerknął na zegarek. Za kwadrans miała się rozpocząć audycja muzyczna. W rogach laboratorium stały cztery duże kolumny głośnikowe. Dzisiejszy program miał być transmisją z Metropolitan Opera występu jego ulubionej solistki, Angeliki de Venicia, której głos - mezzosopran, o ciemniejszej i gęściejszej barwie niż zwykły sopran - należy do najrzadziej spotykanych.

Trwało to kilka lat, nim Yute zakochał się w operze po tym, jak wprowadził go w jej świat kolega, z którym mieszkał w jednym pokoju w akademiku. Muzyka urzekła go od pierwszej chwili, lecz niełatwo było przezwyciężyć niesmak wobec pretensjonalności królującej na operowej scenie. Ani trochę nie przypadły mu do gustu białe żaboty, smokingi, kandelabry, limuzyny i cały ten narcystyczny blichtr. Yute słyszał kiedyś o spływie po rzece Kolorado, podczas którego śpiewacy operowi każdego wieczora śpiewali dla uczestników przy ognisku. Taka wersja opery na pewno by mu się spodobała. Opera to piękna muzyka i wspaniałe głosy, a o reszcie najlepiej zapomnieć.

Kupił butelkę merlota dla uczczenia narodzin neandertalskiego dziecka. Korek wyskoczył z głośnym dźwiękiem. Nie był to drogi trunek, ale Yute wolał jego smak od smaku kosztownych win serwowanych na przyjęciach. W laboratorium nie było kieliszków, nalał więc ciemnego płynu do niewielkiego czystego dzbanuszka.

Spojrzał na zegarek; zapisał dane na dysku, wyłączył komputer i włączył głośniki. Po kilku minutach głos Venicii śpiewającej Rossiniego wypełnił laboratorium niczym ćwierkanie stada wróbli słoneczny sad. Yute podkręcił potencjometr siły głosu i oparł się wygodnie na fotelu, prostując nogi i kładąc sportowe buty na blacie koło klawiatury. Wyobraził sobie młodą śpiewaczkę w białej bawełnianej kurtce, szortach khaki i butach z cholewami śpiewającą przy ognisku. Złocisty blask skakał po jej twarzy. Głos wydobywał się z jej gardła bez najmniejszego wysiłku. Tak lekko jak czarna grzywa jej włosów spływała po jej białych ramionach, tak jak słodkie wino spływa do gardła. Ponownie napełnił dzbanuszek.

Rozkoszując się winem i muzyką, zaczął bezwiednie wodzić piórem po okładce notatnika. Na papierze ukazywały się coraz to nowe gwiazdy, spirale i zawijasy. Westchnął, gdy śpiewaczka zakończyła przepiękną arię, i zakołysał piórem niczym pałeczką dyrygenta.

Zerknąwszy na notes, zauważył, że naszkicował twarz człowieka o surowych rysach. „Neandertalczyk?” - Zapisał nieco wyżej.

Spróbował umiejscowić w czasie początek swego zainteresowania neandertalczykami. Nie potrafił wskazać dokładnej daty. Już jako chłopiec często kreślił podobne twarze i sceny z epoki kamiennej. Nigdy jednak nie zgłębił istoty tej fascynacji. Było to coś w rodzaju głodu wiedzy.

Potrząsnął głową i wypił wino.

To było tak, jak gdyby jakiś sekret dotyczący rasy neandertalskiej kołysał się tuż poza granicą jego wiedzy. Jak gdyby, jak gdyby... Spojrzał w górę, szukając odpowiedniego określenia.

Inna siła. Te słowa same zjawily się w jego świadomości. Yute mrugnął oczami, zaskoczony.

Inna siła? Jaka inna siła?

Nic nie przychodziło mu do głowy. Próbował ogarnąć to pytanie całą swoją istotą, ale nie nasuwała się żadna konkretna odpowiedź, tylko niejasne poczucie jakiejś olbrzymiej straty i pragnienie odzyskania tego, co utracił.

Inna siła... Inna siła.

Dopił wino w dzbanku.

Inna niż co?

Tym razem zobaczył obraz: twarz z promieniami mocy emanującymi z ust. Zmarszczył brwi. Taki tatuaż widział na czole Człowieka Tundry. Dodał ten obraz do rysunku twarzy, który sporządził nieświadomie na okładce notesu. Zauważył pewne podobieństwo do twarzy prehistorycznego człowieka znalezionej w zeszłym roku.

Ale co Człowiek Tundry, przedstawiciel rasy kromaniońskiej, może mieć wspólnego z neandertalczykami? Wpatrywał się w portret usiłując znaleźć związek ze swoją podświadomością, lecz na próżno.

Wzruszył ramionami i cisnął notes na biurko.

- Wino zaczyna przemawiać, ale to bełkot.

Ściągnął sweter i nalał sobie wina. Muzyka wypełniła pokój.

Teraz będę się rozkoszował olśniewającą koloraturą, głosem tego słowika w ludzkiej skórze, a zagadkę neandertalczyków odłożę na później, postanowił Yute. Dziecko jest bezpieczne. Trzyletni urlop naukowy pozwoli mi wychować ją w leśnej chacie, obserwować i badać. A potem ogłoszę wyniki w czasopiśmie naukowym i wezwę konsultantów z całego świata, żeby przyłączyli się do obserwacji.

Myśl o niezwykłym odkryciu podniecała Yute i uspokajała zarazem. Przyłożył butelkę do ust, pociągnął z rozkoszą.

Zadzwoił telefon. Podniósł słuchawkę nie ścisząc muzyki. To była Chena.

- Jak się czujesz? - Spytał Yute. - A dziecko? Słuchaj, postanowiłem wynająć cię jako nianię dla dziecka.

- Dzwonię z Whaler Bay.

- Skąd?

Yute otrzeźwiał. W jednej chwili stanął na nogach, złapał pilota i upuścił, skoczył więc do radia i wyłączył muzykę.

Chena oznajmiła Yute, jaką podjęli decyzję. Wrócili z Jimmym do domu i zamierzali tam zostać. Nie chcieli reszty pieniędzy. Woleli zatrzymać dziecko.

- Ale przecież mamy umowę! - Krzyknął Yute.

- Miałeś nam zapłacić dziesięć tysięcy za spróbowanie plus dziesięć jeśli się uda. Udało się, mamy te pieniądze, przynajmniej na razie. Może kiedyś ci je spłacimy.

- Nie obchodzą mnie pieniądze. Dziecko jest moje.

- To nieprawda - odparła Chena. - Nie żyłaby, gdyby nie ja. Jestem jej matką, nawet jeśli tylko zastępczą... I kocham ją. Zostanie tu ze mną i z Jimmym. Przykro mi, ale tak to jest.

- Zaczekaj... Niech pomyślę. - Yute położył rękę na czole. W głowie mu się kręciło od wina. Co mam teraz zrobić? - Chena, jesteś miłą dziewczyną. Lubię cię, naprawdę. Ale nie sądzisz chyba, że pozostawię tę sprawę w ten sposób? Nie mogę. Przyjadę po dziecko.

- Nie zrobisz tego, doktorze, jeśli tak bardzo zależy ci na zachowaniu tajemnicy - odezwał się Jimmy. - Widać gołym okiem, że to nie jest zwykłe dziecko. Nie wiemy, na czym polega ta niezwykłość, i nie chcemy wiedzieć. Daj nam spokój, a nie puścimy pary z ust, skąd się wzięła. Nikt nie będzie cię nachodził w laboratorium i zasypywał pytaniami. Ale jeśli nie zostawisz nas w spokoju, sam zostaniesz specjalistą od kłopotów. Nie masz wyboru.

- Posłuchaj mnie, Jimmy...

- Przykro nam, że to skończyło się w taki sposób. Naprawdę nam przykro. Powinniśmy być bardziej przewidujący. Dzięki za pomoc i w ogóle. Do widzenia.

Stuknięcie, a potem cisza.

Yute rzucił słuchawkę, skoczył na równe nogi i wyrwał przewód automatycznej sekretarki. Zatoczył się, grzmotnął telefonem w drzwi chłodni. Aparat roztrzaskał się na kawałki. Taśma spadła na zielone kafelki u stóp szkieletu Kobiety Tundry.

Rozdział 12

Ciężkie krople deszczu stukające o blaszany dach wypełniały wnętrze chaty gęstym szumem. Chena przeciągnęła się na śpiworze przykrywającym dmuchany materac, który leżał bezpośrednio na podłodze z cedrowych desek. W białym świetle gazowej lampki czytała rozdział dotyczący pielęgnacji niemowląt z podręcznika doktora Spocka.

Ember spała obok w pieluszcze. Krzyczała głośno za każdym razem, gdy Chena próbowała ubrać ją w śpioszki.

- Ember ciągle zrzuca koc - stwierdziła Chena. - To już chyba dziesiąty raz.

Jimmy siedział na taborecie tyłem do pokoju. Na ławie leżał przed nim rozłożony na części silnik. Spięte w kucyk włosy wysuwały się przez otwór w czapce baseballowej i spadały na dzinsową kurtkę.

- Ona sama jest jak elektryczna grzałka - odparł Jimmy. - Jeśli nam nie jest zimno, to jej na pewno nie.

- Chyba masz rację - zgodziła się Chena, dotykając złotawej skóry dziecka.

- Chyba? Ona chce powiedzieć: „Mamusiu, daj spokój z tym piecykiem. Ja nie jestem placuszkiem”.

Chena roześmiała się i wróciła do lektury. Co jakiś czas odczytywała jakiś urywek na głos i razem omawiali go z Jimmym.

- Jesteś do niego podobny.

- Do kogo?

- Do doktora Spocka.

- Do łysego faceta po osiemdziesiątce?

- Kiedy na niego patrzę, wydaje mi się, że on jest naprawdę dobry. Tak jak ty. Jimmy odwrócił się i spojrzał Chenie w oczy.

- Wszystko będzie dobrze.

- Mam nadzieję. - Chena pogładziła skórę Ember. Była delikatna jak jedwab i pokryta ledwie widocznym jasnym puszkim. - Myślisz, że doktor Nahadeh zostawi nas w spokoju?

- Powinien.

Chena przysunęła się do Ember, żeby powąchać jej pachnące jak ogród włosy. Zamknęła oczy i potarła nosem o ciepłą główkę dziecka.

- Masz wystarczająco dużo światła? - Spytał Jimmy. - Boja nie. Zginęła mi śruba od karburatora.

- Weź lampę. Ja i tak kładę się spać.

Ktoś zapukał do drzwi.

Chena usiadła, a Jimmy zerwał się z taboretu. Spojrzeli na siebie. Chena złapała dziecko i stanęła u boku Jimmy'ego.

- To nie może być on - powiedział Jimmy, zanurzając palce w puszcze z kremem do mycia rąk. - W taką burzę prom nie chodzi.

Posmarował ręce białym kremem i wytarł ścierką.

- A poza tym przecież nie wie, gdzie nas szukać - dodała Chena.

- Chyba że ktoś z wioski mu powiedział.

Jimmy wydobyl spod ławy drewnianą skrzynkę i podniósł wieko. Chena skrzywiła się. Jej ojciec i bracia byli zapalonymi myśliwymi, ale od dziecka nie znosiła broni.

Pukanie rozległo się znów, tym razem głośniejsze.

Jimmy wyjął ze skrzyni strzelbę na harpuny, którą dostał od dziadka. Półmetrowy harpun z nierdzewnej stali wyglądał jak kotwica zakończona ostrym stożkiem. Załadował nabój do komory, następnie złożył kolce harpuna i wsunął do krótkiej, pękatej lufy, tak że widać było tylko czubek.

Ktoś zaczął walić w drzwi. Bum, bum, bum!

Na znak Jimmy'ego Chena ukryła się za żelaznym piecykiem na środku pokoju. Podszedł do drzwi, zniżył strzelbę do wysokości piersi, przekręcił klamkę i otworzył kopniakiem.

Malutki stary Indianin nosem dotykał prawie czubka harpuna. Miał na sobie tradycyjny strój plemienia Quanoot: tunikę i spodnie ze specjalnie wyprawionej kory cedru. Białe włosy przykleiły mu się do głowy.

- Spodziewasz się odwiedzin wieloryba na tej górze? - Spytał.

Światło gazowej lampy odbiło się w jego czarnych oczach.

Jimmy opuścił lufę strzelby.

- Proszę wejść. Przemókl pan do suchej nitki.

- Dziękuję.

Starzec wszedł do środka i zamknął drzwi. W jasnym świetle jego oblicze przypominało twarz kukielki wyrzeźbionej z jabłka, które wyschło w słońcu. Woda kapiąca z ubrania w kolorze słomy utworzyła kałużę wokół bosych stóp.

Chena położyła śpiącą twardo Ember na śpiworze i w stosie ubrań zaczęła szukać koszulki i spodni dla gościa.

- Na pewno pan zmarł. Zaraz napalę ogień w piecu.

- Ja nigdy nie marznę - odparł Indianin. - Jestem taki sam jak ona. - Skinieniem głowy wskazał śpiące dziecko.

Chena zerknęła na Jimmy'ego, który przypatrywał się nieznajomemu. Bez pytania wiedzieli, że stoi przed nimi legendarny szaman, Starzec z Wyspy.

- Chce pan suche ubranie? - Spytała Chena.

- Przydałoby się.

Jimmy wziął od Cheny koszulkę oraz spodnie i wręczył gościowi

- Niech pan je weźmie i zatrzyma. Mam nadzieję, że będą pasować.

- Dziękuję - powiedział starzec i natychmiast zaczął się rozbierać. Chena odwróciła się, a Jimmy wyjął nabój z komory i starannie ułożył broń w skrzyni. Stary Indianin rozciągnął mokre ubranie na czarnym metalowym piecyku.

Chena wróciła z drewnianym taboret, który był jedynym meblem w chacie. Starzec odmówił jednak ruchem ręki i usiadł ze skrzyżowanymi nogami na śpiworze koło Ember.

Granatowa koszulka wisiała luźno na jego wątlYM ciele. Na piersi widniał czerwony napis „Orki z Zatoki Wielorybów” nad czerwono-czarną paszczą drapieżnego walenia. Starzec przesunął palcami po wizerunku wieloryba i uśmiechnął się.

- *Wasco*. Totem mojej rodziny.

Jimmy zdjął kurtkę i zarzucił na ramiona starca.

- Proszę wziąć i to.

Indianin uściskał rękę Jimmy'ego.

- Będziesz dobrym rybakiem, Jimmy z klanu Wydr.

Jimmy otworzył usta, a potem roześmiał się niepewnie.

- Dziękuję panu.

Szaman klepnął dłonią w śpiwór, zapraszając Jimmy'ego i Chenę, żeby usiedli obok niego. Podniósł delikatnie Ember i zanucił jej coś cicho do ucha. Dziewczynka otworzyła natychmiast oczy i uśmiechnęła się. Indianin także się do niej uśmiechnął. Posadził ją na kolanach Cheny. Klasnął głośno w dłonie, położył lewą dłoń na swoim sercu, a prawą na piersi Ember. Wypowiedział błogosławieństwo w śpiewnym języku Quanootów, a następnie pochylił się i ucałował czoło dziewczynki.

Potem wstał, szykując się do wyjścia.

- Proszę zostać na noc - powiedziała Chena. - Może pan spać w śpiworze.

My przykryjemy się kocami.

Starzec uśmiechnął się i potrząsnął białą czupryną.

- Deszcz przestał padać. Niebawem zacznie się przypyływ. Zaniesie mnie prosto do domu.

- Może chciałby pan najpierw coś zjeść? - Spytał Jimmy. - Mógłbym przygotować kanapkę.

Szaman zatrzymał się przy drzwiach i odwrócił.

- Dziękuję. Błogosławię wasze małżeństwo.

Chena podbiegła i chwyciła jego szczupłą dłoń. Pomarszczona skóra była gorąca jak skóra Ember. Czarne oczy starca błyszczały wiecznym ogniem. Przełknęła ślinę.

- Czy dobrze uczyniłam? Czy miałam prawo ją zatrzymać wedle Quanoot-cha?

Szaman ujął jej dłoń w obie ręce.

- Cheno z klanu Jastrzębi, nie chodzi o to, czy uczyniłaś dobrze czy źle. Droga, z której można zejść i zbłądzić, nie jest Wielką Drogą.

- Kim jest Ember? Przybyłeś tu z daleka, aby ją pobłogosławić.

Starzec uniósł brwi.

- Przybyłem, aby przyjąć błogosławieństwo od niej. Długo czekałem na jej narodziny.

Uśmiechnął się. Głębokie zmarszczki wokół oczu ułożyły się jak słoje na pniu cedru. Szaman pocałował dłonie Cheny, a potem odwrócił się i wyszedł w rześkie powietrze wiszące nad zroszoną deszczem ziemią.

Rozdział 13

Ember przesunęła palcami po swoich gęstych falujących włosach i okręciła ich rudoczarne końce na palcach. Coś ścisnęło jej pierś. Nie podobało się jej jasno oświetlone pomieszczenie ani chuda szpakowata kobieta w zielonej sukience. Zapach jej perfum i lakieru do włosów wypełniał pokój gęstą chmurą, w której Ember wyczuła jeszcze woń dezodorantu, poliestru, bawełny, kredy, kawy zmieszanej z miętową pastą do zębów, a także pudru do pielęgnacji niemowląt i przemoczonej pieluszki.

- Pani doktor Jackson jest specjalistką od nauczania dzieci - mówiła matka. - Ona pomoże nam ustalić, dlaczego masz kłopoty z mówieniem.

W wesołym, śpiewnym głosie matki Ember wyczuła ton niepewności.

- Ty uczysz niemowlaki? - Spytała Ember usadowiona na kolanach Cheny.

- Co mówiłaś, kochanie?

- Spytała, czy pani uczy niemowlęta - wyjaśniła Chena z nerwowym śmiechem.

- Ach, nie. Ale ostatnią klientką była młoda matka z malutkim dzieckiem. Skąd?...

- Ona ma bardzo dobry węch.

- Dobry to chyba nie jest odpowiednie słowo. Chodź do mnie, kochanie. - Doktor Jackson wyciągnęła wątlą dłoń. - Ja nie gryzę. Obiecuję, że następnym razem będę oszczędniej używać perfum.

- Postaraj się, kochanie - szepnęła Chena zsadzając córkę z kolan. Ember stanęła na nogach, ale nie puściła kolan Cheny. Doktor Jackson uśmiechnęła się, lecz dziewczynka nie zareagowała. Kobieta siedziała za biurkiem, nie przestając się uśmiechać.

Ember spojrzała na półkę nad głową doktor Jackson. Stała tam niewielka brązowa figurka centaura i plastikowa przezroczysta podobizna konia z widocznym szkieletem i wewnętrznymi organami.

Doktor Jackson zdjęła centaura i wyciągnęła rękę w stronę Ember, nie wstając z fotela.

- Widziałaś kiedyś takie zwierzę hasające po lesie na wyspie Whaler Bay?

Ember zbliżyła się nieśmiało i wzięła figurkę.

- Mój tatuś poluje tylko na jelenie - powiedziała niewyraźnie.

- Mówi, że tatuś poluje tylko na jelenie.

Doktor Jackson roześmiała się melodyjnym głosem.

- To zwierzę nazywa się centaur i żyje tylko w bajkach, ale zawsze mi się podobało.

Ember obejrzała dokładnie centaura ze wszystkich stron. Oddała figurkę i wskazała palcem przezroczystego konia na półce. Doktor Jackson podała jej model.

- Lubisz konie? Mój ojciec był weterynarzem i specjalizował się w leczeniu koni. Ja uwielbiam konie.

Ember rozłączyła połowy i dotknęła pomalowanych plastikowych modeli narządów wewnętrznych. Były różowawe, karminowe, szare, żółte i wiśniowe, z czerwonymi i niebieskimi nitkami wijącymi się po powierzchni.

- Ember, trzeba poprosić.

- Ależ nie, niech się bawi. - Doktor Jackson wzięła Ember za rękę i zaprowadziła do niskiego stolika. Dziewczynka usiadła na niebieskim krzeselku. Zaczęła rozkładać model na części, palcami badając dokładnie kształt każdej z nich. Widziała, że przylegają do siebie jak łyżka, nóż i widelec w polowym niezbędniku. Ember widziała ojca rozbierającego na kawałki ubite jelenie i zauważyła, że wnętrzości zabawkowego konia są podobne do serca, nerek, płuc, żołądka i wątroby jelenia, ponieważ w domu spożywano te części ciała upolowanych zwierząt. Podniosła szkielet zabawki i miniaturowe kości się poruszyły. Zerknęła na matkę.

- Jak na Halloween! - Zauważyła.

Czubek czaszki konia odpadł i ze środka wyleciało coś, co przypominało dziwnie zniekształconą piłkę pomalowaną na kolor jajecznicy. Ember rozpoznała po kolorze i fakturze powierzchni, że to mózg, bo w domu jedli także tę część ciała jelenia.

Nie знаła nazw pozostałych narządów, lecz po kształtach i barwach zapamiętała, jak były ułożone. Umieściła mózg z powrotem. Do klatki piersiowej włożyła oba płuca, między nimi znalazła miejsce na serce, a nieco niżej - na wątrobę. Pozostałe plastikowe organy także trafiły na swoje miejsca w otoczeniu powłoki mięśni. Musiała znowu wyjąć niektóre narządy, bo zapomniała o nerkach. Wreszcie założyła powłokę na drugą połowę i złożyła konia w całość.

- Zdaje się, że pierwszy test, który zamierzałam przeprowadzić, jest całkowicie zbędny - stwierdziła doktor Jackson i roześmiała się melodyjnie. - Chciałam cię prosić o dopasowanie kilku kształtów do otworów w specjalnym pudełku.

Odłożyła konia na półkę.

- Ember, masz olbrzymi talent do rozpoznawania kształtów, kolorów i powierzchni. Potrafisz je doskonale układać w większą całość. Założę się, że świetnie sobie radzisz z wszelkiego rodzaju układankami.

- Och, powinna ją pani przy tym zobaczyć - powiedziała Chena. - Kupiliśmy jej olbrzymią układankę z tysiąca kawałków, a mąż pomalował wszystkie na czarno, żeby jej utrudnić zadanie. Ułożyła całość prawie tak samo szybko.

- A niech tam. Zróbmy pierwszy test. Bardzo jestem ciekawa - rzekła z uśmiechem doktor Jackson.

Na stole leżało żółte plastikowe pudełko. W każdej z sześciu ścian znajdowały się trzy otwory o różnych kształtach. Doktor Jackson zdjęła wieczko i wysypała osiemnaście plastikowych klocków.

- Ember, włóż te klocki z powrotem na miejsce, najszybciej jak potrafisz. Jeszcze nie. Zacznie, kiedy powiem, już". - Wyjęła z kieszeni stoper. - Już!

Ręce Ember śmigały nad stołem chwytając plastikowe gwiazdki, trójkąty, półksiężycy oraz inne klocki, wciskając je w otwory pudełka.

- Brawo - pochwaliła doktor Jackson zatrzymując stoper. - Trzydzieści sześć sekund.

- Czy to dobry wynik? - Spytała Chena.

- Nigdy nie słyszałam, żeby pięcioletnie dziecko skończyło w podobnym czasie. Sama spróbowałam kiedyś swoich sił w tym teście. Mój najlepszy wynik to pięćdziesiąt sekund, ale osiągnęłam go dopiero za trzecim razem.

Ember wciągnęła głęboko powietrze; jej ramiona opadły nieco. Zerknęła na matkę. Na razie nieźle mi idzie, pomyślała. Doktor Jackson zaprowadziła Ember do plastikowego stolika. Stała na nim niewielka świeczka i kartonowe pudełeczko pinezek. Na ścianie obok wisiała korkowa tablica. Ember usiadła na jasnoczerwonym plastikowym krzeselku, a doktor Jackson wyjaśniła zadanie: ułożyć przedmioty w taki sposób, aby po zapaleniu świecy wosk nie skapywał na stół.

Ember pokazała gestem, że na stole nie ma zapalek.

- Nie musisz zapalać świecy, kochanie. Pokaż mi tylko, jak wykonałabyś to zadanie.

Ember przyjrzała się przedmiotom.

- Nie istnieje jeden jedyny poprawny sposób zrobienia tego. Zrób to tak, jak uważasz, że będzie dobrze.

Ember podniosła pudełko i opróżniła. Przebiła pinezką dno pudełka, ustawiła na czubku świecę i postawiła pudełko z powrotem na stole. Konstrukcja przewróciła się, więc Ember wbiła cztery pinezki w rogi pudełka od wewnątrz, tak że stanęło na maleńkich metalowych nóżkach. Ale pudełko ze świecą nadal się chwiało, więc przyczepiła je pinezkami do korkowej tablicy.

- Teraz dobrze - stwierdziła z uśmiechem doktor Jackson. - Ciekawe rozwiązanie.

- Czy to był test na twórcze myślenie? - Spytała Chena.

Doktor Jackson skinęła głową.

- Tak, ten test pokazuje umiejętność twórczego rozwiązywania problemów. Ember, jesteś pierwszym dzieckiem, które przyczepiło pudełko do tablicy. Niektóre dzieci wkładają świecę do środka, a większość próbuje ustawić ją na wierzchu.

- Ja umiem robić niektóre rzeczy lepiej od innych dzieci - powiedziała Ember, starając się mówić jak najwyraźniej. Ale i tak wiedziała, że mówi podobnie do dzieci, które przedrzeźniały ją mówiąc i trzymając się jednocześnie za język.

- Co powiedziałaś, kochanie?

- Że potrafi robić niektóre rzeczy lepiej od innych dzieci - powtórzyła Chena. - Właściwie to prawie we wszystkim jest lepsza od dzieci w jej wieku. Jest szybsza, silniejsza - nawet od chłopców - i nikt jej nie dorównuje w zabawach takich jak układanki czy gry pamięciowe.

- Wiem, że Ember jest uczennicą w Amerykańskiej Szkole Języka Migowego.

- O, to jeszcze inna historia - powiedziała Chena uśmiechając się do Ember. - Moja druga córka, Kaigani, w wieku trzech lat zachorowała na szkarlatynę i całkowicie straciła słuch.

- Bardzo pani współczuję.

Chena skinęła głową.

- To było straszne przeżycie dla całej rodziny. Poszliśmy z mężem do szkoły, żeby nauczyć się języka migowego, a potem przekazać tę wiedzę dziewczynkom. Siadywaliśmy w kuchni i ćwiczyliśmy z książką. Ember miała cztery latka, a Kaigani trzy. Ember zapamiętała każdy znak, jakiego użyliśmy, nauczyła się wszystkich znaków w ciągu dwóch czy trzech posiedzeń. Zapamiętała je i po kilku dniach porozumiewała się językiem migowym, i to płynnie. Nauczyła go Kaigani, a Jimmy i ja musieliśmy ćwiczyć jeszcze kilka miesięcy. Nauczyciele w szkole języka migowego nigdy nie słyszeli, żeby ktokolwiek - dziecko czy dorosły - opanował ten język tak szybko.

Ember wzruszyła ramionami.

- A dzieci i tak się ze mnie śmieją - powiedziała. - Bo jestem niedorozwinięta.

- Posłuchaj mnie, Ember - zaczęła doktor Jackson. Uklękła, aby patrzeć dziewczynce prosto w oczy. - Ja bardzo dobrze znam się na tym, co dziecko powinno umieć i w jakim wieku. Uczę się o tym od bardzo wielu lat. Na podstawie testów, które przesłaś u pana Lewisa, i po tych kilku minutach, które spędziłyśmy razem, mogę powiedzieć, że z całą

pewnością nie jesteś niedorozwinięta. Rozumiesz? Prawda jest taka, że znacznie wyprzedzasz większość dzieci w twoim wieku. Wierzysz mi?

- Ale prawie wcale nie umiem mówić.

- No cóż. Mówienie to skomplikowana czynność. Czasami zdarza się, że niektórym ludziom coś przeszkadza mówić lub czytać. Ale z tymi ograniczeniami można sobie dać radę. To nie znaczy wcale, że jesteś gorsza od innych. Wcale nie.

Ember spuściła wzrok.

- Spójrz na mnie. Jestem profesorem na uniwersytecie. Napisałam trzy podręczniki. Wygłaszam wykłady w całym kraju i poza granicami. Uwierzysz mi, kiedy ci powiem, że kiedy byłam w twoim wieku, prawie wcale nie mogłam mówić? Tylko mama mnie rozumiała, i to najwyżej połowę tego, co chciałam powiedzieć.

Ember szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

- No widzisz - uśmiechnęła się doktor Jackson. - Czy uważasz, że byłam niedorozwinięta?

Ember potrząsnęła głową.

- A może trochę powolna?

Ember potrząsnęła głową jeszcze mocniej.

- Szurnięta? - Doktor Jackson przechyliła głowę wysuwając język na bok.

Ember zachichotała.

- Oczywiście, że nie. Mój mózg był tak dziwnie zbudowany, że nie umiałam składać słów we właściwej kolejności.

- Jak się nauczyłaś? - Spytała Ember.

Doktor Jackson nie zrozumiała.

- Jak się nauczyłaś? - Powtórzyła dziewczynka.

- Mówić - dodała Chena.

- Uczyłam się z logopedą, czyli specjalistą, który pomaga dzieciom mającym trudności z mówieniem. Pan Lewis jest takim właśnie specjalistą. Mój logopeda bardzo mi pomógł. Poza tym wiele zmieniło się wraz z dorastaniem. Niektóre z tych ograniczeń same się z wiekiem eliminują. Możliwe, że większość z nich zniknie, zanim skończysz dziesięć lat.

- Dopiero? Nie mogę tak długo czekać.

- Mówi, że nie może tak długo czekać.

- Tak, zaczynam się przyzwyczajać do jej sposobu mówienia. Widzisz, Ember, jestem też dobra w rozumieniu dzieci, które niezbyt dobrze mówią.

- Pan Lewis nie nauczył mnie lepiej mówić.

- Powiedzmy, że jestem od niego starsza i bardziej doświadczona. Był moim studentem, dlatego cię do mnie przysłał. Jestem uważana za jedną z najlepszych specjalistek od zaburzeń mowy na świecie. Wierzysz mi? Myślę, że wiele razem zdołaliśmy. Co ty na to? Zaufasz mi?

Ember skinęła głową. Uznała, że mimo wszystko lubi tę starszą panią o pomarszczonej twarzy.

- Ale zanim zaczniemy, musisz mi z góry zapłacić.

Ember poczuła skurcz w piersiach. Zaczęła kręcić palcem lok swoich ciemnych włosów.

- Ja nie mam pieniędzy... - Powiedziała cicho.

- Nie chodzi o pieniądze, kochanie. Tym zajął się kto inny. Poza tym praca z tobą może przynieść mi jeszcze większą sławę, a to znaczy, że będę częściej wyjeżdżać do Paryża - powiedziała ze śmiechem doktor Jackson. - Chcę, żebyś oddała mi to, czego tak kurczowo się trzymasz, co nosisz blisko serca.

Ember dotknęła piersi i uniosła brwi.

- Daj mi swoje okropne, bolesne przekonanie, że jesteś gorsza i głupsza od innych dzieci. - Wyciągnęła do Ember otwarte dłonie i poruszyła palcami. - Daj. Zapłać mi, zanim zaczniemy pracować.

Ember zamknęła oczy, które zaszyły mgłą. Przyłożyła rozwarte dłonie do serca, gdzie czuła ból. Gdy otworzyła oczy, ujrzała doktor Jackson, która patrzyła łagodnie bladoniebieskimi oczami i kiwała powoli głową. Ember podała swój głęboko skrywany ból aniołowi w zielonej sukience. Doktor Jackson zamknęła dłonie, wstała i zaniósła do sąsiadującej z pokojem przyjąć łazienki. Zostawiła drzwi otwarte, żeby Ember mogła słyszeć głośny szum spuszczonej wody.

Rozdział 14

Yute Nahadeh siedział na szarej ławce szkolnego boiska w Whaler Bay i skręcał się ze złości. Patrzył bezradnie, jak dwadzieścia metrów od niego, na stanowisku miotacza neandertalska dziewczyna przygotowuje się do rzutu. Ember była ubrana w czarną koszulkę, żółte szorty, żółte skarpetki i ochraniacze. W przyszłym tygodniu miała skończyć dziesięć lat. Pozostałymi graczami byli chłopcy, niektórzy starsi od niej.

Yute przyłożył kamerę do oka i nagrał rzut. Wyobraził sobie, że na przyciśnięcie guzika czas zatrzymuje się, piłka zawisa w powietrzu, a on tymczasem podchodzi do dziewczynki, dotyka jej złocistej skóry i zagląda głęboko w oczy - i w umysł. Ember była żywym skarbcem wiadomości o pochodzeniu i rozwoju ludzkiego gatunku, opakowanym w gibkie ciało z burzą czarnorudych włosów.

Patrzył teraz na nią przez wizjer, tak jak astronom spogląda na nowo odkrytą planetę: przedmiot nieskończonej piękności, obserwowany jednak z olbrzymiej odległości, której nigdy nie będzie mógł pokonać.

Przez kilka pierwszych lat życia Ember Chena chętnie rozmawiała z Yute i odpowiadała na wszystkie pytania dotyczące jej rozwoju. Potem nagle przestała współpracować.

- Powiedz nam, kim ona jest, kim są jej rodzice - zażądał Jimmy. Yute odpowiedział wymijająco. - A więc nie naprzykrzaj się nam więcej. Nic ci już nie powiemy i nie chcemy nic wiedzieć o jej rodzicach. Ember należy teraz do naszej rodziny. Nie będziemy z tobą więcej rozmawiać.

Yute odłożył kamerę i wziął lornetkę.

Strugi potu spływały po skroniach Ember. Włożyła rękawicę baseballową między kolana i poprawiła opaskę na włosach. Aż do tej pory przeciwnik ani razu nie trafił rzuconej przez nią piłki.

Aluminiowy kij uderzył piłkę, która poleciała w górę wysokim łukiem. Obrońca zrobił trzy kroki do przodu i piłka spadła na jego rękawicę. Biegacz bez trudu dotarł do pierwszej bazy. Kolejny czekał już w trzeciej.

No, Ember, pokaż im, z kim mają do czynienia! - Kibicował jej w duchu Yute.

Dziewczynka wyglądała na zmęczoną. Między jednym a drugim rzutem pocierała ramię. Wyeliminowała już dwóch pałkarzy. Jej drużyna prowadziła cztery do jednego.

Szczupły dwunastolatek zbliżał się do stanowiska wymachując niebieskim kijem. Splunął w dłonie, potarł i wykonał kilka próbnych uderzeń. Obrońcy cofnęli się aż pod płot.

- Wysoko, Tom! - Krzyknął ktoś.

- No, Zurzyn, pokaż, co umiesz! - Szydził pałkarz.

Pierwszy rzut był podkreślony w zewnętrzną stronę. Chłopak machnął kijem z całej siły, ale nie dosięgnął piłki.

Ember uśmiechnęła się promiennie.

- Mam jeszcze dwie szanse! - Zawołał chłopak. - Tak dostaniesz piłkę, że ci wyjdzie bokiem!

Ember podniosła prawą rękę i lewą nogę. Wyrzuciła piłkę, przekazując jej całą energię nagromadzoną w ciele. Piłka wpadła w rękawicę obrońcy z drużyny Ember, gdy pałkarz był w połowie zamachu. Obrońca zrzucił rękawicę i potrząsnął dłonią, sycząc z bólu.

Yute zachichotał.

- Brawo, Ember! - Szepnął. - Niezły rzut jak na dziesięciolatkę.

Ember przyglądała się pałkarzowi z uśmiechem.

- Wbiję ci te wielkie meksykańskie zęby do gardła - warknął chłopak.

- Licz się ze słowami. To tylko gra! - Zawołał Yute.

Tom odwrócił się i uniośł środkowy palec. Ember spojrzała na Yute lekko zmrużonymi oczami. Przechyliła głowę i prawie niezauważalnie wciągnęła powietrze. Szkoda, że tego nie nagrałem, pomyślał Yute. Muszę zanotować.

- Przestań obwąchiwać narzeczonego i graj - rzucił Tom.

- Dam ci szansę, Tom. Uważaj.

Ember nadała piłce rotację do wewnątrz. Piłka poleciała w lewo, a potem skręciła nagle w drugą stronę. Tom zorientował się za późno i chociaż machnął wściekle kijem, ledwie zahaczył piłkę, która wysokim łukiem poszybowała do Ember.

Tom rzucił się do pierwszej bazy nie spuszczając piłki z oczu. Ember śledziła jej lot; zrobiła krok w lewo, w ostatniej chwili obróciła się zwinnie i gołą ręką złapała piłkę spadającą jej za plecy.

Tom podbiegł i popchnął Ember. Dziewczynka zachwiała się i cofnęła.

- Próbujesz sobie ze mnie kpić? No co?

Zawodnicy z obu drużyn zbiegli się i otoczyli stojącą naprzeciw siebie dwójkę.

- Przestań! - Zawołał Yute przeskakując po ławkach. - Dość tego!

Przedarł się przez szereg chłopców. Ember i Tom mocowali się ze sobą leżąc na ziemi. Ember uwolniła się z uchwytu i wstała. Tom pozbiierał się na równe nogi i rzucił się w stronę

Ember, ale Yute wystawił rękę. Chłopak odbił się i upadł twardo na tyłek. Rozległy się śmiechy.

- A ty kim jesteś, do cholery? Jej gorylem? - Tom wstał i próbował obejść Yute. - Odsuń się, to nie twoja sprawa!

Yute złapał go, odwrócił i popchnął lekko.

- Uspokój się, to była tylko gra. Przegrałeś. I co z tego? Zachowaj się jak prawdziwy sportowiec.

- On nie umie - powiedziała Ember. Tom patrzył na przeciwników spode łba.

- Zapłacisz mi za to. I ty też, frajerze.

Odwrócił się i przecisnął przez szereg. Kilku kolegów z drużyny ruszyło za nim. Pozostali zawodnicy zebrali rękawice oraz kije i poszli do rowerów ustawionych gęsto przy ścianie budynku szkoły.

- Dziękuję panu - powiedziała Ember mijając Yute.

- Nie ma za co, Ember.

Ember zatrzymała się i odwróciła.

- Skąd pan zna moje imię?

Serce Yute zabiło mocniej. Czy powinienem z nią rozmawiać? Jeśli powie Jimmy'emu i Chenie, znajdą sposób, aby uniemożliwić mi przyjazdy na wyspę i obserwację córki.

- Usłyszałem - odparł Yute wzruszając ramionami.

- Oni wołają na mnie Zurzyn.

Ember przyglądała mu się uważnie. Yute przełknął ślinę.

- Hej, palancie! - Zawołał Tom. - To twoje?

Zanim Yute zdążył cokolwiek powiedzieć, chłopak roztrzaskał kamerę o stalową barierkę. Plastikowe części rozpadły się, szkło rozsypało się po betonie. Tom zamachnął się, wyrzucił zniszczony sprzęt. W triumfie zawył jak kojot, zeskoczył z ławki i popędził do motoroweru. Ruszył ostro, odjechał na tylnym kole, wzniecając tumany kurzu.

- Przykro mi - powiedziała Ember. - To moja wina.

Yute spojrzał w jej zielone oczy zachodzące łzami.

- Nie, to wcale nie jest twoja wina. On to zrobił, nie ty. - Uśmiechnął się do Ember. - Nie jesteś niczemu winna.

Skinęła głową.

Tuman kurzu na drodze wznosił się wysoko. Stukot dwusuwowego silnika odbił się o zbocze porośniętych lasem gór.

- Jacy są rodzice tego chłopaka?

- Nie ma matki. A ojciec chyba się go pozbył... Mieszka z babką, tak mi się wydaje. To najgorszy łobuz w szkole. Wszystkie dzieci się go boją. Nauczyciele też.

- Ale ty nie?

- Po co nagrywał pan zwykły szkolny mecz?

Nieważne, że powie Jimmy'emu i Chenie, zdecydował Yute. To nie do zniesienia, że muszę ją obserwować na odległość. Chcę prowadzić badania na wszystkich poziomach, z bliska. A do tego potrzebna jest zgoda samej Ember.

- Nazywam się Yute Nahadeh. Jestem antropologiem. Rodzice powiedzieli ci chyba o mnie?

Ember skinęła powoli głową, patrząc na Yute szeroko otwartymi oczami.

- Filmowałem cię. Pewnego dnia się spotkamy i wtedy powiem ci, kim naprawdę jesteś.

- Muszę już iść - powiedziała Ember.

Yute patrzył za nią. Odwróciła się, a potem wskoczyła na rower, stanęła na pedałach i odjechała.

- Tylko ja mogę ci pomóc - powiedział cicho Yute. - Przyjdiesz do mnie. Może upłynie wiele lat, ale będę czekał.

*

Ember wśliznęła się do łóżka między śpiących rodziców i położyła na plecach. Ojciec westchnął, przewrócił się we śnie na drugi bok. Matka otworzyła oczy. Za oknem księżyc w trzeciej kwadrze oświetlał czubki sosen rosnących na grzbiecie Big Drum Ridge. Słysząc było cykanie świerszczy, kumkanie żab drzewnych i piskliwy dialog dwóch puchaczy.

- Miałaś zły sen, kochanie? - Spytała Chena. Ember skinęła głową.

- Ten sam?

- Tak - potwierdziła cicho Ember. - Ale tym razem obudziłam się, zanim ludzie zakopali się w lodowej jaskini.

Matka objęła ją ramieniem i przytuliła.

- Kiedy zrozumiesz, co chcą ci powiedzieć duchy opiekuńcze, sen przestanie być potrzebny.

- Zawsze to powtarzasz, mamo.

- Bo to prawda - szepnęła Chena zamykając oczy.

- Łososie uciekają - powiedział ojciec przez sen.

Ember zachichotała.

- Łap je szybko, tato.

Czuła się bezpiecznie między rodzicami. Ciepło ich ciał przenikało jej mocne mięśnie. Odetchnęła głęboko.

Skóra Jimmy'ego i jego długie włosy pachniały rybami i potem, tytoniem ze skrętów, żywicą sosnową i cedrową, benzyną, skórzanymi butami i dzinsami, a także psem Chinookiem. Chena pachniała mydłem ziołowym i szamponem rozmarynowym, pastą miętową, rozgrzaną bawełną i szczególnym ziemistym aromatem, który kojarzył się Ember z zapachem wszystkich dorosłych kobiet.

Nos, pomyślała. Tak mnie nazywają Nahvi i Ona. Ale jak mam się tego pozbyć? Nie wiem, dlaczego czuję zapachy, których inni nie czują. Nie wiem, dlaczego jestem inna niż wszyscy. Tylko ja dostałam okres w czwartej klasie i tylko mnie urosły piersi w piątej. No i jeszcze Chawnee, ale ona jest bardzo gruba.

A to przecież nie wszystko. Dlaczego mam takie silne mięśnie? Żadna dziewczyna, nawet z ogólniaka, nie jest taka silna jak ja. Tylko Bobby, Sook i może jeszcze John... Nie, on nie... W całej szkole tylko Bobby i Sook dorównują mi siłą. A oni trenują podnoszenie ciężarów.

- Mamo - szepnęła. - Słyszysz?

- Mhm.

- Nie rozumiem, dlaczego ludzie są tacy źli. Gdybym była normalna i zobaczyłabym kogoś takiego jak ja, nie czułabym do tej osoby nienawiści, nie przeżywałabym jej bez powodu, tylko dlatego że jest inna.

Chena otworzyła oczy i pogładziła Ember po twarzy.

- Każdy jest tym, kim jest - szepnęła. - To prawdziwe szczęście, że masz wielkie serce. Niektórzy muszą żyć bez serca długo, bardzo długo, dopóki nie nauczą się kochać innych ludzi.

Ember westchnęła i spojrzała na księżyc. Jego blask wydobywał z ciemności niewyraźne kształty sprzętów w pokoju. Cedrowa komoda z wyrzeźbioną głową bobra, krzesła i biurka z drewna brzoźowego. Na ścianie spiżarni wisiał obraz. Ember rozróżniała niewyraźne sylwetki wojowników z plemienia Quanoot płynących wojennym canoe na spotkanie rosyjskiego okrętu widocznego na horyzoncie. Na suficie i ścianach tańczyły cienie gałęzi drzew.

Ember rozmyślała o śnie, który ciągle do niej powracał. Ludzie ze snu mieli skórę i włosy takiego samego koloru jak ja. Chyba z tysiąc osób powiedziało mi już, że nigdy nie widzieli takiego koloru skóry. Pan Boniface mówi, że zwiedził cały Wschód i nigdzie nie spotkał ludzi o złocistej skórze takiej jak moja.

- Nie śpisz, mammo?

- Mm.

- Pamiętasz na pewno ten wielki wykres z ilustracjami. Ani jeden człowiek nie miał złotej skóry. Powiedziałaś, że może jedno z moich rodziców było Samończykiem, a drugie Chińczykiem z prowincji Han...

Niemożliwe, pomyślała Ember przesuwając sobie na twarz lok gęstych włosów. Nikt nie ma takich włosów, nikt nie ma takiej twarzy. Jestem jak zoo z jednym okazem. Nie wiadomo co. Na całym świecie nie ma nikogo, kto byłby do mnie podobny.

- Tom, Bobby i reszta nazywają mnie Zurzyn - szepnęła. - W końcu spytałam ich, co to znaczy. Powiedzieli, że to skrót od „złoty Murzyn”. To wstrętne, że ktoś może myśleć w taki sposób. Czy to ważne, jaką ktoś ma skórę? To tylko skóra. Ja mam złotą skórę, Kaigani miedzianą, skóra taty ma kolor ciemnego, zardzewiałego żelaza, a twoja jest cyrkonowa. Inni ludzie są ciemnobrązowi, różowi, a jeszcze inni mają skórę barwy słomy. Kogo to obchodzi?

Za oknem rozległo się hukanie i wielki ciemny kształt przemknął wśród cieni, gałęzi na suficie. Puchacz.

- Nie boję się takich jak oni. Naprawdę. Nie boję się z nimi walczyć. Śmieją się ze mnie, więc czasem ściska mnie w żołądku, kiedy ich widzę. Ale nie boję się walczyć. Czasami naprawdę mam ochotę się z nimi bić.

Ember mimo woli wypowiedziała głośniej ostatnie słowa. Zaraz jednak ściszyła głos do szeptu.

- Wydaje mi się, że Bobby, Tom i reszta boją się mnie, bo tak szybko biegam, dobrze gram w baseball i w piłkę. Ale to takie głupie z ich strony! Wszystkie dzieci stają się przy mnie nerwowe, mammo. To okropne! Tylko dlatego że jestem... - Ember przełknęła głośno ślinę i położyła dłoń na twarzy. Przesunęła palcami po dużym nosie, ustach i szczęce.

Inna. I zawsze będę inna, bez względu na to, jak dobrze będę umiała mówić. Fala smutku zalała jej piersi. Ember starała się opanować to uczucie, spojrzeć na nie z zewnątrz. Poczula się jak ptak umykający przed swoim bólem. Uległa mu z westchnieniem. Łzy popłynęły spod jej powiek. Pierś uniosła się, ramiona zadrżały, ale łkała prawie bezgłośnie.

Po chwili opanowała płacz. Podobno wystarczy popłakać, żeby poczuć się lepiej. Matka oddychała równo, ojciec cicho chrapał. Przesunął się do środka łóżka i zrobiło się ciasno, ale Ember nie rozepchnęła rodziców. Potrzebowała bliskości ich oddechu. Ujęła dłoń matki i położyła sobie na sercu.

Kocham ciebie i tatę. I Kaigani. Ale trudno mi żyć dalej nie wiedząc, kim naprawdę jestem.

Ember przypomniała sobie mężczyznę, którego spotkała na boisku. Yute Nahadeh. Jej oczy go nie rozpoznały, ale nos skojarzył jego zapach z przeszłością, z chwilą kiedy się urodziła.

On wie, kim naprawdę jestem. Zadrzała na tę myśl.

Jest tylko jedna rzecz gorsza od tego, że nie wiem, kim naprawdę jestem: dowiedzieć się, że jestem kimś, kim nie chcę być, kogo nikt nie będzie kochał. Wtedy będę już pewna, że zostanę sama na zawsze.

Patrzyła, jak cienie wędrują powoli po suficie i znikają w różowym świetle. Wtedy zasnęła, wyczerpana.

Znów śniła o ludziach w lodowej jaskini.

Rozdział 15

Wschodzące słońce oświetliło szczyty Gór Kaskadowych, zalewając ciepłym blaskiem rozległe pastwisko na ranczu Stracony Weekend należącym do doktor Marty Jackson. Smugi mgły leniwie rozpląwały się w porannym powietrzu. Promienie złotego światła padły na sylwetki kilkunastu pasących się koni.

- Tu jest jeszcze piękniej, niż sobie wyobrażałam - powiedziała Ember.

Doktor Jackson skinęła głową.

- Prawda, że to prawdziwy raj? Uwielbiam to miejsce. Od północy ranczo graniczy z rezerwatem Tolt, od wschodu i południa z Parkiem Narodowym Snoqualmie, a od zachodu z sadami, które ciągną się aż po horyzont. Nie grozi nam więc, że niespodziewanie wyrosnie nam pod nosem jakieś przedmieście.

- Nam?

- Tak. Mnie i moim koniom.

- Czy wszystkie należą do pani?

- Właściwie tylko cztery. Mam dużą stajnię, mnóstwo żyta i trawy na pastwisku, więc ludzie oddają mi konie na przechowanie.

- Jaki piękny! - Wykrzyknęła Ember. Nakrapiany siwo-biały ogier wierzgał w przód i w tył z wysoką uniesioną głową. Na zadzie i pęcinach miał brązowe plamy wielkości jabłka. - Ten podoba mi się najbardziej.

- Masz dobre oko - pochwaliła doktor Jackson. - To appaloosa. Mój własny, ulubiony. Nazwałam go Jabłko, bo jest jabłkowitej maści, a poza tym jabłka to jego przysmak.

- Nawet kopyta ma ładne, w pionowe paski.

- Kopyta w paski i plamki na ciele to cechy tej rasy. Konie appaloosa pochodzą od Indian z plemienia Palouse, które żyje tutaj i w Idaho. To narowiste wierzchowce, z ogromnym temperamentem, a ten jest pięknym okazem. Popatrz, jakie ma mięśnie na piersi.

- Wydaje się, że jest bardzo dumny.

- Dumny i uparty. To jedyny nie ujeżdżony koń w stadninie. Pozostałe dobrze chodzą pod siodłem. Jeśli chcesz, możemy się wybrać na przejażdżkę po rezerwacie. Jest bajeczny. Rośnie tam mnóstwo dzikich kwiatów.

- Wspaniale.

Doktor Jackson miała na sobie dzinsy, koszulę rodeo z guzikami w kolorze pereł, wysokie buty i kapelusz stetson. Ember uznała, że logopedka wygląda wspaniale mimo swych

siwych włosów. Sama włożyła czerwoną bawełnianą bluzkę, dzinsy z obciętymi nogawkami i tenisówki. Na głowie również miała stetsona, którego doktor Jackson podarowała jej wczoraj na czternaste urodziny.

- Nie mogła go pani ujeździć?

- Ja? - Roześmiała się logopedka. - Jestem zbyt wątpła, żeby trenować konie. Wynajmuję do tego mężczyznę, ale Jabłko... Był takim nieposkromionym źrebakiem, że nie miałam serca, żeby kazać go ujeźdzać. Jest wolny. Lubię na niego patrzeć i to mi wystarcza.

Trawa usłana była jabłkami z drzewa, które rosło tuż za parkanem. Doktor Jackson podniosła dwa duże różowe owoce i podeszła do ogrodzenia z drutu kolczastego.

- Potrafi być bardzo miły, jeśli ma nadzieję na jabłko. Chcesz go nakarmić?

- Pewnie.

Ember położyła jabłko na otwartej dłoni i wysunęła rękę za płot. Doktor Jackson gwizdnęła; konie zwróciły głowy w jej stronę. Niektóre ruszyły powoli do ogrodzenia, ale Jabłko popędził galopem i zatrzymał się tuż przed drutem. Piasek z jego kopyt spadł na gołe nogi Ember.

- Ale piękny! - Zawołała dziewczyna.

- Nie mogę uwierzyć, że się nie cofnęłaś - powiedziała logopedka. - On straszy w ten sposób każdą nową osobę i wszyscy się przewracają. A z tobą nie miał żadnej zabawy. Zamrugłaś chociaż oczami?

- To dziwne... - Powiedziała Ember wzruszając ramionami. Czuła, że nawiązała emocjonalny kontakt z koniem. - Zdawało mi się, że z ruchów jego ciała potrafię odgadnąć, co chce zrobić.

- Wiedziałaś, że świetnie będziesz sobie radzić z końmi. Naprawdę. Zdziwiłabym się, gdyby było inaczej.

Ogier schrupał jabłko z dłoni doktor Jackson; sok ściekał mu z pyska. Potem zjadł jabłko z ręki Ember. Podniosła dłoń, żeby poklepać go po głowie, ale koń potrzęsnał łbem, odrzucając jej rękę.

- Mówiłam, że jest niesforny.

Zbliżyły się pozostałe konie. Ember podniosła drugie jabłko i podsunęła ogierowi, ale kiedy wyciągnął łeb, żeby je zjeść, odeszła i podała owoc stojącej obok szarej klaczy. Ogier parsknął.

Ember podniosła jeszcze dwa jabłka.

- Jeśli chcesz dostać to smaczne, soczyste jabłuszko - podniosła je, żeby koń lepiej widział - to musisz pozwolić mi się dotknąć. Tylko raz. Masz taką miękką grzywę. Nie zrobię ci nic złego.

Ogier zniżył łeb, żeby wziąć jabłko. Ember położyła dłoń na jego czole. Koń potrząsnął głową i odrzucił rękę.

- Świetnie, w takim razie jabłko dostanie twoja narzeczona - powiedziała Ember podając owoc siwej klaczy. Pogłaskała białą gwiazdkę na jej czole. - Widzisz, Jabłko? Jej się to podoba. Głazczę ją delikatnie, jestem dla niej dobra.

Wyciągnęła dłoń z drugim jabłkiem. Ogier sięgnął wargami po owoc. Ember znów położyła dłoń na jego miękkiej grzywie. Odrzucił łeb i wypuścił owoc z pyska, cofając się o krok.

- Nic z tego. Nie dostaniesz, dopóki mi nie pozwolisz...

Ember po raz kolejny wysunęła dłoń z jabłkiem. Koń szybkim ruchem wyciągnął łeb, złapał jabłko w pysk i cofnął się, żeby zjeść owoc poza zasięgiem rąk dziewczyny.

- Ty oszuście! - Zawołała Ember ze śmiechem. Doktor Jackson również parsknęła śmiechem.

- To jest właśnie jego nieposkromiona natura.

Jabłko schrupał owoc, po czym odrzucił głowę w tył i zarżał patrząc prosto na Ember, która znów się roześmiała. Potem odrzuciła głowę do tyłu i zarżała dokładnie tak samo jak koń.

Doktor Jackson uniosła brwi ze zdumienia.

- Mówiłaś, że nigdy jeszcze nie miałaś kontaktu z końmi. - Bo nie miałam.

- Dałabym głowę, że byłaś kiedyś koniem.

- No, koniku - zachęcała Ember wyciągając kolejne jabłko. - Za darmo. Nic nie musisz robić.

Podawała koniowi jeszcze trzy jabłka, nie próbując go głaskać. Pachniał cudownie. Ember chciała otulić się jego gęstym, ciepłym aromatem jak szlafrokiem. Owładnęło ją pragnienie, żeby biec obok konia ile sił w nogach.

- Mogę przejść na drugą stronę?

- On gryzie!

Ember już wdrapywała się na ogrodzenie.

- Nie, on tylko chce się pobawić.

- Bądź ostrożna.

Dziewczyna zeskoczyła na trawę. Zaalarmowane konie podniosły głowy i cofnęły się nieco. Jabłko zarżał, odwrócił się i pokłusował. Ember zapięła pasek kapelusza i popędziła w ślad za koniem, pochylona, stopami ledwo dotykając ziemi. Dogoniła go i klepnęła w zad. Ogier wierzgnął i stanął dęba. Ember gwizdnęła i rzuciła się biegiem w przeciwną stronę. Jabłko pogalopował za nią.

Dziewczyna odwróciła się nagle i stanęła na wprost szarżującego konia.

- Uwważaj! - Krzyknęła doktor Jackson.

W ostatniej chwili ogier zahamował; Ember odsunęła się, klepnęła go w łopatkę i skoczyła w stronę kępy dębów. Jabłko pocwałował za nią. Kiedy dotarł do celu, zwolnił i zaczął kręcić głową rozglądając się za dziewczyną. Rzucał łbem i węszył, szeroko rozchyliwszy chrapy.

Ember zachichotała.

- A kuku! Tu jestem!

Koń uniósł łeb. Dziewczyna zeskoczyła na ziemię i ponownie klepnęła go w zad, a potem pomknęła jak szalona do ogrodzenia. Ogier pogalopował za nią. Ember oparła rękę na słupku, przerzuciła nogi na drugą stronę i zeskoczyła.

Jabłko parskął, rżał i wierzgał po swojej stronie płotu, nie spuszczać błyszczących oczu z dziewczyny. Pierś mu falowała, a na szyi ukazały się żyły grube jak postronki.

Ember podniosła jabłko i wyciągnęła w stronę konia, rżąc przy tym czystym, wysokim tonem.

Appaloosa zniżył łeb i podreptał do płotu. Wziął z ręki dziewczyny soczyste żółte jabłko i zgniótł w zębach.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, dysząc ciężko. Koń przełożył głowę nad płotem. Ember pogładziła miękką, pstrokatą grzywę. Stanęła na palcach, potarła nos o jego spoconą szyję. Potem oparła twarz na pysku konia i pocałowała.

Doktor Jackson gwizdnęła z cicha.

- Powiedzieć, że byłaś koniem, to za mało. Ty jesteś koniem.

*

Chłodna mgła oblepiała drobnymi kropelkami ręce i nogi Ember. Doktor Jackson zaciągnęła na głowę kaptur kurtki. Zapach ryb mieszał się w powietrzu ze spalinami z silnika wieczornego promu. Chmury zawisły nad morzem purpurową kurtyną, przesłaniając zachodzące słońce.

Tego ranka Ember odbyła swą ostatnią sesję terapeutyczną z doktor Jackson. Po jedenastu latach ćwiczeń nadal miała problemy z wymawianiem głosek u, l oraz s, lecz na

porannych zajęciach właściwie nie zajmowały się artykulacją. Po prostu rozmawiały na różne tematy; doktor Jackson opowiadała o latach spędzonych w stadninach w Lexington w stanie Kentucky; wspominały czas spędzony razem na ranczu Stracony Weekend; Ember mówiła o swojej tajnej kryjówce w lesie na wyspie. Po południu wybrały się na lunch, a później na lody; rozmawiały, śmiały się, i tak upłynął czas. A teraz doktor Jackson odprowadzała Ember na prom.

Ember bała się chwili, gdy będzie musiała pożegnać się z nauczycielką. Przygniatało ją poczucie bolesnej straty; czuła, że nigdy więcej nie ujrzy przyjaciółki. Stały teraz obok siebie, a Ember patrzyła w ziemię. Coś ścisnęło ją za gardło, nie pozwalało wydobyć słowa.

Doktor Jackson przerwała milczenie.

- Bardzo dużo osiągnęłaś - powiedziała cicho. - Jestem z ciebie taka dumna. Teraz musisz tylko ćwiczyć na co dzień, rozmawiać z ludźmi.

Ember skinęła głową.

- Wiesz, to naprawdę niezwykle i cudowne, żeby w wieku siedemdziesięciu trzech lat mieć bliską szesnastoletnią przyjaciółkę. Nasza więź była silna od samego początku. Ja... Nigdy nie miałam córki... Przecież wiesz...

Ember zacisnęła usta. Łzy popłynęły jej po twarzy. Drżąc na całym ciele wyciągnęła rękę z podarunkiem.

- To na pamiątkę... - Wykrztusiła.

Doktor Jackson odwinęła prezent. W pudełku z kartonu znajdował się plastikowy model przezroczystego człowieka-konia, który Ember specjalnie zamówiła w sklepie.

- Przezroczysty centaur! - Zawołała doktor Jackson i roześmiała się melodyjnie. - Dziewczyno, ty jesteś niesamowita.

- Nigdy pani nie zapomnę - wykrztusiła Ember. Chciała powiedzieć sto rzeczy naraz: „Za to, że kochała mnie pani taką, jaka jestem; za wszystko, co pani dla mnie zrobiła”. Ale zamiast tego rzekła tylko: - Kocham panią.

Spojrzały sobie w oczy i czas jakby zatrzymał się w miejscu.

- Ja też cię kocham.

Padły sobie w ramiona i rozplakały się. Ember poczuła nieme wyznanie ciała, które obejmowała: doktor Jackson była bliska śmierci i wiedziała o tym. Ból przeszył serce Ember. Zapragnęła przelać swą młodość i życie w ciało przyjaciółki.

Okno prawdy zamknęło się i znów były dwiema zwykłymi przyjaciółkami, które się rozstają.

- Jeszcze się zobaczymy - powiedziała doktor Jackson. - Twój ojciec zabierze nas na ryby albo ty przyjedziesz na ranczo. Jabłko cię uwielbia. Oprócz ciebie nikt nie może go dosięść.

Doktor Jackson uśmiechnęła się promiennie przez łzy.

- Daję ci go. Od dzisiaj Jabłko należy do ciebie. Co ty na to?

Ember skinęła głową. W tym momencie rozległo się wycie syreny promu. Zapaliły się czerwone i zielone światła pokładowe. Ember wbiegła po aluminiowym trapie. Marynarz uruchomił elektryczny kołowrót, który wciągnął pomost.

Ember zamachała ręką na pożegnanie.

- Będę za panią tęsknić!

Doktor Jackson odpowiedziała tym samym gestem. Silniki promu zaryczały pełną mocą; speniła się woda wokół kadłuba. Przystań zaczęła się zanurzać w mroku. Ember patrzyła na swoją nauczycielkę, która powoli rozplywała się w oddali.

Rybitwy krążyły nad falami, raz po raz spadając w wodę z głośnym krzykiem. Ember zamknęła oczy, przywołując w pamięci melodyjny śmiech i zapach ukochanej przyjaciółki.

Rozdział 16

Promienie słońca przebijały się ukośnymi smugami przez korony drzew lasu Whaler Bay, rozsiewając złote plamy na zielonym dywanie z mchu. Ember wspinała się biegiem po zboczu wzgórza, lawirując wśród zbutwiałych pni pokrytych młodymi pędami krzewów i wysokich jak wieże czerwonych cedrów, które rosły tu już za czasów Kolumba. Para maleńkich kolibrów o rubinowych podgardlach zawisła na moment przy kępie dzikich lili, by zniknąć zaraz wśród zielonkawych pni obrosłych jemiolą i paprociami.

Ember była ubrana w czerwoną bluzę z napisem „Liceum Whaler Bay”, dzinsy z obciętymi nogawkami, białe podkolanówki i tenisówki. Mięśnie jej ramion i ud prężyły się przy każdym ruchu.

Obejrzała się. Kaigani zniknęła jej z oczu, ale tak dobrze było biec przed siebie z bijącym mocno sercem. Płuca zdawały się pękać z bólu, lecz Ember nie chciała zwalniać. Zawróciła po siostrę, kiedy dotrze na szczyt wzgórza. Czowała już zapach świerkowego młodnika po drugiej stronie wzniesienia. Stromizna zbocza zwiększyła się i Ember musiała mocniej pracować ramionami, aby posuwać się w tym samym tempie.

Kiedy poczuła klucie w płucach, powiedziała sobie, że to nie ból, lecz przyjemność, i przyśpieszyła jeszcze bardziej. Wiedziała teraz, że Nanehla, duch opiekuńczy, który czasem przybiera postać jelenia, wszedł w jej ciało. Ember-Nanehla wbiegła na szczyt wzgórza i padła na kolana, dysząc ciężko i śmiejąc się w głos.

Po chwili odpoczynku popędziła w dół. Kaigani ukazała się w odległości kilkudziesięciu metrów między pniami cedrów. Biegła w górę, a jej czarne włosy powiewały nad ramionami. Ember widziała już rumieniec na miedzianej skórze siostry i czerwone usta wydmuchujące powietrze przy każdym kroku. Długonoga, szczupła Kaigani wyglądała tak pięknie w biegu na tle zielonego lasu, że Ember po raz drugi zaczęła się głośno śmiać.

Kaigani dotarła wreszcie na szczyt; pochyliła się i oparła ręce na kolanach, dysząc ciężko z wysiłku. Uśmiechnęła się do Ember i wytknęła język jak zmęczony pies. Po chwili się wyprostowała.

- Śmiejesz się, bo jestem taka powolna? - Spytała w języku migowym.

- Śmieję się, bo jesteś taka piękna - odpowiedziała Ember w ten sam sposób. - Chodźmy. Moja kryjówka jest na dnie jaru.

Weszły razem w pachnący słodko świerkowy zagajnik. Maszerowały wzdłuż strumienia płynącego po dnie doliny, która zwężała się tak, że woda z trudem przeciskała się

między zboczami porośniętych drzewami bliźniaczych wzgórz. Było tak ciasno, że siostry musiały iść gęsiego. Woda w strumieniu szumiała i zaczynała się pieniać. Gdzieś z dołu dochodził głośny szum.

Kaigani klepnęła siostrę w ramię.

- Czuję to pod stopami - mignęła.

Zbocza wzgórz wznosiły się prawie pionowo. Tu i ówdzie wystawały z ziemi ostre kamienie. Nagle dolina otworzyła się na zalany blaskiem słońca głęboki, skalisty parów. Siostry stanęły na granitowym występie. Woda strumienia spływała w dół po sześciometrowej ścianie i z wściekłym impetem wpadała w środek białej kipieli. Staw miał głęboki szmaragdowy kolor, taki sam jak oczy Ember. Strumień wypływał z sadzawki i podążał dalej swoją drogą po skalistych mieliznach, a potem wijąc się znikał wśród lesistych wzgórz.

Oczy Kaigani rozbłysły od wewnątrz niczym latarnie.

- Cudownie - mignęła.

- Tsasanawa - powiedziała Ember z szerokim uśmiechem. Była z siebie dumna. Odnalazła mitologiczny raj Indian Quanoot.

Kaigani uśmiechnęła się, lecz wzruszyła ramionami. Nie odczytała ruchu warg siostry.

- Tsasanawa - powtórzyła Ember pokazując litery dłońmi. - Jest nawet wodospad - dodała w języku migowym.

- Prawdziwy raj - powiedziała Kaigani. Mówiła niewyraźnie, bo od trzeciego roku życia uczyła się mówić nie słysząc własnego głosu. - Jak go znalazłaś?

- Zwiedziłam dokładnie wszystkie te wzgórza. To była tylko kwestia czasu i łutu szczęścia. Trafiłam tu pięć lat temu. - Kaigani spojrzała na siostrę z wyrzutem. Ember dotknęła jej ręki. - Zawsze wiedziałam, że pewnego dnia pokażę ci to miejsce. Ale potrzebowałam go tylko dla siebie, żeby być sam na sam z Nanehlą.

Wypowiadając to imię skrzyżowała dłonie na sercu; potem skierowała prawą rękę do ziemi, a lewą uniosła ku niebu. Kaigani skinęła głową. - Znikałaś na długo. Mama, tata i ja myśleliśmy, że wyszłaś za niedźwiedzia.

- Mało brakowało - roześmiała się Ember. - Ale to inna historia.

Spojrzała w górę i uniosła palec. Stado złożone z kilkunastu czerwonoskrzydłych kosów przeleciało nad głowami sióstr i zniknęło nad wodospadem. Ptaki wyrównały lot tuż nad spienioną wodą w stawie i pofrunęły wzdłuż strumienia.

- Bardzo często widuję zwierzęta zachowujące się w ten sposób. One to robią wyłącznie dla zabawy. Ja też mam ochotę się bawić.

Zaczęła zdejmować bluzę, szorty i buty. Kaigani poszła w jej ślady i rozebrała się do jednocześnie kostiumu kąpielowego. Ember zdjęła z siebie wszystko. Była niewysoka, a mięśnie rysowały się wyraźnie na jej ciele. Miała jędrne, krągłe piersi. Na okrągłym podbrzuszu widać było leciutko zaznaczone fałdy, a niżej mocne, umięśnione uda. Złota skóra na całym ciele pokryta była delikatnym jasnym puszkciem. Czarne włosy z rudawym odcieniem falowały na jej głowie jak czapa, spadały na ramiona i plecy.

- W raję nie nosi się ubrań - powiedziała z uśmiechem. Kaigani rozejrzała się uważnie.
- Miej uszy otwarte, żeby nas nikt nie zaskoczył.

Ściągnęła ramiączka i zdjęła kostium. Gładka skóra na ramionach i drobnych piersiach zajaśniała w słońcu. Jej czarne jak atrament włosy o granatowym odcieniu sięgały aż do bioder. Kaigani była o piętnaście centymetrów wyższa od Ember i ważyła o kilka kilogramów mniej.

Ember była pewna, że jej smukła jak trzcina siostra jest najpiękniejszą dziewczyną na wyspie Whaler Bay, a może i na całym świecie. Stała na skraju występu skalnego i odwróciła się do Kaigani z uśmiechem. Ta jednak potrząsnęła zdecydowanie głową, wykonując ruch jakby łamania szyi.

- Nie bój się, woda jest głęboka. Skakałam stąd setki razy. Patrz.

Ugięła nogi w kolanach i odbiła się od kamienia. Na ułamek sekundy zawisła w rześkim górkim powietrzu niczym łabędź, z wygiętą szyją i rękami wyprostowanymi jak skrzydła. Nagle skręciła ciało w dół i plusnęła w wodę prawie pionowo.

Woda była zimna. Płynąc w górę Ember otworzyła oczy i ujrzała chmurę bąbelków tam, gdzie strumień wpadał do stawu. Wynurzyła głowę nad powierzchnię z głośnym okrzykiem. Strząsnęła z twarzy mokre włosy i spojrzęła w górę. Kaigani biła jej brawo.

- Chodź! - Zawołała Ember zachęcając siostrę szerokim gestem.

Kaigani pokazała ruchem ręki, żeby znieść na dół ubrania.

- Zostaw. Nie mu tu nikogo prócz nas - mignęła w odpowiedzi Ember.

Kaigani zniknęła na chwilę z pola widzenia, a potem skoczyła z rozpędu, krzycząc na całe gardło. Wynurzyła się, trzymając rękę za podbrzusze.

- Zabolało.
- Bezpieczniej jest skakać na głowę.
- Jeśli się ma mózg w stopach.

Igiełki zimna szczypały w skórę, ale mimo to siostry pływały przez dłuższą chwilę w miejscu, gdzie spieniona woda strumienia mieszała się ze spokojną taflą stawu. Kiedy któraś

podpływała za blisko, siła prądu spychała ją pod powierzchnię. Wreszcie popłynęły na brzeg i wpięły się na wielki płaski głaz.

- Nie dostałaś nawet gęziej skórki - powiedziała Kaigani drżąc w słońcu. Jej sutki nabrzmiały. Ściągnęła włosy na prawą stronę, żeby je wykręcić.

Skaliste ściany wąskiego jaru wznosiły się wysoko. Promienie południowego słońca odbijały się od skał i ogrzewały kamień, na którym opalały się siostry.

Ember wpatrywała się w czerwony blask na wewnętrznej stronie zamkniętych powiek. Ciepły kamień ogrzewał jej plecy. Odprężyla się; z każdym oddechem stawała się coraz bardziej miękka i spokojna. Nagle ogarnęło ją dziwne uczucie, jak gdyby głaz zaczął płynąć z wodą strumienia. Pozwoliła się nieść wodzie, gdziekolwiek zechce popłynąć. Potem uniosła się jak nagrzane słońcem powietrze. Wszystko wokół było czerwone i ciepłe, przesycone światłem, szmerem wiatru i bzyczeniem pszczół.

Wizja przyszła niespodziewanie.

Lód i śnieg. Ktoś dmie głośno na alarm w barani róg. Nadchodzą Zabójcy! Wszyscy do środka! Kobiety o złotej skórze odziane w zwierzęce futra biegną ku ciemnemu otworowi jaskini niosąc dzieci pod pachami. Muskularny chłopiec pędzi przed siebie z małą siostrą na plecach zawiniętą w worek z futra, który podskakuje przy każdym kroku. Mężczyźni z rudymi i jasnymi brodami pędzą stada kosmatych kóz i wołów do wnętrza olbrzymiej groty o ścianach z niebieskiego lodu.

W środku ludzie rozłożyli się na matach ze skór i suchej trawy. Niebieskawe światło pada na pociemniałe od dymu twarze dzieci, odbija się w ich przerażonych oczach. Panuje kompletna cisza, choć niektórzy porozumiewają się ożywionymi gestami. Kilku mężczyzn z pomocą wilków zapędza wreszcie dwa olbrzymie mamuty do stajni z twardego jak lód śniegu i zamyka wrota z konopnej siatki.

U-Ma, Matka-Szamanka, stoi w bielejącym od śniegu wejściu do groty. U jej nóg pręży się wielki biały wilk. U-Ma unosi prawą dłoń. Wszyscy kierują na nią wzrok. Słychać tylko świst wiatru i głębokie chrapanie mamutów nakarmionych mlekiem usypiającym. U-Ma przemawia do swych ludzi gestami rąk i ruchami ciała.

„Zabójcy dotarli na skraj naszych terenów łowieckich. Być może, zauważyli naszego zwiadowcę. Nadszedł czas”.

U-Ma i jej pomocnicy roznoszą mleko usypiające w miskach z wysuszonego torfu. W sąsiedniej grocie nakarmiono już mlekiem wilki, kozy, owce i woły. Druga grupa pomocników U-My rozdziela dodatkowe racje gorzkiej pasty, która sprawi, że nikt nie

zamarznie we śnie. Ludzie obejmują się z płaczem. Kobiety układają się do snu z dziećmi w ramionach, u boku swych mężów.

Małeńkie dziecko podbiega do U-My, obejmuje ją rączkami za nogę. Młoda kobieta odciąga opierającego się i kopiącego malca, którego krzyk niesie się echem po całej grocie; zakrywa mu ręką usta i daje pierś do ssania, aby uspokoić dziecko. Wreszcie kładzie się na macie obok rudobrodego mężczyzny.

„Zapamiętajcie zapach naszego świata, bo już się w nim nie obudzimy. Odnajdzie nas wielki czarownik z innego świata i przywróci do życia. Spijcie teraz jak niedźwiedzie zimą - aż do wiosny, gdy powróci słońce”.

U-Ma wychodzi z wilkiem z jaskini i wspina się do zasy śnieżnej usypanej nad wejściem. Przewraca stos gałęzi i biała lawina zasypuje otwór.

Zabójcy nie znajdują ani jednej ofiary. Lodowe łono Wielkiej Matki przechowa swe dzieci aż do dnia, kiedy się odrodzą...

Ember usiadła raptownie, trzęsąc się jak listek.

Kaigani spojrzała na nią troskliwie.

- Zimno ci? - Spytała w języku migowym.

Ember potrząsnęła głową z nieobecny spojrzeniem.

- Co się stało?

Kaigani wzięła siostrę w ramiona i ją kołysać. Ember rozplakała się. Kaigani spojrzała siostrze w oczy.

- Zły sen?

Ember potrząsnęła głową.

- Tym razem... Nie śniłam. Byłam tam. Byłam wśród tych ludzi, czułam ich zapach. Och, gdybyś mogła to zobaczyć. - Ember położyła sobie rękę na sercu. - Widziałam w snach ludzi o złotej skórze, widziałam różne rzeczy. Ale tym razem czułam ich zapach, a kiedy czuję coś w taki sposób, to jest tak, jakbym to znała. Tak jakby poczuć zapach i znać coś znaczyło dokładnie to samo. Czułam ich strach i smutek, tak jakby to był mój strach i mój smutek. Dotykałam ich wszystkich naraz... Trudno to wytłumaczyć, ale oni byli tak blisko jak ten głaz, jak ty. Teraz już wiem, że istnieją ludzie tacy jak ja. Moje plemię. Oni nie są snem; znam już ich zapach. Są tutaj, gdzieś w tym świecie. Nie wiem tylko gdzie.

Schowała twarz w dłoniach.

- Musieli się ukryć przed bandą morderców. To straszne.

Ember płakała. Jej mokre włosy spadały na ramiona niczym żywe pędy czerwonych alg. Kaigani głaskała siostrę po głowie.

...Lodowe łono Wielkiej Matki przechowa swe dzieci aż do dnia, kiedy się odrodzą...

Ember spojrzała na siostrę.

- Jest coś, co muszę zrozumieć, co muszę uczynić, coś bardzo pilnego. Ale nie rozumiem, co to wszystko znaczy. - Potrząsnęła głową. - Czuję, że jestem za nich odpowiedzialna, bo to moje plemię. Ich los zależy ode mnie.

Zamknęła oczy i zakołysała się, próbując przywołać uczucie, które jej umknęło.

- Oni czekają, aż ich ocalę! A ja nie wiem, jak to zrobić.

Kaigani skinęła głową. Nagle drgnęła i cofnęła się z przerażeniem w oczach, wyciągając palec nad ramieniem Ember. Zbliżał się ku nim duży czarny niedźwiedź, rozpryskując wodę w strumieniu. Wiatr wiał w jego stronę, więc Ember nie mogła go zwietrzyć, a była zbyt pochłonięta wizją, aby usłyszeć nadchodzące zwierzę. Omszały cedr stoczył się ze skały do wody i niedźwiedź zatrzymał się, pomrukując głośno i nie spuszczać oczu z sióstr. Kaigani zsunęła się z głazu, ciągnąc Ember za ramię.

- Wszystko w porządku - powiedziała Ember. - Nie bój się. To Doka, moja przyjaciółka.

Wśliznęła się do wody i szła powoli w stronę niedźwiedzicy z rękami wysuniętymi przed siebie i otwartymi dłońmi. Kaigani przykucnęła w wodzie za kamieniem. Zwierzę podeszło do Ember z głową spuszczoną jak pies. Ember zanurzyła palce w futrze niedźwiedzicy i zaczęła drapać ją mocno za uszami.

- Stęskniłam się za tobą.

Niedźwiedzica przymknęła ślepią i sapała z zadowolenia. Jej oddech miał rybi zapach.

- Napęłniłaś sobie brzuch, co?

Ember nazwała niedźwiedzicę Doka - babcia - z powodu siwego pyska. Trzy lata walczyła o zdobycie zaufania starej niedźwiedzicy, karmiąc ją rybami i okazując przyjaźń na wiele sposobów.

Uklęła i objęła grubą szyję zwierzęcia. Potem poprowadziła ją do siostry jak wielkiego obłaskawionego psiaka.

- Poznaj moją siostrę.

Kaigani wychyliła się ostrożnie zza głazu i znieruchomiła. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w nadchodzącą parę. Gdy Ember zbliżyła się z niedźwiedzicą, Kaigani wysunęła ręce do przodu, tak jak to uczyniła przedtem siostra. W tej samej chwili niedźwiedzica zmarszczyła nos, wężąc. Ember poczuła zapach ludzi sekundę później.

Niedźwiedzica odwróciła się gwałtownie, zwalając z nóg obie siostry, i pocwałowała niezgrabnie po mieliźnie. Ember zerknęła w górę wodospadu, ale nikogo nie zauważyła.

- Ktoś się zbliża - mignęła. - Chodź za mną.

Zanurkowała i popłynęła pod wodą do skalnej półki ukrytej pod wodospadem. Wdrapały się obie na śliski granit i stanęły w kroplistym obłoku. - Patrz! Gdzieś tu są gołe dziewczyny! - Dobiegł z góry męski głos.

- Znaleźli nasze ubrania - mignęła Ember.

- Kto?

Ember wzruszyła ramionami. Usta miała ściągnięte.

- Zurzyn, wiemy, że to ty! - Usłyszała krzyk. - Tylko ty masz takie wielkie giry! Gdzie się chowacie? Dajcie popatrzeć.

To Bobby Kynaka. Ember przeliterowała imię prawą ręką. Kaigani wsadziła kciuk w zwiniętą pięść drugiej dłoni i poruszyła. Ten gest oznaczał: „palant”.

- Dwóch palantów - sprostowała Ember, unosząc dwa palce. - Słyszę dwa głosy. Zaczekaj tu. Pójdę się rozejrzeć.

Kaigani złapała ramię siostry.

- Boję się.

- Wrócę za pół minuty.

Ember szukała czegoś, co mogłoby posłużyć za broń. Przyplęnęła ze starą gałęzią długości i grubości kija baseballowego.

- Trzymaj to. Wyobraź sobie, że jesteś na boisku. Jeśli jakiś facet wytknie łeb, wal z całej siły. Wrócę za kwadrans, a ty bądź dobrym baseballistą.

- Hej, Zurzyn, gdzie schowałeś Kaigani? - Wrzeszczał Bobby. - Wydaje się wam, że jesteście w dziewiczym lesie, co?!

Ember przepłynęła staw i wyszła na brzeg w miejscu, gdzie strumień był już płytki. Pobiegnęła przed siebie najszybciej jak tylko mogła, unosząc wysoko nogi w wodzie, która sięgała do kostek.

- Patrz, jak poszła! Mięśnie ze stali!

- Możesz sobie uciekać, ale nie dostaniesz ubrania z powrotem. Spytaj Kaigani, co zrobi, żeby odzyskać ciuszki. Do domu daleko.

W miejscu gdzie kończyły się pionowe skały otaczające jar, Ember wyszła ze strumienia. Wbiegła w gęsty cedrowy las porastający płaskie zbocze wzgórza. Potem zawróciła. Serce waliło w jej piersi jak młot.

Jak Bobby Kynaka śmie włączyć ze swoimi brudnymi myślami w sam środek mojej cudownej kryjówki!

- Sprzedamy twoje majtki panu Boniface! Podobno płaci dziesięć dolców za dojrzałe, a te są dojrzałe jak ta lala! Wreszcie się dowiedziałem, jak pachnie cipka małpy!

Ember podczołgała się do szczytu wzgórza i ukryła za grubym pniem cedru. Bobby i Tom mieli na sobie kowbojskie buty i dżinsy. Obaj zdjęli koszulki i zatknęli za paski z tyłu. Bobby był wysoki, miał szerokie, umięśnione ramiona i gruby kark. Jego zaokrąglony brzuch wystawał nad paskiem spodni. Czarne włosy, obcięte krótko po bokach, sterczały mu na czubku głowy. Tom Luc również był wysoki, lecz chudy. Jego twarz, klatkę piersiową i plecy pokrywały ciemne blizny po trądziku. Lśniące czarne włosy miał zebrane z tyłu w kitkę. Wychylił się nad urwisko, żeby spojrzeć w dół. W rękę trzymał kostium kąpielowy Kaigani.

Ember wyskoczyła zza drzewa. Trzema susami dopadła Toma i uderzyła w niego ciałem jak taranem. Spadł z urwiska, rękami i nogami próbując złapać równowagę. Przez szum wodospadu Ember usłyszała klaśnięcie jego ciała spadającego płasko na wodę. Ustawiała się tak, aby Bobby znalazł się między nią i skrajem skały. Nie spuszczać zeń oka, złapała ubrania leżące na porośniętej mchem skale.

Bobby stał z rękami na biodrach i patrzył.

- Mogę się z tobą bić bez żadnych oporów, Zurzyn. Ty nie jesteś normalną dziewczyną.

- Miło mi to słyszeć - powiedziała Ember. Rzuciła ubranie Kaigani za siebie, a potem szybko naciągnęła spodnie i bluzę. - Nie chciałabym, żeby to się zakończyło przyjacielskim uściskiem dłoni.

- Patrzcie, jaka odważna małpka. No, chodź! - Bobby wyprostował ręce i kiwał na nią palcami obu dłoni.

Ember zbliżała się na przykucniętych nogach.

- No, chodź, małpo. Zaraz ci nakopię do tyłka.

Skoczyła tak szybko, że Bobby nie zdążył nawet cofnąć ręki i zrobić zamachu. Noga Ember wylądowała od spodu na jego kroczu. Stopy chłopaka oderwały się od ziemi. Wrzasnął z bólu i zgiął się wpół. Ember uderzyła go teraz kolaniem w pierś. Wciągnął powietrze ze świstem. Wtedy położyła rękę na jego głowie i przycisnęła, uderzając jednocześnie kolaniem w twarz. Poczowała, jak nos Bobby'ego łamie się z trzaskiem pod naciskiem jej kolana.

Chłopak cofnął się oślepiony bólem. Ember powaliła go gwałtownym pchnięciem całego ciała, popychając w stronę urwiska. Bobby upadł, wczepiając się rozpaczliwie rękami w skałę.

- Nie rób tego, proszę! Nie umiem pływać!

Patrzył na Ember oczami nieprzytomnymi z bólu i strachu. Krew płynęła mu z nosa. Ember się cofnęła. Nagle mimo woli, wbrew całej złości, najgłębsza część jej istoty złączyła się z najgłębszą częścią jego świadomości. W taki sam sposób odczuwała obecność złotoskórych ludzi w swej wizji. Poczwała przyptyw jego strachu, nienawiści i bólu. W mgnieniu oka ujrzała wszystkie jego porażki, zwątpienie i rozpacz. A jeszcze głębiej, tam gdzie nie sięgała świadomość Bobby'ego, istota Ember zaczęła łączyć się z jego sercem w wymiarze, w którym nie było granicy między „Ember” i „Bobby”.

Siłą woli odwróciła uwagę od fali swej świadomości.

Bobby, skulony z bólu na skraju granitowego urwiska, zakrywał dłonią złamany nos i jęczał. Spojrzał na Ember ze zdumionym wyrazem twarzy. Rękę przesunął na serce. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale potrząsnął głową i spuścił wzrok.

Odraza przepelniła teraz Ember z taką samą siłą z jaką przedtem napełniała ją wściekłość. Poczwała mdłości. Nie chce się łączyć odczuciami z takimi jak ty, Bobby. Mam nadzieję, że nigdy więcej mi się to nie przytrafi. Trzymaj się z dala ode mnie ze swoją ciemnością.

Mimo wszystko złość minęła i Ember czuła teraz wstyd. Jej zaciekłość zburzyła spokój kanionu, tak samo jak zburzyli go Bobby i Tom. Może trzeba było się ukryć, tak jak złotoskórzy ukryli się przed Zabójcami.

Nie, to nie w porządku.

Co robić? Jak żyć w pokoju?

Usiadła z ciężkim westchnieniem.

- Brat mojego ojca był komandosem. Nauczył mnie walczyć. Jestem inna - o czym przypominasz mi od przedszkola - więc pomyślał, że pewnego dnia będę musiała się bronić.

Bobby wypluł krew.

- Powiedz, Bobby. Dlaczego mnie tak nienawidzisz?

- Bo jesteś dziwoląg.

Podniósł się na kolana, wciągając ciężko powietrze. Z nosa wystawały mu czerwone bąbelki, ale krew przestała płynąć. Wokół oczu pokazały się sine kręgi.

- Czy ze wszystkimi kuzynami tak dobrze żyjesz?

- Nie jesteś moją kuzynką. Ty jesteś nie wiadomo co.

Bobby odczołgał się na czworakach od urwiska. Usiadł z jękiem i spojrzał na Ember.

- Chena to moja ciotka, ale ty jesteś jakimś zwariowanym eksperymentem medycznym.

- Co ty bredzisz?

- Jesteś mutantem stworzonym w laboratorium. Tak uważa moja rodzina. Tak myślą wszyscy w szkole.

Ember przełknęła ślinę.

- Kimkolwiek jestem... - Głos Ember zadrżał. - Nie wiem, kim są moi rodzice, ale nie jestem mutantem. Istnieją ludzie tacy jak ja.

- Gówno prawda. Nikt ich nie widział. Nawet w książce.

- Nawet gdyby to była prawda, to czy ty automatycznie nienawidzisz każdego, kto się od ciebie różni?

- Przez ciebie moja rodzina się pokłóciła.

- Mama mi o wszystkim opowiedziała. Ale poszło o to, że uciekła z domu i wyszła za mojego tatę, a nie o mnie. Próbowала się z wami pogodzić. Bardzo się starała. Ale wy, drwale, nie lubicie mojego ojca rybaka i nie możecie mu przebaczyć, że zgodził się mnie adoptować.

- Nic w tym dziwnego. Nie jesteś jedną z nas. Nie wiadomo, skąd się wzięłaś. I nie jesteś moją kuzynką. - Bobby wstał trzymając się za krocze. - Nie jesteś niczyją kuzynką.

Ember drgnęła.

Bobby odwrócił się. Szedł drobnymi krokami, lekko pochylony, trzymając się za brzuch.

Łzy napłynęły do oczu Ember. Jesteś głupi i okrutny, myślała. Czemu mi zależy, żebyś mnie zaakceptował? Powinno mi to pochwlebiać, że tacy jak ty mnie odrzucają. Złość na Bobby'ego i na siebie nie pomogła uśmierzyć bólu, który palił Ember.

Pozwól mi znaleźć swoje miejsce, modliła się. Jestem czyjąś kuzynką, czyjąś córką. Należę do plemienia ludzi o złotej skórze. Widziałam to w wizji i wiem, że tak jest. Chcę, żeby tak było.

- Bobby, chcę cię o coś zapytać. - Chłopak odwrócił się. - Dlaczego poświęciliście z Tomem dwa dni, żeby tu przyjść?

- Dlaczego? To było nasze tajemne miejsce. Przychodziliśmy tu od dziecka, żeby być sobą, żeby czuć się wolni. Nikt nam nie przeszkadzał. Ale ty i Kaigani musiałyście się tu przywlec.

Odwrócił się.

- Bobby!

- Czego?

- Ty i Tom możecie tu przychodzić wiosną, jesienią i zimą. Ja będę przychodzić z Kaigani latem. Nie powiem nikomu, że zламаłam ci nos. Obiecuję.

Bobby pomacał się delikatnie po napuchniętej twarzy. Nabrzmiące powieki zamieniły jego oczy w wąskie szparki. Skinął głową.

- Zgoda.

Podszedł do urwiska.

- Tylko mnie nie spychaj, bo naprawdę nie umiem pływać. Zawołam Toma.

Zrobił niepewnie krok w stronę wodospadu. Ember jednak podniosła ręce i skierowała się do miejsca, gdzie leżało ubranie Kaigani.

- Tom! - Zawołał Bobby w dół urwiska. - Zrywajmy się stąd. Cisza.

- Hej, Tom!

Ember poczuła ściskanie w piersi. Coś jest nie tak. Jak mogła być tak głupia? Chciała zawołać Kaigani, ale siostra i tak by jej nie usłyszała.

- Tom! Gdzie jesteś? Ja stąd idę!

Ember już miała skoczyć do wody, ale nagle spojrzała w bok i znieruchomiała. Tom Luc ciągnął Kaigani za szyję. W drugiej ręce trzymał nóż.

Ember zamarła.

Po chwili Tom stanął na skale o kilka kroków od Ember. Ociekające wodą spodnie przylepiły się do jego nóg. Kucyk rozwiązał się i luźne kosmyki włosów opadały mu na twarz. Smuga rozcieńczonej wodą krwi ciągnęła się od ciętej rany na jego czole. Przycisnął głowę Kaigani do piersi, trzymając ją ręką za włosy. Naga Kaigani drżała. Patrzyła to na Ember, to na Toma. Chłopak przechylił jej głowę i przyłożył do szyi duży myśliwski nóż z ząbkowanym ostrzem. Kaigani przymknęła powieki. Tom wbijał w Ember płonący nienawiścią wzrok.

Rozdział 17

- Suka! Schowała się za wodospadem - warknął Tom. - Rąbnęła mnie gałęzią w głowę.

- Co chcesz zrobić? - Spytał Tom. - Uspokój się. Odlóż ten nóż.

- Pocałuj mnie gdzieś. Spójrz na siebie. Zurzyn cię tak urządziła? A może wpadłeś na drzewo, kiedy przed nią zwiewałeś?

- Oddaj nóż, Tom. Zastanów się, co robisz. Nie warto.

- Nie poznaję cię, Bobby. Co się z tobą stało? Zmiękleś, kiedy mnie nie było? - Popatrzył na Ember. - Będzie warto, zobaczysz.

Ember nie odrywała wzroku od noża przyciśniętego do szyi Kaigani. Z ledwością wciągała powietrze w zaciśnięte płuca.

- Czego chcesz? - Zapytała. Mówiła tak cicho, że sama ledwie usłyszała swój głos.

- Uderzyłem w wodę, aż mnie zatkało, ty mała pindo. Skóra piecze do tej pory i głowa mi krwawi. Teraz mi za to zapłacisz.

- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego! - Powiedział Tom unosząc ręce. - Jeśli gliny mnie spytają, powiem, że próbowałem cię powstrzymać.

- Jasne. Nic dziwnego, że takiemu tchórzowi rozkwaśła nos dziewczucha, która ledwie sięga mu do piersi.

- A ty jesteś bohater, bo trzymasz nóż na gardle dziewczyny? Znam cię od dawna, ale nigdy nie przysłoby mi do głowy, że możesz coś takiego zrobić.

- Bo żadna baba nie zrobiła mi tego co ona. Słuchaj, Zurzyn. - Potrząsnął głową Kaigani, która skrzywiła twarz. - Przerznę gardło twojej siostrze jak brzuch pstrąga, jeśli nie zrobisz dokładnie tego, co ci każę.

Ember przełknęła ślinę i skinęła głową.

- Podejdz tu na kolanach i rozepnij mi rozporek.

- Przestań, Tom. Puść ją - prosił Bobby.

Ember uklękła i podczołgała się, nie spuszczając oczu z noża.

- Daj spokój. - Bobby był bliski płaczu. - Nie możesz tego zrobić!

- Przestań skamleć - warknął Tom. - Stoisz tam ze złamanym nosem i nie masz nawet odwagi się zemścić.

- Nie rób jej krzywdy - wykrztusiła Ember rozpinając Tomowi rozporek.

- Dobrze, dobrze, małpo. Odepnij guzik i ściągnij trochę spodnie. Wystarczy. Patrz, jak rośnie. Chyba lubi cię bardziej niż ja.

- Powiedziałem, przestań! - Bobby zrobił krok do przodu. Tom skierował nóż w stronę Bobby'ego.

- Spróbuj mnie powstrzymać!

Bobby posuwał się ku niemu w milczeniu.

Ember spostrzegła szansę. Uderzyła ciałem w nogi Toma i powaliła go na twarz. Kaigani potoczyła się w bok. Bobby schylił się, żeby wyjąć z buta swój nóż. Tom skulił się, wyjąc z bólu. Kołysał się, trzymając rękami za piersi.

Ember porwała Kaigani na ręce i odniosła dziesięć metrów w las. Dopiero wtedy obejrzała się.

- Masz nóż?! - Zawołała.

- O mój Boże! - Powiedział Bobby kłękając przy Tomie. Kaigani ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem. Kolana się jej ugięły. Ember posadziła ją i przytuliła.

- Przyniosę ci ubranie - mignęła. Kaigani skinęła głową. Ember wróciła z kostiumem, spodenkami, skarpetkami i butami. Objęła znów siostrę. - Już dobrze?

Kaigani przełknęła łzy. Podniosła do góry kciuk. Ręka jej drżała, a po twarzy spływały łzy.

- On upadł na nóż! - Krzyknął Bobby.

Ember podbiegła.

- Bardzo źle?

- Nie wiem.

Tom leżał na boku. Ember widziała nóż wbity aż po rękojeść w prawą stronę klatki piersiowej. Przykłękała. Krwi było mało. To dobry znak, pomyślała. Zaraz jednak przypomniała sobie o krwawieniu wewnętrznym.

- Nóż utkwił po prawej stronie, więc ominął serce - powiedziała. - Miejmy nadzieję, że tak jest. Ale wbił się prosto w płuco. Nie wiadomo, ile krwi wypłynęło do środka.

Tom zacisnął powieki. Twarz skrzywiła mu się od bólu. Kołysał się, jęcząc i postępując.

Bobby wstał.

- W obozie mamy motorowery. To jakieś pół kilometra stąd. U podnóża góry, przy końcu drogi, jest wojskowy telefon alarmowy. Mogę tam dotrzeć w godzinę, a rangersi sprowadzą przez radio helikopter.

- W godzinę?

- Może krócej.

Ember spojrzała na Toma i potrząsnęła głową.

- Może czterdzieści pięć minut - powiedział Bobby. Tom leżał bez ruchu, skulony. Jego oddech świszczął.

- Idź. I śpiesz się - poleciła Ember Bobby'emu.

Odwrócił się i pobiegł, utykając lekko.

Śniada skóra Toma pobladła. Oddychał szybko, ale bardzo płytko. Zapada w śpiączkę, pomyślała Ember. Przypominała sobie wszystko, czego dowiedziała się o takich przypadkach od matki.

- Staraj się utrzymać temperaturę ciała - powiedziała na głos. - Podnieś lekko nogi do góry i... Co jeszcze?

Twarz Toma miała teraz barwę popiołu. Ember patrzyła na to z przerażeniem. Wszyscy mówią, że mam bardzo ciepłe ciało. Muszę to zrobić. Przewyciężyła odrazę, położyła się i objęła Toma. Trzeba mówić do poszkodowanego, podtrzymywać go na duchu.

- Tom, nie umieraj. Nie rób mi tego, nie teraz.

Mimo że sam jesteś sobie winien. Wzięła głęboki oddech, zmagając się z gniewem.

Przypomniała sobie sen o plemieniu złotoskórych ludzi. Odbierała ich emocje bezpośrednio, tak jakby jej serce było środkiem słońca, a emocje innych ludzi promieniowały z niego jak płatki kwiatu. Nie chciała jednak dotykać serca Toma w ten sposób. To byłoby zbyt intymne - to tak jakby stawała się drugim człowiekiem. Wspomnienie krótkotrwałego kontaktu z Bobbym przyprawiło ją o dreszcz odrazy.

- Tom, musisz wytrzymać. Bobby sprowadzi niedługo pomoc. Wytrzymaj.

Teraz rozumiem, dlaczego złotoskórzy kryli się przed Zabójcami. Nie chcieli walczyć, bo potrafili odczuwać ból ludzi, z którymi walczyli. Ich serca łączyły się z sercami wrogów, więc pragnęli pokoju.

- Tom, musisz wytrzymać.

Jego skóra była chłodna. Zaczął łapać powietrze jak ryba.

- Nanehla, powiedz mi, co zrobić? - Szepnęła Ember. Przyłożyła prawą rękę do ziemi, a lewą uniosła do nieba. Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w głos swojego ciała. Przemówiła intuicja.

Przebac i wylecz.

Nie wiem, jak go wyleczyć.

Przebac, a dowiesz się.

Nie umiem mu przebaczyć.

Dotknij sercem jego serca. Wtedy przebaczysz.

Boję się ciemności w jego sercu.

Przebacz sobie swój strach.

Ember odetchnęła głęboko.

- Matko, nie opuszczaj mnie.

Przełaziła na Toma swoją świadomość. Jestem tutaj, Tom. Czujesz mnie. Zostań, nie odchodź.

Poruszył się i Ember odczuła nagle najgłębszy poziom jego świadomości. To było ciężkie, obezwładniające uczucie, jak widok ołowianoszarego, nieruchomego morza. Ani śladu wiatru. Ciemna noc. Na niebie majaczyło słabe czerwone światło, bijące powolnym rytmem. Chmury skurczyły się i jęły znikać. Powietrze zdawało się zastygać.

Ember przeraziła się, że się udusi. Wyrwała się z wizji, chwytając powietrze. Była pewna, że Tom umiera. To kwestia minut.

O Wielka Matko, poddaję się. Udziel mi swej mocy.

Pojawił się kolejny obraz: jasne, gorące słońce oświetlało Ziemię, napęlniając energią wszystkie stworzenia. Wiedziała już, co robić.

Skierowała całą uwagę na punkt swojego ciała tuż poniżej pępka. Widziała tam ośrodek energii, który wyglądał jak ognisty punkt światła i ciepła. Ember skoncentrowała się na tym punkcie, otwierając się na energię z każdym oddechem, aż rozpała całe jej ciało. Pot spływał grubymi kroplami po rozgrzanej skórze. Przekazywała gorącą falę Tomowi. Skierowała ją tak, że zapłonęła wewnątrz jego ciała. Czowała powracającą świadomość. Wizja martwego nocnego krajobrazu stopniowo przemieniała się w pejzaż zielonego oceanu, błękitnego nieba, białych obłoków oświetlonych złotym słońcem. Jego ciepło i moc połączyły się z oddechem Ember. Oddychała, karmiąc go siłą życia.

Pogrzeźła się całkowicie w wizji. Wyrwał ją z transu dopiero stukot śmigieł helikoptera.

Dwaj pielęgniarze założyli maskę tlenową na twarz i nos Toma, podłączyli do kroplówki i ułożyli na noszach.

- To prawdziwy cud, że przeżył tak długo! - Zawołał jeden z nich przekrzykując wycie silnika. Ember osłoniła oczy dłońmi. Nosze zniknęły we wnętrzu helikoptera. Włosy Ember skakały na wietrze jak tuman liści.

- Dacie sobie radę?! - Zawołał sanitariusz.

- Tak - odpowiedziała Ember. - Niedaleko jest nasz obóz.

- Potrzeba wam czegoś?

Potrząsnęła głową.

- Na pewno?

Uśmiechem podziękowała za troskliwość. Wiedziała, że sanitariusz poczuje się lepiej, jeśli będzie mógł coś jej dać.

- Ma pan czekoladę?

- Jasne. Zawsze noszę ze sobą na wszelki wypadek.

Zanurzył dłoń w kieszeni pomarańczowego kombinezonu i wyciągnął dwa batoniki.

Podziękowała i zamachała ręką na pożegnanie. Maszyna uniosła się, zawisła na chwilę nieruchomo, a potem odleciała w kierunku Seattle.

Kaigani patrzyła na siostrę jak na świętą. Ember zamrugła i roześmiała się nerwowo.

- Czemu mi się tak przyglądasz?

- Widziałam, co zrobiłaś z Tomem - mignęła Kaigani.

Ember wzruszyła ramionami.

- Ogrzałam go tylko swoim ciałem, to wszystko.

- Uratowałaś mu życie. Ten facet tak powiedział.

- Wcale nie.

- Odczytałam z ruchu warg. Powiedział: „To cud, że przeżył tak długo”.

- No i co?

- Patrzyłam na ciebie i czułam, jak przelewasz na Toma swoją świadomość. Nigdy czegoś takiego nie przeżyłam.

Ember potrząsnęła głową.

- Nie, to nie było tak.

- Ja to czułam. Nigdy jeszcze nie doświadczyłam czegoś tak pięknego. Tak jakby wszystkie promienie słońca skupiły się w jednym promieniu. - Rozłożyła szeroko ramiona i palce, a potem złożyła je powoli.

- To była Nanehla. Ona to zrobiła.

- Tak, ale Wielka Matka przeniknęła ciebie - nie mnie, nie drzewa, ale właśnie ciebie. Dzięki temu Tom przeżył.

Ember ogarnęło poczucie winy. Zawsze różniła się od innych zewnątrz. Wyglądała inaczej niż wszyscy. Nie była normalna. Pragnęła wtopić się w otoczenie, zamazać tę różnicę. A teraz stała się inna jeszcze bardziej, bo wewnątrz.

- Nie odsuwaj się ode mnie, Kaigani. Jesteś moją najbliższą przyjaciółką, najbliższą osobą na świecie. Nie traktuj mnie inaczej. To przecież ja, Ember.

- Jestem twoją najbliższą przyjaciółką. Kocham cię jeszcze bardziej niż dotąd.

- Nie chcę, żebyś kochała mnie bardziej. - Ember się zająknęła. Łza spłynęła jej po twarzy. - Bądź tylko moją siostrą. Nie musisz kochać mnie bardziej albo mniej.

- Ale ty nie jesteś taka sama. Nawet bije od ciebie blask. Wydaje mi się, że mogłabym go dotknąć. Zawsze wiedziałam, że jesteś stworzona do czegoś niezwykłego... Spójrz na siebie! Twój czas nadszedł. Coś się zaczęło.

- Cicho. Nie mów nic więcej.

Ember położyła palce na ustach siostry. Oparła twarz na jej ramieniu i zapłakała. Batoniki roztopiły się w jej gorącej dłoni.

Rozdział 18

Mike Lee jednym uderzeniem w klawisz skasował wszystko, co było na ekranie monitora. Wlepił wzrok w notatki z nadzieją, że tam znajdzie natchnienie. Zmarszczył czoło, dotknął piórem brody, a potem wystukał na klawiaturze: „Jeśli zdawało ci się, że maszyna do golenia Super-Speed była ostrym pomysłem, to musisz zobaczyć nową serię przyborów kosmetycznych Giorgio Chicarro”.

Do niczego.

Skasował całe zdanie, odsunął się od komputera razem z fotelem. Potarł się po twarzy, zadarł głowę i popatrzył na dźwiękoszczelne płytki na suficie. Potem skierował wzrok na akwarium stojące na biurku. Dwa purpurowo-czarne teleskopy przesuwwały się w wodzie z gracją, jakby tańczyły: baleriny o mikroskopijnych mózdkach, których nie zakłóca żadna niespokojna myśl.

Mike urządził gabinet w taki sposób, że siedział tyłem do drzwi, a twarzą do okna wychodzącego na Trinity Chapel. Jego pracownia mieściła się mniej więcej w połowie wysokości wieżowca Johna Hancocka, najwyższego budynku w Bostonie. Przez ostatnich kilka miesięcy zdołał przestudiować najdrobniejsze załamanie kamienia i każdy cień na fasadzie wielowiekowej, barokowej kaplicy. Zbyt często łapał się ostatnio na wpatrywaniu się w zabytkową budowlę.

Z aparatu na biurku rozległ się kobiecy głos.

- Jak idzie, Mike? Kończysz już?

Poderwał się od razu, ale przycisnął guzik z opóźnieniem, żeby zrobić wrażenie pochłoniętego pracą.

- Powoli, ale do przodu. Ty pierwsza się dowiesz, kiedy skończę, Liza.

Pośpiesz się. Stein jest dzisiaj w złym humorze.

- W którym? W tym po excedrinie czy po maaloksie?

- Zdaje mi się, że po jednym i drugim. Nie każ mu zbyt długo czekać.

- Przyjąłem.

Mike wygładził purpurowo-żółty krawat i zapiął żółtą, dwurzędową włoską marynarkę w sportowym stylu. Zerknął w notatki. Co by tu napisać... Coś lakonicznego, zaskakującego, może w naukowym tonie. „O dezodorancie przeciwpotnym”. Nie, to na nic. Pudło, chłopcze.

No dobrze, w takim razie o kremie...

Potarł oczy, a potem roześmiał się. Popatrzmy na to jak na problem filozoficzny: firma Chicarro opracowała nową serię kosmetyków, a mnie to guzik obchodzi.

Zerknął na ciemne kamienie kościoła, który znajdował się piętnaście pięter niżej. Piękno tej budowli nie ograniczało się do samych linii architektonicznych. Wyobraził sobie wydobywanie kamieni w kamieniołomie, potem cięcie granitowych bloków na mniejsze i ustawianie ich. Czy żyje na świecie choćby jeden człowiek, który potrafi budować z kamienia w taki sposób? Budowa trwała długie lata. Mike wyobraził sobie, że nie tylko budowniczowie kształtowali kamienie, ale kamienie kształtowały budowniczych. Granit nie stracił swej mocy, bo oddziaływał nawet na niego, Mike'a.

Odetchnął powoli. Tęsknił za tym, co odnajdywał w wielkiej architekturze i muzyce. Sztuka pokazywała, że pod powierzchnią życia kryje się coś głębszego, ważniejszego. Mike był pewien, że to istnieje; nie potrzebował dowodów. Każdego dnia dostrzegał jakieś odbicie tego tajemniczego zjawiska: w widoku kaplicy w deszczu, przelocie stada białych gołębi na tle mokrych czarnych kamieni. Tak, w tym świecie istnieje jakiś duch albo raczej - duch przenika ten świat. Mike miał jednak wrażenie, że najczęściej stoi z boku i patrzy z zewnątrz na esencję życia, jakby podglądając. Pragnął się z nią złączyć, poczuć, jak wszystkie sprawy tego świata zbiegają się w jego sercu.

Dziś niewidzialna, ciężka kłamra zacisnęła się na jego piersi. Nigdy jeszcze koncentracja nie przychodziła mu z takim trudem.

Kliknął dwukrotnie myszką i na ekranie pojawiło się logo czasopisma „Mountain Bike”. Odszukał artykuł o trasach rowerowych w okolicach Seattle. Artykuł zawierał mapy, fotografie i krótki wideoklip. Mike obejrzał go kilkanaście razy w ciągu dwóch dni. Klip pokazywał legendarnego rowerzystę, Randy'ego McDanielsa, przeskakującego rowerem dwumetrowy strumień. Tylne koło wzbilo fontannę piasku w miejscu zetknięcia się z ziemią, kilkanaście centymetrów od brzegu strumyka.

Randy. Za czasów uniwersyteckich ścigali się na stromych górskich szlakach. Ale na wschodzie nic mogło się równać z wyzwaniem, jakie stawały rowerzyście zachodnie szlaki, nawet trasy w Górach Białych i w Kaskadowych. To taka sama różnica jak między surfowaniem po metrowej fali w Atlantic City i jazdą na wielkim białym grzywacu w Waimea. Odtworzył klip jeszcze dwa razy.

- Mike! - Zawołała Liza, która podeszła niepostrzeżenie z tyłu. - Chcesz, żeby cię wylali?

- Czemu nie - mruknął i wyłączył klip. Odwrócił się twarzą do Lizy. - Szukam inspiracji.

- Stein czeka.

- *Da, towariszczka!* - Zasalutował. - Zobowiązuję się podnieść wydajność.

Zachichotała.

- Tik, tak, tik, tak - rzuciła na odchodnym.

Mike odwrócił się do ekranu z grymasem bólu na ustach. Zatarł dłonie. Odświeżmy umysł. Poklepał się po policzkach jak trener przygotowujący boksera do następnej rundy. No, Mike, daj mu popalić. Zawiesił palce nad klawiaturą.

Nowa seria kosmetyków i przyborów toaletowych Giorgio Chicarro... Lekkie jak skrzydło motyla...

Zmarszczył brwi. Napisał: „Dziś nie potrafię włożyć serca w moją pracę. Jutro także nie. Jestem wygnańcem z własnej duszy. Ponowne zjednoczenie rozpocznie się w chwili, gdy nie będę mógł dłużej znieść separacji”.

Mike przeczytał te słowa, przewrotny uśmiezek wypłynął powoli na jego twarz. Rozluźnił krawat i zbliżył się do okna sięgającego od podłogi do sufitu. Oparł czoło na szybie rozgrzanej popołudniowym wiosennym słońcem. Widział dzieci uganiające się z piłką po betonowym podwórku.

Ponowne zjednoczenie rozpocznie się w chwili, gdy nie będę mógł dłużej znieść separacji...

- A więc niech się rozpocznie od razu - powiedział. - Kiedy usłyszę głos mojego serca, pójdę za nim.

Złożywszy tę obietnicę, Mike poczuł, że napięcie opadło z niego niczym ciężki kombinezon. Wiedział już, co powinien zrobić. Usiadł w fotelu i szybko napisał prośbę o zwolnienie. Słowa przychodziły bez najmniejszego trudu.

Trzy godziny później Mike kroczył po pluszowej wykładzinie w kierunku windy ze skórzaną teczką i aktówką w dłoni. Nie wyglądał na przygnębionego i nadąsanego jak opaleni mężczyźni na ogromnych plakatach reklamowych zawieszonych na ścianach. Bał się tej chwili od wielu miesięcy, lecz teraz uśmiech nie zniknie już z jego twarzy.

Drzwi windy rozsunęły się po dźwięku dzwonka. Ze środka sprężystym krokiem wyszła kobieta w szarym wełnianym kostiumie. Mike odwrócił się i po raz ostatni spojrzął na recepcję firmy reklamowej Stein & Wittingham. Stał w pustej windzie.

W drodze na dół ocenił szybko sytuację. Właśnie zrezygnował z dobrze płatnej pracy, o którą większość dwudziestolatków gotowa była walczyć na śmierć i życie, i nie miał zielonego pojęcia, kiedy znów zarobi jakieś pieniądze. Mimo to czuł się lekki jak skowronek.

Przecisnął się przez obrotowe drzwi. Słońce chyliło się już ku zachodowi, ale na placu Copley Square było jeszcze widno. Z wnętrza Trinity Chapel dobiegały na ulicę dźwięki organów. Mike rozpoznał Bacha. Piłka potoczyła się w jego stronę. Zastopował ją i kopnął z powrotem.

Poczucie wolności popłynęło od serca do płuc.

- Hurra! - Wrzasnął na całe gardło.

Stadko gołębi poderwało się do lotu; dzieci spojrzały w jego stronę. Okrzyk odbił się o ściany kościoła i biurowca.

Rozdział 19

Mike Lee zręcznie ominął tylnym kołem wystającą skałę. Szlak schodził ostro w dół na długości około piętnastu metrów. No to jazda, pomyślał Mike. Wyrównał pedały, zsunął się z siodełka, żeby przenieść środek ciężkości nad tylne koło, i ruszył. Wypchnął rower do przodu, prostując jednocześnie ręce i nogi. Naciskał lekko na przednie hamulce. Nieco dalej szlak wspinał się ostro na kolejne wzniesienie, więc Mike puścił hamulec i przesunął ciało do przodu, napierając na kierownicę. Pedalował zawzięcie, bo stok był stromy. Śmiał się przy tym, radośnie podniecony.

Na ścieżce leżała w poprzek niewielka kłoda. Przeskoczyć pień podczas wspinaczki nie jest łatwe: trzeba podrzucić rower, uważając przy tym, żeby nie polecieć na plecy.

Poderwał przednie koło na kłodę, pochylił się mocno do przodu i zarzucił biodrami. Kiedy tylne koło uderzyło w pień, Mike poderwał je do góry ruchem ciała, naciskając jednocześnie lekko na pedały.

Udało się! Wszyscy z drogi, bo jestem dzisiaj jak dynamit!

Ze szczytu wzniesienia ujrzał pięćdziesięciometrowy zjazd zakończony ostrym zakrętem. Ścieżka ginęła w zaroślach. Zatrzymał się.

O rany! Co jest za wirajem? Dowiem się, jak go wezmę. No cóż. To zabawa nie dla mięczaków. Poprawił kask.

- Uwaga tam na dole! - Zawołał składając dłonie w tubę. - Rower na szlaku! Będę zjeżdżał!

Zacisnął zęby i wypchnął rower do przodu, zsuwając się z siodełka. Przednie koło skoczyło do przodu.

Lekko naciskając przedni hamulec, z wyprostowanymi rękami i nogami, leciał w dół, tylko połowicznie kontrolując jazdę. Na wirażu przycisnął tylny hamulec, oparł prawą nogę na ziemi i zarzucił tylnym kołem, żeby wpaść w boczny poślizg i uniknąć uderzenia w drzewo. Wykonał szaleńczy skręt, wzbijając fontannę piasku i drobnych kamyków.

Raptem zobaczył przed sobą dziewczynę w żółtej koszulce i szortach. Szła samym środkiem ścieżki. Otworzyła szeroko oczy i znieruchomiała. Tuż za nią podążała gromadka dzieci.

- Z drogi! - Wrzasnął Mike. Przycisnął z całej siły oba hamulce, położył rower w ostry poślizg. Ktoś złapał dziewczynę z tyłu i poderwał. Mike zjechał z urwiska, zaczął się staczać

po stromym zboczach. Puścił rower. Zdołał wykonać trzy kontrolowane przewroty, a potem wpadł w kępę krzaków. Wylądował twarzą w dół, z rękami wysuniętymi do przodu.

Po chwili usłyszał nad sobą kobiecy głos.

- Nic się panu nie stało?

Przewrócił się z jękiem na plecy. Rój gwiazd zawirował mu w oczach. Kobieta stała wyprostowana, ale z tej pozycji Mike'owi wydawało się, że pochyla się nad nim pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Jaskrawożółta koszulka i czerwone szorty. Miała bardzo mocno umięśnione nogi i niezwyklego koloru skórę. Biust dziewczyny zasłaniał jej twarz. Przykłękała i zajrzała mu w oczy.

- Nic się panu nie stało? - Zapytała z troską.

Gęste czarne włosy spadały kaskadą na jej ramiona, promienie słońca otoczyły głowę czerwoną aureolą. Zamglony wzrok Mike'a wzmocnił jeszcze ten efekt.

Odpięła pasek i zdjęła pęknięty na dwie części kask. Mike miał krótko obcięte włosy i brodę. Zielono-czerwone szorty i koszulka przylegały mocno do jego szczupłego, muskularnego ciała.

- Dobrze, że miał pan kask na głowie - powiedziała. - Usłyszałam trzask i przeraziłam się, że to pana czaszka.

Spojrzała mu znów w oczy, zmarszczywszy czoło.

- Żyje pan czy nie? Umie pan mówić?

- Umie - odparł powoli Mike. - Po prostu się odprężyłem... Chyba straciłem na moment przytomność. Czy dzieciom nic się nie stało?

- Nikt nie ucierpiał. Proszę jeszcze chwilę poleżeć.

Mike patrzył jak zaczarowany w szmaragdowe oczy dziewczyny. Poczł wzbierające w piersi ciepło, jak gdyby stał twarzą do porannego słońca. Mgła przed oczami uleciała; widział teraz wyraźnie.

- Już lepiej. Nic mi nie będzie.

Ember odwróciła się i zamachała ręką do Kaigani, która stała na krawędzi urwiska w otoczeniu gromadki dzieci. Kciukiem i palcem wskazującym pokazała „w porządku”.

Mike zauważył teraz, że ramiona i policzki dziewczyny pokrywał ten sam delikatny brzoskwiniowy meszek, który spostrzegł wcześniej na nogach. Duży, szeroki, wysoko sklepiony nos z pewnością wyróżniałby się na twarzy, gdyby nie pozostałe jej rysy: duże oczy w kształcie migdałów, grube ciemne brwi, wysokie kości policzkowe i białe zęby w szerokich ustach. A wszystko to otoczone burzą czarnych włosów.

Najbardziej uderzający wydał się Mike'owi kolor skóry dziewczyny - złoty jak butelka ciemnego piwa oglądana pod słońce.

- Powinien pan jeszcze chwilę poleżeć.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Bo leżę na jakimś kłującym krzaku.

Usiadł. Kolce rozplaszczzonego krzewu wbiły się w skórę przez nylonową koszulkę, która nie była dla nich żadną przeszkodą. Mike sięgnął ręką do tyłu, żeby wyciągnąć ciemię. Ember pomogła mu. Mokre grudki purpurowego soku mieszały się z krwią z licznych drobnych skaleczeń.

- To jeżyna - zauważyła Ember pokazując gałązkę z kilkoma owocami.

- Ach tak. Chyba potrzebuję pierwszej pomocy - rzekł Mike wyciągając rękę. Ember zerwała cztery dorodne jeżyny i położyła mu na dłoni. Wsadził owoce do ust i rozgniół językiem, przymykając oczy.

- Mój rower! W jakim jest stanie?

- A czego się pan spodziewał pędząc w ślepy zakręt jak szatan? I tak mamy wielkie szczęście, że nikt nie został ranny.

- Przecież ostrzegałem. Krzyknąłem z góry „Rower na szlaku. Zjeżdżam”. Jesteście głusi czy co?

- W tej grupie wszyscy są niesłyszący oprócz mnie. To obóz dla dzieci głuchoniemych. Ja i moja siostra jesteśmy opiekunkami.

Mike otworzył szeroko usta. Dopiero teraz spostrzegł wzór na koszulce dziewczyny - drobne ręce układające się w litery alfabetu głuchoniemych. Poniżej widniała sylwetka człowieka wiosłującego w czółnie po jeziorze na tle ośnieżonego górskiego szczytu.

- Przepraszam... Naprawdę bardzo mi przykro...

- Po prostu powinien pan bardziej uważać. Ścieżki są tak samo do rowerzystów, jak dla pieszych.

- Ma pani rację. To była głupota z mojej strony. Wstąpiła we mnie szaleńcza odwaga i pojechałem w dół zbocza, upajając się przyływem adrenaliny. Zapomniałem, że mam oprócz tego mózg. Jeszcze raz przepraszam. To tyle tytułem wstępu. - Wyciągnął rękę. - Jestem Mike Lee.

- Ember Ozette - przedstawiła się ujmując jego dłoń. Mike'a zaskoczyło ciepło, wielkość i siła jej ręki.

- Dzięki za ratunek.

Spojrzeni sobie w oczy i Mike'a przeniknęło to samo uczucie, którego doznał wcześniej. Z dłoni dziewczyny skoczyła iskra elektryczna.

- O! - Zawołał Mike. - Czułaś to?

Puściła jego dłoń i cofnęła się, jakby zobaczył ją naga.

- Wyładowanie elektrostatyczne - wytłumaczył. Dziwne, że iskra nie przeskoczyła przy naszym pierwszym dotknięciu.

Ember przełknęła ślinę i skinęła głową.

Czemu stała się nagle taka nieśmiała? Czyżby istniał jakiś indiański przesąd dotyczący wyładowań elektrostatycznych?

Mike spróbował odczytać znaki na koszulce Ember.

- Obóz...?

- Buena Vista.

- Czy naprawdę znajduje się nad jeziorem u stóp ośnieżonej góry?

- Jest nad jeziorem, i to bardzo pięknym. Można stamtąd robić wycieczki do miejsca, skąd wspaniale widać górę Mount Rainier. Wracaliśmy właśnie stamtąd, kiedy nas o mało nie przejechałeś.

- Dostałem nauczkę. Chcę teraz zobaczyć, co zostało z mojego roweru. Ember podniosła się pierwsza i pomogła mu wstać. Podciągnęła go do góry, aż podskoczył.

- Jak długo uprawiasz kulturystykę? - Spytał.

Odwróciła się i ruszyła w stronę roweru. Mike pokuśtykał za nią.

- Czy to tajemnica?

- I tak nie uwierzysz.

- Daj mi jakąś wskazówkę.

- W ogóle nie trenuję kulturystyki.

Mike parsknął śmiechem.

- Naprawdę. Nigdy w życiu nie dotknęłam ciężarów. Grałam dużo w piłkę, biegałam, ale nigdy nie uprawiałam kulturystyki.

Mięśnie jej ramion i nóg poruszały się harmonijnie pod skórą, czarna grzywa podskakiwała przy każdym kroku, jak gdyby także miała w sobie mięśnie.

- Chcesz powiedzieć, że nie ćwiczyłaś z hantlami.

- Ani na atlasie.

- Trudno w to uwierzyć.

- Przecież mówiłam.

Rower zatrzymał się na świerku. Był w nie najgorszym stanie, nie licząc przedniego koła, które wygięło się jak kartoflany chips.

- Da się to naprawić? - Spytała Ember.

- Nie tutaj. Chyba że jakiś życzliwy niedźwiedź pożyczy mi zestawu do prostowania kół i zestawu nowych szprych.

- Co zrobisz?

- Wrócę piechotą.

- Kulejesz. Długa droga?

- Jakieś szesnaście, może osiemnaście kilometrów. Przyjechałem z kempingu koło miasteczka Longmire.

- Chodź lepiej do naszego obozu. To tylko pięć kilometrów. Będziesz mógł mówić o szczęściu, jeśli nie spuchnie ci noga i nie zeszywnieje. Ten siniak nie wygląda dobrze. - Czubek głowy Ember sięgał ledwie do brody Mike'a, musiała więc patrzeć w górę, kiedy rozmawiali. - Pielęgniarka zajmie się twoim kolaniem, a ja mogę cię odwieźć z powrotem na kemping. Może trzeba będzie pojechać do lekarza.

- To brzmi rozsądnie. Dzięki.

Kaigani zeszła tymczasem na dół z dziećmi, żeby zobaczyć, co się dzieje. Grupa składała się z pięciu dziewcząt i trzech chłopców. Dzieci przyglądały się Mike'owi, chichotały i rozmawiały z ożywieniem w języku migowym. Mike zarumienił się i odwrócił, by jeszcze raz obejrzeć rower. Kaigani stanęła obok Ember - wysoka i smukła, o skórze koloru miedzi. Miała szare oczy i długie włosy uplecione w warkocze.

- Mike, poznaj moją siostrę.

- Cześć.

- Cześć - odpowiedziała Kaigani uśmiechając się oczami.

Jej uroda zapierała dech w piersiach. Zmusił się, żeby odwrócić spojrzenie.

- Gotów? - Spytała Ember.

Skinął głową.

- Weź moją laskę, a ja poprowadzę rower.

- Będziesz musiała pchać go na tylnym kole. - Poradzę sobie.

Ruszyli całą grupą w dół stoku. Na zakręcie odbili w lewo i pomaszerowali szlakiem wśród skalistych wzgórz usłanym olbrzymimi głazami.

Po półgodzinie dotarli do ukrytej wśród skał niewielkiej polany porośniętej krzewami jeżyn. Dzieci popędziły zbierać owoce, które musiały ominąć w drodze do punktu

widokowego. Mike przysiadł na kamieniu z grymasem bólu, podpierając się kijem. Ember oparła rower o drzewo i usiadła obok Mike'a.

- Jak kolano?

- Nie wezmę udziału w maratonie tańca, ale przeżyję - odparł pocierając lekko kolano.

Kaigani usiadła obok siostry i zadała gestem to samo pytanie. Mike pokazał, że wszystko w porządku.

- Możesz do niej normalnie mówić. Kaigani świetnie czyta z ruchu warg.

- Za dwa tygodnie będzie jak nowe, a ja znów zacznę sprzedawać maszyny do wchodzenia po schodach jako domokrażca.

Kaigani roześmiała się i powiedziała coś w języku migowym.

- Cieszy się, że jesteś w jednym kawałku - przetłumaczyła Ember. - Przykro jej z powodu roweru.

Mike przyjrzał się uważnie siostrze.

- Wcale nie jesteście do siebie podobne.

- Ja zostałam adoptowana - powiedziała Ember.

- Z jakiego plemienia jesteście?

- Kaigani pochodzi z plemienia Quanoot.

- A ty?

- Zostałam adoptowana - odparła bezbarwnym tonem.

Dzieci wróciły z polany z fioletowo-czerwonymi ustami i palcami. Siostry wstały.

- Dzieci już są. Gotów do drogi?

Ember pomogła mu się podnieść i podała laskę. Ciepło jej dłoni znów zaskoczyło Mike'a. Postawiła rower na tylnym kole i ruszyli.

- Jeszcze jedno pytanie. Czy wychowałeś się może wśród Quanootów ze szczepu Lwów Morskich na wyspie Whaler Bay?

- Tak, w Whaler Bay. Skąd tak dużo wiesz o Quanootach?

- Jesienią będę prowadzić kurs angielskiego w college'u w Whaler Bay.

- Naprawdę?

- Tak. Znalazłem w internecie dużo informacji o historii i folklorze Quanootów.

- Zatem wiesz pewnie o wiele więcej niż my. W każdym razie więcej niż ja i moi rówieśnicy.

- Ile masz lat?

- Kolejne pytania - powiedziała ze śmiechem Ember. - Skończyłam niedawno osiemnaście. A ty?

- Dwadzieścia trzy.

- Pochodzisz z Południa. Skąd dokładnie?

- Więc zauważyłaś? Z południowego Bostonu.

- Z Bostonu?

- Żartowałem. Pracowałem przez kilka lat w Bostonie. Urodziłem się w Charlottesville w Wirginii.

- Gdzie będziesz mieszkał w Whaler Bay?

- Jeszcze nie wiem. Przez całe lato obozowałem w parkach narodowych. Tak samo zamierzam spędzić sierpień.

- Hotele dla nauczycieli wyglądają jak szare pudełka na buty. Powinieneś wynająć chatę po zachodniej stronie wyspy, gdzie znajdują się osiedla poławiaczy łososi, z dala od miasta. Wschodnia część wyspy jest bardziej zagospodarowana i gęściej zaludniona. Tam mieszkają rodziny drwali, więc wzgórza zostały огоłocone z drzew. Wygląda to raczej ponuro.

- Dzięki za radę. Pomyślę o tym. Maszerowali w milczeniu przez kilka minut.

- Może mój ojciec wynajmie ci swój domek rybacki.

- Naprawdę?

- Ma letnią chatę, która wymaga remontu, ale okolica jest cudowna. Chatka stoi na wzgórzu tuż koło zatoki West Bay. Z ganku można obserwować śpiewające wieloryby. Nieopodal płynie strumień Otter Creek, a do wodospadu jest pół kilometra.

Mike gwizdnął.

- To brzmi wspaniale. Zawsze marzyłem o takim domu.

- Porozmawiam z tatą. Jesienią będę się uczyć w college'u.

- Świetnie. Może trafisz do mojej klasy.

Są na to duże szanse, bo angielski to przedmiot obowiązkowy, a jest tylko dwóch nauczycieli.

Mike utykał coraz bardziej. Ember skinęła na siostrę. Kaigani wzięła rower, a Ember stanęła obok Mike'a.

- Oprzyj się na moim ramieniu. Do obozu został jeszcze ponad kilometr.

- Dzięki. Naprawdę zaczyna boleć.

Położył lewą rękę na ramieniu Ember i natychmiast poczuł oparcie mocne jak pień drzewa. Otoczyła go ręką w pasie. Nie tylko jej ręka promieniowała ciepłem - wydawało się, że dziewczyna gorączkuje.

- Założę się, że nawet zimą nie skarzysz się na chłód.

- Raczej nie.
- Bywasz czasem przeziębiona?
- Raz czy dwa.
- W ciągu roku?
- Przez całe życie.
- Wierzę ci. I w to, że nie uprawiasz kulturystyki, też.

Droga skręcała, a za zasłoną drzew ukazała się srebrna tafla jeziora. Odbili od głównego szlaku w wąską ścieżkę prowadzącą w stronę wody.

Nagle kolano Mike'a odmówiło posłuszeństwa, ale Ember utrzymała ciężar jego ciała. Znowu przeszył go prąd. Tym razem nie był już pewien, że to wyładowanie elektrostatyczne.

Rozdział 20

Mike i Ember siedzieli na trawie pod olbrzymim czerwonym cedrem na Placu Pierwszych Amerykanów otoczonym ze wszystkich stron przez budynki szkoły i biblioteki college'u Whaler Bay. Pośrodku placu stała replika dwustuletniego totemu Quanootów, wyrzeźbiona z jednego pnia cedru. Na szczycie znajdował się wizerunek kruka, a poniżej płaskorzeźby bobra, rekina, orki, wydry i niedźwiedzia. Były to symbole klanów pomalowane tradycyjnie na czerwono, biało i czarno.

W pobliżu klęczała na wełnianym kocu kobieta o siwych włosach. Miała na sobie tradycyjną sukienkę z kory cedru. Na kolanach trzymała niewielką ramkę tkacką. Grupa kilkunastu osób obserwowała, jak tka materiał z kawałków kory i koziej sierści. Druga grupa otoczyła duet muzyków grających na gitarze i bambusowym flecie. Studenci i nauczyciele przesuwali się nieprzerwanym strumieniem po chodnikach, które tworzyły pięciokąt.

- Chciałbym podarować twojemu ojcu coś ładnego w podziękę za to, że zabrał mnie na ryby - rzekł Mike. Wyjął z torby dwie zawinięte w papier kanapki i kartonik mleka. - To było dla mnie niezwykle przeżycie. Powiedziałem mu o tym.

Ember jadła zielone jabłko. Miała na sobie bawełnianą bluzkę z wplecionymi sznureczkami maleńkich błyszczących paciorków, dżinsowe szorty i sandały. Mike gotów był iść o zakład, że ta dziewczyna jest jedyną osobą tak lekko ubraną w to chłodne, wietrzne październikowe popołudnie. On sam włożył śliwkowy wełniany sweter, krawat, niebieską dżinsową koszulę, spodnie z czarnego dżinsu i skórzane sportowe buty.

- Bardzo cię polubił. Powiedział, że pracowałeś ciężko i spodobało ci się to, jakbyś był prawdziwym Quanootem.

- Nazwał mnie „kawką”. Co to znaczy?

- To indiański przydomek, którym określa się wysokie osoby. Tak jakbyś powiedział o swoim koledze „długi”.

Mike zwinął papierową torebkę i wsadził do tylnej kieszeni spodni. Promienie słońca skakały po kolorowych paciorkach bluzki Ember; bursztynowy kolor podkreślał barwę jej skóry.

- Śliczna bluzka. Kaigani ją uszyła?

Ember skinęła głową.

- Jest w tym coraz lepsza. Ciagle jej mówię, że powinna zacząć sprzedawać rzeczy, które robi.

- Z pewnością ma oko artysty. Tęczowe oko. - Mike otworzył kartonik i pociągnął długi łyk mleka. - Czy wiesz, że angielskie słowo *iris*³, które oznacza część oka odpowiedzialną za widzenie kolorów, pochodzi od imienia Irydy, greckiej bogini tęczy?

- Ładne. W języku Quanootów tęczówka nazywa się *laa-sheh*. - Rozdzieliła sylaby cmoknięciem. - To znaczy „mała tęcza”. Identyczne skojarzenie, bo też chodzi o kolory.

- *Laasheh*?

- *Laa-sheh* - powtórzyła Ember. - *Laa-sheh*. Trudne, co? Roześmiała się.

- Posłuchaj! - Zaśpiewała skoczną piosenkę złożoną z kilkunastu słów, które składały się niemal wyłącznie z cmoknięć i klaśnieć.

- Świetne!

- To taka dziecinna pioseneczka, coś w rodzaju ćwiczenia na artykulację. Chodzi o to, żeby język się nie zaplątał. Pięć lat się jej uczyłam. Przy pomocy logopedy zresztą.

- Zaśpiewaj jeszcze raz.

Słuchał, odwijając jednocześnie kanapkę z masłem orzechowym. Ugryzł i popił mlekiem.

- Chciałbym to nagrać na taśmę.

- Mama mówi, że to bardzo stara piosenka.

- Czytałem gdzieś, że Indianie z północnego zachodu mieli ponad sto języków, czyli więcej niż wszystkie narody Europy, i że języki te różniły się od siebie bardziej niż europejskie.

Ember potwierdziła skinieniem głowy.

- Też słyszałam o tym w szkole. Plemiona porozumiewały się za pomocą żargonu opartego na języku Chinooków.

- Wyobrażam sobie matki śpiewające tę piosenkę dzieciom, zanim powstała pierwsza kołysanka w Europie.

- Chcesz kanapkę?

- Z masłem orzechowym?

Ember wykonała gest oznaczający w języku migowym nudności: podniosła rękę, wyrzuciła do przodu, a potem opuściła. Mike parsknął śmiechem.

- Bardzo lubię poznawać nowe znaki. Niewerbalne porozumiewanie się. Coś w rodzaju chińskiego pisma, które składa się z piktogramów.

- Co to są piktogramy?

³ Iris (ang.) - tęczówka

- Słowa-obrazy. Piktogram oznaczający cnotę, *teh*, składa się z symboli drogi, oka i serca, a więc cnota to droga do tego, aby widzieć sercem, a nie tylko oczami. Wszystko to udało się Chińczykom zapisać kilkoma kreskami na papierze.

- Umiesz czytać po chińsku?

- Ha. Bardzo bym chciał.

Zjedli lunch. Mike rzucił kawałek kanapki oswojonej wiewiórcy, która wspięła się szybko na sosnę, przechwalając się głośno swoją zdobyczą.

- Powinna mieć tam na drzewie kartonik mleka do popicia - powiedział Mike. Po chwili kęs kanapki wylądował na trawie wśród szyszek.

- Widzisz? - Zauważyła Ember. - Masło orzechowe to paskudztwo.

Uśmiech zamarł jej na ustach. Mike odwrócił się. Zbliżał się do nich wysoki, muskularny chłopak o ospowatej twarzy. W rękach niósł wielki bukiet kwiatów.

- Kłopoty? - Spytał Mike prostując się.

Ember skinęła głową, biorąc głęboki oddech.

- Co to za jeden?

- Tom Luc.

- Dawna sympatia?

- Wręcz przeciwnie - odparła. Jej ciało zeszywniało.

Tom uklęknął przed Ember z bolesnym wyrazem twarzy. Rozesłał u jej stóp bukiet dzikich kwiatów.

- Wybacz mi, Sisiutlqua - powiedział bijąc przed nią czołem. - Nie wiedziałem, że w legendach zawarta jest prawda. Jestem wdzięczny, że mogłem się dowiedzieć, kim jesteś. Popęlniłem grzech, a ty okazałaś mi swoją łaskę.

- Wstań, Tom - poprosiła Ember rozglądając się z obawą. Przechodnie zatrzymywali się, żeby popatrzeć.

Tom podniósł się na kolana.

- Rzuciłem papierosy i alkohol. Powiedz, co jeszcze mam zrobić.

- Cieszę się, ale proszę cię, zostaw mnie w spokoju.

- Razem z Bobbym mówimy o tobie innym. On też zrozumiał, kim jesteś.

- Nie jestem Sisiutlqua! - Szepnęła ze złością.

- Każdego wieczora o zachodzie słońca urządzamy *tsuka* na Ptasiej Skale. Spotyka się tam już kilkanaście osób. Przychodzę w ich imieniu prosić cię, żebyś nas odwiedziła i udzieliła swego błogosławieństwa.

- Ale...

- Czy przyjdiesz dzisiaj wieczorem? Niektórzy z nas są chorzy. Chcemy cię prosić, żebyś położyła na nich ręce.

- Nie jestem Sisiutlqua. Zapomniałeś już o Zurzyn?

Tom drgnął.

- Przebacz mi moje okrucieństwo. Byłem ślepy i żałuję tego. Ale teraz będę żył zgodnie z zasadami Quanootcha. Wierzę w nie. Przyszłaś do nas, bo bardzo cię potrzebowaliśmy.

- Tom, wiem, że mówisz to szczerze. Ale ja naprawdę nie jestem Sisiutlqua... Po prostu nią nie jestem. Nie wiem, jak mam cię przekonać.

- Czuję twoją moc, twoje światło. Widziałem je. Moja dusza ulatywała z ciała i pograżała się w czarnym wirze. I wtedy ujrzałem twoje światło, które otoczyło moją duszę jak biały sznur i pociągnęło z powrotem do życia.

Mike spoglądał na tę dziwną parę szeroko otwartymi oczami. Grupa gapiów przyglądała się z zaciekawieniem.

Ember zamknęła oczy i potrząsnęła głową.

- Proszę! - Tom rozplakał się. - Przez całe życie się męczyłem, dużo wycierpiałem i sam zadałem wiele cierpienia. Chcę to zmienić, chcę naprawić swoje życie. Przyjdź na *tsuka*... Proszę.

Ember patrzyła w bok.

- Nie mogę, bo nie jestem tą osobą, której szukacie. Sama nie wiem, jak udało mi się wtedy zrobić to, co zrobiłam. Ale - westchnęła - jak mogę być Sisiutlquą? Przecież nie pochodzę nawet z Quanootów. Wystarczy na mnie spojrzeć. Przekaż wszystkim moje słowa. Przykro mi.

- Nie możesz ukryć swojej mocy. Babcia Kynaka opowiedziała nam, że Starzec przyszedł cię odwiedzić, kiedy rodzice przywieźli cię do Whaler Bay. On wiedział, że będziesz wielką Łowczynią Dusz. - Padł znów na twarz. - Przyjdiesz do nas, gdy nasze Quanootcha będzie naprawdę czyste. Wiem to na pewno.

Wstał pośpiesznie i odszedł przepychając się przez tłum gapiów. Kiedy zniknął, wszyscy jak jeden mąż skierowali wzrok na Ember.

Mike chwycił jej torbę.

- Chodźmy stąd.

Poprowadził Ember do budynku szkoły.

W pokoju Mike'a Ember usiadła ciężko na obskurnej pomarańczowej kozetce i wbiła wzrok w ścianę, skrzyżowawszy ręce na piersi. Mike usiadł obok.

- Chcesz o tym porozmawiać?

Potrząsnęła głową i zagryzała wargę.

- Przynieść ci szklanek wody?

Skinęła głową.

Mike wrócił z białym kubkiem pełnym zimnej wody. Ember ukryła twarz w dłoniach. Jej szerokie ramiona drżały. Mike zapragnął wziąć ją w ramiona, pocieszyć, powiedzieć, jak bardzo ją lubi. Ale nie zrobił tego. Znalazł paczkę chusteczek higienicznych i usiadł na podłodze.

Ember przestała płakać i spojrzała na niego z niewyraźnym uśmiechem.

- Przepraszam - powiedziała wycierając oczy.

- Nie trzeba. O co chodziło temu chłopakowi?

- Pomylił mnie z kimś innym.

- Tak właśnie pomyślałem. Kim jest Sisiutlqua? Nie wiem, jak się to wymawia.

- Możemy wyjść na zewnątrz? Brakuje mi powietrza, potrzebuję ruchu. Spacerowali po kampusie. Ścieżka wiła się wśród krzewów i okrążyła niewielką sadzawkę. Co chwila mijali ich jakiś amator joggingu.

- Ten chłopak wspomniał o jakimś sznurze światła. Co to miało znaczyć?

- Czy moglibyśmy o tym nie mówić? - Oczywiście...

Biegacz o budowie ciała wróbla zrównał się z Ember i zaczął truchtać w miejscu.

- Cześć, Ember. Startujesz w tym roku? - Spytał sapiąc lekko.

- W tym roku nie.

- Żadnych zawodów?

- Nie mam czasu.

- Szkoda. Tylko ty z naszej szkoły miałaś szansę.

- Ty też nieźle wypadłeś w zeszłym roku.

- Nie najgorzej. Ale to ty byłaś główną siłą drużyny. - Uśmiechnął się odsłaniając rząd białych zębów. - To na razie.

Machnął ręką i pomknął przed siebie.

- Przyjaciół z drużyny. Jedyny. - Po chwili spytała: - Wiesz dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego Frank jest moim jedynym przyjacielem w drużynie. Wydaje mi się, że on jest gejem.

- Nie stanowiłaś zagrożenia dla jego poczucia wartości.

- Tak właśnie myślę.

Jakaś kobieta zostawiła Mike'owi i Ember torebkę czerstwego pieczywa. Pokruszyli chleb na kawałeczki i wrzucali do wody. Kaczki podpływały z donośnym kwakaniem i łapały jedzenie, nim się zanurzyło. Mike i Ember obserwowali ze śmiechem wyczyny małej kaczki, która nurkowała w gąszczu wysokich sztyj i zręcznie podbierała starszym rywalkom kawałki chleba. W końcu duży biały kaczor zdenerwował się i przepędził małą spryciarę, kwacząc głośno i pociągając ją za piórka w ogonie.

Ember ułożyła się na trawie z rękami pod głową. Czarnorude włosy rozsypały się na jej muskularnych ramionach. Mike zerknął na nią z zatroskaną miną. Rzucił małej kaczce kawałek chleba.

- Nadaję jej imię Nurek.

- Mike, to zdumiewające, że ty tak dużo wiesz.

- Tylko sprawiaam takie wrażenie. Nie daj się nabrać.

- Ty naprawdę dużo wiesz.

Potrząsnął głową.

- Zbyt dużo czytam. No i mam ten dar - albo wadę - zapamiętywania niemal każdego faktu, o jakim się dowiem. Ale zapamiętanie morza informacji to jeszcze nie prawdziwa wiedza.

- Czym jest prawdziwa wiedza?

- Rozumieniem istoty zjawisk. Albo praktyczną umiejętnością, na przykład łowienia ryb. Twój ojciec jest w tym najlepszy.

Położył się obok Ember.

- Przypomniał mi się rysunek satyryczny. Pacjent leżący na tapczanie powiada do psychiatry: „W prawdziwym życiu jestem nauczycielem angielskiego”. A na to psychiatra: „A cóż jest takiego prawdziwego w byciu nauczycielem?”

- Ale w szkole na pewno byłeś świetnym uczniem. Kiedy wybuchła wojna 1812 roku?

Mike parsknął śmiechem.

- Och! - Ember przewróciła oczami. - Ale palnęłam! Cała ja. I nawet nie próbowałam żartować. No dobrze, niech będzie pierwsza wojna światowa...

- Hmm... Kongres ogłosił wypowiedzenie wojny szóstego kwietnia 1917 roku. Niemcy podpisały kapitulację jedenastego listopada 1919 roku. Niemiecka flota poddała się Brytyjczykom dwudziestego pierwszego, a siły lądowe skapitulowały we wschodniej Afryce dwudziestego pierwszego listopada.

- No widzisz, jesteś jak encyklopedia.

- Mam tak zwaną pamięć wzrokową. Zobaczę coś i zapamiętuję, zwłaszcza przy czytaniu. Czasami zdarza mi się przeczytać stronę, którą zapamiętałem. Właśnie tak postąpiłem przed chwilą: zajrzałem w pamięć i odczytałem daty zapisane na papierze.

- I cóż w tym złego?

- Bo ja wiem...

- Mówiłeś, że to wada.

Mike usiadł i rzucił kaczkom resztkę chleba. Ember też się podniosła.

- Jestem chodzącą encyklopedią, jak zauważyłaś. Tak samo jak mój ojciec i trzech starsi bracia. Wydaje się, że są szczęśliwi - trzech z nich jest lekarzami, a jeden profesorem prawa. Ale ja nie chcę ograniczać się do faktów i abstrakcji.

- Wolałbyś być kimś, kto wszystko czuje, niż takim, co wszystko wie.

- Otóż to.

- I dlatego wybrałaś się fruwać rowerem po górach.

Mike uśmiechnął się szeroko.

- Byłabyś świetnym psychiatrą.

- Moja mama zawsze powtarza: „Trzeba być tym, kim się jest”.

- Brzmi nieźle, ale sprawdza się tylko na papierze.

- Wiem... To trudne.

W oddali rozległ się dzwonek na lekcję. Ember wstała. Zdawało się, że chce coś powiedzieć.

- No, mów - zachęcił Mike.

Westchnęła.

- Nieważne. Muszę iść na lekcję. Podniosła torbę. Mike dotknął jej dłoni. - Zaufaj mi.

- Czy ja wyglądam na Indiankę?

- Nie. Masz szerokie kości policzkowe, ale nic poza tym.

- Czy kiedykolwiek widziałeś kogoś podobnego do mnie?

- Nie.

- Nawet na zdjęciu?

Potrząsnął głową.

- Do jakiej rasy należę?

- Nie mogę przestać o tym myśleć od chwili, gdy cię pierwszy raz zobaczyłem.

- Wszyscy się nad tym głowią. Jestem żywą, gadającą zagadką genetyczną.

- Uważam, że wyglądasz fascynująco.

Ember odwróciła twarz w drugą stronę.

- Powinam pobierać opłaty.

- Stary dowcip.

- Bardzo stary. Wszyscy się gapią, szepczą po cichu, ale tylko dzieci są dość niewinne, żeby powiedzieć na głos to, co myślą: „Mamo, czy ona jest półzwierzęciem?” - Oczy Ember zaszyły mgłą. - Już od dawna mam tego dość, ale to trwa nadal i będzie trwało zawsze.

Mike milczał. Znow miał ochotę ją objąć i przytulić, ale się na to nie zdobył.

- Musisz się czuć z tym samotna - rzekł w końcu.

- Nie tak bardzo. Mam Kaigani, mamę i tatę - i przyrodę.

- Kim są twoi prawdziwi rodzice?

- Bóg raczy wiedzieć. Należę do rasy, którą tylko ja jedna widziałam.

- Widziałaś ich? Gdzie?

Zawahała się.

- Mają złotą skórę, tak jak ja.

- Ale gdzie ich widziałaś?

- W snach... I wizjach. - Spojrzała na niego badawczo.

- Wierzę ci.

- Naprawdę muszę już iść.

Zarzuciła płócienną torbę na ramię. Mike wstał.

- Dzięki za towarzystwo - powiedziała Ember. - Bardzo mi się podobała twoja dzisiejsza lekcja.

- Lubisz Kazantsakisa?

- Lubię Zorbę.

- Ja też. To jeden z moich ukochanych bohaterów. Co teraz masz?

- Zajęcia sportowe. Chłopcy mnie nie cierpią, bo jestem zbyt... No, wiadomo.. A dziewczyny boją się, że jestem mutantem o lesbijskich skłonnościach. Dzięki temu mam dla siebie połowę szatni. - Uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały nieruchome.- Cześć.

- Ember, zaczekaj! - Mike złapał ją za rękę. Patrzył na jej twarz oświetloną popołudniowym słońcem. Serce zabiło mu mocniej. - Może poszlibyśmy gdzieś razem od czasu do czasu?

- Co to znaczy?

- Nie wiesz? Ludzie spotykają się, chodzą razem na kolację, do kina, bawią się. - Zmusił się do uśmiechu. - Chyba nie znasz mnie jeszcze od tej strony...

- Bardzo cię lubię. Zastanawiałam się, jak cię skojarzyć z Kaigani.

- Z Kaigani?

- Ona świetnie czyta z ruchu warg. A ja mogłabym spędzić z wami trochę czasu i tłumaczyć. Szybko uczysz się migania. To proste.

- Ale...

- Od dawna myślę o tym, żeby znaleźć kogoś dla Kaigani, ale nie trafił się żaden porządny facet. Kaigani jest niewiarygodna: zabawna, czuła, inteligentna, i piękna...

- Zbyt piękna.

- Nie przeszkadzałyby ci moja obecność?

- Nie o to chodzi. Uważam, że ty wyglądasz...

- Fascynująco. Już mówiłeś.

Mike westchnął.

- Chciałem powiedzieć, że naprawdę mi się podobasz. Nigdy nie pociągały mnie kobiety podobne do lalki Barbie. Twoja uroda jest... Jedyna w swoim rodzaju.

- To prawda. Niewiele jest kobiet pokrytych futrem.

- No i co z tego? Popatrz na mnie: same ręce i nogi. Nie jestem ideałem męskiej urody.

- Masz ładne oczy i wspaniałe uśmiech.

- Tak. - Zarumienił się. - I jestem piekielnie nieśmiały. A Kaigani jest piękna, absolutnie doskonała.

- A ty nic jeszcze nie widziałeś! Powinieneś ją zobaczyć w sukni wieczorowej z rozpuszczonymi włosami.

- Ember, wolałbym spotykać się z tobą.

Spojrzenie Ember powędrowało za chmurami.

- Ostatnio coś się ze mną dzieje, jakby gdzieś we mnie przetaczało się trzęsienie ziemi. Chyba byłabym dla ciebie zbyt dziwna.

- To ma coś wspólnego z Sisiutlquą?

- Kaigani uważa, że jesteś inteligentny i seksowny.

- Tak ci powiedziała?

- Pamiętasz, jak dziewczęta chichotały wtedy na szlaku? Od samego początku o was rozmawiały.

- Aha. Sekretne słowa dłoni.

- Mogłabym pójść z wami na jakąś zabawę. Jesteśmy z Kaigani naprawdę blisko. Tłumaczyłabym, dopóki nie nauczylibyście się lepiej porozumiewać.

Mike milczał.

- Kaigani jest piękna i ma dobre serce. To najlepsza osoba, jaką znam. Poza tym... Ona pisze wiersze.

- Naprawdę?

Dzwonek zadzwonił po raz drugi.

Oboje byli już spóźnieni.

- Zastanów się. Muszę iść.

Ember odwróciła się i pobiegła w stronę sali gimnastycznej. Zapięła mocniej paski torby i przyspieszyła.

- Zgoda, jeśli ona zechce! - Krzyknął Mike.

Ember uniosła kciuk nie odwracając się. Patrzył, jak przemyka wśród drzew. Silna i pełna wdzięku. Naprawdę można było pomyśleć, że jest w połowie zwierzęciem.

Rozdział 21

Mike, Ember i Kaigani znajdowali się wśród około setki gości na przyjęciu ślubnym, ale długa chata z cedrowych desek i tak nie była zatłoczona. Zbudowano ją w stylu obowiązującym na północno-zachodnim wybrzeżu przed przybyciem Europejczyków. Służyła jako centrum życia społecznego Quanootów. Tutaj odbywały się wszystkie tradycyjne ceremonie.

Wnętrze stanowiło jedno duże prostokątne pomieszczenie. Wymyślnie rzeźbione cedrowe pale podpirały w każdym rogu grube belki, które utrzymywały spadzisty dach pół metra nad szczytem zewnętrznej ściany. Na belkach migotały lampki podobne do oliwnych, ale na rybi tłuszcz, a w palenisku pośrodku izby płonęły polana. Dym wił się do góry i przez otwór w dachu uchodził w szarość jesiennego zmierzchu. Długie niskie ławy ustawiono wzdłuż ścian, aby zostawić miejsce na tańce i ceremonie wokół ognia. Drewnianą podłogę zakrywały maty z cedrowej kory.

Lewą ścianę zdobił rzeźbiony wizerunek orki, a z przeciwnej ściany spoglądał bóbr z wyszczerzonymi zębami. Na szczycie totemu przy wejściu rozpostarł skrzydła wielki ptak-piorun. Wokół podstawy totemu piętrzył się stos podarunków jak pod choinką. Na stołach czekały już na gości przeróżne potrawy.

Mike siedział na ławce z Ember i Kaigani.

- Pokaż mu, Ember - mignęła Kaigani.

Ember odwróciła głowę, wężąc dyskretnie.

- Widzisz tego chłopaka z wąsikami? - Wskazała dwudziestoparoletniego mężczyznę, którego Mike widywał często na szkolnym placu sprzedającego ręcznie wykonaną biżuterię. Jego twarz świadczyła, że jest Indianinem, ale miał jasnokasztanowe włosy i ciemnoniebieskie oczy. - Ma w kieszeni jednego lub dwa jointy. Chyba w lewej. Już dzisiaj coś palił.

- Niemożliwe - stwierdził Mike. - Wyczuwasz to z takiej odległości?

Dwoje ludzi w średnim wieku przeszło obok trzymając się za ręce. Mężczyzna miał na sobie dzinsową marynarkę, spodnie i skórzane buty, a kobieta była ubrana w tradycyjną sukienkę z niebieskiej wełny ozdobioną setkami guzików tworzących geometryczne sylwetki zwierząt.

- On pali tytoń. Ona zresztą też. Wypili parę piw. I już się dzisiaj kochali.

- Mówisz poważnie? - Mike zerknął na siostry z niedowierzaniem, a potem parsknął śmiechem. - Robicie mnie w balona.

Kaigani roześmiała się, lecz potrząsnęła głową, czyniąc na piersiach znak krzyża.

- Widziałeś, jak witałam się z Lindą? - Spytała Ember. - Ona jest w ciąży.

- Daj spokój. Skąd możesz wiedzieć?

- Jej piersi, skóra, i ten charakterystyczny zapach... Nie potrafię go opisać. Jawi mi się bardziej jako obraz niż jako woń... Jeśli można tak powiedzieć.

Mike skinął powoli głową. - Nie miałem pojęcia, że...

Bicie kościanych pałek w bęben z wydrążonego pnia drzewa oznajmiło początek ceremonii. Cała trójka zwróciła oczy w stronę instrumentu.

- Zaczyna się - powiedziała Ember.

Narzeczeni stali pośrodku izby ubrani w sięgające do kolan wełniane tuniki bez rękawów, mężczyzna w czerwoną, a kobieta w niebieską. Na stopach mieli opaski z białego psiego futra. Narzeczony przepasał szatę cienutkimi łańcuszkami z misternie kutej miedzi. Na głowie miał wełnianą koronę zwieńczoną kulistym pióropuszem z piór śnieżnej sowy. Tunikę narzeczonej zdobiły rzędy białych muszli, które zbierano na okolicznych plażach od setek lat i których plemiona indiańskie powszechnie używały jako pieniędzy. Nazywano je *hy-kwa* albo *wampumy*. Nakrycie głowy narzeczonej, przylegające dokładnie do włosów, a z tyłu zwisające do środka pleców, składało się z takich właśnie starych muszli oraz szklanych paciorków, którymi Brytyjczycy płacili Indianom za skóry morskich wydr.

Sześciu tancerzy odzianych w stroje imitujące demony otoczyło młodą parę, potrząsając grzechotkami z namalowanymi czaszkami i wyjąc przeraźliwie. Jeden z tancerzy miał na twarzy drewnianą maskę z wizerunkiem upiora z otwartym pyskiem, z którego wyzierała druga drewniana maska - upiór wytykający język. Z niewidzialnego łuku narzeczony zabił wszystkie demony, które jeden po drugim padały na podłogę. Goście nagradzali każdy strzał radosnymi okrzykami.

Teraz pojawiło się trzech tancerzy w maskach orki, niedźwiedzia i łososia. Narzeczony zabił napastników harpunem, łukiem i włócznią. Tancerze padli na podłogę tak samo jak demony. Goście przyjęli to okrzykami entuzjazmu.

Wreszcie na scenę wkroczył mężczyzna przebrany za kobietę z olbrzymimi piersiami i biodrami. Zatańczył uwodzicielsko przed narzeczoną, próbując odciągnąć go od wybranki.

- Przecież to jest pan Kent! - Zauważyła ze śmiechem Ember.

Narzeczony chwycił wiosło z piórem ozdobionym rysunkiem oka i zdzielił niedoszłą uwodzicielkę w tyłek, a następnie zerwał perukę. Przebierańcem rzeczywiście okazał się dyrektor miejscowego liceum. Zebrani nagrodzili scenkę oklaskami.

- Nabrali mnie - powiedziała Kaigani. - Myślałam, że to jej ojciec.

- Pan Kent używa dużo wody kolońskiej.

Mike spostrzegł, że trzy pary po przeciwnej stronie sali przypatrują się Ember, rozprawiając o czymś zawzięcie. Ember także musiała ich zauważyć, bo odwróciła głowę. Mięśnie jej szczęki napięły się. W ciągu kilku ostatnich tygodni Mike widywał takie sytuacje coraz częściej. Czy nie wystarczyło im, że gapili się przez osiemnaście lat? Czemu nie dają jej spokoju?

Obrzucił ich niechętnym spojrzeniem. Odwrócili się, nagle zainteresowani ceremonią. Ember dotknęła dłoni Mike'a.

- Nie zwracaj na nich uwagi.

- Twoje umiejętności są niewiarygodne.

Opowiedział o anatomii węchu. Tylko zmysły zapachu i smaku, potęgujące się nawzajem, są przetwarzane w środku mózgu odpowiedzialnym za emocje. Obszary sterujące słuchem, widzeniem i dotykiem zajmują miejsce na peryferiach mózgu. Ze wszystkich zmysłów właśnie zapach niesie ze sobą najwięcej emocji i wspomnień.

- Wszystko więc świadczy o tym, że powonienie i smak są najbardziej pierwotnymi zmysłami. W kategoriach ewolucji, rzecz jasna.

- To znaczy, że jestem prymitywna?

- Nie, ale... Wszystkich nas otaczają przeróżne zapachy, przez cały czas, tylko nie zdajemy sobie z tego sprawy, bo impulsy nie docierają powyżej progu świadomości. Mimo to wpływają na nasze zachowanie, zmieniają nas. Udowodniono na przykład, że kobiety mieszkające razem miewają często ten sam cykl menstruacyjny. Dzieje się tak dlatego, że wyczuwają swoje zapachy.

Ember i Kaigani spojrzały po sobie. Po twarzy Kaigani przemknął leciutki uśmiech.

- Rzecz w tym, że przysadka - nazywana najważniejszym gruczołem, ponieważ steruje działaniem wszystkich gruczołów hormonalnych - ulokowana jest w tej samej części mózgu, która odpowiada za emocje i zmysł węchu. To mówi bardzo wiele o władzy powonienia nad ciałem i umysłem.

- Mama mi powiedziała, że kiedy tata wychodzi wcześniej na ryby, ona przesuwa się na jego stronę łóżka, żeby wtulić się w zapach.

- Przeprowadzono badania na zarodkach salamandry - ciągnął Mike. - Po przesunięciu w bok komórek, z których później powstał nos, mózg rozwijając się zmienił położenie w czaszce i kierował się właśnie w tamtą stronę. Cały mózg płaza jest zorientowany na węch.

Ember wysunęła język i przewróciła oczami jak jaszczurka.

- Dotyczy to nie tylko płazów i gadów - ciągnął Mike. - W pierwszej chwili po wejściu do tej izby uderzył mnie jej zapach. Przypomniałem sobie, jak ukryłem się w kufrze babci, kiedy miałem trzy lub cztery lata. Całkiem o tym zapomniałem, lecz wystarczył jeden powiew zapachu cedru i hokus-pokus - siedziałem znów w skrzyni, a mama otwierała wieko z okrzykiem przerażenia. Była przestraszona i zła, bo przetrząsnęła każdy centymetr kwadratowy domu i podwórka.

- To właśnie miałam na myśli mówiąc o zapachowych obrazach.

- Rozumiem - powiedział Mike. - Ale jak ci się udaje wychwycić pojedyncze zapachy w takim pomieszczeniu? Muszą tu ich być miliony.

- W ten sam sposób, w jaki ty dostrzegasz znajomą twarz w tłumie albo słyszysz znajomy głos w pokoju, gdzie rozmawia wielu ludzi.

- Opowiedz mi o Kruczym Gnieździe - zaproponowała Kaigani.

- No tak... Tam zaczęła się moja legenda.

- Krucze Gniazdo?

- To taki malutki bar w Humpback Point. Kaigani miała siedem lat, a ja osiem. Spędziłyśmy z tatą cały dzień zakładając linki na łososie, a w drodze powrotnej wstąpiliśmy do Kruczego Gniazda. Ot, zwykła szopa. Padało, a dach przeciekał, więc wszyscy stłoczyli się po jednej stronie, gdzie było sucho. Rybacy, którzy przyszli się napić piwa po drodze. Grali w kun-kun. Słyszałeś o tej grze?

Mike potrząsnął głową.

- Stara zabawa. Układa się pięćdziesiąt muszelek - w języku Quanootów nazywają się *kun* - oznaczonych z jednej strony wzorem. Ten sam wzór znajduje się na dwóch muszlach. Obserwuje się układ muszelek przez kilka sekund, a potem odwraca się wszystkie na drugą stronę. Gra polega na tym, aby za każdym razem odwrócić jedną muszelkę i znaleźć jej parę. Jeśli ci się to uda, zyskujesz dodatkowy ruch.

- Pamięć - powiedział Mike. - Grałem w to jako dziecko kartami.

- Rybacy grali w kun-kun, a w puli uzbierało się czterdzieści dolarów. Wygrał taki wysoki drwal, Rocky Hoh. Zaproponował, żeby tata dołożył dziesięć dolarów i zagrał z nim o całe pięćdziesiąt. Tata wyłożył dziesiątkę i poprosił, żebym zagrała za niego. Wszyscy na nas patrzyli. Uważali, że jestem niedorozwinięta, bo trudno mi było wymawiać słowa. „Jak

chcesz, rybaku. To twoje pieniądze” - rzekł Rocky. Tata wziął mnie na kolana, a Rocky rozrzucił muszle po stole i odwrócił. Ja miałam pierwszy ruch, znalazłam jedną parę, potem drugą, i tak do końca. Rocky w ogóle nie dotknął muszli.

- Masz fotograficzną pamięć - stwierdził Mike.

- Nie, tu nie chodzi o wzrok. W każdym razie wzrok nie odgrywa najważniejszej roli. Rocky się wściekł, walnął pięścią w stół i powiedział, że oszukiwaliśmy. Tata postawił drugie dziesięć dolarów, że wygram z zamkniętymi oczami.

- Żartowałam!

- Tak myśleli wszyscy, którzy tam byli. Postawili pieniądze. Uzbierało się dwieście pięćdziesiąt pięć dolarów.

- Trzęsłam się ze strachu - powiedziała Kaigani. - Nie wierzyłam, że jej się uda.

- Szkoda, że nie byłaś na moim miejscu. Pomyślałam, że tata zwariował. A on powiedział: „Najpierw Ember dotknie każdej muszli”. Rozległy się pomruki. „Nie bójcie się. Przy grze będzie mogła dotknąć muszli dopiero po odwróceniu”. Brałam w rękę każdą parę, wahałam i starałam się zapamiętać zapach. Zawiązali mi na oczach dwie opaski. Rocky rozłożył muszle na stole i pomieszał. Tata odsunął wszystkich do tyłu, co bardzo mi pomogło, bo strasznie cuchnęli. Odczekałam chwilę, a potem powąchałam mocno i podniosłam muszlę. Bingo. Zobaczyłam wszystkie muszle jak na kolorowej planszy. Znalazłam wszystkie pary.

Mike gwizdnął cicho.

- Warto byłoby, żebyś spotkała się z jakimś uczonym. Mógłby przeprowadzić testy. Masz naprawdę zdumiewający talent.

Ember skrzywiła się.

- To ostatnia rzecz, o jakiej marzę - być salamandrą w czyimś laboratorium.

- Jak daleko wstecz sięgasz pamięcią? Pamiętasz, jak byłaś w łonie matki?

- Zaczyna się ceremonia - powiedziała Ember. Wszyscy wstali.

Rozdział 22

Goście złączyli ręce i otoczyli młodą parę potrójnym kręgiem. Narzeczoną zaśpiewała narzeczonemu tradycyjną pieśń ślubną Quanootów, którą Ember przetłumaczyła szeptem Mike'owi. Słowa pieśni dziewczyna zapewniała narzeczonego, że jest uczciwą kobietą, która urodzi mu zdrowe dzieci, i że potrzebuje dobrego myśliwego i rybaka, który zapewni rodzinie utrzymanie. Pytała narzeczonego, czy jest odważny jak orzeł, mądry jak kruk, wierny jak pies i figlarny jak wydra. Na koniec spytała, czy kocha ją dość mocno, aby wyprowadzić się z rodzinnego domu i zamieszkać z nią. Narzeczonego odpowiedział twierdząco na wszystkie pytania. Na koniec wyznał, że ją kocha i dziś wieczór chce poślubić. Narzeczoną zgodziła się z uśmiechem.

Matka panny młodej, pulchna kobieta w pomarańczowej sukni, uściśnęła pana młodego jako nowego syna, a potem związała ręce młodych plecionką z trawy. Nowożeńcy pocałowali się. Goście przyjęli to entuzjastycznymi okrzykami i otoczyli młodych, aby im pogratulować. Matka panny młodej sięgnęła pod okulary, żeby otrzeć łzę.

Ojciec pana młodego miał na sobie długą do kolan kamizelę z kory cedru i koziej sierści oraz kapelusz z szerokim rondem ozdobiony rysunkami żab. Z pomocą żony i kilku znajomych rozdał gościom prezenty zgromadzone pod totemem: słoje dżemu z jagód czarnego bzu, agrestu i dyni, kawałki placka jabłkowego, butelki samogonu, kartony papierosów, pudełka haczyków na ryby, naboje do strzelby, świece samochodowe, kołowrotki, łańcuchy do piły mechanicznej, toporki, siekiery, metalowe kliny, noże, osetki, rękawice ochronne, wełniane skarpety, kapelusze, flanelowe koszule i mnóstwo innych rzeczy.

Ember wyjaśniła Mike'owi pochodzenie zwyczaju *potlatch*, co w języku „Chinooków oznacza „obdarowywanie”. Przed przybyciem Europejczyków północno-zachodnie wybrzeże, obfitujące w żywność i materiały budowlane, było najgęściej zaludnionym regionem Ameryki Północnej. W rozległych wioskach na wyspach i nad brzegami rzek mieszkały dziesiątki tysięcy Indian. Naczelnicy klanów zdobywali sławę wydając wspaniałe uczyty, podczas których rozdawali mnóstwo koców i odzieży, aby zaimponować swoim bogactwem. Zwyczaj przerodził się rychło w rodzaj zawodów, w których każdy wódz starał się prześcignąć innych w ilości darów.

Kiedy na scenę wkroczyli biali ludzie wymieniający swe towary na futra morskich wydr, zabiegi o utrzymanie pozycji w hierarchii rdzennych mieszkańców kontynentu

osiągnęły monstrualne rozmiary: gospodarze uczt zabijali dziesiątki niewolników, rozsypywali talerze pełne miedzianych monet, podpalali czółna, wrzucali do ognia koce, rzeźby i dzbany pełne topionego rybiego tłuszczu. Wszystko po to, aby udowodnić, że nikt nie może im dorównać bogactwem. W końcu biali osadnicy zakazali wydawania uczt *potlatch*.

- Reszta to historia kolonialna - powiedział Mike.

- No właśnie.

Młoda dziewczyna rozdająca podarki wręczyła Ember srebrną szczotkę; Kaigani dostała rzeźbioną szkatułkę pełną koralików z muszli, a Mike - ząb orki wielkości dłoni z wygrawerowanym wizerunkiem wieloryba.

- *Intaka pah hneh* - powiedziały siostry. Mike też chciał podziękować.

- *In taka...?*

- *Intaka pah hneh* - odpowiedziała Ember. - To znaczy „Podarunek musi krążyć”, czyli nie zostanie z nami, oddamy go komuś innemu albo podarujemy coś tej samej wartości. Być może, oddam tej dziewczynie szczotkę przy następnym *potlatch*.

Mike spostrzegł, że rączka szczotki poczerniała.

- Nie jest nowa.

- Pewnie bardzo stara. Może krąży z rąk do rąk setki lat.

- To niebawem - rzekł Mike. Pomyślał, że trzyma w ręku kawał historii. - Podarunek musi krążyć.

- Stąd wzięło się powiedzenie „indiański podarunek”. Biali nie mogli pojąć, dlaczego rozdajemy różne rzeczy, a potem spodziewamy się, że coś za nie dostaniemy.

Ojciec pana młodego wylał do ognia chochlę tranu. Pomarańczowe płomienie strzeliły na dwa metry w górę. Izbę wypełnił zapach palonej ryby.

- Czas rozpocząć ucztę! - Zawołał.

Mężczyźni wnieśli do środka kilka tuszek kóz, które piekły się na rożnach. Stoły przesunięto na środek izby. Uginały się od wędzonych małży, łososi, pstrągów, krewetek, smażonych ośmiornic i kałamarnic, suszonych halibutów, ikry łososia i śledzia, przepiórczych jaj, gotowanych i marynowanych wodorostów. Był tam też wielki żelazny kocioł zawieszony białej zupy. Obok stały tace pełne hot dogów, hamburgerów, precli i chipsów.

Mike zamierzał spróbować wszystkiego; zaczął od zupy.

- Co to jest? - Spytał szeptem.

- Gulasz z białych larw.

- Musiałem spytać - wykrztusił i przełknął. Zupa była słodka, smakowała jak gorący i słonawy koktajl waniliowy. Zjadł jeszcze jedną łyżkę. - No dobrze. Co teraz?

- Spróbuj tego - zaproponowała Kaigani, wyciągając rękę z marynowanym przepiórczym jajkiem wielkości włoskiego orzecha. Mike chciał zjeść jajko z jej dłoni, ale cofnęła rękę i otworzyła usta.

Kiedy Mike zrobił to, co mu pokazała, Kaigani wcisnęła mu do ust całe jajko.

- Dobrze - wymamrotał. - Smakuje tak samo jak ostro przyprawione jaja, które uwielbiałem jeść w dzieciństwie. W czym Quanooci marynują przepiórcze jajka?

- Tata używa do tego wina z dzikich śliwek - powiedziała Kaigani biorąc ze stołu butelkę purpurowego płynu.

Zasiedli we troje na ławie zgromadziwszy potrawy, których Mike chciał spróbować. Popijali słodkie wino prosto z butelki, rozmawiając wesoło.

- Jak trafiłeś z Charlottesville do Bostonu? - Spytała Ember.

- Wynajmowaliśmy wspólnie mieszkanie i...

- Z chłopakiem czy z dziewczyną? - Spytała Kaigani.

- Z dziewczyną. Ale nie byliśmy kochankami. Poznaliśmy się na studiach, a później klepaliśmy wspólnie biedę jako początkujący pisarze. Wzięliśmy udział w konkursie na reklamę telewizyjną zorganizowanym przez firmę Saab. Ja wygrałem. Chodziło mi tylko o to, żeby zgarnąć forszę i zapłacić rachunki, ale niespodziewanie zaproponowano mi pracę. Nigdy nie byłem w Bostonie, więc pomyślałem: a niech tam, trzeba spróbować.

- Jak wyglądała twój a reklama?

- Facet stoi schylony pod pokrywą maski swojego samochodu. Podjeżdża kolega starym saabem i trąbi. „Co byś powiedział na kilka rundek, Sam?” „Nic z tego - odpowiada Sam. - Muszę sprawdzić, czemu silnik ciągle nawala”. „Powinieneś sobie kupić saaba, kolego. Ten starszek stuka równiutko od szesnastu lat”. Sam mruczy coś pod nosem i nurkuje z powrotem pod maskę. Za chwilę podjeżdża drugi znajomy jeszcze starszym saabem. Ten sam dialog. Wreszcie podjeżdża facet najnowszym sportowym modelem saaba i trąbi. Sam zatrząskuje klapę swojego samochodu i wrzeszczy: „Dobrze, pójdę z tobą grać w golfa, ale nie chcę więcej słyszeć historyjki o saabie”.

- Widziałam tę reklamę kilka lat temu, i to wiele razy - powiedziała Ember.

- Tak, zgarnęła parę nagród. Miałem fart, jak to nowicjusz.

- Jasne. Kaigani wymyśliła kiedyś reklamę telewizyjną dla głuchoniemych.

- Jak brzmiała?

Ember potrząsnęła głową.

- To miała być reklama dla głuchoniemych.

- Prawda. Opisz ją.

- Kobieta i mężczyzna całują się, ale widać tylko dwie pary butów, bo na tej wysokości znajduje się kamera. Szykowne męskie buty i eleganckie damskie szpilki. Obie pary spotykają się, jedna damska stopa wysuwa się z buta. Mężczyzna wycofuje się; widać tylko czubki jego palców, które odwracają się i odchodzą. Po chwili obok damskich szpilek spada bukiet kwiatów i ona także odchodzi.

Wtedy ukazują się dwa kabriolety z wypożyczalni samochodów. Odjeżdżają z opuszczonej stacji benzynowej Ostatnia Szansa w przeciwnych kierunkach długą wąską szosą, na tle zachodzącego słońca. Na ekranie pojawia się napis: „Pokochaj Hertza⁴”.

- Ładne. Mógłbym to sprzedać, gdybyś chciała.

Kaigani skinęła głową z uśmiechem. Udała, że zawiązuje krawat, spogląda na zegarek i pakuje aktówkę przed wyjściem do pracy. Mike także się uśmiechnął.

Patrzył na miganie Ember i Kaigani niczym na świetną sztukę teatralną. Zwracając się do Mike'a, poruszały palcami z jedną czwartą normalnej prędkości, ale kiedy rozmawiały między sobą, ruchy ich rąk zamazywały mu się w oczach. Twarze i ciała dziewcząt naśladowały bogaty, ożywiony język.

Kaigani ubrana była w sukienkę własnej roboty z turkusowej i srebrnej nici z wzorami z drobniutkich purpurowych paciorków pod szyją, na rękawach i szwach. Włosy zaczesane na jedną stronę przelewały się przez jej ramię niczym atramentowy wodospad na japońskim rysunku *sumi-e*. Czarne brwi i rzęsy podkreślały jasną barwę jej szarych oczu. W odkrytym uchu wisiał srebrno-turkusowy kolczyk pochodzący od Indian Navaho, którego kolory harmonizowały z kolorami obroży i bransoletek.

Ember włożyła błyszczącą bluzkę, którą zrobiła dla niej Kaigani, i spódnicę z delikatnej wełny. Falujące włosy uplotła w warkocz, w który złociły się żółte orchidee. Na jej policzku widać było siniak i ślady zadrapań. Jedna strona dolnej wargi nieco spuchła.

- Szkoda, że nie widziałas siostry na rowerze - powiedział Mike do Kaigani. - Jeździła niczym diabeł wcielony.

Ember uśmiechnęła się i dotknęła palcem zadrapania.

Mike zrobił dla niej rower górski. Założył nowe części na starą ramę diamond back ascent. Wręczył jej rano prezent i pojechali razem na wzgórze, gdzie Mike chciał nauczyć ją podstaw jazdy terenowej. Szybko zauważył, że Ember chwyta wszystko w lot, więc pokazał jej cały repertuar swoich umiejętności. Za drugą czy trzecią próbą wykonywała manewry,

⁴ Hertz - nazwa międzynarodowej firmy zajmującej się wypożyczaniem samochodów

których opanowanie zajęło Mike'owi tygodnie, ba, nawet miesiące. W południe wspinali się już razem po skalistych ścieżkach, które wymagały balansowania na tylnym kole, zwrotów, skoków, nagłych zjazdów i hamowań.

- Najtrudniejszy manewr to skok przez rów albo strumień - mówił Mike. - Powiedziałem o tym Ember i to był błąd.

- Powinieneś być się domyślić...

- Stanęliśmy na szczycie wzgórza, a w dole płynął strumień szeroki na dwa i pół metra.

- Rusty Creek - wtrąciła Ember.

- Nigdy nie przeskoczyłem wody szerszej niż półtora metra. Stoję więc okrakiem na rowerze, patrzę na ten... Rusty Creek, i myślę sobie: „Jak nic połamię sobie kości skacząc przez ten uroczy strumyczek”. Już mam powiedzieć: „Dajmy sobie spokój i chodźmy na lunch”, a tu nagle... Ember śmiga koło mnie i jeszcze pedałuje, żeby się bardziej rozpędzić. Szczeka mi opadła, oczy wyszły prawie na wierzch, ale boję się patrzeć. Wrzeszczę: „Wyrównaj pedały i skacz!” Ember wychodzi w górę jak metalowy orzeł, takim łukiem, praaawie jej się udaje. I łup!

Ale wstaje i krzyczy: „Super! Teraz ty!” Co mi pozostaje? Mam być mistrzem jazdy na rowerze górskim, a nie mięczakiem. Zjeżdżam ze stoku i czuję, jakbym leciał na łeb, na szyję na desce surfingowej z wielkiej fali. Odchylam się, żeby nie fiknąć kozła do tyłu, wpadam na równą powierzchnię i mam pół sekundy, żeby poderwać rower do góry. Frunę nad strumieniem i już widzę, że przeskoczę. Przeskakuję, tyle że na drugim brzegu strumienia jest kamień, na który wpadam. Koziołkuję, rozdzieram sobie spodenki, kolana całe w siniakach, a ona stoi w wodzie i zrywa boki ze śmiechu.

- Przepraszam - mówi Ember ocierając łzę. - Wyglądałaś jak Kojot Wily w chwili, gdy zrozumiał, że nie umie latać.

Butelka wina krążyła między nimi. Bawili się doskonale. Mike odkrył, że smakuje mu ikra śledzia z wodorostami.

- To takie indiańskie sushi - stwierdził udając się po drugą dokładkę.

Zerknął na siostry siedzące pod ścianą. Czwarty raz spędzali czas we troje. Kontrast między Kaigani i Ember jawił mu się jak ilustracja baśni czy mitu: wierzba i dąb, słowik i ptak-piorun.

Rano, kiedy Ember wylądowała w strumieniu przelatując nad kierownicą, rower przekoziółkował i spadł na nią. Mike patrzył na to z przerażeniem, lecz Ember wstała od razu i zamachała ręką. Dopiero na dole zauważył, że ma rozcięty policzek i wargę. Stała po pas w lodowatej wodzie, roześmiana, z zębami czerwonymi od krwi. Mokry kostium przylepił się

jej do ciała, sutki nabrzmiały. Wyciągnęła rower z wody i uniosła nad głowę niczym trofeum. Jej oczy błyszczały jak górski poranek.

Teraz Mike patrzył na Kaigani, ducha doliny. Wielu jego dawnych klientów zapłaciłoby grube pieniądze, żeby wykorzystać jej uśmiech do reklamy pasty do zębów. Pierścionki z brylantami nabrałyby blasku na jej smukłych palcach, a przezroczyste pończochy wyglądałyby nieodparcie kusząco na jej długich nogach. Do tego miała ujmujący charakter i była bardzo uzdolniona. Bluzki i sukienki, które wyszły spod jej rąk, przypadły Mike'owi do gustu bardziej niż dzieła zawodowych bostońskich projektantów. To było tak dawno. Myślał o swoim pobycie w Bostonie jak o poprzednim wcieleniu.

Westchnął. Od dawna marzył o tym, żeby się zakochać. Ale w obu siostrach naraz?

Wrócił na miejsce i pociągnął z butelki, opróżniając ją do końca. Leniwe ciepło rozlało się wokół jego kręgosłupa. Kaigani i Ember migwały zawzięcie. Kaigani pokazała, jak jej matka ubierała się na ślub. Zrobiła to doskonale.

- Pokaż mnie - zaproponował Mike.

Potrząsnęła głową.

- No, nie daj się prosić.

- Nie będziesz się gniewał?

- Jestem już prawie ugotowany, więc nawet nie będę miał siły się gniewać.

Skrzyżowała ręce na piersiach tak jak Mike, a potem uśmiechnęła się nieśmiało. Nie zapomniała o delikatnym skrzywieniu ramion i napięciu mięśni wokół oczu.

Mike popatrzył na swoją podobiznę. To naprawdę ja? O rany! Kaigani położyła dłoń na jego kolanie i uśmiechnęła się.

- Ja też bardzo długo byłam nieśmiała.

- Jesteś tak ładna, że aż trudno w to uwierzyć - powiedział Mike i dopiero wtedy zrozumiał, że się upił. Kaigani obdarzyła Mike'a spojrzeniem słodszy od wina. Krew zaszumiała mu w uszach.

Podniósł ręce i zamierzał skrzyżować na piersiach.

Kaigani nachyliła się, ujęła jego ręce i pocałowała delikatnie w usta. Jej włosy pachniały rozmarynem i goździkami. Mike rozchylił lekko usta i przycisnął do jej warg. Chciał poznać ich smak. Wszystko inne nie miało znaczenia.

Przypomniał sobie o Ember. Kiedy na nią spojrział, odwróciła się. Kaigani otworzyła oczy i także zerknęła na siostrę.

Kilkunastu mężczyzn stanęło do zabawy polegającej na pokonywaniu długości izby z drewnianym talerzem pełnym szyszek. Pośrodku musieli schylić się, aby przejść pod liną

rozciągniętą na wysokości około stu dwudziestu centymetrów. Po każdej rundzie dokładano do talerza jedną szyszkę i obniżano linę o dwa centymetry.

Jeden z mężczyzn, chwiejający się na nogach, stracił równowagę pod liną i klapnął na podłogę. Szyszki rozsypały się po podłodze. Widzowie wybuchnęli gromkim śmiechem.

Ember wstała i wyszła na środek izby. Śmiech ucichł. Pozbierała szyszki i położyła sobie talerz na głowie. Pokonała bez trudu całą długość izby i wróciła. Zapanowała kompletna cisza. Mike słyszał syk płomieni w ognisku.

Zawodnicy stanęli bez ruchu, zapatrzeni w Ember. Przykłękła i dołożyła do talerza dziesięć szyszek, które tworzyły teraz nieregularną piramidę. Umieściła talerz na głowie, wstała ostrożnie, a potem powoli przemierzyła izbę. Wydawało się, że nie idzie, lecz sunie nad podłogą, jakby zamiast stawów miała łożyska kulkowe. Zatrzymała się przed liną, odwróciła i przeszła pod nią tyłem. Piramida z szyszek wyglądała jak diadem na głowie czarnowłosej primabaleriny ozdobiony orchideami.

Ember rzuciła talerz w stronę pijanego mężczyzny, który siedział wciąż na podłodze z otwartymi ustami. Szyszki rozsypały się po jego nogach i brzuchu. Ember odwróciła się gwałtownie i wybiegła z izby.

Rozdział 23

Kroki Ember skrzypiały rytmicznie na leśnej drodze z domu weselnego do miasta. Biegła. Łzy płynęły jej po policzkach. Skręciła w cedrowy las, a potem wkroczyła na stromą piaszczystą ścieżkę prowadzącą do granitowego urwiska zwanego Ptasią Skałą.

Usiadła na skalnej półce i wpatrzyła się w nieprzeniknioną szarość wiszącą nad Pacyfikiem. Była pełnia, lecz niebo zasnuwała gęsta powłoka chmur i blask księżyca tworzył tylko delikatną poświatę na ich tle.

Po lewej stronie Ember widziała sznur świateł głównej ulicy wioski Whaler Bay, a jeszcze dalej migotały latarnie wokół kilku myśliwskich chat w lesie na skalistym wybrzeżu. Sylwetki gór rysowały się wyraźnie, lecz zasłonięty księżyc nie oświetlał ich stoków.

Po prawej stronie ciemność panowała niepodzielnie. Klify strzelały w górę prosto z morza. Wybrzeże skręcało ku północnemu wschodowi i stopniowo zmieniało się w płaską, wielokilometrową plażę. Za tym niewidocznym zakretem, wtulone w cedrowy las przybrzeżny, stało kilkadziesiąt chat rodzin, które - tak jak rodzina ojca i jego przodków - związały swój los z morzem.

Wyspa Whaler Bay. Dom, a jednocześnie nie dom.

Ember odrzuciła pięć stypendiów uniwersyteckich - za pływanie, piłkę i trzy za biegi - bo nie wyobrażała sobie życia z dala od Kaigani, od matki i ojca. Nie chciała mieć za towarzyszkę wyłącznie swej samotności.

A teraz co mi pozostało? - Myślała. Gdzie jest moje miejsce?

Nisko nad horyzontem migotał czerwonym i zielonym światłem samolot, który odlatywał stąd do innego świata, gdzie żyją inni ludzie. Ale w tamtym świecie nie ma ludzi podobnych do mnie, tak samo jak tutaj.

Ledwie słyszalny ryk silników rozpląnął się w szumie fal obmywających brzeg.

Dlaczego zepsułam im zabawę? Aby udowodnić, że jestem tak samo dobra jak oni? To jedyny dom, jaki mam, po co pogarszać jeszcze swoją sytuację?

Stado mew przeleciało nad klifem, odcinając się bielą od czerni nocnego morza. Gdzieś w oddali rozległ się niski sygnał ostrzegawczy statku, a zaraz potem drugi, podobny.

Ember przypomniała sobie chwile spędzone z Mike'em rano na rowerze. Czuli się doskonale w jego towarzystwie. Było wspaniale. On zawsze starał się żyć jednocześnie sercem, ciałem i umysłem. Niewielu ludzi zadawało sobie trud funkcjonowania na wszystkich

trzech poziomach. I mimo swej nieśmiałości był naprawdę męski i seksowny... Jego jasne orzechowe oczy... Ciepły zapach...

Kaigani.

Ona jest kobietą z serca, ciała i umysłu, myślała Ember. Kaigani i Mike są dla siebie stworzeni. Życzę im jak najlepiej. Naprawdę.

Łzy popłynęły jej po policzkach. Zakreśliła palcem pasmo włosów, które spadło jej na twarz. Czowała zapach swojego potu, płci; smakowała słone łzy i słony morski aromat. Rozpłakała się w głos.

Wiatr przybrał na sile i rozpędził chmury, spomiędzy których wyrzał księżyc. Ember rozwiązała warkocz, potrząsnęła głową. Włosy rozsypały się po jej twarzy. Przesunęła po nich palcami i natrafiła na dwie żółte orchidee. Rzuciła je do morza.

Trzeba wrócić i przeprosić wszystkich. Co innego mi pozostaje?

Blask księżycy padł na kopczyk kamieni pod granitowym występem skalnym. Kamieni nie było tutaj miesiąc temu. Ember podeszła bliżej. U podnóża skały leżały kwiaty, jabłka, pomarańcze, do których zdążyły się już dobrać szopy, oraz nie otwarta jeszcze butelka piwa. Spomiędzy kamieni wystawały nadpalone łądygi szaławii i zwinięte kartki papieru. Ember wyciągnęła jedną. List został napisany na maszynie.

Sisiutlqua!

Moja mała córeczka choruje. Lekarze nie wiedzą, co jej dolega. Jesteśmy czystej krwi Quanootami.

Wierzyłam w Jezusa, kiedy byłam mała, i chyba nadał wierzę, ale on nie potrafi (albo nie chce) nam pomóc.

Mój mąż i ja przestaliśmy chodzić do kościoła, od kiedy usłyszeliśmy o Tobie.

Jesteśmy Quanootami. Prababcia uczy nas Quanoot-cha. Chcemy żyć dobrze. Jesteśmy Quanootami i wierzymy w Ciebie.

Z poważaniem

Tilly i James w Jednym Bucie

PS Nasza córeczka nazywa się Kelka Marie. Chodziłaś do szkoły razem z Jamesem. On był dwie klasy wyżej.

Ember zacisnęła zęby. Niech licho porwie Toma! Otworzyła drugi list, napisany drżącą ręką.

Sisiutlqua, mam osiemdziesiąt dziewięć lat, więc nie muszę Cię o nic prosić. Dziękuję Ci za to, że jesteś znów wśród nas, że przywróciłaś nam utraconą godność. Pamiętam czasy, gdy rząd rozkazał zniszczyć nasze totemy i zabraniał mówić w naszym języku. Przyszli ludzie z opieki społecznej i zabrali mnie do szkoły na łądzie. Pamiętam płacz ojca. Później się dowiedziałem, że nigdy się z tym nie pogodził. Co prawda rząd zwrócił część tego, co ukradł, i umieścił w wioskowych muzeach, ale to na nic, bo utraciliśmy naszego ducha.

Wierzę, że przysłałaś, żeby nauczyć naszą młodzież Quanoot-cha. Nie słów, ale sensu Drogi. Brakowało mi jej w szkołach białych, ale młodzi dorastający teraz mogą ją mieć, jeśli Ty im pomożesz.

Pomóż im.

Chyba jednak jest coś, o co chciałbym Cię prosić. Jeśli w krainie duchów spotkasz moją żonę, Grace, powiedz, że ją kocham, tęsknię i wkrótce za nią pójdę.

Dziękuję

Thomas St. John (Kose Chinokanok)

Ember poczuła, jakby ktoś włożył jej kamień pod żebro. Listów były dziesiątki. Przeczytała jeszcze pięć czy sześć, aż trafiła na kartkę napisaną ręcznie przez Toma Luca:

Droga Ember/Sisiutlqua!

Przez dwa tygodnie pościłem. Nic nie jadłem, piłem tylko wodę i czuję się bardzo słaby, ale naprawdę czysty. Zbudowaliśmy z Bobbym saunę koło strumienia za domem jego matki i zbieramy się tam co wieczór jeszcze z kilkoma innymi, śpiewamy w kółko piosenkę budowniczych łodzi i wielorybników (nie znamy na razie innych), a potem kąpiemy się w zimnym strumieniu. Zmywamy z siebie dawny brud. Od jedenastu tygodni nie palimy, nie pijemy, nie zażywamy narkotyków. I nie będziemy już nigdy więcej.

Babcia Luc i babcia Flower opowiadają nam to, co pamiętają o Drodze.

W dniu ślubu Rona i Chanee będę wystarczająco czysty, żeby opowiedzieć wszystkim mieszkańcom, co dla mnie zrobiłaś. Jesteś tutaj! To najlepsze, co zdarzyło mi się w życiu, i najlepsze, co mogło się zdarzyć w naszej wiosce.

Quanoot-cha ki layo me, de ene poi hok.

Twój oddany sługa, Tom Luc

Ember już z daleka słyszała gniewne głosy dochodzące z wnętrza chaty plemiennej. Serce skoczyło jej do gardła, kiedy stanęła u drzwi. Nie weszła. Przyłożyła oko do szpary.

Tom stał na środku izby. Twarz miał chudą i wysuszoną, ale jego czarne oczy błyszczały jak obsydian. Długie włosy zaczesał na jedną stronę, tak jak czynili dawni wielorybnicy.

- Sisiutlqua jest tu z nami - rzekł do łysiejącego mężczyzny w koszuli rodeo, który stał obok niego na środku izby. - Zaprzeczając temu, wyrzekasz się własnego dziedzictwa.

- Dziedzictwo Quanootów jest takie samo jak dziedzictwo białego człowieka: grzech i śmierć! Ona nie jest zbawicielem, nawet jeżeli jest Sisiutlqua. Jedynym zbawicielem jest Jezus Chrystus.

Niektórzy przytaknęli.

- Ale mnie nie zbawił, kiedy umierałem. Nie pokazał swojej twarzy. Widziałem za to, jak jej światło sięga w morze ciemności i wyciąga stamtąd moją duszę. Czy to jest zbawienie, czy nie?

Wielu ludzi przytaknęło chórem.

- Dajcie Jezusowi harpun, a nie będzie wiedział, który koniec jest ostry - odezwał się Bobby Kynaka. Stracił na wadze i zapuścił włosy, także zaczesane na modłę wielorybników. - On jest dla białych, dla filozofów i pisarzy. To nie wojownik. Wierzcie mi, Ember jest wojownikiem.

Potarł palcem złamany grzbiet nosa.

- Od kiedy wybrałem drogę wojownika, znów czuję się dumny z tego, że jestem Quanootem.

Wszyscy naraz zaczęli mówić i przekrzykiwać się.

Jimmy Ozette, ojciec Ember, wystąpił na środek. Smugi siwizny przyprószyły jego czarne włosy i brodę; blada ukośna blizna, ślad po zębach piły mechanicznej, przecinała jego szeroki nos i prawy policzek. Uniósł ręce. Rozmowy ucichły.

- Proszę was wszystkich po raz drugi: rozejdźcie się do domów, ochłońcie i przemyślcie wszystko jeszcze raz. Poza tym wydaje mi się, że Ember też ma w tej sprawie coś do powiedzenia.

W tym momencie Ember weszła do izby.

- Nie jestem Sisiutlquą - powiedziała głośno.

Wszyscy odwrócili się w jej stronę.

Matka, Mike i Kaigani podbiegli, żeby ją uściskać. Wszyscy razem podeszli do Jimmy'ego. Niektórzy wyciągali ręce, by dotknąć jej włosów, inni przeciskali się, żeby być bliżej.

Zapadła cisza. Ember rozglądała się powoli, zatrzymując wzrok na każdej twarzy. Niektórzy marszczyli czoło, inni drżeli ze łzami w oczach.

- Nazywam się Ember Ozette. Znać mnie wszyscy. Niektórzy nawet dobrze. Jestem taka sama jak dawniej, nic się nie zmieniłam. Tego dnia na górze ogrzałam Toma... Mam bardzo ciepłe ciało, ludzie nawet z tego żartują... Ale nie mam nic wspólnego z tym, co się tu o mnie mówi.

Spojrzała na Toma klęczącego u jej stóp.

- To nie znaczy, że odrzucam Quanoot-cha. To dobrze, że ty, Bobby i inni wybraliście Drogę wojownika. Ale ja nie jestem Sisiutlquą. Wszyscy powinni o tym wiedzieć. - Wyciągnęła rękę do Toma. - Wstań. To ja, Ember.

Tom schylił głowę

- Ona jest szatanem! - Wrzasnęła jakaś kobieta.

Ktoś podchwycił, inni zaczęli zaprzeczać. Wysoka, koścista kobieta wstała, podeszła do Ember i spojrzała jej w oczy. Była to jej babka ze strony matki.

- Ja wiem dobrze, kim jesteś, Ember. Następnego dnia po powrocie mojej córki Cheny, osiemnaście lat temu, Starzec przybył do chaty nad Otter Creek, gdzie zamieszkaliście. Ty byłaś wtedy noworodkiem. On nie ruszył się z wyspy, jak długo sięgają pamięcią najstarsi ludzie, ale pośpieszył tam, żeby cię zobaczyć. Powiedział, że będziesz wielką *kasko* - Sisiutlquą. Pocałował cię w czoło i odszedł. Wszyscy widzą, że nie jesteś taka sama jak my. Jesteś wyjątkowa. Starzec o tym wiedział. On wiedział.

Chena zmarszczyła czoło.

- Mamo, mówiłam ci sto razy, że nie mam pojęcia, co on mówił. - Rozejrzała się po zebranych. - To tylko plotka. Jimmy i ja nie znamy dawnego języka. Nie wiemy, co powiedział starzec.

Po policzkach staruszki płynęły łzy.

- Chena, urodziłaś Sisiutlquę. Starzec wiedział o tym. To część wielkiego planu. Dzięki temu nasza rodzina znów będzie razem! - Klasnęła w dłonie. - *Chianoot-cha ki layo me, de ene poi hok!*

Tom, Bobby i kilku innych podchwyciło afirmację. Ember oddychała z trudem.

- To ty wszystko zacząłeś, Tom - wykrztusiła. - I ty musisz to powstrzymać. Proszę cię.

- Sisiutlqua ma poddawać wojowników próbie, upewniać się, że ich wiara jest żywa. Moja jest.

- Dobrze! - Zawołała Ember. - Jeśli mnie do tego zmusicie, wyjadę z Whaler Bay. Wyprowadzę się stąd i nie wrócę... Mogę jechać do szkoły w Los Angeles albo na Florydę. Czy o to wam chodzi? Chcecie, żebym zostawiła rodzinę?

- Uspokój się, kochanie - odezwała się Chena. - Weź głęboki oddech.

Tom wstał ze zranionym wyrazem twarzy.

- Czy robimy coś złe? - Spytał. Jego ramiona drżały. - Pościłem przez kilka tygodni. Zmieniłem się, naprawdę się zmieniłem. Powiedz, czego od nas oczekujesz. Potrzebujemy twojego przewodnictwa, Sisiutlqua.

- Dość tego. Wyjeżdżam - powiedziała Ember. Przeciskała się przez tłum jak klin, który wbija się w kłodę drewna. - Chcesz wiary! - Krzyknął Tom. - Oto ona!

Rozerwał koszulę. Guziki poleciały na wszystkie strony. Tom wyjął z pochwy duży myśliwski nóż. Wszyscy wstrzymali oddech. Ember stanęła przed drzwiami i odwróciła się.

- Ocaliłaś mnie kiedyś. Wierzę, że zrobisz to po raz drugi.

- Nie! - Krzyknęła Ember.

Przyłożył ostrze noża do wypukłej różowej blizny po prawej stronie piersi. Mike skoczył i obiema rękami odwrócił nóż w drugą stronę. W tej samej chwili Jimmy uderzył Toma w głowę piórem wiosła. Drewno rozprysło się w kawałki. Tom upadł na podłogę.

- Widzicie, co się dzieje, kiedy idzie się za diabłem? - Spytał jakiś mężczyzna.

- Mówiłam wam, że ona jest szatanem! - Wrzasnęła kobieta.

Jimmy zakręcił nad głową drzewcem wiosła.

- Niech ktoś jeszcze nazwie moją córkę szatanem, a wsadzę mu to w tyłek. Wszyscy do domów!

Ember osunęła się na ławę. Matka i siostra usiadły obok i objęły ją. Ludzie wychodzili jeden po drugim, rzucając ostatnie spojrzenia na Ember i rozmawiając półgłosem.

- Możesz go oskarżyć o napastowanie - powiedziała Chena. - Sąd wyda nakaz, żeby trzymał się od ciebie z daleka.

- To nie jest wina Toma - odparła Ember łamiącym się głosem. - To przeze mnie. Jestem inna niż wszyscy, na zewnątrz i wewnątrz. Inna nawet od ciebie i Kaigani. Nie wyobrażasz sobie, co to znaczy, mamo. Może naprawdę jestem Sisiutlquą... Nie wiem. Wiem tylko tyle, że się boję.

- Och, kochanie, czego się boisz?

- Że moje wizje opanują mnie i zwariuję. - Głos jej się załamał. - I nawet wy...
Przestaniecie mnie kochać.

Chena przycisnęła do piersi głowę Ember. Jej włosy otuliły głowę córki.

- Prędzej księżyc przestanie kochać morze, niż ja przestanę cię kochać.

Kaigani pocałowała Ember i rozplakała się. Siedziały we trójkę na ławie, kołysząc się powoli.

- Jest ktoś, kogo powinnaś odwiedzić - powiedziała Chena.

Ember westchnęła.

- Boję się tego, co on mi powie. Ale chcę wiedzieć. Chcę tam iść jeszcze dzisiaj.

- Za późno.

- Księżyc w pełni. Jest tak widno, że można by czytać książkę.

- Starzec na pewno będzie spał. Tata zabierze cię tam rano. Ember nic nie odpowiedziała. Zacisnęła tylko usta.

Rozdział 24

Mike leżał na plecach, przypatrując się cieniom skaczącym po suficie. Światło księżyca, odbite od klamry paska wiszącego na krześle, padało na ścianę cedrowej chaty srebrnym prostokątem.

W szafkach kuchennych buszowała rodzinka myszy. Gdzieś od strony morza dochodziły krzyki mew, a od czasu do czasu dał się słyszeć pisk jastrzębia gołębiarza. Bliżej chaty basowały grubym głosem ropuchy, a drzewne rzekotki wtórowały im falsetem.

Ropuchy cichły raptem wszystkie naraz, jak na sygnał. Przez chwilę panowała cisza. Potem odzywała się jedna, dołączała druga, trzecia, i już wszystkie ropuchy na wyspie rechotały ile sił.

Ale to nie miało znaczenia. Mike i tak nie liczył na to, że usnie.

Ember i Kaigani. Dwie gwiazdy orbitujące wokół siebie, wymieniające materię przy zbliżeniu. Jak można kochać jedną, nie kochając drugiej?

A ten zwariowany kult? Czy Sisiutlqua to jakaś bogini wojowników? Czemu Ember coś ukrywa? Jak mogę jej pomóc, jeśli mi nie ufa? A jeśli mi zaufa, czy zdołam jej pomóc?

Opanowało go poczucie bezradności.

Wstał z łóżka i wyprostował ramiona nad głową. Palcami dotknął niskiego sufitu. Włożył dzinsy, koszulkę, płócienne buty, skórzaną kurtkę i wyszedł na ścieżkę prowadzącą do West Bay.

Przywiał go lekki wiatr pachnący wodorostami i solą. Srebrzyste światło ślizgało się po płataninie śliskich pędów, popękanych muszli i gładkich kamieni.

Mike nigdy jeszcze nie widział tyle bioluminescencji co dzisiaj. Każdy jego krok po mokrym piasku wywoływał maleńką eksplozję niebieskawego światła. Połyskliwa tafla wody wylewała się na brzeg, a w białej pianie uwijały się cicho brodźce.

Na plaży przysiadł olbrzymi głaz otulony płaszczem mchu. Obrastały go karłowate, pokrzywione wiatrem jodły. Mike znalazł zagłębienie w kamieniu, magiczne miejsce, gdzie można było siedzieć i rozmyślać albo po prostu siedzieć. Po suchej stronie głazu cumował swoje czółno.

Quanooci wraz z plemionami Haida, Makah i Nootka byli wikingami preeuropejskiej Ameryki. Napadali na inne nadmorskie plemiona, łupili je i brali ludzi w niewolę. Wykorzystywali do tego celu olbrzymie czółna z kilkunastoma wioślarzami. Jimmy Ozette pomógł Mike'owi zbudować miniaturę takiej łodzi. Robili wszystko dokładnie tak, jak dawni

indiańscy szkutnicy. Cały dzień trwało ścięcie kamienną siekierą olbrzymiego cedru. Przelupali pień wzdłuż kamiennymi klinami i poszerzyli pęknięcie skrobaczkami. Następnie nalali do środka nieco wody i wrzucali podgrzane w ogniu kamienie. Kiedy para zmiękczyła drewno, rozchylili obie części pnia drewnianymi klockami, nadając mu właściwy kształt. Wygięty do góry dziób oraz rufę uformowali osobno i przykleili do dłubanki żywicą. Potem wygładzili kadłub i pomalowali w wydry, symbol klanu rodziny Ozette. Nadali łodzi imię „Kawka”.

Zbliżywszy się do granitowego głazu, Mike spostrzegł, że ktoś ciągnie czółno do wody.

- Hej! Co robisz? Stój!

Księżyc oświetlił twarz intruza.

- Ember?

- Płynę do Starca.

- O drugiej w nocy?

- Tak.

- Nie możesz.

- Mogę.

- Zapomnij o tym. Musiałabyś wiosłować pod prąd. Jest przypyływ.

- Dam sobie radę.

- Pięć kilometrów, sama w dwuosobowej łodzi?

- Powiedziałam, że dam sobie radę.

- Czemu nie wzięłaś „Zodiaka”?

Nie odpowiedziała.

- Bo ojciec zamknął go na klucz - domyślił się. - On nie wie, że porywasz się na takie szaleństwo.

- Odejdź, Mike.

Twarc Ember miała taki sam wyraz jak wtedy, gdy powiedział jej, że skok rowerem przez strumień jest niebezpieczny.

- Dobrze. Płynę z tobą.

- Nie potrzebuję twojej pomocy.

- Potrzebujesz. - Mike rzucił kurtkę na dno czółna. Zapiął kamizelkę ratunkową.

- Powiem inaczej. Nie chcę, żebyś ze mną płynął.

Pociągnął czółno do wody. Dno łódki zostawiło na mokrym piasku świetlisty ślad.

- Mike, to osobista sprawa.

- Wiem. Gdyby coś ci się stało, nie darowałbym sobie tego do końca życia. - Chwycił drewniane wiosło. - Wsiadaj. Ja odepchnę.

Ember westchnęła głośno i weszła do środka. Po chwili sunęli po czarnej wodzie, a wyspa Whaler Bay kurczyła się coraz bardziej. Każde uderzenie wiosła wzniecało świetlisty wir, który zostawiali natychmiast za sobą.

- Czemu sądzisz, że ten facet lubi być budzony w środku nocy? - Spytał Mike z rufy.

- Czuję, że mnie wzywa.

- Skąd wiesz, że on nie ma broni? Nie zna nas. To może wyglądać jak desant komandosów na Iwoshimę.

- On lubi gości. Odwiedzają go starzy ludzie, którzy wierzą w tradycję. Udziela im porad, pomaga.

- Myślałem, że to pustelnik.

- Tak, ale jest także Sisiutlquą.

Mike opuścił jedno uderzenie wiosła. Lodowata woda chlusnęła mu na ramiona.

- Zaraz. Nic już nie rozumiem. Ciebie uważają przecież za Sisiutlquę.

- To nie osoba, ale tytuł. Znaczy tyle co Łowca Dusz. W dawnych czasach byli ludzie zwani *kasko*. Znasz to słowo?

- Coś takiego jak szaman?

- Tak. Potrafili leczyć chorych, przepowiadać przyszłość, a nawet przywracać ludziom życie, jeśli ich śmierć nie była naturalna.

- Co to znaczy nienaturalna śmierć?

- Zły duch próbuje uprowadzić duszę i uczynić ją niewolnikiem w zaświatach. Kiedy ktoś chorował, szaman zapadał w głęboki sen i wędrował po wioskach duchów, aby odszukać duszę chorego. Jeśli dowiadywał się, że dusza ma tam zostać, mówił krewnym, że nadeszła pora, aby pacjent umarł. Ale jeśli odkrył, że dusza została uprowadzona, czynił wszystko co w jego mocy, żeby przywołać ją z powrotem.

- Więc jeśli biedak wyzdrowiał, to była to zasługa szamana - powiedział Mike. - A jeśli wyzionął ducha, nie było w tym niczyjej winy. Tylko pozazdrościć takiej polisy ubezpieczeniowej.

- Łowcy Dusz byli najpotężniejszymi *kasko*; pojawiali się raz na kilka pokoleń i służyli wielu plemionom, nie tylko swojemu. Ostatni Łowca Dusz miał na imię Iwaka, co znaczy „wodospad”. Żył w czasach, gdy wśród Indian zapanowała epidemia grypy. Padali jak muchy, a on nie mógł nic zrobić.

Mike czytał o straszliwej epidemii 1829 roku. Indianie z nadmorskich plemion nie byli uodpornieni na wirusa i umierali w ciągu kilku godzin po zarażeniu. Grypa, ospa i gruźlica w ciągu dziesięciu lat pozbawiła życia dziewięćdziesiąt procent indiańskiej ludności.

- W wioskach nie zostało nawet tylu ludzi, żeby pochować ciała zmarłych, musieli więc uciekać.

- Niech zgadnę. Wtedy wkroczyli misjonarze, zniszczyli totemy i w ich miejsce postawili krzyże.

- Kto mógł ich powstrzymać? Rzucali śmiertelne czary.

- A Iwaka?

- Nie umarł od choroby, ale odszedł i zamieszkał samotnie na wyspie.

- Starzec?

Ember skinęła głową.

- Wykluczone. Musiałby mieć... Prawie dwieście lat.

- Nikt nie zna jego wieku. Wielu uważa, że to właśnie on.

W przenikliwie zimnym nocnym powietrzu pot spływał po plecach Mike'a. Ember zdjęła koszulę i została w białej koszulce. Blask księżycy lśnił na jej ramionach i karku. Mike widział mięśnie grające pod skórą dziewczyny przy każdym pociągnięciu wiosła. Oddychał ciężko, ale starał się wiosłować równo z nią. Czółno unosiło się lekko i nurkowało zgodnie z rytmem wiosła.

- Czemu Tom sądzi, że jesteś Łowczynią Dusz?

Ember opowiedziała o spotkaniu w tajemnej kryjówce i o tym, co się zdarzyło.

- To było jak błyszczące ciepło albo elektryczność, jakaś ognista energia, która zapalała się głęboko w moim brzuchu i ogarniała całe ciało. Najsilniej promieniowała z moich rąk i oczu... Opanowała mnie.

Odwróciła głowę, żeby zerknąć na Mike'a.

- Myślisz, że zwariowałam?

- Myślę, że zastosowałaś jogę na najwyższym poziomie.

- Słyszałeś o czymś podobnym?

- Czytałem. Tybetańscy jogini, gdzieś tam na dachu świata, opanowali techniki kontrolowania oddechu zwane *tumo*, które pozwalają ogrzać ciało w niskiej temperaturze.

- *Tumo*?

- Po tybetańsku to znaczy „wewnętrzne ciepło”. Prawdę mówiąc, niewiele o tym wiem. Przeczytałem, że w jednym z klasztorów studenci przechodzili egzamin polegający na tym, żeby za pomocą siły umysłu roztopić śnieg, który ich otaczał.

Powierzchnia wody poruszyła się i zmarszczyła. Drobne fale zaświeciły bladym światłem.

- Najślawniejszy adept... O! - Duża ryba przeskoczyła nad łódką i wylądowała po drugiej stronie. - Pewien mistrz jogi imieniem Milarepa, co znaczy „biała bawełna”, ubierał się tylko w suknię z cienkiej białej bawełny, nawet w czasie najostrzejszych himalajskich zim.

- Musisz mi pokazać tę książkę. Naprawdę lepiej się czuję wiedząc, że ktoś jeszcze doświadczył czegoś podobnego.

- Ale ty to zrobiłaś sama z siebie, w sposób naturalny. Nie mogę tego pojąć. Ci mnisi ćwiczą ciało i umysł od małości i dopiero po wielu latach udaje im się opanować tę sztukę. A ty zobaczyłaś, że Tom umiera, i w jakiś sposób przekazałaś mu energię tysięcy woltów. To niesamowite.

- Nie wiem, jak to zrobiłam.

- Mogłabyś zrobić coś takiego powtórnie?

Ember obejrzała się.

- Nie chcę.

Skinął głową.

- Rozumiem.

Zmagali się z prądem przyływu. Mike ledwie dostrzegł w ciemności czarny kontur Wyspy Starca.

- Czy Tybetańczycy mają złotą skórę tak jak ja?

- Nie. Są trochę podobni do Chińczyków Han. Ich skóra jest koloru ciemnego siana.

Pół godziny później Mike'owi zdawało się, że dostrzegł błysk płomienia w dolnej części poszarpanej sylwetki wyspy. Podniecała go perspektywa spotkania prawdziwego indiańskiego szamana. To było jak krok w przeszłość Ameryki.

- Ember, opowiedz mi o swoich snach.

Powtórzyła mu sen o niebieskiej lodowej jaskini i wizję, w której czuła zapachy ludzi i zwierząt.

- Kiedyś wybiorę się w wielką podróż w poszukiwaniu ludzi podobnych do mnie. Na Syberię albo do Mongolii.

- A twoi biologiczni rodzice? Musiałaś już sprawdzić, kim byli.

- Nie ma śladu. Uczony, który przeprowadził implantację embriona, twierdzi, że dawcy byli anonimowi.

- A ty ani myślisz w to uwierzyć.

- Nie wiem. Czasem wydaje mi się, że jestem krzyżówką człowieka i orangutana.

- Czemu mówisz takie rzeczy? Dla mnie jesteś piękna. Przestała wiosłować.

- Co powiedziałaś?

- Słyszałaś.

Odwróciła się. Nawet w półmroku jej oczy błyszczały jak szmaragdy. Mike uśmiechnął się nieśmiało.

- Jesteś naprawdę piękna.

Zmarszczyła gęste brwi. Pochyliła się i poruszyła wolno wiosłami.

- Kaigani chyba się w tobie zakochała - powiedziała po chwili.

Mike nie odpowiedział.

Z lewej strony, z odległości kilkunastu metrów z wody dał się słyszeć syczący dźwięk. Odgłos przybierał na sile i po chwili brzmiał jak krople wody wpadające do olbrzymiego rozgrzanego rondla. Olbrzymi bąbel wibrującego światła mienił się tysiącami drobnych ryb.

- Wieloryby wychodzą! - Krzyknęła Ember.

Sześć czy osiem wielorybów wynurzyło się jednocześnie kręgiem na powierzchnię. Paszcze miały otwarte; wydmuchiwały fontanny wody, syczały i piszczały. Srebrny śledź wyskoczył i zakręcił się w powietrzu, odbijając światło księżyca jak moneta rzucona w górę. Po dwóch minutach wieloryby zanurzyły się znowu. Nad wodą unosiła się połyskująca niebieskawo mgiełka.

- Humbaki - stwierdziła Ember.

Mike siedział bez ruchu, z szeroko otwartymi oczami. Milczał. Wtem niczym czarny gejzer nad powierzchnię wyskoczył olbrzymi kształt. Zawisł na moment, a potem spadł rozpryskując wodę i wzbijając fontannę błękitnego światła. Druga czarna góra wynurzyła się i wpadła do wody tak blisko, że czołno zakołysało się gwałtownie.

- O rany! - Zawołał Mike. - Czy one nie mogą zostać na swoim miejscu?

Kilka metrów przed dziobem ukazał się świetlisty bąbel.

- Do tyłu! - Krzyknęła Ember. Uderzyli mocno wiosłami i łódź stanęła w miejscu.

Stado wielorybów wyrzuciło w górę setki ryb. Humbaki poruszały szczękami, pochłaniając tony wody. Ukazały się rybitwy, nurkując w wodzie i głośnym krzykiem powiększając hałas. Po kilku minutach wieloryby znikły w głębinie.

- Wyośmy się stąd! - Zawołał Mike. Chwycili za wiosła i pomknęli w stronę wyspy.

- Steruj w prawo! - Krzyknęła Ember. Przed dziobem znów wynurzał się świetlisty bąbel.

Wieloryb wyskoczył wysoko nad powierzchnię i stanął na ogonie, wielki jak autobus. Pochylił się w stronę czołna.

- Skacz! - Wrzasnął Mike. Oboje rzucili się w wodę przez prawą burtę. Zanurzając się, Mike usłyszał jeszcze trzask pękającego drewna. Wynurzył głowę nad lodowatą wodę.

- Ember!

- Tu jestem. Wszystko w porządku.

Kołysała się na powierzchni parę metrów od Mike'a. Podpłynął do niej i złapał się za jej kapok.

- Zimno jak diabli - powiedział.

- Trzymajmy się blisko. Mamy do przepłynięcia ponad pół kilometra.

- Dobra. Nie zgub się. Co jakiś czas musimy sprawdzać, czy się nie rozdzieliliśmy.

Mike odwrócił się w stronę Wyspy Starca i zaczął płynąć naprzód długimi ruchami. Zimno szczypało go w palce i po chwili ręce mu zgrabiały. Ember płynęła obok, ciągnąc za sobą smugę światła.

Po kilku kolejnych minutach Mike miał ręce jak z gumy. Ember płynęła nieco z przodu i musiał przyśpieszyć, żeby nie zostać z tyłu. Kości zaczęły go boleć od chłodu.

- Dajesz sobie radę? - Spytała Ember.

- Z-z-zimno mi.

Płynęli przez chwilę razem, ale Ember znów wysunęła się do przodu. Poczekała na Mike'a. Przyjemne mrowienie zaczęło stopniowo ogarniać całe jego ciało. Poczul ulgę, jak gdyby gruba warstwa bawełny otuliła mu mózg, tłumiąc wszelkie doznania. Zaczął chichotać w euforii.

- Mike, oddychaj głęboko - powiedziała Ember przyglądając mu się z obawą. Próbował powiedzieć: „Wszystko w porządku”, ale słowa uwieźły mu w gardle. To go jeszcze bardziej rozśmieszyło. Ember zaczęła go holować za kamizelkę ratunkową.

- Machaj nogami. Ruszaj się. Prawie dopłynęliśmy.

„Zostaw mnie, chce mi się spać”, próbował powiedzieć Mike, ale język odmówił mu posłuszeństwa. Zamknął oczy.

- Uciekajmy! - Krzyknęła Ember. Pociągnęła Mike'a ku brzegowi okręgu kipiącego niebieskimi błyskami.

Nie zdążyła.

Głowy wielorybów otoczyły ich ze wszystkich stron. W górze kołowały rybitwy. Srebrne rybki skakały wokół, ocierając się o ich twarze. Mike zachłysnął się morską wodą. Wieloryby zniknęły pod powierzchnią; woda znieruchomiła na chwilę.

Trzy czarne ściany wyrosły z morza i zasłoniły księżyc. Na pół sekundy zawisły w powietrzu, a potem zwały się w wodę. Fala wyrzuciła Mike'a nad powierzchnię. Zobaczył

trzy płetwy unoszące się nad jego głową jak gładkie czarne skrzydła. Spadły tuż obok i wir wciągnął go w toń.

Mike patrzył na wszystko jak przez grubą zasłonę. Chciało mu się spać, lecz siłą woli trzymał oczy otwarte. Ember krzyczała i uderzała go raz po raz w policzki, ale nic nie słyszał i nie czuł.

W końcu, wyczerpany do granic obojętności, ujrzał rozwartą szeroko paszczę wieloryba. Poczuł, że coś wciąga go do środka. Ogarnęła go ciepła, kojąca ciemność, miękka i przyjemna.

Zasnął z prawdziwą ulgą.

Rozdział 25

Ember obudziła się we mgle tak gęstej, że trudno było powiedzieć, czy słońce już wzeszło. Krople rosy skapywały ze sklepienia olbrzymiej dziupli wydrążonego drzewa, które dało im schronienie.

Opierała głowę na piersi Mike'a. Tuż przy uchu słyszała bicie jego serca. Spał, nagi tak samo jak Ember, więc przykryła go kocem.

W nocy, gdy Mike doznał szoku termicznego w wodzie, Ember przyholowała go do wyspy. Zawlokła go po plaży do miejsca, gdzie stał gruby totem z wyrzeźbioną paszczą orki. Mike miał sine usta. Drgawki ustały.

Zdjęła szybko z siebie i z Mike'a przemoczone, zimne jak sople lodu ubrania i przytuliła się do niego. Musiała sięgnąć po swoją moc i wykorzystać ją, by uratować mu życie.

Tumo. A może jej moc to coś więcej niż *tumo*. Mike nie wspominał nic o łączeniu dusz. Wiedziała teraz, że go kocha. Ten sam duch męskości, którego sygnały widziała na zewnątrz - w oczach Mike'a, w jego uśmiechu - obecny był w samym centrum jego istoty. Ember dotarła tam i złączyła się z nim.

Zapach jego ciepłej skóry zawładnął nią całkowicie. Mike zeszywniał podczas snu, a za każdym razem, gdy się poruszył lub gdy drgnęły mu powieki, serce Ember biło szybciej. Wiedziała jednak, że wilgoć między jej nogami, pragnienie jej serca - wszystko to jest zakazane. Ich dusze się połączyły. Miłość zmysłowa nie mogłaby ich bardziej zbliżyć - a poza tym oznaczałaby zdradę Kaigani.

Mike poruszył się i otworzył oczy. Rozchylił usta widząc siebie i Ember nagich, złączonych w uścisku. Chciał coś powiedzieć, ale położyła mu palec na ustach. Pocałował jej rękę, potem objął Ember i podciągnął do góry tak, że ich wargi zbliżyły się do siebie na centymetr. Odwróciła twarz.

Ujął ją w dłonie, odwrócił i pocałował w usta. Pozwoliła mu na to tylko przez chwilę, żeby posmakować jego warg. Upłynęła jeszcze jedna chwila... I Ember zapragnęła czuć jego wargi na całym swoim ciele.

- Mike, nie! - Wyrwała się. Jej piersi falowały, włosy opadły na twarz.

Mike schylił się i zlizął sól z delikatnego meshku na jej wysokich, krągłych piersiach. Zachłysnęła się. Wsunął twarz między piersi, przycisnął wargi do jej sutka.

- Nie, nie - dyszała, drżąc od stóp do głów.

Silne, delikatne palce pieściły, masowały jej szyję i ramiona, głaskały jej plecy, przesuwały się po muskularnych udach, wślizgiwały się między nogi. Wstrzymała oddech i naprężyła szyję. Wilgoć wypłynęła na wewnętrzną stronę jej ud.

Kaigani miała już kochanków i opowiadała ze szczegółami o tych erotycznych spotkaniach, lecz Ember nie wyobrażała sobie, że to może być tak zniewalające. Pragnęła go w swoim wnętrzu i wiedziała, że to ostatnia chwila, kiedy może się temu oprzeć.

- Mike... Nie wolno nam, nie wolno. - Zsunęła się z jego umięśnionej piersi i sięgnęła po swoje ubranie. Skóra Ember była złotoróżowa i rozgrzana, błyszcząca od potu. Przywarły do niej czerwone ziarenka piasku.

- Ty też mnie kochasz - powiedział Mike. - Oboje o tym wiemy.

- Kocham też Kaigani, tak jak ty.

Mike znieruchomiał z bezradnym wyrazem twarzy. Potem westchnął ciężko i opuścił głowę.

- Może będziemy kochać się we troje.

- Jesteśmy siostrami, nie świętymi. I nie dziwkami. - Ember wycisnęła kałużę wody z koszulki i szortów.

- Przepraszam. - Przesunął palcami po wilgotnych włosach. - Przepraszam, sam nie wiem, co robić.

- Ja też nie, więc nie musisz się tym martwić. Włóż ubranie. Ember spostrzegła nagle mężczyznę siedzącego na piasku nie dalej niż pięć metrów od drzewa, milczącego jak totem wyrzeźbiony z mgły.

- Starzec - powiedziała wskazując głową.

Mike skoczył i uderzył czołem w sklepienie. Jedną ręką złapał się za głowę, a drugą próbował ukryć swoją nagość. Wykręcił zimne, przemoczone džinsy i wciągnął na nogi drżąc z zimna. Wzwód nie pozwolił mu zapiąć suwaka.

- Idź sama - rzekł.

Ember wysunęła się na zewnątrz.

Starzec uśmiechnął się i zbliżył, przemawiając w języku Quanootów. Był ubrany w sięgającą do kolan tunikę z psiej sierści z krótkimi rękawami, zdobioną frędzlami barwionymi na purpurowo wydzieliną małży. Na głowie miał szeroki stożkowy kapelusz z kory cedru, na której narysowane były orki, a na chudych gołych nogach wytarte buty sportowe obwiązane sznurkami z cedrowej kory. Do pasa z kory przytroczył dwie żółte tykwy.

Ember przedstawiła siebie i Mike'a. Starzec pocałował ją w obie ręce i podał swoje, które Ember także ucałowała. Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając nieliczne zęby. Pachniał dymem z ogniska i rybami. Ember była wcześniej zbyt zajęta, żeby zwietrzyć jego obecność.

A więc tak wygląda Starzec, Sisiutlqua. Był bardzo niski. Czubek jego głowy ledwo sięgał jej brody. Miał białe włosy, a pocięta zmarszczkami twarz świadczyła o jego niesłychanie podeszłym wieku.

Mike wyszedł z dziupli i skrzyżował ręce na piersi.

- Czemu on nas szpiegował?

Ember powiedziała coś; Starzec przyjął wyjaśnienie śmiechem. Kiedy mówił, jego twarz i ręce poruszały się przy każdym słowie.

- Mówi, że chciał zobaczyć, jak się kochamy.

- Niech się wypcha.

Starzec przemówił ponownie.

- Mówi, że widział kochające się wieloryby, orły, wydry, niedźwiedzie...

- Świetnie, wścibski podglądacz przyrody...

- ...Ale nigdy jeszcze nie widział kochających się ludzi. Był ciekaw.

- Spytaj go, czy słyszał o czymś takim jak dyskrecja. I powiedz, że niektóre rzeczy w życiu zasługują na szczególną ochronę.

Dźwięki języka Quanootów przypominały Mike'owi klęśnięcia i ciche wybuchy. Starzec niemal tańczył do melodii swoich słów; jego czarne oczy błyszczały w płataninie zmarszczek. Uśmiechnął się.

- On pyta, co w tym takiego szczególnego? Codziennie patrzy jak niebo, góry i morze zbliżają się do siebie erotycznie. Wymieniają między sobą energię i rozkosz, i nie próbują tego ukrywać. - Ember roześmiała się. - Mówi, że w porównaniu z humbakiem masz bardzo małe narządy płciowe.

Starzec uśmiechnął się promiennie do Mike'a i rozłożył ramiona najszerzej, jak tylko mógł. Przyłożył łokcie do boków i ułożył ręce na kształt płetw. Wspiął się na palce, jakby unosząc się na wodzie; wypuścił powietrze ze świstem i wciągnął, wyginając kark i machając rękami z wdziękiem niby płetwami. Wydawał wysokie, piskliwe dźwięki, które niespodziewanie przechodziły w głęboki bas. Tak brzmiała pieśń humbaków.

To było niewiarygodne. Starzec wcielił się w wieloryba.

Mike uśmiechnął się.

- Niezły z niego aktor, muszę mu to przyznać.

Starzec dał znak, żeby poszli za nim. Prowadził przez wysokie zarośla do połowy ukryte we mgle. Dotarli do szerokiej, płytkiej zatoczki. Przyływ się skończył i piaszczysta plaża upstrzona była czarnymi plamami jodowej wydzieliny błyszczących purpurowych wodorostów. Małe i duże kraby uwijały się po piachu we wszystkie strony, stukając po mokrych, gładkich kamieniach otoczonych jeżowcami, różowo-niebieskimi polipami i czerwonymi rozgwiazdami. Nur przechylił do tyłu głowę, żeby połknąć rozgwiazdę, ale nie chciała mu wpaść do gardła. Ptak wyrzucił posiłek, spróbował jeszcze raz i jeszcze raz.

Starzec wydobył spod paska torbę; wyciągnął z piasku małża i wrzucił do środka. Przez dziesięć minut uzbierali w trójkę parę tuzinów mięczaków. Nagle Starzec jednym ruchem chwycił kraba większego od dłoni Mike'a i roztrzaskał jego skorupę o kamień. Wrzucił do torby; po chwili znalazł jeszcze jednego.

Ember chwyciła kraba od tyłu, tak jak to zrobił Starzec, ale skorupiak skrzył się w jej palcach i musiała go upuścić, aby uniknąć uszczyplenia. Starzec schylił się w mgnieniu oka, podniósł kraba i rozbił skorupę. Ember spróbowała powtórnie, starając się naśladować szybkość i kolisty ruch Starca. Udało się. Indianin spojrzał na nią z uśmiechem i wrzucił kraba do torby.

Wspinali się teraz po stoku wzgórza ścieżką wijącą się wśród omszałych głazów i granitowych klifów wyrastających wprost z plaży. Ember poczuła zapach słodkiej wody. Niebawem stanęli nad brzegiem rwącego strumienia. Starzec zanurzył torbę w wodzie, żeby obmyć jedzenie, i napełnił tykwy. Szli w kierunku góry o płaskim wierzchołku, gdzie na polanie stała drewniana chata z rozwartym kruczym dziobem nad wejściem.

Pośrodku, w zagłębieniu paleniska, wśród rozżarzonych węgla leżały rozgrzane do czerwoności kamienie. Starzec wlał nieco wody do cebrzyka z cedrowej kory; kościanymi szczypcami wrzucił do środka gorące kamienie, a na wierzchu ułożył zebrane na plaży małże i kraby. Potem zakrył cebrzyk wiekiem.

Usiedli na ławach z rozpołowionych pni drzewnych i jedli palcami. Posiłek smakował doskonale, mimo że bez przypraw; woda ze strumienia była zimna jak lód. Na wysokości chaty mgła zaczęła się rozpraszać, morze zaś niknęło pod tumanem białej waty.

Starzec skierował wzrok na Ember. Wydawało się, że nie zamierza robić tego ranka nic poza patrzeniem w jej oczy. Ember uśmiechnęła się, lecz widać było, że spojrzenie Starca nieco ją speszyło. Poruszyła się niespokojnie. Mike wybawił ją z kłopotliwej sytuacji pokazując orle gniazdo w koronie świerka.

Co on widzi? - Zastanawiała się. Co o mnie wie? Czy naprawdę chcę się tego dowiedzieć?

Kątem oka zerknęła przelotnie na Starca. Ani na chwilę nie spuszczał z niej oczu.

Tak. Muszę się dowiedzieć.

- Przyszłaś zapytać, dlaczego jesteś inna niż twoja rodzina i przyjaciele - rzekł Starzec czystą angielszczyzną.

Mike odwrócił się na dźwięk swojego języka.

- Coś podobnego! - Powiedział.

- Udałeś się do Whaler Bay osiemnaście lat temu, kiedy rodzice przywieźli mnie tuż po urodzeniu - odezwała się Ember.

- To było tak dawno? - Starzec potrząsnął głową. - Czas gubi się tutaj we mgle.

- Powiadają, że przyszedłeś mnie pobłogosławić, bo w przyszłości miałam być... Sisiutlquą. Jak się o mnie dowiedziałeś? Co o mnie wiesz? Gdzie są ludzie podobni do mnie? Czy naprawdę jestem Łowczynią Dusz?

Starzec uniósł dłonie.

- Powiem ci wszystko, co mogę. Ale najpierw się wykąpiemy, a potem zatańczymy.

- Że co? - Spytał Mike.

- Quanoot-cha - wyjaśniła Ember. - Tradycja nakazuje, że przed wypowiedzeniem lub usłyszeniem czegoś ważnego trzeba „otworzyć ciało na prawdę” poprzez kąpiel i taniec.

- Wszyscy troje?

Starzec wstał i ruszył w stronę wschodzącego słońca. Ember podążyła za nim.

- Słuchaj...Może ja poczekam... - Próbował wykręcić się Mike.

- Jesteś na ziemi Quanootów, więc musisz robić to co my. Jeśli nie, to znaczy, że lekceważysz nasze zwyczaje.

- Nie, ależ skąd, tylko... Znasz mnie...

- Ja też nie chciałam cię dotknąć. Wstyd się przyznać, lecz potrzebuję twojego wsparcia. Chodź.

- Ale ja nie znam waszych tańców.

- To tylko kąpiel.

- Razem z nim i z tobą?

- Całowaliśmy się i dotykaliśmy. Czy mamy powody wstydzić się siebie teraz?

Mike nie miał co odpowiedzieć. Wzruszył tylko ramionami.

Po przejściu kilkunastu kroków Ember poczuła zapach siarki i usłyszała bąbelkującą wodę. Zbocza góry zapadały się na szczycie tworząc wulkaniczną nieckę o przekroju czterdziestu metrów. Krater wypełniony był po brzegi parującą wodą, która po przeciwnej

stronie przelewała się i spływała w dół pumeksowym łożyskiem. Starzec zrzucił ubranie, usiadł na krawędzi krateru i z głośnym westchnieniem zsunął się do wody.

Ember skrzyżowała ręce i ściągnęła koszulkę. Kątem oka zobaczyła, jak Mike odwraca głowę w drugą stronę. Jak na znak zdjęli oboje spodnie; badali grunt bosymi stopami. Powoli, bojaźliwie podnieśli wzrok.

Ciało Mike'a było długie i umięśnione. Miał kasztanowe włosy na głowie, brodzie i piersiach. Jego owłosienie łonowe było płomiennorude. Uśmiechał się niewyraźnie.

- Jesteś piękną kobietą. Już ci to mówiłem.

- Ty też mi się podobasz. Przypominasz czaplę.

- Pewna dziewczyna powiedziała, że wyglądam jak chart. Czapla lepiej mi pasuje.

Powoli weszli do gorącej wody.

- Uff - sapnął Mike. - Chyba się ugotuję.

Oparł głowę o kamienny brzeg.

Ember i Starzec dopełniali rytualnego obmycia. Najpierw umyli ręce i twarz, ochlapali wodą piersi, oczy, a na koniec wciągali wodę do ust i wypluwali. Mike naśladował każdy ich ruch.

Starzec wspiął się na brzeg. Jego ciemna, mokra skóra lśniła jak futro wydry. Ubrał się błyskawicznie i zniknął po drugiej stronie krateru obok strumienia. Mike i Ember włożyli ubrania i ruszyli w ślad za nim.

Gdzieś z dołu dochodził odgłos bębna. Po chwili rozbrzmiewało ich już kilkanaście, a potem setki. Brzmiało to jak stukanie deszczu w blaszany dach. Serce Ember zabiło szybciej; przyśpieszyła kroku.

- Jak on to robi? - Spytał Mike.

Na niewielkiej polance nachylonej ku morzu leżał cały zestaw drewnianych bębenków rozmaitej wielkości i kształtów. Z wysokiego grzbietu wody potoku spływały bambusowymi rynnami prosto na równe szeregi bębnów. Krople wody dudniły głębokim basem w długich, szerokich bębnach i szemrały po krótkich, wąskich.

Starzec już tańczył z zamkniętymi oczami. Ruch ciała rozpoczynał się od głowy, przenikał przez szyję do ramion, dłoni i torsu, docierał do bioder, a stamtąd do kolan i stóp. Stopniowo całe ciało poruszało się jakby ożywione rytmem bębnów. W pewnym momencie taniec zdawał się przechodzić z jego ciała do ziemi i Starzec nieruchomiał. Po chwili poczynał kołysać głową, ale nieco inaczej niż przedtem, i nowa kaskada ruchów przepływała przez jego ciało, by niespodziewanie zniknąć znów w ziemi.

Przez dłuższą chwilę Ember nie mogła oderwać oczu od Starca.

Potem zamknęła oczy i poddała się muzyce. Rytm przenikał do jej serca, głowy i mięśni. To było jak trans, jak hipnoza. Ember wchłaniała muzykę, a muzyka ogarniała Ember. Zaczęła śpiewać; nie były to słowa, lecz dźwięki, które wydostawały się z jej brzucha i otwierały duszę. Słyszała śpiew Starca. Otworzyła oczy i ujrzała go obok siebie, z błyszczącą twarzą. Mały chłopiec, starszy niż najstarsi ludzie.

Mike dla odmiany rzucał się na wszystkie strony, toczył się po ziemi, skakał jak karateka, śmiał się i krzyczał.

Czas stanął w miejscu. Wreszcie Starzec zatkał bambusowe rurki; bębny milkły jeden po drugim, a potem na całej wyspie zapadła cisza.

- Siadajcie tu oboje - polecił wskazując płaskie kamienie na skraju polany. Sam usiadł przed nimi ze skrzyżowanymi nogami. - Opowiem wam bardzo starą historię. Nasz lud przekazywał ją sobie z pokolenia na pokolenie, lecz jest ona o wiele starsza niż dzieje Quanootów, starsza nawet niż te drzewa.

Ember i Mike nadstawili uszu.

Rozdział 26

- Dawno, dawno temu, w czasach Pierwszych Ludzi, panowało zimno. Prawie całą ziemię skuł lód, nawet morze zamarzło. Było tak zimno, że ludzie nie mogli mówić, bo zamarzły im języki.

Nikt nie mógł mówić językiem, więc wszyscy mówili sercem. A ponieważ ludzie słyszeli serca innych, nie było w owych czasach kłamstw i nieporozumień, więc nie było i wojen.

Ludzie słyszeli wówczas nawet zwierzęta i rośliny, a żywe istoty odkrywały przed ludźmi swoje sekrety. Na przykład to, że zucie wierzbowej kory pomaga na ból głowy, a jedzenie białej glinki powstrzymuje wodę w kiszkiach.

Przeminęły pokolenia, lata stawały się coraz dłuższe i lód okrywający ziemię zaczął topnieć.

Pewnego dnia chłopiec imieniem Talu spostrzegł, że jego język nie jest już zamarznięty. Postanowił wypróbować ten dar, mówiąc „kre-kre” jak orzeł i „hu-huu” jak sowa. Zaraz też wymyślił własne dźwięki i stworzył z nich mnóstwo słów. Wiedział, że jest bardzo mądry. Spostrzegli to jego towarzysze i jak tylko wyrosły mu wąsy, uczynili go swym wodzem.

Wnet zaczęły się rodzić dzieci z giętkimi językami. Gaworzyły i paplały między sobą tak samo jak dzieci w naszych czasach.

Talu zauważył jednak, że nie wszystkie dzieci mówią tak samo dobrze. Zwrócił na to uwagę innym mówiącym. I tak ludzie przestali być równi. Zostali podzieleni na dwie grupy: tych, którzy mówili dobrze, i tych, którzy mówili gorzej. Podobnym do siebie Talu nadał miano „Giętkich Języków”, a tych drugich nazwał pogardliwie „Twardymi Językami”.

Jednakże w głębi serca Talu kryła się zazdrość, bo Twarde Języki ciągle jeszcze umiały mówić sercem, bez otwierania ust, i potrafiły się porozumiewać na wielką odległość, a nawet poprzez czas. Bo tak to jest, że ci, którzy umieją mówić sercem, pamiętają głosy serc przodków.

Starzec spojrzał w oczy Ember. Dreszcz przebiegł jej ciało.

- Talu pragnął zachować moc słów, która wyniosła go ponad innych, ale chciał też odzyskać magiczną siłę przemawiania sercem. Choć starał się z całych sił, nie zdołał nauczyć się na nowo sekretnej mowy serca.

Upłynęły lata i wodzem Giętkich Języków został praprawnuk Talu. Do tego czasu przepaść między tymi, którzy mówili językami, i tymi, którzy nie umieli tego robić, bardzo się powiększyła. Talu ustanowił prawo zabraniające Twardym Językom łączenia się w pary z Giętkimi Językami. Twarde Języki stały się niewolnikami Giętkich Języków.

Było coraz gorzej. Giętkie Języki wyglądały inaczej niż Twarde Języki, bo od pokoleń nie mieli ze sobą dzieci. Nie było już jednej ludzkiej rodziny, lecz dwie. Tych, którzy nie umieli mówić, nazywano teraz Dzikusami. Nowy Talu uznał, że Dzikusy nie nadają się nawet na niewolników. Wypędził ich i raz na zawsze zabronił zbliżać się do Giętkich Języków. Uczynili, jak im kazał. Jeśli rodziło się dziecko z twardym językiem, to albo je zabijali, albo wypędzali do Dzikusów.

Ember poczuła, że włosy jeżą się jej na karku.

- Przemineło znów wiele pokoleń i wodzem Giętkich Języków został praprapraprawnuk Talu - ciągnął Starzec. - Teraz jednak Giętkie Języki określały się mianem Mądrych. Wymyślali dla siebie coraz to ładniejsze nazwy. Słowami potrafili już opisać prawie wszystko i chlubili się, że nie ma na świecie ani jednej rzeczy bez imienia. Ale umieli też kłamać, oszukiwać się nawzajem i oczerniać. A co najgorsze, umieli nienawidzić, bo nie patrzyli już sercem w serce drugiego człowieka.

- Tak samo jak w legendzie o wieży do słońca - powiedziała Ember.

Starzec skinął głową.

- O wieży do słońca? - Spytał Mike.

- Dawno temu wszystkie plemiona zebrały się, żeby wspólnie wznieść wieżę sięgającą aż do słońca, aby porwać żagiew z jego ogniska. Gdyby ją zdobyli, już nigdy nie musieliby trudzić się rozpalaniem ognia w deszczu, w chłodzie i ciemności. Żagiew słońca dałaby im wieczny ogień, ciepło i światło.

Budowali wieżę z drzew, kości wielorybów i gliny. Wznosiła się coraz wyżej i wyżej, ale budowniczkowie zaczęli się spierać, jak budować dalej. Kłócili się z coraz większą zajadłością, aż w końcu od strasznych słów poplątały im się języki. Nie było już jednego języka i nie mogli się zrozumieć. Wreszcie ktoś położył gałązkę w niewłaściwym miejscu i wieża się zawaliła.

- Prawie dokładnie tak samo jak w przypowieści o wieży Babel - zauważył Mike.

- Wiele jest historii o tym zdarzeniu - rzekł Starzec. - Ja chcę wam powiedzieć o Pierwszych Ludziach, którzy rozproszyli się po całej ziemi.

- Mów dalej - poprosiła Ember.

- Wygnanie Twardych Języków zapoczątkowało pokój, który nie trwał jednak długo. Giętkie Języki poczuły strach i nienawiść do każdego, kto umiał mówić sercem. Zaczęli polować na Dzikusów i zabijać ich, jedno plemię po drugim.

Dreszcz znowu przebiegł po ciele Ember. Kiwała się lekko w przód i w tył.

- Nie mogli się bronić? - Spytała drżącym głosem.

- Giętkich Języków było znacznie więcej. Dzikusy nie były słabeuszami, o nie. Wiele jest pradawnych legend o ich sile - ręce i nogi mieli jak konary drzew. Ale ponieważ potrafili zajrzeć sercem w serca innych, zabijanie nie przychodziło im łatwo. Byli więc zdani na łaskę i niełaskę tych, którzy mniej czuli. Ember przyłożyła rękę do piersi. Mike ścisnął jej drugą dłoń.

- Pewien klan Dzikusów nazwał się O-kwo-ke, czyli Słuchacze - mówił Starzec dalej. - Skryli się na północy, na ziemi pokrytej lodem, gdzie wcześniej nikt nie odważył się zapuścić. Znaleźli pas bogatych terenów łowieckich i podążali nim wiele tygodni, aż wielka ściana lodu zagroziła im drogę. Większość starców i dzieci umarła w drodze.

Na tej odległej ziemi żyli bezpiecznie przez wiele pokoleń. Głos serca powiedział im, że wszystkie pozostałe plemiona zostały zgładzone. Wśród wielkiej żałoby zrozumieli, że są ostatnim plemieniem Twardych Języków.

Wiedzieli też, że pewnego dnia Talu i jego mordercy ich odnajdą. Złączyli więc serca, żeby wspólnie zdecydować, co uczynić, gdy nadejdzie ta straszna chwila. Nie wypowiedzieli przy tym ani słowa.

Żyli długie lata w pokoju, ale pewnego dnia stało się to, co musiało się stać. Miękkie Języki pod wodzą Talu dotarły do ziemi Słuchaczy i wpadły na ich trop.

Ember wstrzymała oddech. Zakręciło jej się w głowie.

- O-kwo-ke zrealizowali swój plan - opowiadał Starzec. - Ukryli się w lodowej jaskini i złączyli ręce, a Wielka Matka Szamanka zamknęła wejście lawiną śniegu i lodu.

- O Boże! - Ember zerwała się na równe nogi. - Wiedziałam... To nie był sen... Czułam ich zapach, zapach moich braci!

Starzec skinął poważnie głową.

- Ale to... To jest niewiarygodne - powiedział Mike.

Ember uklękła i przycisnęła głowę do kolan Starca. Zamknęła oczy. Jeśli ludzie w jaskini byli jej przodkami, to ona jest dowodem, że przetrwali.

- Co się stało z tymi, którzy zostali w jaskini? Powiedz mi, proszę!

- Oni sądzili, że kładą się spać, tak jak niedźwiedzie - odparł Starzec głaszcząc ją delikatnie po włosach.

- Lepsze to niż zginąć pod ciosami pałki - mruknął Mike.

- Jak się wydostali? - Spytała Ember.

Starzec potrząsnął głową.

- Ale ja tu jestem. - Podniosła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. - Popatrz na mnie. - Uśmiechnęła się przez łzy. - Przeżyliśmy. Mam gdzieś matkę i ojca, może nawet braci i siostry. Gdzie oni są, potomkowie O-kwo-ke?

Łzy popłynęły po twarzy Starca.

- Matka Szamanka uciekała ze swym wilkiem przed Talu po zboczu wzgórza nad jaskinią. Wilk odwrócił się, skoczył na Talu i obaj potoczyli się po lodzie. Wilk zginął, ale Talu jeszcze żył. Śnieg wokół jego szyi zabarwił się na czerwono. Był o krok od śmierci, ale wtedy Matka Szamanka uczyniła ogromne poświęcenie. Położyła dłonie na Talu i pozwoliła, aby jej serce połączyło się z jego sercem.

Starzec przerwał, spojrział na Ember.

- Wyobraź sobie ból połączenia z bezlitosnym wrogiem, mordercą twoich najbliższych, tym, który zgładził całą twoją rasę. Żadne słowa nie mogą opisać jej męstwa i poświęcenia.

- To tak jak gdyby ostatni żywy więzień obozu śmierci udzielił pomocy umierającemu Hitlerowi - powiedział Mike.

- Ja nie powiedziałem, że ona mu pomogła. Wówczas byłaby tylko świętą, powiedziałem, że ona połączyła swoje serce z jego sercem. Stała się nim, żeby on mógł się stać nią.

Ember targnął cichy szloch. Łzy spływały po jej policzkach.

- Jej światło wniknęło w Talu i rozjaśniło studnię jego serca - rzekł Starzec. - I Talu przypomniał sobie. Przypomniał sobie porozumienie serc, które utraciły Giętkie Języki. Przypomniał sobie wspólnych przodków. Zrozumiał swoją stratę i stratę Wielkiej Szamanki. Zapłakał gorzko nad tym, co uczynił on i jego poprzednicy. Ale było za późno.

Ciało Ember zwiotczało. Jej twarz zamarła.

- Umierający Talu nakazał swoim ludziom powtarzać każdemu kolejnemu pokoleniu historię O-kwo-ke - ciągnął Starzec. - I tak czynili.

- A ludzie w jaskini...? - Spytała Ember słabym głosem. Starzec pochylił się do jej ucha.

- Matka Szamanka obiecała im...

Ember wstrzymała oddech. Opowieść Starca wbijała się w jej serce niczym kolec.

- Czy ja... Jestem ich wybawicielką? - Spytała szeptem.

Mike zmarszczył brwi.

- Poczekaj. Zastanówmy się.

- Sisiutlqua - szepnęła. - Nie dla Quanootów, lecz dla mojego plemienia, plemienia Słuchaczy.

Starzec klasnął donośnie w dłonie. Położył lewą rękę na swoim sercu, a prawą na sercu Ember.

- *O-kwo-ke ki layo me, da ene poi hok, Sisiutlqua* - powiedział całując ją w czoło. - Przyjdź i wróć nam życie.

Rozdział 27

- Starzec miał dość wrażliwości, żeby zostawić mnie samą - powiedziała Ember. - A ty nie możesz tego zrobić?

Szybkim krokiem wspinała się po ścieżce prowadzącej do chaty. Mike przyśpieszył, aby dotrzymać jej kroku.

- Nie mogę cię zostawić, bo nie potrafisz spojrzeć na całą sprawę racjonalnie. Potrzebujesz mojej pomocy, żeby to logicznie pojąć.

Ember przygięła niską gałąź jodły i puściła. Kolczasta jedlina smagneła Mike'a po twarzy.

- Cholera! Przestań i posłuchaj mnie!

- To nie ma nic wspólnego z logiką. Czy było coś racjonalnego w tym, że poczułeś zapach cedru i przypomniało ci się, że jako dziecko schowałeś się w kufrze? To wspomnienie było tak żywe, że nie mogłeś mu się oprzeć. Ja poczułam zapach ludzi w jaskini i to wywołało lawinę wspomnień, o wiele więcej niż potrafię wyrazić.

- Mówiłaś, że ci ludzie w jaskini byli twoimi przodkami, tak?

- Tak.

- Chcesz powiedzieć, że pamiętasz coś, co wydarzyło się przed twoim urodzeniem?

- Tak.

- Kto pamięta?

- Duch pamięta. Życie pamięta. Nie wiem, mówiłam ci, że to nie jest logiczne. Tak po prostu jest.

- Czyli to wszystko nie ma sensu, ale nic nie szkodzi.

Ember odwróciła się raptownie. Mike prawie na nią wpadł.

- No dobrze, posłuchajmy twojej logicznej analizy. Miałam wizję... Nie, poczułam zapachy towarzyszące pewnemu miejscu, pewnemu zdarzeniu, które pasuje jak ulał do historii opowiedzianej przez Starca. A on stwierdził, że opowieść o plemieniu złotoskórych jest starsza niż las.

- Niezupełnie. Starzec nie mówił, że oni mieli złotą skórę.

- Czemu jesteś taki podejrzliwy? Wietrzysz w tym jakiś spisek?

- Nie jestem podejrzliwy tak jak paranoik, ale sceptyczny jak człowiek myślący racjonalnie. Zawsze wybieram ten sposób postępowania, kiedy jakaś sytuacja kłóci się ze zdrowym rozsądkiem.

Ember odwróciła się i ruszyła przed siebie.

- Dowiem się, gdzie są moi współplemieńcy. Przynajmniej niektórzy z nich wyszli z jaskini i ja jestem tego dowodem. Przeżyli.

- Tom uważa, że jesteś magiczną Łowczynią Dusz, która ma przywrócić do życia kodeks wojowników. Czy to prawda?

- Ja nigdy tego nie powiedziałam.

- A teraz jesteś gotowa uwierzyć, że masz przywrócić do życia plemię, które wyginęło w epoce lodowcowej.

Zwolniła kroku.

- Opowieść o Pierwszych Ludziach to alegoria, tak jak przypowieść o wieży Babel. To jest mit, coś takiego nigdy się nie zdarzyło. Czy tego nie rozumiesz? Ta legenda ma pokazać, jak rozwój języka sprawił, że staliśmy się niewolnikami rozumu, a straciliśmy instynkt. Przypowieść ma tyle wspólnego z historią co bajka o kuku, który skradł z nieba chmurę i zamienił w pierwszą mgłę, żeby zwiść przyjaciół. Czy legendy o kuku dowodzą, że w dawnych czasach zwierzęta umiały mówić?

- A co powiesz na to, że Starzec przybył do Whaler Bay i przepowiedział, że kiedyś będę Łowczynią Dusz? Jak to logicznie wytłumaczysz?

- Zamierzam spytać go o szczegóły.

- Komputer zawiódł?

- Przyznaję, że nie umiem tego wyjaśnić.

Ember odwróciła się i poszła dalej.

- Ale zaraz! - Zawołał Mike. - To miałyby jakieś znaczenie, gdybyś rzeczywiście była Łowczynią Dusz. Jest logicznym błędem wykorzystywać to zdarzenie jako dowód, że jesteś Sisiutlquą. Nie można powiedzieć: „On przewidział, że będę purpurowy, więc jestem”. Proroctwo byłoby prawdziwe tylko wówczas, gdybyś ty rzeczywiście była Łowczynią Dusz.

- Dziękuję, Mike. Wiem teraz mniej niż przed wypłynięciem z Whaler Bay.

Nic nie odpowiedział. Dotarli do polanki, gdzie jedli śniadanie. Ember weszła do chaty po tytkwy z wodą. Podała jedną Mike'owi. Przymknęła oczy, pijąc chłodną wodę. Tej prostej przyjemności nie oddałaby w tej chwili za garść rubinów.

- Wiesz, dużo o tym myślałem - powiedział Mike. W jego oczach krył się smutek.

- To nic nowego.

- Muszę zacząć od tego, że to, co powiem, w niczym nie zmieni moich uczuć do ciebie.

- Jasne. Mów.

- Być może, nie masz żadnych przodków.
- Co to ma znaczyć?
- Być może, jest tylko kilka istot podobnych do ciebie, i wszystkie są w tym samym wieku.

- Mówisz zagadkami jak sfinks.
- Ember... Nie chcę cię smucić, ale... Możliwe, że... - Westchnął ciężko.
- Wykrztuś to wreszcie. Pewnie i tak słyszałam już coś podobnego.
- To niełatwe. Możliwe, że...

Ember spuściła wzrok.

- Większość mieszkańców Whaler Bay sądzi, że jestem mutantem z próbówki.
Mike potrząsnął głową.
- Nie, ja bym tak nie powiedział, ale... Ja też uważam, że zostałam świadomie stworzona, zaprojektowana.

Spojrzała mu w oczy. Mike westchnął.

- Chcę powiedzieć, że zostałam stworzona metodami inżynierii genetycznej.

Odwróciła się.

- Bardzo mi przykro - powiedział cicho. - Ale pomyśl. To brzmi o wiele bardziej logicznie niż opowieść Starca. Pasuje do faktów, które znamy.

- Daj spokój. Ty nic nie wiesz - szepnęła.

- Przyjrzyjmy się tym faktom. Masz osiemnaście lat. To znaczy, że przyszedłaś na świat kilka lat przed ujawnieniem sprawy projektu genetycznego.

- Co to takiego?

- To był wielki skandal. Ojciec często o tym mówił. Uczeni z rządowego laboratorium prowadzili zaawansowane badania genetyczne polegające na manipulowaniu genami ludzkich embrionów. Ktoś to ujawnił i prace przerwano. Podobno ani jeden z tych zarodków nie został implantowany. Ale przecież wiadomo, że oni zawsze wszystkiemu zaprzeczają.

- Co to były za eksperymenty?

- Finansowane przez Ministerstwo Obrony. Najwyższa klauzula tajności. Ember przełknęła ślinę przez zaciśnięte gardło. Poczula ból w sercu.

- Chcieli wyprodukować najlepszych żołnierzy - domyśliła się.

- Tak. Silniejszych, szybszych, sprawniejszych...

- Uważasz, że niektóre embriony zostały implantowane i ja jestem jednym z tych dzieci.

- Tak. Wydaje mi się, że doktor Nahadeh pracował przy tym projekcie.

Ember odwróciła się. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Nie mogę uwierzyć, że mnie pocałowałeś. Skąd możesz wiedzieć, czy nie zostałam zaprojektowana jako kanibalka pożerająca martwych żołnierzy na polu bitwy? Mogłabym ci wygryźć oczy.

- Żałuję, że ci to powiedziałem. To musi być dla ciebie bolesne.

Położył ręce na jej ramionach.

Odwróciła się gwałtownie.

- Trzymaj się ode mnie z dala - warknęła. - Jestem gotowa zabić, a dopiero później myśleć.

- Naprawdę mi przykro.

Ember zagryzła wargę. Wybuchła płaczem i przytuliła się do Mike'a.

- To nieprawda. To nie może być prawda...

Pogładził ją po włosach.

- Cicho. Już dobrze.

- Nic nie jest dobrze. To koszmar... Skąd możesz wiedzieć, jak to boli. Wtuliła głowę w jego pierś i zagryzła wargi. Nagle go odepchnęła. - Zaraz. Lodowa jaskinia...

- Pewnie wyposażyli cię w szczególnie silny węch, żebyś mogła wykrywać broń chemiczną. Najzwyklejszy pyłek kwiatowy może wywołać halucynacje.

- Odejdź. Zostaw mnie teraz samą.

Skinął głową i skierował się w dół ścieżki.

- Nie, nie odchodź. Zostań. - Podbiegła i objęła go z tyłu. - Mike, tak bardzo się boję.

Mike odwrócił się i długo trzymał Ember w ramionach.

- Niedługo wrócę - powiedział. - Chcę porozmawiać ze Starcem w cztery oczy. Muszę mu zadać parę pytań.

Rozdział 28

Starzec siedział okrakiem na grubym pniu, z którego rzeźbił totem. Toporek stukał rytmicznie w twarde drewno. Mike zbliżył się do Indianina.

- Przyszedłem porozmawiać.

Starzec podniósł nogi i okręcił się na pniu. Odłożył toporek. Wiatr przybrał na sile, więc Indianin włożył pomarańczową bluzę. Na jednej kieszeni wyhaftowany był napis „Piły łańcuchowe Kitisook”, a na drugiej imię „Dave”.

Poklepał się palcami po głowie.

- Chcesz mnie o coś spytać?

- Jeśli mogę.

Starzec wzruszył ramionami.

- Matka Ember powiada: „Musisz być tym, kim jesteś” - rzekł.

- Skąd wiesz, że ona tak mówi?

- Czy nie to powtarzają swym dzieciom wszystkie matki? - Indianin uśmiechnął się szeroko. - O co chcesz zapytać?

- Po pierwsze, czy O-kwo-ke mieli złotą skórę, tak jak Ember?

- W podaniach nie ma nic na ten temat. Może wszyscy mieli wtedy podobny kolor skóry, więc nie było potrzeby o tym mówić.

- Wtedy. Jak sądzisz, z jakiego okresu pochodzą te podania? Z epoki kamiennej?

- Kiedy to było?

- Dawno, bardzo dawno, kiedy ludzie posługiwali się narzędziami z kamienia.

- Dla mojego plemienia to niedawno. Jeszcze sześć pokoleń temu używaliśmy takich narzędzi.

- Chodzi mi o paleolit, dawną epokę kamienną. Dziesięć tysięcy lat temu i wcześniej.

- Podania są bardzo, bardzo stare. Strażnicy dzielili podania na trzy rodzaje: historie rodzinnego kraju powstały tu, na tych wyspach; historie spoza horyzontu zostały zapożyczone od innych plemion z głębi lądu i tych, które mieszkają dalej na południe; historie pierwszych ludzi przywędrowały tutaj razem z naszymi przodkami z północy, w czasach tak dawnych, że trudno to sobie wyobrazić.

Mike pomyślał o wędrownych ludach myśliwskich, które przekroczyły Cieśninę Beringa podczas dwóch ostatnich epok lodowcowych. Osiedlali się najpierw wzdłuż wybrzeża, gdyż te tereny były najcieplejsze i obfitowały w żywność z morza.

- A więc ty naprawdę wierzysz, że przodkami Ember byli O-kwo-ke?

- Tak.

- Gdzie są teraz?

- Czekają, aż ich odnajdzie.

- Jak ma ich szukać?

- Jest córką Słuchaczy. Znajdzie swoich przodków. Mike zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem tylko...

- ...Jak ma przywrócić do życia starożytną rasę - powiedział Starzec czytając w myślach Mike'a.

- No właśnie.

Starzec powiódł wzrokiem po wierzchołkach drzew od północnej strony. Słońce rozproszyło mgłę i niebo było teraz czyste, błękitne.

- Co miała na myśli Matka Szamanka, gdy powiedziała, że ktoś ich ocali? Nie zapominaj, że ona nie mówiła słowami, lecz językiem znaków i uczuć. A historie nie pozostają bez zmian w ciągu tysięcy pokoleń. W opowieściach, które słyszałem jako chłopiec, ocalić O-kwo-ke miał mężczyzna. Nazywał się Ten, Który Powróci.

Aha. Wychodzi szydło z worka, pomyślał Mike. Stary Indianin zmierzył go spokojnym wzrokiem.

- Nie przywiązuj tak wielkiej wagi do słów, przyjacielu. Gdyby podania były jedynie kosztami zeschniętych liści, nie nosilibyśmy ich ze sobą przez tyle pokoleń. Słuchaj tego, co kryje się pod powierzchnią.

Starzec siedział nieruchomo. Zmarszczki na jego twarzy wyglądały jak linie na mapie topograficznej. Mike zauważył ze zdumieniem, że onieśmielają go błyszczące czarne oczy Indianina. Zastanawiał się, co czuli ludzie porozumiewający się emocjami, a nie słowami. Starzec uśmiechnął się ciepło. Mike odwzajemnił uśmiech. Zapomniał o swojej liście pytań.

Indianin otworzył scyzoryk i ściał wiór z okrągłego oka wilka, które spoglądało z pnia. Sprawdził palcem gładkość powierzchni i schował scyzoryk do kieszeni.

Mike wsunął dłoń w drewnianą paszczę wilka, przesunął palcami po kłach i pysku. Kosmate uszy sterczały prosto, jak gdyby wyłowiły jakiś dźwięk. Szeroko otwarte oczy wpatrywały się w coś z uwagą.

- Piękny - powiedział Mike. - Jesteś bardzo utalentowany.

- Zawsze lubiłem rzeźbić. Bawiłem się w ten sposób jako dziecko. I dalej się bawię. *

- Ember powiedziała, że ludzie uważają cię za Iwakę, tego dawnego szamana. Czy jesteś nim?

Starzec zachichotał.

- Pierwszy raz przychodzi mi to potwierdzać. Matka nazwała mnie Eniawataw; przy chrzcie nadali mi imię Christopher. Kiedy skończyłem piętnaście lat, zacząłem nazywać się Iwaka. Od wielu, wielu lat wszyscy mówią na mnie Starzec. To jedna i ta sama osoba.

Wyciągnął rękę do Mike'a. Jego dłoń była koścista, lecz mocna, twarda, ale zarazem sprężysta.

- Ale jak wytłumaczysz...?

- Nie potrafię nawet wytłumaczyć tego, co się dzieje w tej chwili. Skąd się tu wziąłem? Skąd się wzięła ta mrówka? - Zdmuchnął owada z ręki. - Dawca zsyła żywe istoty. Unosimy się jak piana na rzece.

- Ale... - Mike potrząsnął głową. Brakowało mu słów.

Starzec uśmiechnął się doń jak do dziecka, które nie rozumie, o czym mówią dorośli.

- Czy poczujesz się lepiej wiedząc, że nadchodzi kres mojego życia?

- Co takiego? Wiesz, że niedługo umrzesz?

Indianin skinął głową.

- Kiedy skończyłem opowiadać Ember podanie, poczułem, że zrobiłem w swoim życiu wszystko, co miałem zrobić. Za miesiąc już mnie tu nie będzie.

- Skąd masz pewność?

- Bo nie wezmę już do ust żywności.

- Mówisz to z takim spokojem...

- Ta część mojej istoty, która obawiała się śmierci, umarła dawno temu. To będzie przyjemność, tak jak zrzucenie pary znoszonych butów.

- A twoje opowieści?

- Przyjacielu, dotknąłeś bolesnej rany. - Położył rękę na sercu. - Żałuję tylko tego, że nie ma nikogo, komu mógłbym przekazać wielkie pradawne podania. Obawiam się, że jestem ich ostatnim strażnikiem.

- Wiem, co zrobimy. Przyniosę kamerę wideo i nagram na taśmę wszystkie legendy.

Starzec skrzywił się.

- Czy w kamerze płynie krew? Czy będzie się śmiała z żartów i płakała wtedy, kiedy trzeba?

- Jasne, że nie. Ale ludzie będą się śmiać i płakać przy oglądaniu filmu. Podania ocaleją. Zrobię kopie dla bibliotek i muzeów.

- Dziękuję, ale nie chcę. Widziałem kiedyś telewizor: głowa gadająca w pudełku. Ocalenie podań w taki sposób to byłoby coś takiego jak zabicie najlepszego przyjaciela i

wypchanie, żeby zawsze mieć go pod ręką. Moja babka była strażniczką historii; od niej się ich nauczyłem. Dzięki temu tradycja może być tym, czym jest: każde podanie poprzez wielki ludzki łańcuch sięga swojego początku.

- Zdaje mi się, że wiem, co czujesz.

Siedzieli w milczeniu. Mike polubił starego Quanoota, chociaż nie do końca go rozumiał. Wydawało się, że otacza go niewidzialny płaszcz spokoju; mimo to nie przypominał zamkniętego w sobie mnicha. Jego oczy błyszczały, ciało było swobodne. Starzec czuł się na tym świecie jak u siebie w domu.

- Powiedz mi, jak stałeś się tym, kim jesteś dzisiaj.

- Nie ma w tym nic niezwykłego. Taki się już urodziłem - odparł Indianin. - Ale szybko zapomniałem o swojej naturze i trochę trwało, zanim do niej wróciłem.

Mój ojciec był anglikańskim misjonarzem, a matka jego uczennicą. Miał żonę w Anglii, więc nie ożenił się z moją matką. Polubił mnie jednak i uczynił ministrantem. Nappełnił mi głowę protestanckimi dogmatami i angielską literaturą, a babka uczyła mnie Quanoot-cha i opowiadała stare podania.

W owych czasach, kiedy chłopiec kończył dwanaście lat, musiał iść głęboko w las i czekać na swojego ducha opiekuńczego. Chodził po puszczy, pościł i kąpał się tak jak my dzisiaj, tyle że w lodowatej wodzie. Po kilku dniach i nocach zapadał w sen i duch wnikał w jego ciało pod postacią ptaka, wilka lub innego zwierzęcia. Uczył chłopca jego własnej magicznej pieśni i tańca, wskazywał, czy po powrocie ma się zająć budowaniem czółen, myślistwem lub łowieniem ryb.

- Taka forma doradztwa zawodowego.

Starzec skinął głową.

- Jaki duch przyszedł do ciebie? - Spytał Mike.

- Pierwszej zimy zaden. W mojej głowie walczyły ze sobą dwie sprzeczne wiary. Omal nie umarłem z głodu. Odnaleźli mnie i przynieśli do domu. Postanowiłem, że muszę dokonać jakiegoś wyboru. Skupiłem się więc na chrześcijaństwie.

- I co?

- To była pomyłka. Uświadomiłem sobie, że ta wiara nigdy mi nie odpowiadała. Trzeciej zimy odrzuciłem ją więc i poświęciłem się Quanoot-cha.

- I co się stało?

- Nie mogłem się pozbyć poczucia, że to też mi nie pasuje. Miałem Quanoot-cha w uszach, ale nie we krwi. Nie bałem się w dwie poprzednie zimy, nawet gdy umierałem z głodu. Ale trzeciej zimy opanowało mnie przerażenie. Nie miałem niczego, w co mogłem

wierzyć, żadnej prawdy. Nie znałem dobrej drogi, a straciłem te, które znałem. Nie byłem już nikim, poniosłem całkowitą klęskę.

Jak udało mi się znieść pustkę? Postanowiłem umrzeć, zagłodzić się na śmierć. I tak już prawie umierałem z głodu.

Wspiałem się więc na szczyt góry i podążyłem za nurtem strumienia płynącego dnem doliny, aż ukazał się skalisty kanion z wodospadem. Strumień wpadał do głębokiego zielonego stawu. Usiadłem na szerokiej skalnej półce. „Doskonałe miejsce, żeby umrzeć”, powiedziałem sobie i odetchnąłem całą duszą. Podałem się, odprężyłem. Myślę, że kołysałem się wtedy jak liść.

Na kamieniu opodal przysiadł zimorodek. Nagle z wodospadu wyskoczył największy pstrąg, jakiego w życiu widziałem. Mgła oblepiała mi twarz, wiatr znad wodospadu chłodził mnie i targał włosy. W powietrzu wisiała woń świeżej, czystej wody. Promienie słońca przebiły się przez chmury i nad wodospadem ukazała się tęcza. Umieranie stawało się coraz piękniejsze.

Musiałem się wysikać. Stałem więc na skraju urwiska i dołożyłem mój mały strumień do ryczącej masy wody.

Pomarszczona twarz Starca rozjaśniła się w uśmiechu.

- I wtedy zrozumiałem żart. Zacząłem się śmiać tak głośno, że o mało nie spadłem do kanionu.

- Jaki żart?

- Wodospad był jak potężny, tętniący nurt życia, a mój mały strumyk był jak twory naszego umysłu, które dodajemy do życia. Próbujemy znaleźć sens, zbudować filozofię, coś, w co moglibyśmy wierzyć, bo się boimy. Boimy się zanurzyć. Wiemy, że potężny prąd poniesie nas, i to będzie koniec naszej maleńkiej jaźni. Znęcałem się nad sobą, próbowałem ułożyć wszystko w całość, wyciągnąć z życia jakąś naukę, i nagle wszystko to obróciło się w żart. Odwracałem się od tajemnicy, od rzeki życia.

Dotarło do mnie, że nic nie wiem. To stało się takie oczywiste. Drzewa, kanion, szum wody, mgła - nie rozumiałem tego wszystkiego. Zostało ze mnie tylko nagie zdziwienie. Spadło na mnie z olbrzymią mocą i nagle pojąłem, że naprawdę umrę, bo nie mam niczego, co trzymałoby mnie na tym świecie, na czym mógłbym oprzeć swoje istnienie.

Węzeł w moim sercu rozwiązał się, świadomość zniknęła. Stałem tam nagi, wolny, a mój oddech sięgał do czubków palców.

Mike poczuł mrowienie na skórze. Słowa Starca były zaraźliwe. Nawet teraz przypominał nastoletniego chłopca oniemiałego na widok piękna.

- Chcesz powiedzieć, że prawda jest wewnątrz.

- To brzmi jak słowa Jezusa, nie moje.

- A więc prawda jest w tym, co osiągniesz na tym świecie? W dobrych uczynkach?

- To brzmi jak Quanoot-cha.

- Nie rozumiem.

- Ja też nie. Nigdy tego nie pojąłem. - Jego ramiona i palce zafalowały jak woda. - W wodospadzie nie znajdziesz uchwytów ani oparcia dla nóg. Ja nie mam władzy nad siłą życia. Idę tam, gdzie ono mnie niesie.

- I to ono sprawiło, że zostałeś szamanem.

- Tak. I nadal nim jestem, nawet teraz.

Mike przypomniał sobie, że jeśli Starzec mówił prawdę, to zbliża się do dwustu lat.

- A wielka zaraza? Ile miałeś wtedy lat? Dwadzieścia pięć?

Indianin wziął głęboki oddech; zamknął oczy i zakotłosał się lekko.

- Od tego dnia nad wodospadem - rzekł cicho - nigdy już nie potrafiłem zamknąć serca na przyjemność i ból. Sięgają one tak głęboko, że ani jedno, ani drugie nie da się wyrazić słowami.

Westchnął głęboko.

- Zaczęło się cudowne lato. Krzewy porzeczek, jeżyn i malin uginały się pod ciężarem owoców. Ja i moja żona rozbiliśmy obóz w górach, nad wodą. Były z nami nasze dwie córeczki, bliźniaczki. Zbieraliśmy pełne kosze owoców i suszyliśmy. Lato było wyjątkowo piękne.

- Zatrzymaliście się koło góry Mount Rainier?

- Nazywaliśmy ją Uliah-keh.

- Król Śniegu - powiedział Mike. Ember podała mu indiańską nazwę góry.

- Każdego ranka zbieraliśmy owoce; żona nosiła na plecach Nani, a ja Nene. Dziewczynki objadały się słodkimi jagodami jak małe tłuste psiaki. Policzki miały czerwone, usta purpurowe. Łąki tonęły w kwiatkach, roiły się od motyli. Wydawało mi się, że moje szczęście nie może już być większe. I wtedy moja żona - miała na imię Awahni Uwahni, śliczne imię - powiedziała, że znów jest w ciąży. Rozplakaliśmy się z radości.

Po trzech tygodniach popłynęliśmy z powrotem na wyspę i już z daleka poczuliśmy odór śmierci. Zawróciłem i zawiozłem wszystkie trzy do lasu, a sam popłynąłem do wioski zobaczyć, co z rodziną i przyjaciółmi. Myślałem, że jeszcze można im pomóc.

Wioska była jednym wielkim grobem, smród sięgał aż do nieba. Moja matka, ciotki, wujowie, wszyscy nie żyli. Nie ocalał nikt z mojej rodziny i z rodziny żony. W wiosce

mieszkało ponad sześćset ludzi, a zostało pięćdziesięciu. Ci, co przeżyli, rwali sobie włosy z głowy i na kolanach błagali, żebym odszedł. Nie chcieli, żeby zazdrosny Bóg z Biblii spuścił na nich kolejną karę.

Odszedłem więc i przyprowadziłem Awahni z dziewczynkami na tę wyspę.

- Zabrałeś rodzinę ze sobą?

- Po kilku dniach dostały gorączki i zmarły. Awahni była Quanoot-cha, więc zrobiłem to, co kazała. Spaliłem ich ciała na szczycie tego wzgórza. - Pokazał wzniesienie ruchem głowy. - Ułożyłem dziewczynki w nosidle na jej plecach. Quanoot-cha *mówi: Kiawa o nee, nee o tihane.* „Popioły do ziemi, z ziemi kwiaty”. Powinieneś zobaczyć, jakie piękne kwiaty tam rosną.

Szaman potarł oczy, wstał sztywno, rozprostował kark i ramiona. Już nie wyglądał jak młodzieniec.

Dopiero teraz Mike zobaczył, co Starzec rzeźbił na szczycie totemu, nad głową wilka. Była to stojąca postać Ember z obnażonymi piersiami, ubrana tylko w futrzaną spódnicę. Na skórzanym rzemieniu wokół jej szyi wisiał amulet ze wzorem przypominającym klucz dzikich gęsi.

W podróży po Europie Mike odwiedził Rzym. Zobaczył tam Pietę Michała Anioła. Genialny artysta wyczarował z zielonego marmuru miękkość skóry i fałdy ubrania. Skóra wyrzeźbiona przez Starca wydawała się promieniować ciepłem. To również było dzieło geniusza.

- Wspaniała - powiedział Mike. - Naprawdę cudowna.

Starzec obdarzył go swoim szczerbatym uśmiechem.

- Pomalowałem ją sokiem złocistej brzozy.

- Ale jak to możliwe... Przecież dopiero co ją zobaczyłeś. Niemożliwe, żebyś tak szybko pracował.

- Oczywiście, że nie. Rzeźbię ją już od pół roku. - Okrągłym ruchem pogładził drewniane piersi. - To moje ostatnie dzieło.

- Skąd mogłeś wiedzieć, jak ona wygląda?

- Czy zdarzyło ci się kiedyś mieć natchnienie? Na przykład gdy kładziesz się spać, a umysł uwalnia się od słów?

- Tak.

Starzec otworzył scyzoryk i wyrzeźbił jeszcze kilka linii na włosach Ember.

- W mojej głowie nigdy nie ma słów. Natchnienie przychodzi do mnie i czuje się jak u siebie w domu.

- I wyrzeźbiłeś Ember na podstawie... Wizji?

- Prawdę mówiąc, ja jej nie wyrzeźbiłem. Ona była ukryta w drewnie, a ja tylko odrzuciłem to, co ją otaczało.

- To samo powiedział Michał Anioł! - Zawołał Mike.

- W takim razie on lubi się bawić tak samo jak ja - stwierdził Starzec z uśmiechem.

Mike wpatrywał się w małego Indianina z uwielbieniem i niedowierzaniem. Nagle słowa same wyrwały mu się z ust.

- Na wyspie Whaler Bay jest pewien chłopak imieniem Tom Luc. Koniecznie chce się nauczyć Quanoot-cha od prawdziwego nauczyciela. Chce poznać pieśni, tańce, tradycje. Tom będzie najlepszy. Może być nowym strażnikiem podań. Przybędzie tu, a ty wszystko mu opowiesz. Nie umrzesz bez następcy.

Starzec przymknął oczy.

- Od dawna czuję jego tęsknotę. Kiedyś będzie bardzo silny, ale na razie jest jeszcze zbyt surowy. On należy do tych, którzy gotowi są umrzeć i zabić w imię swojej prawdy. Nie, on się nie nadaje. Jest niebezpieczny.

- Ale to niewiarygodna strata... - Łzy stanęły w oczach Mike'a. - Nie przestawaj jeść, proszę cię. Daj mi trochę czasu. Znajdę kogoś.

- Zastanów się, przyjacielu - powiedział Starzec spoglądając Mike'owi głęboko w oczy. - Strażnik historii musi być osobą, która potrafi się nauczyć Quanoot-cha i wszystkich podań. Musi też dbać, aby Quanoot-cha żyła i nie traciła mocy, aby zawsze pomagała, a nie zawadzała współczesnemu plemieniu.

Błyszczące oczy Starca zapaliły ogień, który rozjaśnił serce Mike'a.

- Ja...?

Indianin ujął ręce Mike w swoje silne dłonie.

- Zapamiętaj tę chwilę, Strażniku. Kiedyś stanie się częścią jednej z twoich opowieści.

Rozdział 29

Kaigani czekała z Cheną na kamienistym brzegu. Wpatrywały „Zodiaka”, łodzi Jimmy’ego. Matka dotknęła ramienia Kaigani i pokazała, że słyszy motor. Ponton ukazał się na horyzoncie i po chwili stało się jasne, że Ember i Mike są w łódce cali i zdrowi. Kaigani i Chena odetchnęły z ulgą.

Zaczynał się odpływ. Kaigani weszła aż po uda do lodowatej wody, żeby pomóc ojcu i Mike’owi wyciągnąć ponton na piasek. Kiedy się pochyliła, jej czarne włosy prawie dotykały kamienistej plaży.

Mike uśmiechnął się przelotnie do Kaigani i odwrócił głowę. Wyglądał na zgaszonego. Pewnie ojciec na niego nakrzyczał. Ember minęła ich bez słowa.

Mike był potargany, brodę miał zaniedbaną. Kaigani patrzyła, jak jego oczy wędrują za Ember, i poczuła, że coś ją ściskają w środku. Ember pobiegła w stronę domu.

Ojciec popatrzył za nią; Kaigani widziała, jak mięśnie jego szczęki drgnęły. Był zły i zmartwiony. Wczorajszej nocy Ember wymogła na siostrze obietnicę, że nie powie, co ma zamiar uczynić. Rano ojciec zauważył, że Ember zniknęła, i wpadł w gniew. Żyły wystąpiły mu na szyi. Potrząsał głową i bez czytania z warg wiadomo było, że wyrzuca z siebie długi łańcuch przekleństw.

- Wieloryby żerują o tej porze roku! - Krzyczał. - Wiecie o tym równie dobrze jak ja. Pozwoliłaś siostrze popłynąć w środek stad wielorybów? Mogą ją zmiażdżyć!

Rodzice ruszyli w stronę domu. Jimmy położył rękę na szyi Cheny, a ona objęła go wpół. Słońce dotykało już wody na horyzoncie; głazy rzucały na piasek długie cienie.

Kaigani odwróciła się do Mike’a.

- Co się stało? - Spytała pokazując, że Ember wyglądała na bardzo nieszczęśliwą.

- Odprowadzisz mnie do chaty?

Odpowiedziała uśmiechem. Nagle wstąpiła w nią nadzieja, że Mike pamięta dreszcz wczorajszego pocałunku i że pragnie jej choć w połowie tak bardzo, jak ona jego.

Po drodze Mike opowiedział o przygodzie z wielorybami i o spotkaniu ze Starcem. Powtórzył opowieść o plemieniu O-kwo-ke. Mówiąc pomagał sobie rękami. Rozumiała go bez trudu.

- On jest nadzwyczajny. Nikt jeszcze nie wywarł na mnie takiego wrażenia, zwłaszcza ktoś, kogo dopiero poznałem. Miałem kiedyś przyjaciela, Carlosa, bardzo inteligentnego

faceta. Wyjechał do Indii i spotkał tam jakiegoś guru... Potem nie mogłem z nim dojść do porozumienia, a mimo to...

- A mimo to...?

- Nigdy nie chciałem mieć guru, Starzec wcale nim nie jest, ale... Czy to, co mówię, ma jakiś sens?

Skinęła głową, jakby to było oczywiste.

- Starzec jest taki... - Mike potrząsnął głową. - Rzuciłem pracę w reklamie, bo chciałem poznać prawdziwych ludzi.

Parsknął śmiechem.

- Sam chciałem się zbliżyć do prawdy. Starzec jest prawdziwym człowiekiem. Jego serce jest wolne.

Ścieżka wiodła teraz pod górę. W blasku zachodzącego słońca włosy i broda Mike'a mieniły się czerwienią i złotem.

- Starzec wybrał mnie na strażnika opowieści. - Spojrzał w oczy Kaigani. - Czy to nie jest niesamowite? Powiedziałem o tym Ember, ale nie chcę, żeby ktoś jeszcze się dowiedział. Nie powiesz nikomu? Nie mogłem mu odmówić. Czuję się jakoś dziwnie. Nie wiem, co on we mnie zobaczył. Nie pochodzę z plemienia Quanoot i... Myślę zbyt racjonalnie jak na to, żeby zajmować się duchowością i w ogóle. Poradziłem Ember, żeby nie brała zbyt dosłownie historii O-kwo-ke, ale teraz sam już nie wiem.

- Ta opowieść pasuje do jej snów - powiedziała Kaigani.

- Może masz rację... Ale to pachnie na miłą klasyczną mitologią. Inne narody mają podobne legendy. Dlaczego akurat ta miałaby być prawdziwa?

- Może wszystkie legendy są na swój sposób prawdziwe.

Mike przesunął ręką po włosach.

- Powiedziałem Ember, że najprawdopodobniej urodziła się z genetycznie zmienionego zarodka. Nie wiem, czy dobrze zrobiłem.

- Tak jej powiedziałeś?

- To wyjaśnienie wydaje się najbardziej prawdopodobne.

- Jak to przyjęła?

- Niezbyt dobrze. Martwię się o nią. Próbowałem tłumaczyć, że niczego to nie zmienia, że ona nadal jest sobą. - Westchnął. - Wczorajszego dnia tyle się wydarzyło.

Kaigani poczuła znów ściskanie w dołku.

- Szkoda, że mnie tam nie było.

Próbowała powstrzymać obrazy, które przepływały jej w wyobraźni. Wstydziła się swojej zazdrości. Nie chciała zadać pytania, które cisnęło się jej na usta, ale nie mogła przejść nad tym do porządku.

- Co się stało, kiedy dopłynęliście do brzegu?
- Ember ogrzała mnie swoim ciałem. Gdyby nie ona, już bym nie żył.
- Zdjęliście ubrania?
- Musieliśmy, bo były kompletnie przemoczone.
- Więc obudziliście się... Nadzy. I co, włożyliście z powrotem mokre ubrania?

Mike spuścił wzrok. Wskazał palcem kamień na ścieżce; ominęli go. Ścieżka zakręcała, a potem wspinała się na stromą część zbocza. W niektórych miejscach Mike ułożył stopnie z pni drzewnych.

- Ember i ja jesteśmy przyjaciółmi. Nie łączy nas nic więcej.

Nic się stało, pomyślała Kaigani. Nie kochali się. Mimo to w wyobraźni widziała Ember wolną i dziką jak górską puma, i Mike'a jęczącego w jej gorącym uścisku. Kaigani nie mogła się mierzyć z seksualnym żywiołem swojej siostry. Przeraziła się.

Na szczycie wzgórza ukazała się chata.

- Do widzenia. Muszę iść do domu - powiedziała niewyraźnie Kaigani.

Odwróciła się i odeszła, nie czekając na odpowiedź. Maszerowała szybko, a kiedy znalazła się na płaskiej drodze, rzuciła się biegiem, ścigana przez natrętne myśli.

Nim dotarła do domu, jej koszulka była mokra od potu. Półciężarówka ojca zniknęła. Kaigani stanęła na chwilę, żeby złapać oddech, a potem weszła do sypialni, którą dzieliła z Ember.

Przy ścianach, między identycznymi łózkami stały dwa biurka z półkami; górski rower Ember wisiał na haku pod sufitem zaczepiony za tylne koło. W ścianie po przeciwnej stronie znajdowały się dwa duże okna, które Ember otworzyła szeroko. Na tle ciemniejącego nieba rysowały się wierzchołki gór. W chłodnym pokoju Ember siedziała przy biurku ubrana tylko w bieliznę. Coś pisała. Nie podniosła głowy.

- Gratuluję ci zbliżenia z Mike'em.

Ember spojrzała na siostrę bez słowa, a potem wróciła do pisania.

- Chcesz z nim być? - Kaigani starała się powstrzymać drżenie głosu. Ember odłożyła pióro i odwróciła się.

- Przecież to ja was skojarzyłam. Zapomniałaś o tym?
- Czy byłaś z nim?
- Co?

- Kochaliście się?

- Nie.

- Nawet się nie całowaliście?

Ember przełknęła ślinę.

- Co się między wami zdarzyło?

- Byliśmy nadzy. Tak, całowaliśmy się przez chwilę. Ale zaraz pomyśleliśmy o tobie.

- Nie chcę wchodzić między was. - Mike cię kocha...

- Powiedział ci to między jednym a drugim pocałunkiem?

- Kiedy wyciągnęłam go z wody, nie ruszał się, nawet nie drżał. Doznał szoku termicznego. Czy czułabyś się lepiej, gdybym pozwoliła mu umrzeć?

- A rano? Musiałaś go całować, żeby uratować mu życie?

- Przykro mi, że tak się stało. Poniosło nas, ale się opanowaliśmy. Taka jest prawda.

Kaigani rozpląkała się cicho. Ember wstała i położyła ręce na ramionach siostry,

- Teraz wiem, że Mike zakochał się w nas obu. Ale to już nieważne. Rozmawiałam z nim. Wybrał ciebie.

- On wybrał, czy ty kazałaś mu wybrać?

- On cię kocha. Jesteście dla siebie stworzeni.

Serce Kaigani zadrżało.

- Jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie - powiedziała Ember ocierając łzę z policzka siostry. - Nie wiesz o tym? Jesteś sto razy ładniejsza ode mnie.

- Znowu zaczynasz. Czemu upierasz się przy tym, że jesteś brzydka?

- Nie nadaję się na rozkładówkę „Pethouse’a”.

- I to ma być miara urody?

- Wiesz, co mam na myśli. Nigdy nie chciałaś być fotomodelką, ale mogłabyś nią być.

Ja nie.

- Do diabła z modelkami.

- Wielu mężczyzn chciałoby... Chodzi o to, że...

- Chodzi o to, że ty jesteś piękna jak dzika klacz...

- Zauważyłam, że zawsze porównujesz mnie do jakiegoś pięknego zwierzęcia, nigdy do kobiety. I na tym polega różnica między nami. Jesteś piękną kobietą, a ja nie jestem całkiem człowiekiem.

- Chciałam powiedzieć, że jesteś silna... Dzika klacz to wcielenie siły i wolności.

- Tak. Jestem silna jak koń. Kobieta, która wygląda jak koń, jest brzydka.

- Nie powiedziałam, że wyglądasz jak koń. Przypominasz mi... Siła jest częścią twojej urody. Piękny koń zawsze jest silny. Konie są silne i ty jesteś silna. Nie masz pojęcia, jaka jesteś silna. Czasem czuję się przy tobie jak słabeusz.

- Słabeusz? Jesteś jedną z najbardziej wysportowanych dziewcząt na wyspie.

- A ty jesteś najbardziej wysportowaną.

- Nie powinnaś się ze mną porównywać - powiedziała Ember odwracając głowę.

Kaigani nie zrozumiała ostatnich słów. Dotknęła ramienia siostry.

- Ja czytam z warg, zapomniałas o tym?

- Mówiłam do siebie.

- Dlaczego mam się z tobą nie porównywać?

- Bo nie jestem nawet naturalną ludzką istotą. Jestem wielkim osiągnięciem inżynierii genetycznej.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Tak, zaczynam w to wierzyć.

- A ja nie wierzyłam w to ani przez chwilę.

- Więc jak wytłumaczyć istnienie kogoś takiego jak ja?

- Nie próbuję.

- Gadasz jak dziewczyna z rozkładówki.

- Przestań.

- To nie jest twój problem, moja piękna siostró. - Ember poklepała Kaigani po piersi. - To ja jestem dziwadłem, nie ty.

- Zawrzyjmy umowę. Ja przestanę się porównywać z tobą, a ty przestaniesz się porównywać ze mną. Zgoda?

Spojrzały sobie w oczy, ale zaraz odwróciły wzrok.

- Ja wytrzymałam pół sekundy - powiedziała Kaigani z łobuzerskim uśmiechem. - A ty?

- Ja też - odparła Ember ze śmiechem.

Kaigani odetchnęła. Do diabła z zazdrością! Chwila nie była taka, jaką sobie zaplanowała, ale Kaigani postanowiła powiedzieć to, co chodziło jej po głowie od miesięcy.

- Ember, chcę, żebyś mnie wyleczyła. Twarz Ember znieruchomiała.

- Połóż dłonie na moich uszach i spraw, żebym mogła słyszeć.

- Co to ma znaczyć? Myślisz, że jestem Chrystusem?

- Spróbuj. Jeśli się nie uda, to nic. Ale ty masz duchową siłę... Skieruj ją na mnie.

- Obiecałaś, że nie będziesz zapominać, kim jestem, że nie będziesz mnie traktować inaczej niż innych. Czemu patrzysz na mnie w ten sposób? Dokładnie tak samo jak Tom.

- Chcę słyszeć głos Mike'a, mamy i taty. Chcę słyszeć śpiew ptaków, grzmot pioruna...

- Kaigani, ja nie umiem cię wyleczyć. Spójrz na mnie. - Ember napięła potężne bicepsy. - Zostałam zaprogramowana, by zabijać, a nie leczyć.

- To nieprawda. Proszę cię, Ember, jeśli mnie naprawdę kochasz...

Kaigani sięgnęła po dłonie Ember, aby położyć je na swoich uszach.

- Zostaw mnie!

Ember jednym ruchem odtrąciła ręce siostry. Kaigani wpadła na biurko. Przezroczysty model konia spadł na podłogę. Plastikowe wnętrzości rozsypały się po podłodze.

- Nie umiesz mnie wyleczyć, czy nie chcesz? - Spytała zrozpaczona Kaigani.

Ember usiadła ciężko na taborecie. Ramiona jej opadły.

- To, co mówisz, jest dla mnie obraźliwe. Jesteś moją siostrą, najlepszą przyjaciółką, jaką mam na tym cholernym świecie...

- A więc spróbuj mi pomóc. Spróbuj. Widziałam twoją moc. Ty ją masz. Spójrz na mnie. Przecież wiesz, że masz moc.

Ember rzuciła jej wściekłe spojrzenie.

- Pokażę ci moją cholerną moc.

Podniosła z podłogi czerwone serce i purpurowe płuca i ścisnęła w dłoniach. I Plastikowe narzędzia trzasnęły jak łupiny orzecha. Ember cisnęła pęknięte kawałki na podłogę i zerwała się na nogi.

- Patrzcie i podziwiajcie! - Krzyknęła rozkładając ramiona. - Nowy, udoskonalony wiking, prosto z laboratorium!

Uniosła ręce nad głowę i wkładając siłę całego ciała uderzyła w blat jak podwójnym młotem. Drewno pękło na dwie części i runęło.

- Przestań, zwariowałaś? - Kaigani zasłoniła twarz dłońmi i cofała się, przerażona.

- Wpuście mnie na pole bitwy i patrzcie, co się dzieje!

Ember podrzuciła wysoko drewniany taboret i w powietrzu złapała za dwie nogi. Stęknęła głośno, napinając mięśnie klatki piersiowej. Krzyżowe klamry puściły i kawałki taboretu spadły na połamane biurko.

- Przestań! - Wrzasnęła Kaigani. - Boję się ciebie!

Ember zwróciła się w stronę siostry. Jej twarz pociemniała, oczy błyszczały zielonym płomieniem, nozdrza rozszerzyły się, żyły wystąpiły na czoło i szyję.

- Jestem królową wojowników - wycharczała Ember. Jednym krokiem zbliżyła się do Kaigani, która poczuła żar jej ciała. - To jest moja moc. Do tego zostałam stworzona.

Kaigani przywarła plecami do futryny. Ember zbliżała się, aż piersiami dotknęła piersi siostry. Kaigani poczuła na wargach jej gorący oddech. Ich piersi falowały, a serca były blisko siebie. Przez chwilę Kaigani zdawało się, że Ember chwyci ją za włosy i pocałuje. Odwróciła twarz. Czar prysł. Ember się cofnęła. Na jej twarzy malowało się zdumienie.

Kaigani nie mogła wydobyć słowa. Zawsze czuła, że ona i Ember są jak dwa przeciwne bieguny magnesu, lecz nigdy jeszcze to przeciwieństwo nie zapłonęło płomieniem energii seksualnej.

- To moja wina - powiedziała cicho. - Nie powinnam była cię prosić.

Ember uklękła i zaczęła zbierać połamane części przezroczystego konia. Kaigani schyliła się, żeby jej pomóc. Ich ramiona otarły się o siebie i Ember się odsunęła. Kaigani zauważyła, że w sypialni jest ciemno i zimno. Zapaliła światło i zamknęła okna.

Odwróciwszy się, zobaczyła wykrzywioną smutkiem twarz Ember.

- Kaigani, mam w głowie okropny bałagan. Nie mogę nikomu pomóc, czy tego nie widzisz?

Kaigani zmusiła się do uśmiechu. Nie wiedziała, jak zareagować: chciała pogłaskać dłoń Ember, lecz się zawahała.

- Nie wiem, co mnie napadło - mówiła Ember. - Wszystko się na mnie wali. Przysięgam, że to się nigdy więcej nie powtórzy. Zapomnijmy o tym, dobrze?

Kaigani skinęła głową, lecz wrażenie pozostało.

Ember wstrzymała oddech. Otworzyła szeroko oczy i pokazała, że rodzice wrócili. Włożyła prędko czarną koszulkę, szorty w kolorze khaki i czerwone tenisówki.

- Dokąd idziesz? - Spytała Kaigani.

Ember obrzuciła wzrokiem podłogę, uklękła, zajrzała pod jedno i drugie łóżko. Wyciągnęła list i wsunęła pod poduszkę Kaigani. Z szuflady zniszczonego biurka wyjęła notes, schowała do kieszeni. Śpieszyła się.

Kaigani przełknęła ślinę.

- Ember, dokąd chcesz pójść?

Ember przyłożyła palec do ust. Zarzuciła na plecy dżinsową kurtkę i wypchany brezentowy plecak.

- Nie odchodź. Tata będzie zły, ale to nie potrwa długo. Przecież wiesz, że on nie umie się na nas gniewać. Nie musisz uciekać.

- To nie ma nic wspólnego z tatą, wierz mi. Nie obawiam się jego złości, wiem, że mnie kocha. - Zapięła paski plecaka. - Mama też mnie kocha...

- Ja też cię kocham.

Ember spojrzała na Kaigani ze łzami w oczach.

- Kłopot polega więc na tym, że ja siebie nie kocham. I to mi nie daje spokoju.

- Masz wielkie serce, ale kiedy chodzi o ciebie samą, to zaciska się jak pięść.

- Jestem rozdarta na połowy, jak maska tancerza fortuny: jedno oko to nadzieja, a drugie - strach. Połowa mnie walczy z całych sił o to, żeby być normalną, bo nie potrafię znieść myśli, że nigdy nie będę taka jak wszyscy. Druga połowa, ta, której się boję, każe mi dowiedzieć się, kim jestem, nawet jeśli ta prawda okaże się koszmarem.

Ember założyła rękawiczki i kask rowerowy.

- Długo sądziłam, że ta połowa, która pragnie być normalna, jest moim okiem nadziei. Ale teraz już wiem, że to jest moje oko strachu. Jedyne nadzieje dla mnie leży w tym, że dowiem się, kim naprawdę jestem, bez względu na to, ile mnie to będzie kosztować.

Kaigani wyczuwała stopami drganie podłogi. Rodzice chowali zakupy do lodówki. Mogłaby tam pobiec i wszystko im powiedzieć. Odwróciła się i zerknęła na kłamek.

Czy powinnam to zrobić?

Ember wystawiła rower za okno i zeskoczyła na ziemię.

- Dokąd? - Spytała Kaigani.

- Poszukać Yute Nahadeha, który mnie stworzył.

Kaigani wychyliła się przez parapet.

- Nie rób tego, Ember.

- Powiedz rodzicom... Powiedz im, żeby się za bardzo nie martwili. Aha, wzięłam dwadzieścia dolarów z twojej skarbonki. Oddam ci podwójnie, kiedy wrócę. Przysięgam.

- Znów mnie zostawiasz bez wyjścia. Co mam powiedzieć?

- Kiedy wróciłaś, już mnie tu nie było. Rzeczywiście tak chciałam zrobić. Znalazłaś list pod poduszką. Daj mi pół godziny. Chcę złapać prom o siódmej. Potem możesz pokazać list.

- Ale oni już są. Muszę go pokazać teraz.

- Nie znalazłaś go jeszcze, bo... Wykręcałaś koszulkę w łazience.

Kaigani zerknęła na kawałki biurka i taboretu.

- I tak po prostu przeszłam nie zwracając uwagi na ten bałagan?

Ember zapięła kask.

- Zauważyłaś dopiero po wyjściu z łazienki, bo... Kaigani westchnęła.

- Szłam do łazienki z koszulką zaciągniętą na głowę.

- No właśnie. Będę twoją dłużniczką.

- Co zrobisz, jak znajdziesz tego doktora?

- Dowiem się wszystkiego, spytam, czy są inni podobni do mnie. - Uśmiechnęła się smutno. - A potem może skręcę mu kark.

Pokazała siostrze znak „kocham cię”: uniesioną dłoń z wyprostowanym kciukiem, małym palcem i palcem wskazującym, a pozostałymi zgiętymi. Kaigani odpowiedziała w taki sam sposób. Ember wskoczyła na rower i popędziła piaszczystą drogą ku przystani promu.

Pół godziny później Kaigani spojrzała na biały księżyc wiszący nad górami niczym naszyjnik z kości wieloryba. Pomyślała, że tam właśnie chciałyby się teraz znaleźć. Na wilgotnych po kąpieli włosach czuła powiew chłodnego wiatru. Odwróciła się od okna i wolnym krokiem ruszyła w stronę pokoju rodziców, który znajdował się trzysta pięćdziesiąt tysięcy kilometrów od Morza Spokoju.

Część trzecia

Okolo dwudziestu pięciu tysięcy lat temu, podczas zlodowacenia Wisconsin, cała północna część Ameryki, teren sięgający tysiąc kilometrów na południe od rejonu Wielkich Jezior pokryty był warstwą lodu o grubości dochodzącej do półtora kilometra. Przy takiej ilości wody skupionej w lodowcu poziom morza obniżył się o sto dwadzieścia metrów, odsłaniając nizinę szerokości półtora tysiąca kilometrów, którą nazywamy Beryngią, a która łączyła obecną Syberię z Alaską. Neandertalczycy i kromanieńczycy tropili mamuty, woły piżmowe i karibu podążając na wschód, aż zagroziła im drogę ściana lodu. Bariera ta wyrosła w okolicy pasma górskiego Alaska Range z górą Mount Kinley, niedaleko miejsca, gdzie w 1988 roku znaleziono Człowieka Tundry, a w 1989 Kobietę Tundry.

Później, okolo piętnastu tysięcy lat temu - tuż przed roztopieniem się lodowca i zniknięciem Beryngii - ówczesni ludzie migrowali do Ameryki Północnej na znacznie większą skalę. Fascynująca jest myśl, że Człowiek Tundry i Kobieta Tundry należeli do pierwszych ludzi, którzy postawili stopę w Nowym Świecie.

Prof. dr hab. Yute Nahadeh, notatki do eseju *Pierwsi Amerykanie*

Rozdział 30

Yute Nahadeh znajdował się w obszernym biurze. Siedział na obrotowym krześle z jasnej skóry przy biurku w kolorze miodowym. Szerokie ramiona nie zdradzały, że jest mężczyzną w średnim wieku, a siwiejące włosy miał równie gęste jak dwadzieścia lat temu. Oczy okolone zmarszczkami nie straciły nic ze swego blasku. Muskularna sportowa sylwetka dobrze się prezentowała w niebieskiej dżinsowej koszuli i sztruksowych spodniach. Skórzane buty leżały na perskim dywanie w śliwkowe i czerwone wzory. Yute miał na szyi krawat w takich samych kolorach.

Na jednej ścianie wisiały dyplomy i nagrody naukowe, a na przeciwnej trzy fotografie wycięte z gazet: Ember w wieku dziewięciu lat ściskająca dłonie roześmianych kolegów z drużyny piłkarskiej, szesnastoletnia Ember wypchniętą piersią dotykająca taśmy na linii mety podczas centralnych zawodów lekkoatletycznych najlepszych sportowców szkół średnich i Ember rok później, ociekająca wodą, triumfalnie unosząca puchar dla zwycięzcy stanowych zawodów pływackich. Od dnia, kiedy Yute przerwał bójkę po meczu baseballowym, nigdy więcej nie postawił nogi w Whaler Bay; jeździł jednak na zawody, w których Ember brała udział, nawet jeśli odbywały się w innych stanach.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat wymyślił setki sposobów skontaktowania się z nią, zawsze jednak jakiś głos podpowiadał, żeby poczekać. Czekać do chwili, kiedy ona sama będzie gotowa poznać sekret swojego pochodzenia. Wówczas zgodzi się z nim współpracować, pomóc w rozwiązaniu zagadki neandertalczyków. Ale czy przyjdzie? A jeśli tak, to kiedy?

I wreszcie przyszła. Siedziała na dole w holu, żywa neandertalka, święty Graal naukowych dociekań Yute, jego klucz do poznania tajemnic ewolucji człowieka.

Dreszcz przebiegł po jego ciele; ręce zaczęły drżeć. Zamknął oczy i odetchnął głęboko kilka razy. Nie pomogło to jednak uspokoić nerwów targanych na przemian radością i obawą. Podniósł się i jął spacerować po dywanie w tę i z powrotem.

Na dłuższej ścianie biura widniało gigantycznych rozmiarów logo firmy MRSI - Micro-Radio Surgical Instruments Corporation, a przeciwną ścianę pokrywało malowidło przedstawiające Boga dotykającego palca Adama, jak na fresku Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej - z tą jednak różnicą, że Wszechmogący miał na ręku rękawicę chirurgiczną z miniaturowym elektronicznym kauteryzerem na palcu wskazującym.

Yute nie marnował swojego talentu czekając na to, aż Ember dorośnie i go odnajdzie. Przez ostatnich piętnaście lat wymyślił i opatentował miniaturowy przyrząd elektroniczny, który zakładało się na palec wskazujący specjalnych rękawic. Cieniutki drucik na wewnętrznej stronie rękawiczki prowadził do małego zasilacza przymocowanego do paska chirurga. Mikroskopijny emiter fal radiowych, przewyższający precyzją laserowy skalpel, stał się przedłużeniem palca chirurga. Ciął lub przyżegał dokładnie w miejscu, które wskazał chirurg. Urządzenie ułatwiło znacznie przeprowadzanie skomplikowanych zabiegów, takich jak łączenie tkanki nerwowej i naczyń krwionośnych przeciętych części ciała. W czasopiśmie medycznym na pierwszej stronie ukazał się obszerny artykuł poświęcony wynalazkowi Yute. Firma MRSI rozrosła się szybko i stała międzynarodową korporacją z siedzibą w Seattle, a sprzedaż praw patentowych przyniosła mu fortunę.

Yute pracował teraz na pół etatu jako konsultant techniczny firmy. Zajmował się opracowaniem nowych specjalistycznych przyrządów chirurgicznych. Dawał też gościnne wykłady w Pacific College jako profesor paleoantropologii. Większość czasu poświęcał na pisanie i pracę badawczą w tej dziedzinie. Odwiedził też kilkanaście stanowisk archeologicznych i muzeów na całym świecie związanych z badaniami neandertalczyków.

Wykupił teren dawnej Szkoły Indiańskiej Stanu Waszyngton w Deer Park i przekształcił główny budynek w muzeum. Zamierzał uczynić z niego najwspanialszą placówkę w tej dziedzinie na świecie. Tak wiele jednak zależało od Ember, od jej zgody na współpracę.

Przyjechała się dowiedzieć, kim jest, kim byli jej rodzice, pomyślał. Przesunął ręką po włosach. Muszę powiedzieć jej wszystko tak, aby to zaakceptowała; musi zrozumieć, że chcę się wielu rzeczy dowiedzieć tak samo jak ona, ale żeby rozwikłać wszystkie jej tajemnice - tajemnice *Homo sapiens neandertlensis* - potrzeba będzie długich lat intensywnych badań.

Sięgnął do krawata, aby go poprawić, ale nie było to potrzebne. Zaczerpnął głęboko powietrza i poszedł na spotkanie swej neandertalskiej córki.

Ember spędziła noc w parku nad zatoką Bayside. Rano umyła się i przebrała w publicznej toalecie. Wystarczyły dwa telefony, żeby znaleźć adres, którego szukała. Teraz wierciła się niecierpliwie na czarnej skórzanej kanapie na parterze wysokiego biurowca w centrum Seattle, gdzie miała swą siedzibę firma Micro-Radio Surgical Instruments Corporation. Recepcjonistka zadzwoniła do Yute Nahadeha i powiedziała, że profesor zaraz zejdzie.

Ember wbiła wzrok w drzwi windy. Czemu to tak długo trwa? Starła się podgrzewać swój gniew, żeby nie wpaść w przerażenie. Ten facet zabawił się w Boga, stworzył mnie zgodnie z określonymi przez samego siebie parametrami. Powinnam mieć się na baczności.

- Miło cię znów widzieć.

Ember zerwała się na dźwięk męskiego głosu.

- Przepraszam. Nie lubię używać windy.

Patrzyła na przystojnego Indianina, który stał z wyciągniętą ręką. Srebrne pasma przecinały jego włosy jak nitki pioruna burzową chmurę. Spoglądał nieco nerwowo, lecz jego czarne oczy błyszczały, kiedy się uśmiechał. Ember poczuła pustkę w głowie. Widziała go co prawda osiem lat temu, ale nie spodziewała się ujrzeć wysokiego mężczyzny, który wyglądał jak z okładki magazynu męskiej mody.

Wstała i niepewnie podała mu rękę.

- Jestem Yute Nahadeh.

- Ember Ozette.

Mężczyzna roztaczał wokół siebie jakąś dziwną aurę. Gniew Ember powoli zamieniał się w strach.

Yute szerokim ruchem ręki wskazał drzwi windy.

- Tędy, proszę.

- Możemy pójść pieszo, jeśli pan woli.

- Moje biuro znajduje się na siódmym piętrze.

- Czy pan wchodzi pieszo?

- Tak.

- Więc chodźmy.

Otworzył przed nią drzwi klatki schodowej. Weszli na siódme piętro bez najmniejszych oznak zmęczenia.

Ember zauważyła, że Yute nie pali papierosów. Pił kawę. Zapach jego wody kolońskiej pasował do zapachu dezodorantu.

Yute otworzył drzwi na siódmym piętrze i po chwili znaleźli się w biurze. Wskazał trzy głębokie fotele pokryte skórą o pięknym odcieniu zieleni.

Usiedli.

- Zamierzam powiedzieć ci wszystko, co wiem o twoim pochodzeniu i biologicznych rodzicach.

Ember spojrzała na niego zaskoczona.

- Odpowie pan na wszystkie moje pytania?

- Najlepiej jak potrafię.

Przyjrzała się jego skórze i indiańskim rysom. - Nie jest pan moim ojcem, rzecz jasna.

Potrząsnął głową.

- A więc Mike miał rację - westchnęła.

- Kto?

- Mój znajomy. Powiedział, że stworzył mnie pan w laboratorium wykorzystując metody inżynierii genetycznej.

- Ember, zapewniam cię, że to nieprawda. - Przesunął ręką po włosach. - Podejrzewam, że wielu mieszkańców Whaler Bay tak sądzi, ale to nie ma nic wspólnego z faktami.

Ember nie uwierzyła. Skierowała wzrok na wycinki z gazet.

- Jak widzę, śledził pan dokładnie rozwój swojego eksperymentu.

- Cieszyłem się z twoich zwycięstw. Jesteś wspaniałym sportowcem.

- Czy po to zostałam stworzona? Żeby wygrywać zawody?

- Oczywiście, że nie.

- Więc po co?

- Ember, powtarzam ci jeszcze raz: nie zostałam stworzona w laboratorium inżynierii genetycznej.

- Nie wierzę panu.

- Nie znam twojego ojca, ale znam matkę.

Ember wstrzymała oddech.

- Kim ona jest? Gdzie jest? Żyje?

- Jest... Niedaleko stąd.

- Gdzie?

- W Deer Park.

- Czy mogę ją odwiedzić?

- Tak, ale... - Westchnął. - Muszę ci wiele wyjaśnić. Nie możemy się śpieszyć.

- Dlaczego? Coś jest nie tak? Chodźmy tam od razu. - Musisz wpierw poznać kilka faktów dotyczących jej i ciebie.

- Chce pan powiedzieć, że ona nic o mnie nie wie, tak? To dobrze. Tak właśnie myślałam, że ona nic nie wie, bo co to byłaby za matka, która nie spróbowałaby odnaleźć swojego dziecka, gdyby wiedziała, że ono żyje. Oczywiście, że się boję, bo to będzie dla niej straszne przeżycie. Nie wie, że ma córkę, a poza tym... Jest zwykłą kobietą, a ja wyglądam

tak, jak wyglądam. Co ja jej powiem? „Cześć, mam! To ja jestem tą córką z próbki, o której nic nie wiedziałaś. Chcesz zobaczyć, jak podnoszę fortepian?”

- Nie wierzysz, a ja mówię prawdę. Nie zostałaś stworzona w laboratorium.

- Zmodyfikował pan geny embriona.

- To nieprawda. A twoja matka nie jest zwykłą kobietą. Jest twoją matką i wygląda tak samo jak ty.

Ember otworzyła usta.

- Ma taki sam kolor skóry, takie same włosy, oczy, tę samą budowę ciała. Ember zerwała się na równe nogi.

- Ona jest... Złota? - Spytała zduszonym szeptem.

- Tak, jest złota.

Yute wstał. Podszedł do ściany i odwrócił się. Złożył ręce, jakby miał wygłosić kazanie. Końcami palców dotknął warg.

- Ember, jesteś bardzo niezwykłą osobą - zaczął powoli, poruszając dłońmi w rytm słów. - Nie jesteś taka jak inni...

Westchnęła bezradnie. Lepiej powiedz mi coś, czego jeszcze nie wiem! Czekala, ale Yute zawahał się, jakby zabrakło mu słów.

- Powiedział pan, że nie zna mojego ojca. Czy był anonimowym dawcą spermy?

- On i matka poczęli cię w sposób naturalny. Jego skóra też była złota, jestem tego pewien. Przypuszczam też, że byli poślubieni, w sposób zgodny z nakazem ich kultury.

Ember nic już nie rozumiała.

- Gdzie jest moja matka? Muszę ją zobaczyć. Proszę mnie do niej zaprowadzić.

Yute dotknął kilka razy ust złożonymi dłońmi.

- Nie masz pojęcia, ile razy wyobrażałem sobie nasze spotkanie. Przewidywałem twoje pytania, obmyślałem odpowiedzi. Ale nie ma łatwego sposobu powiedzenia ci tego, co chcesz wiedzieć.

- Proszę mówić wprost.

Yute zbliżył się do Ember i ujął jej rękę.

- Twoja matka nie żyje - powiedział cichym, łagodnym głosem. - Znalazłem ją zakopaną w lodzie w arktycznej tundrze. Umarła dwadzieścia pięć tysięcy lat temu.

Rozdział 31

W drodze z Seattle do Deer Park myśli Ember skakały bezładnie jak krople deszczu po szybie mercedesa. Yute próbował ją zagadnąć, lecz na próżno. Ember bała się, że jeśli zacznie mówić, słowa zamieniają się w szloch.

Samochód zwolnił i po chwili wjechali w bramę oznaczoną zardzewiałą metalową tabliczką z napisem: „Szkoła Indiańska Stanu Waszyngton”. Poniżej umieszczono nową tabliczkę: „Teren prywatny. Wstęp wzbroniony”.

Ember stała na mokrym asfalcie. Mżawka zamieniła się w mgłę, ale co jakiś czas na twarz i włosy Ember spadała pojedyncza kropla deszczu. Yute otworzył parasol.

- Czego jeszcze się dowiem? - Spytała.

- Chodź.

Zaprowadził ją do piętrowego budynku krytego dachówką. Z narożnej rynny tryskał strumień wody i z głośnym szumem wlewał się do metalowej kratki ściekowej. Ember odczytała napis na emaliowanej tabliczce: „Centrum Badań Ewolucji Człowieka”.

Yute otworzył drzwi laboratorium i Ember cofnęła się przed mieszanką zapachów lizolu, formaldehydu, alkoholu, chloru i rozkładającego się ciała. Rozejrzała się szukając jakiegoś naczynia na wypadek, gdyby uległa mdłościom. Pod przeciwną ścianą w metalowych gablotach bieleł szereg szkieletów. Na drugiej ścianie stała olbrzymia dębowa szafa, a przy niej wysokie metalowe biurko z rzędami szuflad. Obok znajdowało się drugie biurko z dwoma komputerami i przegródkami na teczki. Ściany po prawej stronie pokrywała do wysokości ramion jasnoniebieska glazura; na środku lekko pochyłej podłogi, nad otworem ściekowym stał czarny stół. W sąsiedniej ścianie widać było drzwi do chłodni, a obok dużą gablotę z nierdzewnej stali.

Mdłości minęły. Ember usiadła na taborecie przy stole. Yute podszedł do biurka.

- Ember!

Podniosła głowę i zobaczyła monetę lecącą w jej stronę. Złapała ją prawą ręką. W tej samej sekundzie Yute rzucił drugą monetę, którą Ember chwyciła lewą ręką. Spojrzała na niego, nie wiedząc, co ma powiedzieć.

- Jesteś oburęczna, prawda?

Skinęła głową.

- Przewidziałem to na podstawie zadrapań na zębie twojej matki.

- O czym pan mówi?

- Obserwowałem kiedyś Inuitów jedzących mięso karibu. Biorą w rękę duży kawał mięsa, wbijają zęby, a potem odcinają resztę nożem. Robią w ten sposób drobne nacięcia na zębach, które zazwyczaj biegną w jedną stronę. W ten sposób antropolodzy odkryli, że kromanieńczycy byli praworęczni.

Yute udał, że trzyma w lewym ręku kawał mięsa, wbija zęby i tnie mięso nożem ukośnie, od prawej strony do lewej.

- Obejrzałem zęby twojej matki pod mikroskopem i odkryłem setki drobnych nacięć na szkliwie. To znaczy, że jadła mięso obydwoma rękami. Była oburęczna.

Ember znów poczuła mdłości.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - Spytała słabym głosem. Musiała powtórzyć, żeby Yute zrozumiał.

- Większe niż myślisz. Neurolodzy dowiedli, że praworęczność wiąże się ze zdolnościami językowymi i analitycznymi. Spośród wszystkich żyjących istot tylko ludzie wykazują tendencję do posługiwania się jedną ręką. Spodziewałem się, że twoja matka używała obu rąk, i miałem rację. To znaczy, że półkule twojego mózgu są doskonale zrównoważone, że jesteś obdarzona zarówno intuicją, jak i zdolnością krytycznego...

- W tej chwili mój mózg zapada się w czarną, głęboką przepaść. - Ember położyła ręce na skroniach. - Całe życie chciałam się dowiedzieć, kim jestem, ale chyba mam już dość.

- Rozumiem. To wszystko musi być dla ciebie bardzo stresujące. Przykro mi. Ember spojrzała na szkielety pod ścianą.

- Czy moja matka...?

- Nie, nie ma jej wśród tych okazów. Chcesz zobaczyć jej kolorowe zdjęcia? Ember kiwnęła zdecydowanie głową i zacisnęła usta.

- Potrzebujesz więcej czasu.

Wzięła głęboki oddech.

- Chcę ją zobaczyć. Muszę.

Yute wyjął z szafki ciężkie tekturowe pudełko po papierze fotograficznym Kodaka. Ember położyła pudełko przed sobą na stole i dotknęła delikatnie.

W środku była jej matka.

Ember wyobraziła sobie fotografie skurzonego ciała, kości obciążniętych skórą, twarzy zniekształconej śmiercią. Z drżącymi kolanami podniosła wieczko.

Na widok pierwszego zdjęcia podskoczyła na krześle.

Muskularne ciało młodej kobiety rozciągnięte było na metalowym stole. Rdzawoczarne, uplecione w gęste warkocze włosy opadały na jej ramiona. Skóra wydawała się miękka i delikatna, jakby kobieta po prostu spała.

- Jest złota - szepnęła Ember.

- Tak. Z początku myślałem, że to efekt zamrożenia, ale w jej skórze znalazłem później pigment odpowiedzialny za taką barwę.

- Złota tak samo jak ja.

Przełknęła ślinę i wstrzymała oddech, żeby nie dopuścić do siebie smutku. Łza spadła na fotografię. Wylała ją rękawem i odkryła następne zdjęcie.

Ujęcie z przodu ukazywało masywną twarz podobną do twarzy Ember. Na jej widok Ember wstała. Wpatrywała się w twarz z przyspieszonym oddechem. Szybko odnalazła zbliżenie twarzy.

Znała tę szeroką twarz o złotej skórze, okoloną ciemnymi warkoczami. Widywała ją we śnie setki razy.

To była U-Ma, Matka Szamanka z lodowej jaskini.

- O Boże! - Krzyknęła Ember chwytając się za serce. U-Ma jest moją matką!

Przypomniała sobie małego chłopca trzymającego nogę U-My.

To mój brat! Mam brata!

Szybko się jednak opamiętała. Miałam brata dwadzieścia pięć tysięcy lat temu. Ta myśl przełamała tamę smutku.

- Czy... Czy to już wszystko, co zostało po mamie?

- Nie, to nie wszystko. Przyprowadziłem cię tu, aby ci pokazać pracę mojego życia - wyjaśnił Yute. - Zacząłem od zdjęć, żebyś mogła się stopniowo oswajać.

Ember podążyła za nim ocierając łzy. Szli bocznymi schodami oznaczonymi napisem „Tylko dla personelu”, prowadzącymi do Muzeum Neandertalskiego. Znaleźli się w obszernej sali, gdzie przygotowywano olbrzymią ekspozycję przedstawiającą tundrę w epoce lodowcowej.

W rogu sali widać było wejście do jaskini sięgające do samego sufitu pomieszczenia. Pośrodku jaskini zbudowanej z włókna szklanego znajdowało się palenisko ze sztucznych szczap zaopatrzonych w palniki gazowe. Naturalnej wielkości manekiny trzech złotych kobiet siedziały wokół ognia z kawałkami mięsa na długich kijach. Jedna z kobiet tuliła do piersi niemowlę, a dwoje większych dzieci bawiło się ze szczeniakiem wilka. Czwarta kobieta skrobała skórę rozpostartą na podłodze; starszy mężczyzna ostrzył granitowym kamieniem

krzemienisty nóż. Dwóch chłopców uginających się pod wiązkami chrustu wchodziło do jaskini.

Na wklęsłej ścianie sali wystawowej widać było panoramiczne malowidło tundry stwarzające złudzenie głębi. Wysokie do kolan trawy i kępy kwiatów zdawały się sięgać aż po horyzont ograniczony śnieżnymi szczytami, z których spływały na równinę wielkie lodowce. W oddali pasło się stado włochatych nosorożców. Scena przedstawiała lato. Popołudniowe niebo mieniło się różem i złotem dzięki specjalnym reflektorom ukrytym pod sufitem. Tuż za barierką wystawy w krętym strumieniu płynęła prawdziwa woda. Nieopodal grupa myśliwych przyczała się na mamuta z włóczniami gotowymi do rzutu. Zwierzę zanurzyło trąbę w potoku. W kłębie mamut był dwa razy wyższy od Yute, a z jego szczęki wystawały zakrzywione ciosy długości trzech metrów.

Nad szkicem rozłożonym na posadzce klęczało dwóch robotników. Młodszy miał jasne włosy uczesane w kucyk, na ramionach bielił mu się drewniany pył. Drugi mężczyzna miał skórę brązową jak czekolada, a w jego lśniącej łysinie odbijały się światła dwóch reflektorów: różowego i złotego. Yute podszedł do robotników i powiedział, żeby zrobili sobie przerwę. Zerknęli na Ember. Wychodząc spoglądali to na nią, to na manekiny w jaskini.

- Co o tym sądzisz? - Spytał Yute. - Za kilka miesięcy, po zakończeniu prac, to będzie najlepsza na świecie wystawa poświęcona życiu neandertalczyków. Nie tylko najbardziej efektowna, ale i najbliższa prawdy. Wszystkie inne, nawet ta w British Museum, są żałośnie wypaczone.

Ember patrzyła w milczeniu. Nogi i ręce ciążyły jej jak ołów. Oparła się na balustradzie i patrzyła na scenę przedstawiającą epokę, w której żyła matka, epokę, w której ona, Ember, powinna była żyć.

- Patrz. - Yute przekreślił wyłącznik. Polana rozbłysła niebiesko-pomarańczowym płomieniem. - W suficie umieściliśmy system wentylacyjny zgodnie z prawem stanowym. Spójrz na to.

Nacisnął kilka guzików i myśliwi ożyli. Z krzykiem wbijali włócznie w kosmaty grzbiet mamuta. Uniósłszy potężny łeb i trąbę z kłami błyszczącymi jak szable, zwierzę zaryczało tak głośno, że zatrzęsała się podłoga.

Każdy z tych myśliwych mógłby przedstawiać mojego ojca, pomyślała Ember. Zacisnęła dłonie na balustradzie aż do bólu. Moja rodzina, moja rasa wymarła. Choćbym przeszukała każdy zakątek Ziemi, i tak nie znajdę nikogo takiego jak ja.

- Tędy - rzekł Yute. - Teraz chcę ci pokazać centralne miejsce ekspozycji.

Znaleźli się w środku drugiej sceny. Tym razem widok rozciągał się z wnętrza jaskini. W górze wisiało rozgwieżdżone arktyczne niebo. W jaskini znajdowały się trzy ogniska, wokół których koncentrowało się życie. Przy ogniu z lewej strony złotowłosa mężczyzna mimiką twarzy i językiem migowym opowiadał coś grupie chłopców wpatrzonych w niego szeroko otwartymi oczami. Pociemniałą od dymu ścianę pokrywały rysunki reniferów, bizonów i mamutów wykonane węglem drzewnym i ochrą. Wokół środkowego ogniska kilku mężczyzn tańczyło z uniesionymi nad głową włóczniami. Jeden z nich odziany był w nie wyprawioną czerwona skórę, a jego głowa kryła się w olbrzymim łbie niedźwiedzia jaskiniowego.

Oczy Ember powędrowały natychmiast do trzeciego ogniska, gdzie na ziemi siedziała ze skrzyżowanymi nogami młoda kobieta, a starsza stała za nią i zaplatała jej włosy w cienkie warkocze. Młoda kobieta wyglądała jak żywa. Wydawało się, że wystarczy zawołać ją po imieniu, aby się poruszyła.

- U-Ma - szepnęła Ember zduszonym głosem. - Moja mama.

- Do odtworzenia postaci wynająłem bardzo doświadczonego holenderskiego rzeźbiarza z wydziału kryminalistyki. Na podstawie fotografii zbudował ją z wosku, warstwa po warstwie, na szkielecie odlanym z...

Ember przerwała mu krótkim spojrzeniem.

- Chcę zobaczyć szczątki mojej matki.

- Te włosy są prawdziwe.

- Proszę mi pokazać jej kości.

- Szkielet znajdzie się w osobnej, klimatyzowanej części wystawy. Obawiam się, że nie jest jeszcze gotowy.

Złapała go za rękaw.

- Pokaż mi jej kości, proszę. Nieważne, gdzie są. Nie obchodzi mnie twoja wystawa, chcę zobaczyć matkę.

- Dobrze. Chodźmy do laboratorium.

Ember odwróciła się i ruszyła szybkim krokiem. Yute dogonił ją po chwili.

- Słuchaj, chyba mnie trochę poniosło... Wiem, że to wszystko jest dla ciebie bardzo trudne. Przykro mi. Może nie powinniśmy się tak śpieszyć.

- Osiemnaście lat czekałam, żeby poznać prawdę - powiedziała Ember wycierając oczy. - To wystarczająco długo.

W laboratorium włożyli sterylne fartuchy chirurgiczne, kaptury, maski i rękawiczki.

- Przygotuj się - ostrzegł Yute otwierając ciężki zamek drzwi do chłodni. - Tam panuje temperatura poniżej zera.

Wszedł pierwszy. Ember ruszyła za nim po chwili wahania. Zamrugła powiekami, gdy uderzył ją podmuch chłodu. W worku z przezroczystej folii wisiał na stalowej ramie połączony drutem szkielet matki.

Ember zagryzła wargę. Zrobiła krok do przodu i odsunęła ekspresowy zamek.

- Powoli, powoli - uspokajał Yute.

Przesunęła palcami po zimnej, suchej czaszce, mocnej szczęce, dużych białych zębach, kościach policzkowych. Jakby widziała samą siebie: szerokie nozdrza, przez które kiedyś matka wciągała zapach brata Ember, kiedy karmiła go piersią.

Ostra woń środków chemicznych podrażniła powonienie Ember i zmusiła ją do zamknięcia plastikowego worka.

Co powiedziała matka ludziom zebranych w jaskini? Zapamiętajcie zapach naszego świata...

Ember zamknęła oczy i pozwoliła, aby oddech dotarł do serca, do głębokiej studni pamięci. Czowała woń skóry, dymu, zwierzęcych futer, a jeszcze głębiej zapach mieszkańców lodowej jaskini. W tym labiryncie odszukała zapach matki. Zatopiona w pamięci, Ember oddychała głęboko w jaskini swojego serca. Mamo, pamiętam cię. Pachniesz miłością.

Przypomniała sobie ostatnie słowa U-My. Lodowe łono Wielkiej Matki przechowa swe dzieci aż do dnia, kiedy się odrodzą.

Przykro mi, mamo. To tylko sen, blade wspomnienie świata, z którego pochodzę. Dzieci Wielkiej Matki od dawna nie żyją.

- Nie żyją - wyszeptała odwracając się od szkieletu.

- Słucham?

- I ja też nie powinnam żyć - powiedziała do siebie. Podniosła dłoń i zgięła palec. - Jestem duchem uwięzionym w ciele. To nie jest mój świat. Wolałabym wisieć jako szkielet obok mojej matki.

*

- Nie ma mowy! - Ucięła Ember zbiegając po schodach. - Zapomnij o tym.

- Tylko jeden rok - prosił Yute starając się dotrzymać jej kroku. - Jesteś mi to winna.

- Nic nie jestem ci winna.

- Wręcz przeciwnie. - Złapał ją za ramię i odwrócił. - Zawdzięczasz mi życie.

Odepchnęła jego rękę.

- Wyjaśnijmy to sobie. - Patrzyła mu prosto w oczy. - To ty zabawieś się w Pana Boga. Ja nie prosiłam się o to, żeby zostać ostatnim żywym Flinstonem, i nie mam ci za co dziękować.

- Widziałeś muzeum. Ekspozycja z Kobieta Tundry jest prawie gotowa. Potrzebuję tylko więcej informacji.

- Ona ma na imię U-Ma i tak się składa, że jest moją matką.

- U-Ma?

- Mniejsza z tym. Odwróciła się.

- Zaczekaj. Trzeba to zrobić dla dobra nauki. Chcę poznać, zrozumieć. Zrobiłem wszelkie możliwe badania... U-My, biopsję, prześwietlenia... Ale nie dowiedziałem się niczego o jej sposobie myślenia.

- Jej sposób myślenia zginął razem z całą rasą. Nic więcej nie musisz wiedzieć.

- Chcę przeprowadzić z tobą testy psychologiczne na iloraz inteligencji, cechy osobowości...

- A potrafisz przeprowadzić test na samotność? Smutek? Bo nic innego ze mnie nie zostało.

- No dobrze, niech będzie osiem miesięcy. Spróbuję zdążyć. Ember przyspieszyła kroku.

- Pół roku. To tylko sześć miesięcy, Ember. Zapłacę dwa razy tyle. Nawet się nie obejrzała.

- Nie dbasz o pieniądze. W porządku. A na czym ci zależy? Na wiedzy? Na zrozumieniu samej siebie? Swojej rasy?

Odwróciła się gwałtownie.

- Dowiedziałam się dzisiaj, że jestem prehistoryczną kobietą jaskiniową, że ludzie, których miałam nadzieję odszukać, nie żyją od tysięcy lat, a z rodziny został mi tylko szkielet matki. Nic na tym świecie nie może mi tego wynagrodzić. Masz jeszcze jakieś dobre wiadomości?

Yute patrzył na nią bezradnie, bliski płaczu.

- Jak mam cię przekonać, że jesteś największym skarbem nauki?

- Nauka może mnie pocałować w mój kosmaty neandertalski tyłek. Wy, uczeni, jesteście jak... Jak mózgi wyprane z uczuć. Nie zdajecie sobie sprawy z konsekwencji tego, co robicie. Jak myślisz, co się stanie z moim życiem, jeśli świat dowie się o moim istnieniu?

- Ja...

- Wszyscy będą mieli zabawę po pachy: dowcipy o neandertalczykach, hamburgery a la neandertalczyk, fryzury. Będą chcieli pokazywać mnie w *talk show* obok największych wariatów.

Yute potrząsnął zdecydowanie głową.

- To, czego się dowiemy o tobie i twojej rasie, zostanie opublikowane w najlepszych czasopismach naukowych.

- Takich jak „National Enquirer”⁵. Westchnął i uniósł ręce w geście kapitulacji.

- No dobrze. Nie będę cię dłużej przekonywał.

- *Auf Wiedersehen*, doktorze Frankenstein.

- Chcę ci dać coś, co należało do twojej matki.

Ember zwolniła.

- Maleńki flet z kości ptaka. Powinnaś go wziąć.

Odwróciła się.

- Flet mojej matki?

- Tak. Znalazłem go w jej ubraniu. Jest śliczny, można na nim grać wysokie dźwięki, jak na piccolo. Chodźmy do laboratorium.

Ember wzięła głęboki oddech. Miała ochotę ukryć się gdzieś i krzyknąć na całe gardło, zapomnieć o wszystkim, rozpaść się, a potem pomyśleć, co robić dalej. Wyobraziła sobie jednak matkę grającą bratu na flecie.

- No dobrze. Wezmę flet. Ale mam dość prania mózgu.

Weszli po schodach do laboratorium. Yute zbliżył się do szafki z eksponatami.

- Flet jest zrobiony z kości udowej łabędzia.

Ember wyczuła zapach silnego środka chemicznego. Czyżby konserwant?

Yute odwrócił się z niewielkim białym fletem w ręku, długości około dwudziestu centymetrów, z czterema otworami o gładkich brzegach, co świadczyło o częstym używaniu instrumentu. Ona umiała grać, pomyślała Ember, i jej gniew znów zamienił się w żal. Podniosła instrument do nosa, choć wiedziała, że po upływie tylu tysięcy lat nie zdoła odnaleźć zapachu skóry matki.

Wzmógł się odór chemikaliów. Nagle Yute zakrył usta i nos Ember rękawiczką nasączoną eterem. Gorzkie opary środka znieczulającego dostały się do płuc. Ember szarpnęła głową i próbowała się wyrwać, lecz ogromna ręka Yute zacisnęła się jak macka ośmiornicy. Chciała rzucić go przez biodro, ale zachwiała się na słabnących nogach. Zrobiło jej się ciemno przed oczami i poczuła, że się gdzieś zapada.

⁵ „National Enquirer” - znany amerykański brukowiec

Rozdział 32

Ember rozejrzała się po wnętrzu chaty. Ściany zbudowane były z pni brzoźowych, a szpary uszczelnione szarą zaprawą. W kamiennym palenisku płonęły jodłowe szczapy pachnące świeżą żywicą. Przez okno Ember widziała ośnieżony wierzchołek góry wznoszący się nad stromym, porośniętym drzewami stokiem. Wyglądało na to, że chata stoi nad szerokim wąwozem.

Ember próbowała rozpoznać zarysy odległej góry. Czyżby Mount Rainier? Jeśli tak, to obóz dla dzieci niesłyszących był niedaleko.

W drodze do chaty, skrępowana, z zawiązanymi oczami, obijała się na jakimś składanym wózku. Próbowała orientować się po zapachach, szukając jakiejś specyficznej woni, która pozwoliłaby odgadnąć, gdzie się znajduje. Nie wyczuła jednak nic szczególnego; tylko ślad mdłego zapachu środka odurzającego, rdzy i płótna wózka, a także potu Yute. Wszystko to na tle świeżej woni lasu.

W pobliżu chaty Ember wywęszyła słodkawy zapach tysięcy ściętych pni obrośniętych grzybami. Jakieś pięć, sześć lat temu drwale wyrabali drzewa na pobliskich wzgórzach. Odgadła, że Yute przywiózł ją samochodem, a potem wkroczył na stary szlak transportu drewna. Chata, choć prostej konstrukcji, wydawała się jednak zbyt ładna jak na siedzibę drwali, a żywica z płonących szczap pachniała świeżo. Ember oceniła, że dom zbudowano kilka lat temu.

Kto jeszcze wie o tej chacie? - Zastanawiała się.

Yute przygotował dla Ember kolejny posiłek: kanapki z razowego chleba z masłem orzechowym, jabłko i kilka czerwonych garpefruitów. Nie zjadła nic i nie odezwała się do niego od momentu wprowadzenia, to znaczy od dwóch dni.

Leżała na grubym materacu z pianki. Nadgarstki miała skrępowane nylonową linką alpinistyczną, lecz mogła poruszać rękami. Tą samą linką miała związane nogi. W dzień Yute nigdzie się nie oddalał. Nocą, przed położeniem się spać, przywiązywał koniec liny do bolca w kominku i zakładał na ręce Ember płócienny worek, który uniemożliwiał wykorzystanie dłoni.

Nie wiadomo który raz zerknęła na węzły. Fachowa robota.

Yute otworzył drzwi nogą i wszedł do środka z naręczem drewna. Ułożył polana koło kominka i dołożył jedno do ogniska. Miał na sobie gruby wełniany sweter; w rozgrzanym powietrzu Ember wyczuwała zapach lanoliny.

Popatrzył w ogień.

- Kiedy byłem mały, mieszkaliśmy w Swift Fork. Pomagałem ojcu łupać drewno. Wbijał klin, unieruchamiał kłodę, a ja stukałem w klin młotkiem. Po kilku uderzeniach kazał mi odejść, brał w rękę topór i po chwili drewno pękało na połowy. Byłem bardzo dumny, bo zdawało mi się, że to ja wykonałem najważniejszą część roboty.

Spojrzał na Ember.

- Łupałaś kiedyś drewno?

Odwróciła głowę. Westchnął głęboko i zapatrzył się znów w ogień. Wilgotne szczapy syczały i trzaskały.

- Systemy złożone są z zasady nieprzewidywalne. Teoria chaosu. Czytałem o tym kiedyś i wszystko wydawało mi się takie proste. Przeoczyłem jednak najważniejszy element: najbardziej złożonymi systemami, a więc i najmniej przewidywalnymi, są ludzie. Któż zdoła powiedzieć, co uczynimy i dlaczego?

Przesunął drewno po grzebaczem; snop iskier wzbił się do komina.

- Od dziecka odczuwałem niezwykły głód nauki. Nigdy nie miałem jej dość. Najbardziej pociągał mnie ten rodzaj wiedzy, którą ojciec uważał za bezużyteczną. Co dwa miesiące z bijącym sercem wypatrywałem samochodu z dostawą książek, kiedy inni chłopcy uganiali się za zajęciami. Potem na jakiś czas się nasyciłem.

Zamilkł na chwilę. Ember zastanawiała się, do czego Yute zmierza. Obserwowała go kątem oka.

- Wolontariusze z VISTY przekonywali ojca, że mój talent zmarnuje się w tundrze. Wyobraź sobie czternastoletniego Indianina w maleńkiej wiosce za kołem podbiegunowym błagającego ojca, żeby pozwolił mu wyjechać na studia do Fairbanks. Ojciec powiedział: „Talent, który odciąga cię od domu, to żaden talent”. Matka przekonała go w końcu, żeby mnie puścił, bo wiedziała, że życie w Swift Fork to dla mnie męczarnia. Wyjechałem więc do college’u. Mogłem nasycić swój apetyt książkami i myślami innych ludzi. Ale tęskniłem do domu tak bardzo, że aż wymiotowałem. Kiedy byłem na pierwszym roku, matka umarła wydając na świat moją siostrę.

Ember zwróciła głowę w jego stronę. Yute patrzył na nią smutnymi oczami, w których odbijał się ogień.

- Ja wiem, co to znaczy czuć się innym, samotnym. Gdyby ktoś przyszedł wtedy do mnie i powiedział: „Yute, jesteś inny niż wszyscy. Chcę przy twojej pomocy dowiedzieć się, dlaczego jesteś taki, jaki jesteś”, to z radością chwyciłbym tę szansę jak ostatnią deskę ratunku. Popełniłem błąd, bo wydawało mi się, że ty zapragniesz tego samego.

Wstał i przesunął dłonią po włosach.

- Systemy złożone... Nie przewidziałem, że Chena zechce zatrzymać cię przy sobie.

Odwrócił się i zaczął chodzić po pokoju.

- Zwalilo mnie to z nóg, ale uznałem, że mogę jedynie czekać, aż przyjdiesz do mnie sama dowiedzieć się, kim jesteś. Czekałem. Czekałem wiele lat. I wreszcie przyszedłaś. Ale zaraz postanowiłaś odejść. Nie mogłem być przy tobie, kiedy dorastałaś, a teraz znikasz z mojego życia, być może na zawsze. Musiałem cię zatrzymać. Ember, przykro mi. Nie mogłem na to pozwolić.

Patrzyła na niego zmrużonymi oczami.

- Nie spodziewam się, że przyjmiesz moje przeprosiny. Myślałem głośno, sam przed sobą próbowałem wytłumaczyć motywy swojego postępowania. Nigdy bym nie przypuszczał, że zrobię coś takiego.

Wciąż chodził powoli od ściany do ściany.

- Chciałbym tylko, żebyś mnie zrozumiała. Zawsze pociągała mnie nauka, a w niej wszystko to, co wiąże się z ewolucją człowieka, zwłaszcza z neandertalczykami. To tak jakby mój umysł miał wbudowaną antenę wykrywającą każdy sygnał prowadzący do odkrycia prawdy o nich. Przez wiele lat wmawiałem sobie, że moją ambicją jest zostać największym na świecie autorytetem w tej dziedzinie. Ale w ciągu ostatnich dwóch dni zrozumiałem, że to moja prywatna obsesja, która nie ma nic wspólnego z karierą i rozwojem nauki.

Jego głos był cichy, lecz przepełniony emocjami.

- Ember, muszę dowiedzieć się jak najwięcej o neandertalczykach, o tobie. To moje przeznaczenie. Nie wiem dlaczego, ale tak właśnie jest. Zerknął na nie ruszony posiłek.

- Więc jeśli nadal nic nie zjesz, będę musiał założyć ci rurkę przez nos i gardło do żołądka, żeby karmić cię płynami. Nie zmuszaj mnie do tego.

Ember popatrzyła mu w oczy. Perspektywa wpompowywania rosołu do nosa nie wyglądała zachęcająco. Poza tym czuła straszny głód. Sięgnęła chciwie po jabłko.

- Jestem bardzo silnie uczulona na różne rodzaje żywności - powiedziała z pełnymi ustami. Kłamała z rozmysłem. To była jej nowa strategia.

- A więc umiesz mówić.

- W łagodniejszych przypadkach dostaję drgawek, ale czasami zdarza mi się zaciśnięcie tchawicy. Wiele razy trafiałam na pogotowie z powodu jakiegoś składnika w ciastku albo kanapce.

- Coś podobnego!

- Raz nawet przestałam całkiem oddychać i musieli mnie reanimować.

- Co ty powiesz.

- Naprawdę. Nie widzę tutaj odpowiedniej dla mnie żywności.

- Powiedz dokładnie, co jesz w domu, a wszystko ci przywiozę z miasta.

- Musiałbyś być dietetykiem. - Ember próbowała sobie przypomnieć wszystkie alergię dietetyczne, o jakich słyszała. - Chleb razowy, bezglutenowy. Nie toleruję żadnych sztucznych konserwantów i barwników, zwłaszcza glutaminianów, bo kiedyś o mało nie doprowadziły mnie do śmierci. Potrzebuję czystej wody, bez fluoru. O paście do zębów nie muszę chyba wspominać. I jeszcze...

- Napisz listę. Kupię wszystko w sklepie ze zdrową żywnością, w którym się zaopatruję.

- A ubrania? Nie mogę nosić przez cały czas tej samej bielizny. Nie wiem, jak długo masz zamiar mnie tu trzymać.

- Przywiozłem trochę odzieży dla ciebie. Zaraz przyniosę.

Ember miała gotowy plan.

- Powiedziałeś, że jeśli zgodzę się współpracować, uczynisz wszystko, żebym czuła się tu dobrze.

- Tak powiedziałem i dotrzymam słowa.

- Mam bardzo silną fizyczną i psychiczną potrzebę ruchu. Codziennie. Już dostaję kręćka, bo nie mogę się swobodnie poruszać.

- Nie mogę cię wypuścić na zewnątrz.

- Chcę pojeździć na rowerze. Nie będę próbować ucieczki, obiecuję. - Położyła ręce na ustach, a potem na sercu. - Przysięgam na oddech Matki Ziemi, że nie ucieknę. Jeśli słyszałeś o Quanoot-cha, wiesz, że dla Quanootów to przysięga, której nie wolno złamać.

- Ale ty nie pochodzisz z plemienia Quanoot. Co to za sztuczka?

- Wychowałam się wśród Quanootów. Rozumiem ich tradycję, bo wśród nich wzrastałam.

- Ale nie należysz do ich plemienia.

- W takim razie przysięgam na kości mojej matki, na krew rodziców w moich żyłach - nie ucieknę.

- Ktoś może cię zauważyć. Przykro mi, ale musisz się zadowolić gimnastyką izometryczną albo innymi ćwiczeniami w tych czterech ścianach.

Odwrócił się.

- Zgoda. Kup mi tor do pedałowania w miejscu.

- Rower stacjonarny?

- Nie znoszę tych zabawek, źle się na nich czuję. Przywieź mi mój rower. Będę jeździć na rolkach. W ten sposób nie stracę kondycji.

Yute przesunął ręką po twarzy.

- A jeśli kupię ci tor... Zgodzisz się na przeprowadzenie serii testów psychologicznych?

- Dowiesz się wszystkiego o moim sposobie myślenia.

- Badania krwi, biopsje... To potrwa kilka miesięcy, ale jeśli zgodzisz się na pełną współpracę...

- Przywieź mi mój rower i rolki firmy Shimano, to może będę ci nawet robić śniadanie. Ember widziała, jak rozluźniają się mięśnie jego twarzy i ramion.

- Umowa stoi.

Rozdział 33

Ember leżała na materacu z otwartymi oczami i obmyślała szczegóły ucieczki. Pomarańczowe macki odblasków ognia skakały po drewnianych ścianach. Była sama w chacie; Yute wyjechał na noc do miasta.

Część jej istoty przyjmowała uwięzienie z radością: to było coś, na czym mogła się skoncentrować, co pozwalało odsunąć na bok pytanie, co robić dalej ze swoim życiem, jak poradzić sobie z faktem, że jest neandertalką. Jak zareagują mama, tata i Kaigani? A Mike? A najważniejsze, czy sama potrafi się z tym pogodzić.

Potrząsnęła głową.

To nie jest właściwy moment na kryzys tożsamości.

Co on zrobi, jeśli mi się nie uda? - Rozmyślała. Jestem zbyt cennym okazem, żeby mnie zniszczyć. Chociaż ja wolałabym raczej umrzeć, niż zostać wystawiona na pokaz światu.

W myślach ćwiczyła różne warianty planu. Przed świtem, długo po wygaśnięciu ogniska, nabrała pewności, że ucieczka się powiedzie, i wreszcie pozwoliła sobie usnąć.

Kroki na ścieżce. Podniosła się raptownie. Serce zabiło szybciej.

- Muszę to zrobić, bez względu na wszystko - szepnęła.

Yute otworzył drzwi. W bladym świetle pochmurnego ranka Ember zobaczyła wózek wyładowany po brzegi torbami, słoikami, puszkami i jabłkami. Był tam też okazały słoje masła orzechowego.

Obrzydlistwo. Ember wyczuwała na kilometr zapach masła orzechowego z ust ludzi. Jeszcze jeden powód do ucieczki.

Chata nie miała kuchenki, lecz była tam mała gazowa lodówka; Yute umieścił w niej warzywa, świeże i suszone owoce, sery i słoiki z sokami owocowymi.

- Żaden wścibski typ nie wyszedł, że ktoś tu jest?

- Chata znajduje się na prywatnym terenie. Prawie ze wszystkich stron rośnie las. Raczej nie ma obawy, żeby ktoś nas tu zobaczył.

- Już mi lepiej. Przyprowadziłeś rower?

Yute skończył wkładać żywność do lodówki. Uklęknął przed paleniskiem, zebrał kawałki drewna w stos i nacisnął skórzany miech. Płomienie skoczyły do góry z głośnym sykiem.

Strach ścisnął Ember za gardło. Rower był jej niezbędny.

- No więc? - Spytała niecierpliwie.
- Przemyślałem to i doszedłem do wniosku, że to nie jest dobry pomysł.
- Przecież ci obiecałam, że nie będę uciekać.

Rozejrzała się po maleńkiej izbie. Stos polan był coraz mniejszy. W gardle jej zaschło, dłonie powilgotniały. Cały plan ucieczki wziął w łeb.

- Jak ty to sobie wyobrażasz? Nie możesz przeprowadzić testów, jeśli będę wariować z braku ruchu.

Kopnęła nogami związanymi w kostkach.

- Miałam lepszą gimnastykę w brzuchu matki.

Yute wstał i położył ręce na biodrach.

- Jednak wbrew moim obawom przyprowadziłem ci rower.

Westchnęła z ulgą.

- Ale zanim go wniosę i rozwiążę cię, muszę ostrzec: mam broń i nie zawaham się jej użyć.

- Zastrzełiłyś taki bezcenny skarb naukowy? - Spytała Ember opanowując drzenie głosu.

- Nie strzelałbym w piersi ani w głowę. Jestem dobrym strzelcem i mam przybory lekarskie. Mógłbym opatrzyć niewielki postrzał.

- Och, jestem wzruszona, doktorze. Widzę, że naprawdę ci na mnie zależy.

- Ember, nie mam żalu o to, że mnie nienawidzisz. Ale czasami trzeba brać pod uwagę wyższe dobro, nawet jeśli jest ono sprzeczne z wolą pojedynczej osoby.

- Nie chciałabym, żeby to zabrzmiało jak czarna niewdzięczność, ale w jaki sposób porwanie i skrupowanie może prowadzić do wyższego celu?

Odwrócił głowę.

- Stawką jest coś znacznie ważniejszego niż twoje dobre samopoczucie czy nawet wolność.

- Płonę z ciekawości.

Yute usiadł na podłodze.

- Jesteś żywą przedstawicielką gatunku wymarłego tysiące lat przed wynalezieniem pisma, nie mówiąc o aparacie fotograficznym i innych cudach techniki, którymi posługujemy się dzisiaj na co dzień.

Splótł ręce na piersiach.

- W naturalny sposób dysponujesz większą wiedzą o ewolucji człowieka i antropologii niż wszyscy uczeni na świecie. I to jest ważniejsze niż twoje uczucia.

- Informacje są ważniejsze od ludzi?
- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości...
- Znowu okłamujesz samego siebie. Wczoraj przyznałeś się, że kierujesz się własną obsesją. To nie ma nic wspólnego z nauką czy zrozumieniem, tylko z fiksacją doktora Nahadeha.

Skinął głową.

- Może zdołam jeszcze odkupić swoje czyny, osiągnąć jakiś pozytywny cel. Każdy wielki uczonec, artysta - każdy wielki człowiek musiał się poddać swemu powołaniu, bez względu na to, czy je rozumiał...

- I bez względu na to, ile bólu zadawał innym...?

Yute wstał i położył ręce na gzymsie kominka. Oparł głowę o ścianę.

- Przykro mi, że musisz przeze mnie cierpieć - powiedział z zamkniętymi oczami. - Moje życie też jest przepełnione cierpieniem. Uważam jednak, że ty i ja mamy do odegrania role w większym dramacie - dramacie przeznaczenia - który trzeba stawiać wyżej niż nasze indywidualne potrzeby. Ty i ja nie liczymy się aż tak bardzo. Każdy nowy krok na drodze rozwoju nauki musiał być okupiony ludzką ofiarą.

Spojrzał na Ember.

- Gdyby nie to, gdzie byłaby ludzkość?

- Może żyłaby bliżej Ziemi?

- Pełzaliśmy w jaskiniach, nieświadomi piękna wszechświata, mikrokosmosu własnych ciał; bezbronni i przerażeni spoglądaliśmy w noc jak dorosłe dzieci niezdolne zerwać pepowiny, wznieść się nad poziom dzikusów.

Jego słowa zalały Ember jak fala brudnej wody. Wstyd palił jej twarz. Zwiesiła głowę, przepełniona odrazą do samej siebie. Nie chciała, żeby zobaczył jej łzy. A więc była córką jaskiniowców, dzikuską w świecie ludzi. Jakżeż siebie nienawidziła!

- Ember, nie chciałem cię dotknąć... Nie mówię, że ty jako osoba jesteś gorsza niż...

Zasłoniła oczy jedną ręką, a drugą machnęła, jakby opędzając się od jego słów. Oddychała krótkimi, urywanymi szlochami.

- Wy, neandertalczyki, byliście rasą zdolną do miłości i współczucia. Są nawet na to dowody. Coś ci opowiem.

Potrząsnęła głową.

Yute odwrócił się.

- Nie, zaczekaj. Mów, proszę.

- W jaskini Shanidar w Iraku znaleziono kości czterdziestopięcioletniego mężczyzny. W czasach prehistorycznych był to bardzo podeszły wiek. Wiele lat przed śmiercią człowiek ten odniósł poważną ranę. Kulał na prawą nogę i stracił część prawej ręki. Prawa strona jego czaszki była zmiażdżona, prawy oczodół spłaszczony, był więc niewidomy na jedno oko. Cierpiał również na ciężkie zapalenie stawów. Kulał, był chory, nie mógł więc polować ani zdobywać dla siebie pożywienia. Mimo to jego towarzysze przez kilkadziesiąt lat przynosili mu jedzenie, a kiedy zmarł, obsypali jego grób kwiatami, których pyłki i nasiona znaleziono na grobie. Niespodziewanie Ember wyobraziła sobie, jak kładzie naręczka jasnoczerwonych maków na ciele kogoś, kto miał złotą skórę. Nie potrafiła rozpoznać twarzy, zmarłego, lecz widziała tę scenę bardzo dokładnie, a słodki zapach kwiatów przyćmił wszystkie inne zmysły. Na moment zapomniała o Yute i porwaniu. Yute milczał.

- Nie jest ci zimno?

Potrząsnęła głową.

- Odpocznij sobie. Jutro będziesz mogła poćwiczyć na rowerze. - Odwrócił się w drzwiach. - Ember, wszystko będzie dobrze. Ty i ja jesteśmy ze sobą jakoś związani... Porozmawiamy rano.

Ember rzuciła się na matę. Ukryła twarz w załamaniu łokcia i zacisnęła powieki. Pragnęła wrócić do cieplej, ciemnej jaskini łona matki i rozpląnąć się we śnie.

*

U-Ma siedzi ze skrzyżowanymi nogami na omszałym pniu przy wejściu do jaskini. Gra na flecie z kości ptaka, a małe jasnowłose dziecko śpi spokojnie na jej kolanach. Nad tundrą zapada letni zmierzch, bezchmurne niebo płonie czerwienią, złotem i purpurą nad ośnieżonymi górami. W czerwonym świetle jasny puszek na jej nagim torsie lśni jak złoty aksamit.

Młody mężczyzna układa stos z patyków nad kupką suchej trawy. Krzesze iskry, które spadają na trawę. Pochyliła się i dmucha. Trawa zapala się jasnym płomieniem. Mężczyzna dokłada do ognia kilka połamanych gałązek. Potem siada z uśmiechem i kiwa się w takt muzyki, podśpiewując bez słów wysokim tonem. Jego szyja i ramiona są silne jak kark bizona, okryte włosami.

U-Ma odkłada flet i unosi dłoń, aby zerwać gwiazdę z nieba nad szczytami gór. Mężczyzna uśmiecha się i udaje, że ściąga na ziemię księżyc. Wymieniają się podarkami. Ona wręcza mu błyszczący diament, a on lśniący sierp księżyca. Patrzą sobie w oczy. Mężczyzna opada na ręce i zbliża się do U-My na kolanach jak lew, pomrukując basem. U-Ma śmieje się i potrząsa rudymi warkoczami. Ma rozgrzane policzki i piersi. Delikatnie

kładzie dziecko na grubym baranim kozuchu. U-Ma i jej partner grają inną muzykę, muzykę ciał.

Ember przebudziła się. Jej myśli unosiły się jeszcze nad niezmiernym obszarem tundry. Kiedy otworzyła oczy, sen przysł natychmiast pod naporem ciężkich drewnianych ścian chaty.

Wiedziała już, że zobaczyła swojego ojca w królestwie uczuć, które jest wieczne.

Rozdział 34

Yute wyszedł z sypialni po południu. Bez słowa wprowadził do izby rower Ember pomalowany metalizowaną farbą w trójkąty, które lśniły w słońcu jak rybie łuski. Potem wniósł tekturowe pudło ze znakiem firmowym Shimano.

Ember podniosła ręce. Yute rozwiązał jej nadgarstki i kostki. Podbiegła, obejrzała rower, wyjęła z pudła metalową podstawę z dwiema parami grubych gumowych rolek. Ustawiła na nich rower, dopasowała i przykręciła śrubami metalowe klamry mocujące. Nie zakręciła jednak śrub do końca, tak aby w każdej chwili można było zdjąć rower i pojechać.

Yute wręczył Ember torbę z szortami kolarskimi i szmaragdowym swetrem w czerwone pasy.

- A rękawiczki? - Spytała. Podał drugą, mniejszą torbę.

- Wszystko co napisałaś.

Wyjęła parę rękawic z poduszczkami i nylonową siatką z wierzchu. Męski rozmiar. W drugim pudełku znajdowały się buty kolarskie, kształtem podobne do kolców lekkoatletycznych, ale z twardą podeszwą.

- Święta Bożego Narodzenia coraz bardziej zbliżają się do Dnia Dziękczynienia. Dziękuję.

Przymierzyła sweter.

- Muszę się przebrać.

- Oczywiście - zgodził się Yute i zniknął w swojej sypialni.

Ember pośpiesznie włożyła obcisły kostium, wyjęła z kieszeni starych szortów cztery banknoty dwudziestodolarowe, złożyła równo i wcisnęła do kieszonki spodenek kolarskich. Założyła rękawiczki, po cichu zdjęła rower ze statywu, odkręciła zaciski koła i podeszła do drzwi. Otworzyła je bardzo ostrożnie, modląc się, żeby zawiasy nie skrzypnęły.

Drzwi uchyliły się bezszelestnie, ale mimo to serce Ember ścisnęło się z przerażenia.

Przez okno widziała zielen na stoku i wywnioskowała, że chata znajduje się na polanie na dnie wąwozu. Zakładała, że po przejechaniu polany będzie bezpieczna. Wśród drzew stanowiłaby trudny cel. Ale przed nią rozciągało się pole wyciętych pni. Wzgórza i grzbiec góry również były nagie.

Wyrabali las.

Trudno, przecież powzięła decyzję. Wyszła z rowerem na zewnątrz.

- Ember - odezwał się Yute z sypialni - przypomniałem sobie, że kupiłem ci sportowy stanik. Podać ci?

Znieruchomiała. Cholera. Wsunęła głowę przez drzwi i odpowiedziała głośno:

- Nie, dzięki.

- Ember?

Yute zajrzał do izby. Popchnęła rower, wskoczyła na siodełko przy trzecim kroku. Wsunęła buty w noski i stanęła na pedałach.

- Obiecałaś!

Odwróciła głowę.

- Ja nie uciekam! Ja odjeżdżam!

Naprzód! Naprzód! Naciskała pedały z całych sił. Musiała podjechać pod niewielkie wzniesienie. Rower zdawał się czołgać na miękkim, porośniętym mchem gruncie.

- Stój! - Krzyknął Yute.

Ember usłyszała wystrzał i kątem oka spostrzegła, jak pień pół metra od jej nogi rozleciał się w drzazgi.

- Ostrzegam cię!

- Strzel do mnie, draniu, a mój ojciec cię zabije! - Zawołała przez ramię.

Yute rzucił się w pogoń. Odległość zaczęła się zmniejszać.

Drugi strzał. Z kępy mchu przed kołem prysnęła ziemia. Ember skrzyła odruchowo i omal nie wpadła na pień. Nie obejrzała się, pochyliła nad kierownicą. Jej nogi pracowały jak tłoki. Wspinała się pod górę.

Kula świsnęła tuż przy jej uchu.

Dobry strzelec, akurat! - Pomyślała. Chyba że chce mnie zabić.

Nacisnęła pedały jeszcze mocniej. Rower stanął na grzbiecie niewielkiego wzgórza. Zobaczyła przed sobą stromy stok. Teraz sztuka polegała na tym, żeby pędzić na złamanie karku, omijając rozsiane wszędzie pnie i kamienie. Przesunęła środek ciężkości ciała do tyłu, aby uniknąć przekoziołkowania przez kierownicę. Podrzuciła obydwie koła naraz i przeskoczyła rowerem gałąź.

Nagle zobaczyła przed sobą głęboką dziurę po pniu. Nacisnęła oba hamulce, oparła stopę o ziemię i szarpnęła rower w bok. W tej samej chwili jej ramieniem wstrząsnęło uderzenie ognistego młota. Krzyknęła. Rower pośliznął się zygzakiem i dopiero po chwili udało jej się odzyskać nad nim panowanie. Ember nie odważyła się spojrzeć za siebie.

- Zabij mnie! Inaczej mnie nie dostaniesz!

- Ember! - Krzyczał Yute. - Ember!

Ramię paliło jak pod dotknięciem rozgrzanego żelaza, ale Ember nie oderwała oczu od stoku. Zjazd stawał się coraz węższy i bardziej stromy. Biegł po grzbiecie długiego wzniesienia, po obu stronach którego otwierały się głębokie wąwozy. Na wąskiej ścieżce będzie łatwym celem dla Yute. Pół kilometra dalej zaczynał się gęsty las pokrywający stoki kolejnych wzgórz. Ember pędziła do niego jak do raję.

Ile pocisków wystrzelił? Co za różnica, nie wiem, jaką ma broń. Pewnie zabrał dodatkowy magazynek.

Pędziła przed siebie, ale miała wrażenie, że jej plecy zamieniły się w wielką świecą tarczę.

Kilkanaście metrów dalej złamana sosna wisiała nad stokięm w kształcie litery A. Było to pierwsze drzewo, jakie Ember spotkała na drodze. W ostatniej chwili przygięła tułów do kierownicy tak nisko, że uderzyła w nią piersią. Szyszki z gałęzi posypały się po obu stronach.

- Prześliznęłam się przez ucho igielne! - Krzyknęła.

- Ember! - Zawołał Yute ze szczytu wzgórza.

Stok spadał teraz raptownie w dół. Na samym dnie głębokiego wąwozu Ember ujrzęła starą rynnę do spławiania drewna. Nacisnęła hamulce i zatrzymała się bokiem.

Teraz już wiedziała, gdzie się znajduje.

Podczas rodzinnej wycieczki w dzieciństwie widziała, jak ścięte pnie drzew spływają kanałem długości tysiąca stu kilometrów i szerokości dwunastu kilometrów do rzeki Skookumchuck, a stamtąd do wielkiego tartaku. Był to najdłuższy kanał na północ od Oregonu, ale zrezygnowano z używania go, gdy pojawiły się olbrzymie helikoptery do transportu drewna.

Zerknęła na ramię. Kula przeszła na wylot przez mięsień, lecz rana paliła.

- Poczekaj! - Zawołał Yute. - Zaraz cię opatrzę. Ember, to był wypadek. Strzelałem na postrach!

Yute schodził ze stoku. Ember spojrzęła na odległe drzewa Lasu Narodowego Snoqualmie.

Nie dam rady. Złapie mnie.

Zerknęła znów na starą drewnianą rynnę znikającą za zakrętem wąwozu. To była niewielka rynna, jedna z wielu, które doprowadzały wodę do głównego kanału. Zbudowano ją na naturalnym strumieniu, jego źródło tryskało z granitowej skały, gdzie stała teraz. Na końcu rynny widać było szczątki drewnianej tamy, która miała piętrzyć wodę przed kanałem. Ściany tamy wyschły już jak stara skóra węża. Ta rynna doprowadzi mnie do głównego kanału, a ten

z kolei do rzeki - rozważała Ember. Jeśli nie skrećę sobie karku, będę mogła wyjść na szosę i zatrzymać samochód. Miejscami ta rynnna musi być stroma jak zjeżdżalnia na placu zabaw; poza tym nie była od dawna używana i drewno na pewno spróchniało. Jazda z górki na pazurki do wolności. Albo w ramiona śmierci. Purpurowa plama na bluzie jąła się rozszerzać. Ból w ramieniu wibrował przy każdym uderzeniu serca. Ember wyciągnęła igłę sosny z przedramienia. Yute zbliżał się biegiem do złamanego drzewa,

- Ember, to był wypadek! - Wołał. Słysząc już było jego ciężki oddech. - Musisz mi uwierzyć!

Złamana sosna zasłaniała mu widok.

Ember zeszła z roweru i zrzuciła go do strumienia, a potem sama zeskoczyła. Yute widział ją, ale i tak miała nad nim kilka sekund przewagi. Wdrapała się na brzeg rynnny, wciągnęła rower i wskoczyła na siodełko. Oceniała spojrzeniem strome kręte koryto.

Serce waliło jej jak młotem, a ból w ramieniu odpowiadał na każde uderzenie niczym echo.

Nie, nie mogę tego zrobić.

Yute był coraz bliżej. Zagryzła wargi.

Nie mogę.

Spojrzała w górę, gdzie spokojnym blaskiem świecił srebrny rogalik, podarunek jej ojca dla matki. Wstrzymała oddech.

Muszę.

Yute zeskoczył w koryto strumienia. Ember odepchnęła się nogami i wjechała w rynnę. Rower omal nie wymknął się spod niej. Poczła skurcz w żołądku.

Nie było żadnej szansy odwrotu.

Rozdział 35

Pędziła w dół rynny jak wiatr. Kątem oka widziała migające stoki wąwozu.

Ściany rynny miały półtora metra wysokości. Koryto tworzyło kształt litery V, dzięki czemu Ember mogła wjeżdżać nieco na boki na wirażach jak rowerzysta na welodromie. Naciskała równo oba hamulce, a środek ciężkości utrzymywała nad tylnym kołem, żeby nie polecieć głową przez kierownicę. Pierwszy zakręt był podwójny, w kształcie litery S. Przecięła środek rynny i wjechała lekko na przeciwległą ścianę.

Spadek koryta wyrównał się trochę; potem niespodziewanie się zwiększył, a potem jeszcze bardziej. Strumień pod rynną płynął teraz po kaskadzie szerokich kamieni.

Ember zobaczyła, że wąwóz rozszerza się i spienione wody potoku wpadają do głównego kanału wypływającego spomiędzy wzgórz. Boczna rynna biegła przez chwilę prawie równoległe do głównego koryta, potem łączyła się z nią w drodze do rzeki.

Zielone zarośla migające po bokach pachniały wolnością. Mimo bólu Ember czuła się wspaniale.

Nagle góra jakby pękła na dwie połowy i zniknęła.

Strumień spadał z rozpędem ze skały. Ember poczuła na twarzy kropelki wody z wodospadu. Wciągnęła głęboko powietrze. Rynna biegła nad sześćdziesięciometrowym kanionem wsparta na wysokich przesłach. Piękno tego miejsca zapierało dech w piersiach. Ember pomyślała, że być może, wynalazła nowy sport.

Raptem zobaczyła wyrwę w korycie. Nacisnęła hamulce i przysunęła stopę do ściany. Rower ślizgał się w stronę dziury. Ember złapała się ręką brzegu rynny i zatrzymała na krawędzi. Przednie koło zsunęło się w wyrwę. Lewa stopa utkwiała w pedale i Ember poczuła, że rower ciągnie ją do przodu. W dole potok szumiał na ostrych skałach. Oparła się rękami na krawędzi koryta i podciągnęła do tyłu razem z rowerem, nie zważając na ból w ramieniu.

Zeszła z siodełka i położyła rower, a sama usiadła oparta plecami o ścianę rynny. Ramię rwało niemiłosiernie, lecz nie krwawiło zbyt obficie.

Słońce wisiało trzy palce nad horyzontem. Za pół godziny będzie zbyt ciemno, żeby zauważyć kolejne dziury w drewnianym korycie i zatrzymać się w porę. Wyrwa była dłuższa niż dwa rowery. Strumień, który próbowała przeskoczyć z Mike'em, był szerszy i prawie jej się udało. Tylko że wówczas wylądowała w wodzie i stukła sobie policzek. A tutaj czekałaby ją niechybna śmierć na dnie kanionu.

Co robić? - Myślała gorączkowo.

Jeśli Yute wie, dokąd prowadzi spływ - a należy przypuszczać, że wie - spróbuje prześcignąć mnie samochodem i złapać przy ujściu strumienia do rzeki. Ale ja dotrę tam rynną znacznie szybciej niż on krętą górską drogą.

Przeskoczyć wyrwę.

Albo cofnąć się na drugą stronę kanionu i zejść na dno, nie zważając na ranę. Ale co mi to da? Będę się przedzierać po wertepach przez całą noc z Yute na karku. Chyba że on będzie sprytniejszy i poczeka na mnie nad rzeką.

Przeskoczyć wyrwę. Nie ma innego wyjścia.

Wstała. Podeszła do dziury i zerknęła w dół, starannie omijając wzrokiem ostre głązy. Kilka drewnianych żeber trzymających deski odpadło, powodując zawalenie się rynny na długości trzech metrów. Nadgniłe deski na brzegu wyrwy opadały w dół, a te po drugiej stronie wyglądały równie podejrzanie.

Kiepsko.

Będę musiała oderwać się od podłoża pół metra przed krawędzią i wylądować pół metra za nią. To dłuższy skok niż przez tamten strumień. Trzeba przemyśleć tę akrobację.

- Akrobacja - powiedziała głośno Ember, strzelając palcami. Wyobraziła sobie motocyklistę akrobatę odbijającego się rampy.

Z czego zrobić rampę?

Przypomniała sobie chybotliwą deskę przy krawędzi kanionu. Pobiegła po nią. Drewno było miękkie i przegniłe wokół zardzewiałych gwoździ. Ember złapała za luźny koniec i pociągnęła. Deska miała pięć centymetrów grubości, dwadzieścia centymetrów szerokości i około czterech metrów długości.

Trochę wąska jak na rampę, ale musi wystarczyć, pomyślała. Teraz muszę znaleźć podpórkę.

Położyła się na brzuchu i chwyciła kwadratową zworę szerokości dziesięciu centymetrów trzymającą się na jednym gwoździu. Oderwała ją, ale ciężar był zbyt wielki i belka spadła w przepaść.

- Cholera! - Zakląła Ember.

Lecąc w dół, drewno obracało się powoli w powietrzu. Spadło na ostrą krawędź wielkiego głązu i pękło z głośnym trzaskiem. Dźwięk odbił się echem od ścian kanionu. Spieniony nurt porwał kawałki drewna.

Ember znalazła drugą luźną belkę. Tym razem nie pozwoliła jej spaść. Wcisnęła drewno między ściany rynny. Oparła koniec deski na belce, a potem przeszła po niej, lekko podskakując.

Dość mocna, ale zbyt sprężysta, oceniła. Odbierze mi siłę wybicia, tak jakbym przycisnęła hamulce odrywając koła od podłoża. Potrzebna mi krótsza rampa, ale sztywniejsza.

Szukała krótkich, słabo przybitych desek. Jednak wszystkie luźne były długie, a krótkie trzymały się mocno. Pobiegła do roweru i wyjęła spod siodełka stalowy, spłaszczony na końcu pręt do podważania opon. Po kilku minutach oderwała półtorametrową deskę.

Ułożyła koniec deski na podpórcie, stanęła na niej. Sztywna. Zmierzyła okiem odległość do pokonania i syknęła przez zęby.

Zrzuciła długą deskę do kanionu i podprowadziła rower kilkadziesiąt metrów w górę rynny. Strzepnęła nogę, potem drugą, aby rozluźnić mięśnie.

Usiadła na rowerze, zamknęła oczy i wyobraziła sobie siebie jako samolot napędzany siłą mięśni. Oceniała wzrokiem długość rozbiegu i wysokość rampy. Widziała już trajektorię swego lotu przez kanał La Manche i tłum ludzi czekających po drugiej stronie z butelkami szampana.

Zacisnęła zęby i ruszyła. Stanęła na pedałach, nacisnęła z całych sił. Szybko nabierała prędkości. Pochyliła się i rozpędzała coraz bardziej. Do linii startu zostało sześć metrów.

Wyrwa rozszerzała się przed Ember jak rana po pocisku.

Przeraziła się.

Nie przeskoczę!

Przycisnęła hamulce. Koła zablokowały się i pośliznęły po drewnie. Rower odbił się od ściany, wpadł na deskę. Ember poderwała kierownicę do góry i rower stanął na tylnym kole. Przewrócił się na krawędzi wyrwy. Ember zaparła nogi o ściany rynny, w ostatniej chwili złapała zsuwający się rower, który jednak przechylił się i wykręcił jej rękę. Krzyknęła z bólu i puściła.

Wstrzymała oddech.

Minęło chyba pół minuty, nim usłyszała huk pękającej opony. Nie miała już roweru.

Rozdział 36

Położyła się na plecach. Dyszała ciężko i cała się trzęsła. Prawe przedramię, którym uderzyła o ścianę rynny, było zdarte i krwawiło; na szortach ukazała się plama krwi z głębszej rany na prawym biodrze. Wyciągnęła zadry ze skóry. Tej, która wbiła się między łopatki, nie mogła dosięgnąć.

Zerwała się na nogi, kopnęła w ścianę rynny i zadała pięścią cios w powietrze.

Syknęła z bólu, złapała się za zranione ramię.

- Cholerny świat!

Tupnęła nogą i wyrzuciła z siebie wszystkie przekleństwa, które знаła - na Yute, na wyrwę w rynnę, na siebie za to, że stchórzyła. Wreszcie podeszła do ściany. Rower złożył się jak scyzoryk, tak że koła znalazły się jedno obok drugiego.

Gdybym się nie cofnęła, pewnie leżałabym teraz na tych kamieniach, pomyślała.

I co dalej?

Zaczęła chodzić w kółko, zawijając na palce kosmyki włosów.

Nie bała się spędzić sama nocy w lesie - od dwunastego roku życia robiła samotne wycieczki do lasu, budowała szałas i polowała, tylko że teraz nie mogłaby cieszyć się urodą kanionu.

Jeśli zejść na dół tu w pobliżu, nie będę mogła liczyć na pomoc medyczną. Poza tym nie pozbędę się Yute - on może iść za mną korytem spustu. I tak będę musiała wydostać się jakoś z lasu, a nie wiem, jak długo wytrzymam w takim stanie.

Rynna doprowadziłaby mnie prosto do rzeki, ale on może się tam na mnie zaczaić.

Cienie w kanionie pogłębiły się i Wenus wypłynęła na niebo nad zarysem wzgórz. Za wodospadem krzyknęła sowa. Z lewej strony odpowiedziała druga, a z przodu jeszcze jedna.

Zostanę w rynnę, zdecydowała Ember. Dojdę do rzeki i przechrzę Yute. Później się zastanowię, jak to zrobić.

Spojrzała na pionową ścianę kanionu po drugiej stronie. Nawet gdyby dotarła na dół i przeszła w bród porohy, i tak nie zdołałaby wspiąć się z powrotem do rynny. Pozostawało tylko pokonać wyrwę.

A gdybym ułożyła pomost z długich desek?

Nie. Choćbym i znalazła dość długie deski, to byłyby zbyt cienkie, żeby utrzymać mój ciężar na takiej długości.

Zerknęła w głąb kanionu.

Będę musiała zsunąć się po zworach, przejść pod wyrwą po przęsłach i wdrapać się z powrotem po drugiej stronie dziury.

Sprawdziła zranione prawe ramię, unosząc je ostrożnie nad głowę. Zabolało. Ukłękła i zawiesiła się rękami na ścianie. Wolno przesunęła ciężar ciała na lewą rękę. Łzy stanęły jej w oczach.

No cóż. To nie będzie przyjemne jak gorąca kąpiel w wannie.

- Dam radę - powiedziała.

Wstała, oparła prawą rękę na ścianie rynny, a potem przerzuciła nogę, jakby wskakiwała na konia. Usiadła okrakiem, położyła się na brzuchu. Przechyliła się na bok i poszukała czubkami palców dziesięciocentymetrowego dźwigaru.

Stała teraz na przęsle, sześćdziesiąt metrów nad wodospadem, dysząc z wysiłku i mrużąc załzawione oczy. Złapawszy oddech, zsunęła się po ukośnej zworze. W ten sposób - wydmuchując powietrze jak kobieta podczas porodu - znalazła się siedem metrów pod rynną.

Opierając się rękami o belki nad głową, zaczęła się przesuwać do przodu. Dwa razy natrafiła na luźną zworę i wtedy musiała schodzić jeszcze niżej, żeby ominąć niebezpieczne miejsce. Dopiero po dwudziestu minutach zobaczyła wyrwę bezpośrednio nad głową. Pot spływał jej po czole i zalewał oczy.

Zatrzymała się i w końcu przyznała sama przed sobą, że musi się wysikać. Ale jak? Nie mogła zdjąć obcisłych spodenek balansując nad przepaścią na wąskiej belce. Rozłożyła więc tylko nogi jak najszerzej i opróżniła pęcherz. Strumień moczu spadł do wodospadu.

Dobrze, że nie zachciało mi się tego drugiego. Roześmiała się konstatuując swoje położenie; ramię natychmiast dało o sobie znać i jej śmiech zamienił się w szloch.

- Czas płynie - powiedziała pociągając nosem. Najpierw uratuj życie, potem będziesz miała czas rozczulać się nad sobą, skarciła się w myślach.

Posuwała się naprzód po kolejnych zworach w kształcie litery X. Spróchniała belka wysunęła się jej spod nóg. Ember zawisła na rękach i przesunęła się szybko do następnej zwory. Kiedy znalazła stopą oparcie, pozwoliła sobie krzyknąć z bólu na całe gardło.

Dotarła wreszcie do krawędzi dziury. Wyczerpana, zwiesiła głowę. Wydawało się, że nie zdoła się wspiąć na ukośne ściany spustu.

Gdzie ja miałam głowę? Jak się tam wdrapię?

Muszę to zrobić!

Ruszyła do góry.

Zrobiło się ciemno. Chwyliła za zewnętrzną krawędź koryta, stanęła na palcach i wyrzuciła do góry prawą nogę. Stopa odbiła się o drewnianą ścianę. Spróbowała jeszcze dwa razy. Bez skutku.

Teraz albo nigdy, zawyrokowała. Nie masz sił na kolejną próbę.

Sycząc z bólu, wspięła się na palce i z całych sił wyrzuciła nogę do góry. Stopą ledwie dotknęła krawędzi i tylko siłą wewnętrznych mięśni uda zdołała przenieść nogę na drugą stronę. Przerzuciła drugą nogę i upadła na dno rynny, zbyt zmęczona, aby płakać z radości czy bólu.

Leżała bezwładnie na plecach; kręciło jej się w głowie. Wiedziała, że musi iść dalej, ale nie miała siły się ruszyć. Oczy zamknęły jej się mimo woli i usnęła.

*

Hukanie sów ostrzegało, że na ich terytorium wdarł się intruz. Ember otworzyła oczy. Cienki sierp księżyca w pierwszej kwadrze wisiał na niebie wśród roju gwiazd.

Zerwała się na nogi. Lekki wiatr wiał z naprzeciwka, od miejsca gdzie rynna znikła w ciemnej ścianie lasu. Ember przechyliła lekko głowę. Zwietrzyła zapach wody kolońskiej, potu i prochu. Yute się zbliżał. Pewnie dotarł do rzeki, a potem ruszył jej naprzeciw w górę spływu.

Przykucnęła. Nie widziała go ani nie słyszała. Przerzuciła nogę nad ścianą koryta i zeszała na drugą stronę, powstrzymując jęk. Przy każdym ruchu ramię wibrowało bólem. Po chwili poczuła drżenie desek. Ktoś zbliżał się po rynnie.

Jeśli mnie zauważy, pomyślała, to jestem w pułapce jak jelen w świetle reflektora. Spojrzała na skały w dole. Zamknęła oczy i wstrzymała oddech. Yute biegł.

Ominął ją.

Odetchnęła. Zbliżał się do wyrwy. Gdyby tak potknął się i spadł...

- Nie! Nie! - Krzyknął Yute. Zobaczył dziurę. Snop światła z latarki omiółt roztrzaskany rower. - Ember! Żyjesz? Słyszysz mnie? Nie widzę ciebie! Wytrzymaj jeszcze chwilę. Schodzę. Mam apteczkę.

Stopy Yute zadudniły po deskach. Nagle ucichły nad głową Ember.

Oddychała otwartymi ustami, bezgłośnie.

Yute wspiął się na przeciwną ścianę rynny. Ember mogła tylko przycisnąć się do belki i zastygnąć w bezruchu. Yute ukazał się po drugiej stronie, prawie naprzeciwko. Dzieliło ich zaledwie kilka metrów. Schodził szybko po belkach. W świetle księżyca Ember widziała jego przyprószone siwizną włosy. Zapalona latarka odbijała się od jego paska, raz po raz omiatając

snopem światła ciało Ember. Gdyby zerknął w tę stronę, byłoby po wszystkim. On jednak spoglądał cały czas w dół. Po pięciu minutach stanął na dnie kanionu.

- Ember!

Oświetlił kamienie wokół roweru.

- Ember, proszę! Nie mam przy sobie broni. To był wypadek. Puszczę cię wolno, przyrzekam.

Zerknęła na pochyłą ścianę rynny nad głową. Nie miała już sił, aby wspiąć się na nią ponownie.

- Ember, proszę. Myliłem się. Przyszedłem ci pomóc.

Zauważyła belkę pod dnem rynny prowadzącą do samej ściany kanionu. Przesunęła się bokiem i stanęła na niej. Kucnęła i posuwała się w tej pozycji.

Przy ścianie wcisnęła się między rynną i skałę, i tak wdrapała się na górę. Zranione ramię nie wytrzymało i przewróciła się. Ból zadudnił jej w głowie, ale zamknęła usta dłonią i zdusiła krzyk.

Światło latarki powędrowało w górę do miejsca, gdzie upadła na deski.

- Ember, to ty?! - Zawołał Yute. - Jesteś tam?!

Ściągnęła but. Uklękła i poczekała, aż snop światła powędruje w drugą stronę. Wtedy cisnęła but na przeciwległy brzeg wodospadu. Spadł na skały z głuchym łoskotem.

Yute oświetlał znów dno kanionu, nie przestając nawoływać.

Ember zdjęła drugi but i boso popędziła w stronę rzeki. Na północnej stronie nieba wisiała Wielka Niedźwiedzica. Ember zerknęła na nią i uświadomiła sobie, że jej ciało i dusza nigdy jeszcze nie były tak spragnione.

Rozdział 37

Obudziła się na łóżku w szpitalu. Z butelki na stojaku spływał do jej ramienia przezroczysty płyn. Ściany parawanu sięgały do połowy wysokości pomieszczenia, a drzwi zasłonięte były folią. Z korytarza dochodziły przekleństwa jakiegoś pijaka. Męski głos kazał mu się uspokoić.

Ember przypomniała sobie, jak wspięła się z brzegu rzeki na autostradę, oparła się o znak ograniczenia prędkości i zatrzymała ciężarówkę. Zobaczyła jeszcze przerażenie kierowcy na widok jej zakrwawionego ramienia i straciła przytomność.

Nawet mu nie podziękowałam, pomyślała teraz sennie.

Do sali wszedł niski szczupły mężczyzna w chirurgicznym fartuchu. Miał gładko ogoloną, kanciastą głowę i krótką, spiczastą bródkę.

- Dzień dobry - powiedział. - Jesteś na oddziale intensywnej terapii w szpitalu Harbor View. Ja mam na imię Sam i jestem tu asystentem.

Włożył jej poduszkę pod głowę, podniósł górną część łóżka. Jego skóra pachniała kawą i papierosami.

- Która godzina? - Spytała Ember.

Zerknął na zegarek.

- Dochodzi druga w nocy.

- Przywiózł mnie tu kierowca ciężarówki?

- W recepcji będą to wiedzieli.

- Chciałabym mu podziękować.

- Pewnie spisali dane tego faceta. Pokaż mi to ramię. - Odciał nożyczkami skrwawiony rękaw bluzy.

- Jak się nazywasz?

Ember podała pierwsze nazwisko, jakie przyszło jej do głowy.

- Kim Ocheba.

- Kto cię postrzelił?

- Pewnie jakiś łowca jeleni.

- O mój Boże! Myśliwi to prawdziwa plaga.

Spytał o alergię na leki, zaznaczył coś w karcie i wetknął w ramkę na końcu łóżka.

- Zaraz wracam, Kim.

Zjawił się po chwili z dwiema strzykawkami.

- To środek przeciwbólowy. - Wstrzyknął zawartość do butelki. - A to żeby zapobiec infekcji. Wrócę za parę minut.

Narkotyk szybko stępił ostrze bólu. Ember zapadła w łagodny półsen. Zbudziła się, kiedy asystent przecierał alkoholem skórę wokół rany.

- Co ty właściwie robiłaś na tym pustkowiu? - Spytał nabierając do strzykawki bursztynowego płynu.

- Jeździłam na rowerze.

- Widziałas tego człowieka, który cię postrzelił?

- Jakiś dzieciak. Zobaczyłam go tylko kątem oka.

- Zorientował się potem, że nie jesteś jeleniem?

- Może zobaczył, co zrobił, i uciekł.

- Ładnie z jego strony. - Strzyknął odrobinę płynu w powietrze. - No, Kim, muszę ci zrobić miejscowe znieczulenie. Będzie szczytać jak diabli, ale zaraz przejdzie.

Chwycił ją mocno za ramię. Skrzywiła się, kiedy wbił cztery razy igłę w ciało. Ból zamienił się jednak w chłód i nawet nie ruszyła ręką, kiedy Sam przemywał ranę gąbką nasyoną mydłem odkażającym. Potem przetarł wodą utlenioną i solanką.

- Jeździsz na zawody?

- Na jakie zawody?

- Od dawna trenujesz kulturystkę?

Ember potrząsnęła głową.

- Naprawdę? A powinnaś. Zostałabyś mistrzynią, mówię ci.

- Taka brzydka? - Prychnęła.

- Nieładnie tak mówić o sobie. Nawet ja nie rozpowiadam wszem wobec, że jestem brzydki.

Wyrzucił brudną gąbkę, umocował w szczypcach nową. Wpychał ją do wnętrza rany i wyciągał. Szczypcami wyciskał krew i mydło.

- Panuje moda na egzotykę, Kim. Rekiny od reklamy jeżdżą po całym świecie w poszukiwaniu coraz bardziej niezwykłych modelek.

- Nie da się ukryć, że jestem egzotyczna...

Sam przemył ranę wodą utlenioną ze strzykawki, a potem znów solanką i wodą. Ember przyglądała się z ciekawością, jak płyn wstrzyknięty do rany z tyłu wypływa z przodu.

- Wygląda na to, że rana jest czysta - stwierdził Sam ściągając rękawiczki. - Muszę iść. Wierz mi albo nie, ale mamy na oddziale jeszcze dwa postrzały. Chłopcy o wiele młodszy od ciebie.

Nacisnął guzik interkomu.

- Sala numer sześć gotowa, pani doktor. - Odwrócił się do Ember. - Chirurg zaraz przyjdzie cię obejrzyć.

- Dzięki, Sam.

Obejrzał się rozsuwając foliową zasłonę.

- I nie chodź do lasu w czasie sezonu na jelenie.

Po kilku minutach zjawiała się kobieta w fartuchu laboratoryjnym zarzuconym na zielony kostium chirurga. W ręku trzymała zdjęcie rentgenowskie. Srebrne kolczyki w kształcie dzwoneczków i srebrny naszyjnik podkreślały jej przedwcześnie posiwiałe włosy. Miała jasnoniebieskie oczy i tak jasną skórę, że na czole widać było niebieskie żyłki. Na kieszonce widniało wyhaftowane: „Olivia Francis, doktor medycyny”. Nie używała perfum. Jej skóra pachniała ciepłym chlebem i szamponem do włosów.

Sprawdziła kroplówkę.

- Przeszło boleć?

- O tak.

Lekarka rzuciła okiem na kartę, a następnie podświetliła zdjęcie. Wreszcie usiadła na obrotowym taborecie, żeby zbadać ramię Ember.

- Jeśli chcesz, żeby blizna wyglądała pięknie, Kim, będziemy musieli wezwać chirurga plastycznego.

- Nie musi wyglądać pięknie.

Lekarka skinęła głową i dzwoneczki w uszach zadźwięczały cicho.

- Będzie dobrze. Obetnę tylko ten kawałek poszarpanej skóry.

W pokoju unosiła się nieprzyjemna woń moczu, potu i krwi.

- Przepraszam... - Powiedziała Ember.

- Za co? - Spytała lekarka przerywając ruch nożyczek.

- Za ten zapach.

Lekarka wróciła do przerwanej pracy.

- To mi nie przeszkadza. Niepokoi mnie natomiast, i to bardzo, że jesteś młodą kobietą z raną postrzałową.

- To był wypadek.

- Podobno.

Oczy lekarki, choć ciemniejsze, przypominały Ember oczy jej przyjaciółki, logopedki doktor Jackson. Jej oczy także rozświetlało współczucie.

- Doktor Francis, czy ktoś nazwał panią świętym Franciszkiem⁶?
- Ha! Gdybyś mnie znała, wiedziałabyś, że nie jestem żadną świętą. Spytaj moich dzieci.
- Jeśli tacy ludzie jak pani nie są święci, to nie ma dla nas żadnej nadziei.
- Hm?
- Nieważne. - Ember przymknęła oczy. Poczowała senność.
- Moja córka ma na imię Kim - powiedziała doktor Jackson zawijając ramię bandażem.
- Jest kilka lat młodsza od ciebie.

Ember skinęła sennie głową. Dłonie lekarki były takie delikatne, a jednocześnie mocne.

- Kto ci to zrobił, Kim?
- Jakiś dzieciak, który polował na jelenie...
- Twój chłopak?
- Nie...
- Chodziło o narkotyki?
- Nigdy nie brałam narkotyków, dopiero tu w szpitalu. W głowie mi się kręci.
- Strzelił do ciebie frajer?
- Frajer?
- Klient. Czy zrobił ci to klient?

Ember otworzyła oczy.

- Uważa mnie pani za prostytutkę?
- Myślę, że uciekałaś z domu i wpakowałaś się w tarapaty. Chcesz wysunąć oskarżenie przeciw tej osobie?

Ember potrząsnęła głową.

- Pomogę ci wypełnić papiery.
- On nie może mi nic zrobić. Wszystko w porządku. Chcę zostać sama. - Zamknęła oczy.

Lekarka westchnęła.

- Jak wolisz. Ale nie chciałabym zobaczyć cię tu za kilka tygodni z raną nogi.
- Nic mi nie grozi. On nie wie, gdzie jestem.

Doktor Francis zacisnęła lekko bandaż dwiema spinkami.

⁶ Francis (ang.) - Franciszek

- Miałaś dużo szczęścia... Jeśli można mówić o szczęściu przy postrzale. Pocisk przeszedł przez mięsień i nie uszkodził żadnej ważnej arterii. Zostawiłam ranę otwartą, żeby dobrze obeschła. Będzie się goić od środka. Za dwa, trzy tygodnie powinna się zamknąć.

Poklepała Ember po policzku.

- Kim, spójrz na mnie.

Ember otworzyła oczy. Lekarka trzymała w dłoni grubą białą tubkę.

- Krem z antybiotykiem. Smaruj ranę przy każdej zmianie bandaża. - Pokazała dużą paczkę. - Bandaż trzeba zmieniać dwa razy dziennie. Wypiszę ci receptę na środek znieczulający. Nie przesadzaj z tym, dobrze?

- Dobrze.

- I nikomu nie sprzedawaj.

Ember skinęła głową. Oczy same jej się zamknęły.

Lekarka zgasiła światło.

- Możesz tu zostać przez kilka godzin. Kończę zmianę o siódmej. Podwiozę cię do schroniska dla bezdomnych. Zgoda?

Ember chciała powiedzieć: „Tak, bardzo pani dziękuję”, ale nie mogła poruszyć wargami. Otoczyła ją mgła niosąca ze sobą rybi zapach w czasie odpływu morza. Zasnęła z westchnieniem.

*

Padał sypki śnieg. Ember wciągnęła zimne, gęste powietrze. Pachniało dymem palonej zwierzęcej sierści i tłuszczu. Poczowała ściskanie w żołądku. Wiedziała, że znajduje się blisko lodowej jaskini, ale nic nie wyglądało tak jak powinno. Kwadratowy szyb o białych ścianach otaczały dźwigi, buldożery i ciężkie koparki. Nieopodal dudnił generator spalinowy. Ember widziała teraz, że stoi na szczycie lodowca, kilkadziesiąt metrów nad jaskinią.

Z szybu wynurzyła się winda ze stalowej siatki i zatrzymała się przy drewnianej platformie. Ze środka wyszli dwaj mężczyźni. Mieli na sobie grube ocieplane buty z cholewami i puchate kombinezony. Futrzane kaptury okalały ich okrągłe, ciemne twarze z szerokimi policzkami i skośnymi oczami. Z dołu dochodziły stłumione głosy i szum maszyn. Ktoś wydawał rozkazy.

Co oni tu robią?

Ze ściśniętym gardłem Ember zbliżyła się do szybu i weszła do windy. Stalowa siatka przesuwała się powoli w dół na tle zamrożonych ścian. Metaliczny dźwięk stali kruszącej skałę narastał nieustannie.

Ember weszła do jaskini. Po suficie i ścianach wiły się przewody elektryczne doprowadzające prąd do żarówek w metalowych osłonach. W tej jaskini znajdowały się zwierzęta. Wielki wół pizmowy leżał na boku z otwartym pyskiem, a robotnicy w pomarańczowych kombinezonach rozbijali kilofami jego szczękę i wyjmowali zęby. Ember zbliżyła się z grymasem na twarzy i spostrzegła, że zęby są ze złota. Wyglądały jak samородki. Robotnicy wrzucali je do plastikowego wiadra wypełnionego po brzegi.

Z tyłu rozległo się wycie dwusuwowego silnika. Ember odwróciła się. Robotnik przecinał piłą zakrzywiony kiel olbrzymiego włochatego mamuta. Drugi złoty kiel błyszczał już na podłodze.,,

Popłynęła nad głowami robotników do jaskini, gdzie od tysięcy lat spoczywali jej współplemieńcy. Robotnicy wylupywali młotkami złote zęby z ust mężczyzn, kobiet i dzieci.

- Przestańcie! - Krzyknęła. - Nie możecie tego zrobić.

Złote zęby wpadały jeden po drugim do plastikowych wiader. Ciało odwożono na sankach. Poszła za nimi. Dwóch mężczyzn wzięło za ręce i nogi ciała małego chłopca i cisnęło na płonący stos ludzi i zwierząt. Głowa odpadła od ciała i potoczyła się pod nogi Ember. Chłopiec miał jasne włosy, zielone oczy, twarz pokrytą krwią.

Robotnicy polali stos naftą. Płomienie wystrzeliły w górę z sykiem. Gruby czarny robak dymu wił się do ciemnego nieba. Płatki śniegu tańczyły i roztopiały się w słupie gorąca. W gardle szybu wył wiatr...

Ember obudziła się z okrzykiem przerażenia.

Pielęgniarka rozsunęła zasłonę i zapaliła światło. Do sali weszła doktor Francis.

- Co się stało? - Spytała.

Ember potrząsnęła głową. Wstrzymała oddech z obawy przed świadem spalenizny.

Doktor Francis usiadła na brzegu łóżka i otoczyła Ember ramieniem.

- Kim, odetchnij głęboko.

Wciągnęła powietrze wypełnione aromatem ciepłego chleba. Wtuliła twarz w ramię lekarki.

- Zły sen?

Ember skinęła głową. Pot zwilżył jej skórę. Wiedziała, że musi się śpieszyć. Miała zadanie do wykonania.

Nie wiedziała, co to za zadanie - wiedziała tylko, że jest dla niej równie ważne jak serce bijące w piersi.

Rozdział 38

Stała pod parującym prysznicem; natarła skórę mydłem miętowym i dwa razy umyła włosy. Odwinęła bandaż, żeby woda swobodnie spływała na zaczerwienioną, pomarszczoną skórę wokół rany.

Owinięta ręcznikiem, wyszła spod zaporowanego prysznica w kobiecej części schroniska dla bezdomnych. Z trzech kartonowych pudeł z używanymi ubraniami wybrała czarne damskie dżinsy, czerwoną koszulkę i męską dżinsową koszulę z długimi rękawami. W czwartym pudle znalazła parę męskich butów roboczych z metalowymi noskami, wystarczająco szerokich na jej nogi. Usiadła na brzegu dolnego łóżka, posmarowała ranę kremem, zawiązała nowy bandaż i włożyła znalezione w pudle rzeczy. Były mocno zniszczone, ale pasowały doskonale.

Nad drzwiami frontowymi wisiała tablica z napisem: „Kościelne Schronisko dla Bezdomnych w Seattle”. Przed budynkiem na niewielkim trawniku stała świąteczna choinka. W rogach skweru ludzie wydeptali ścieżkę na skróty do parkingu. Po drugiej stronie ulicy niechlujnie wyglądający bar wcisnął się między dwa stare magazyny. Ember czuła smród spalin i oleju. Ze wszystkich stron otaczał ją szum jadących szybko samochodów.

Chodnikiem przeszła para młodych ludzi trzymających się za ręce. Z ucha kobiety zwisał kolczyk z łańcuchem zakończonym nitem, którym miała przebity nos. Na uchu chłopaka wisiało sześć obrączek, a z jego nosa wystawał maleńki złoty cylinder.

Ludzie robią najdziwniejsze rzeczy, żeby się odróżnić od innych, pomyślała Ember. Ale chcą się odróżniać jako grupa. Nikt nie chce być inny niż wszyscy.

Zatrzymała się, nie wiedząc co dalej robić. Przez kilka ostatnich dni pragnienie ucieczki od Yute napełniało ją energią, mobilizowało ciało i umysł. Teraz, gdy poziom adrenaliny opadł, poczuła się przygnębiona i rozbita wewnątrz. Wpatrywała się w choinkę, aż kolorowe światła rozmyły się w jej oczach.

Koszmar, który przyśnił się Ember w szpitalu, wzmocnił potrzebę emocjonalną rozbudzoną w dzieciństwie, gdy zaczęły się sny. Po każdym z nich coś pchało ją do działania, lecz nie wiedziała, co ma zrobić. Teraz pragnienie rozbrzmiewało głośno jak dzwon wzywający do pożaru. Nie mogła o nim zapomnieć, ale nadal nie wiedziała, co czynić. Drgnęła opierając się impulsowi, żeby dokądś biec.

Ale dokąd?

Odwróciła się na północ jak strzałka kompasu i ruszyła przed siebie. Przypomniła sobie, jak Yute opowiadał jej o odnalezieniu ciała matki na wzgórzach Kantishna Hills w pobliżu Parku Narodowego Denali. Tam musi być lodowa jaskinia, w której leżą jej złotoskórzy współplemieńcy. Ale co to da, jeżeli do nich dotrze?

Przyśpieszyła kroku. Sam marsz na północ sprawiał, że czuła się lepiej. Intuicja mówiła Ember, że jeśli dotrze do Kantishna Hills, w jakiś sposób dowie się, co robić dalej.

Muszę wrócić do miejsca, skąd pochodzę. Tam poznam znaczenie swoich snów i zrozumieję, na czym polega moje zadanie.

Wyjęła z kieszeni pieniądze. Sto sześćdziesiąt dolarów. Może wystarczy na bilet do Fairbanks. Dalej pojedę autostopem.

Powiem Indianom ze Swift Fork, że jestem Quanootką. Jeśli są tacy sami jak Indianie, których znam, pozwolą mi zostać parę dni, nawet bez pieniędzy.

- Ale byłoby lepiej, gdybym miała więcej pieniędzy - powiedziała głośno.

Po drugiej stronie ulicy około pięćdziesięciu ludzi stało w kolejce do szarzielonego budynku. Początkowo Ember myślała, że to jadłodajnia dla bezdomnych. Dopiero po chwili spostrzegła wielką tablicę z napisem nad drzwiami: „Plasco. Kolektura plazmy numer 4”; niżej znajdował się drugi napis wykonany mniejszymi literami: „Dawcom plazmy zapłata od ręki”.

Ember zajęła miejsce na końcu kolejki za chudym mężczyzną o zmierzwiionych włosach i pomarszczonej twarzy. Miał na sobie sweter, a pod nim koszulkę z krótkim rękawem. Tatuż na jego gardle zniknął pod kołnierzem koszulki. Na kostkach rąk widać było niebieskie ślady po starych tatużach.

- Ile płacą? - Spytała Ember.

- Czterdzieści dolców za pierwszym razem, przy każdym następnym po trzydzieści - odparł chudzielec. Mówił z wyraźnym południowym akcentem, a jego oddech cuchnął kwaśnym winem.

- Ile razy...

- Co trzy tygodnie, ale wszyscy przychodzą co tydzień. Oni wcale nie sprawdzają. Chcą dostać naszą krew i tyle. Trzeba przychodzić wcześniej, bo zobacz, jaka teraz kolejka. Ja dzisiaj zasnęłam. Pостоimy tu parę godzin.

- Jest tu gdzieś w pobliżu przystanek autobusów dalekobieżnych?

- Greyhound. - Wskazał brodą kierunek. - Pięć albo sześć przecznic stąd.

Ember usłyszała jakiś hałas. Odwróciła się. Ulicą zbliżał się pochód złożony z mężczyzn, kobiet i dzieci ubranych w długie pomarańczowe szaty. Śpiewali w nieznanym

języku przy akompaniamencie cymbałów i bębnów. Tańczyli z twarzami zwróconymi do nieba i uniesionymi rękami. Z kolejki poleciały w stronę pochodu drwiny, jednak tamci nie zwracali uwagi, jakby niczego nie słyszeli.

Ember uśmiechnęła się na widok kolorowej grupy tańczącej na ulicy. Przypomniała sobie festiwal Łososiowego Księżyca w Whaler Bay. Przez krótką chwilę zapragnęła włączyć się do pochodu, tańczyć i śpiewać razem z nimi. Potem muzyka ucichła.

- Nigdy nie widziałaś krisznowców? - Spytał chudzielec. Potrząsnęła głową.

- Wyglądali fajnie. O czym śpiewali?

- „Kriszna, Kriszna, bóg o błękitnej skórze, który gra na flecie”.

- Co takiego?

- Naprawdę. Skąd jesteś?

- Z okolicy.

- Aha. No to powiem ci, że te czubki dają najlepsze darmowe posiłki w mieście. Masz do wyboru: albo idziesz do Armii Zbawienia, gdzie czeka cię kazanie z Biblii, a potem miska nędznej fasolki, albo do świątyni Kriszny, gdzie słuchasz tych ich śpiewów, a potem dostajesz gorący, pyszny posiłek wegetariański, palce lizać. A ja nie mam za dużo pieniędzy, więc chodzę do nich co wieczór. Przy tej ulicy, tam na rogu.

- Dzięki za wskazówkę.

Było popołudnie. Ember poczuła ból w ramieniu. W środku budynek był pomalowany na ten sam szary kolor co na zewnątrz. Cuchnęło przeпоconymi nogami. Otyła kobieta w białym fartuchu pielęgniarki posadziła Ember na niebieskim plastikowym krzeselku.

Pielęgniarka zrobiła nacięcie na palcu wskazującym i pobrała kilka kropel krwi na szkiełko. Fałd skóry pod jej brodą kołysał się przy każdym ruchu. Ember nasunęło się skojarzenie z pelikanem połykającym rybę.

Po chwili pielęgniarka wróciła w towarzystwie niskiego czarnowłosego mężczyzny w białym fartuchu laboratoryjnym. Oboje mieli chmurny wyraz twarzy. Mężczyzna bez słowa pobrał drugą próbkę krwi i oboje wyszli.

Ember czekała, wierząc się niecierpliwie na krześle. Potrzeba marszu na północ stała się w ciągu dnia tak paląca, że czekając w kolejce musiała chodzić w kółko. Tak musi się czuć łabędź, gdy po dniu letniego przesilenia dni wydłużają się i stają się cieplejsze.

Lecieć na północ, do domu.

Kobieta i mężczyzna wrócili po dziesięciu minutach.

- Ty jesteś Kim Ocheba? - Spytał mężczyzna ze wschodnim indiańskim akcentem.

- Tak.

- Jaką masz grupę krwi? - Nie wiem.

- Czy nikt nie zwrócił dotąd uwagi na twoją krew?

- Kim pan jest?

- Doktor Danesh - przedstawił się wyciągając rękę. Miał chłodną skórę i słaby uścisk dłoni. - Pracuję w tej branży od dwudziestu ośmiu lat i jeszcze nigdy nie widziałem krwi podobnej do twojej. Nie pasuje do żadnej grupy. To bardzo dziwne.

Ember wstała.

- Zaczekaj. Chciałbym zbadać twoją krew. To może być piekielnie opłacalne.

- Nie chcę być badana.

- Poczekaj! - Zastąpił Ember drogę. - Oboje możemy na tym sporo zarobić.

- Nie, dziękuję.

Ember próbowała obejść lekarza, ale złapał ją za rękę.

- Tylko pół litra. Zapłacę ci dwieście dolarów.

Wyrwała się. Wyskoczyła na zewnątrz i pobiegła do przystanku Greyhounda.

Moja krew nie pasuje do żadnej grupy, tak samo jak ja, myślała. Tu nie ma dla mnie miejsca. Muszę wrócić do tundry, nawet gdybym miała iść pieszo.

Zbliżyła się do baru z niewielkim neonem nad drzwiami: „Jaskinia”. Na aluminiowej izolacji widniał kiczowaty malunek: podobny do małpy jaskiniowiec z maczugą w ręku wlecze za włosy do jaskini kobietę bez stanika. Kobieta uśmiecha się i puszcza oczko. Ramę rysunku tworzył motyw bizonów i koni przypominający rysunki na ścianach jaskiń.

Ember skrzywiła się. W taki oto sposób ludzie wyobrażają sobie świat, z którego pochodzę. Co mówiliby o mnie, gdyby dowiedzieli się o moim istnieniu? Co mogłabym wtedy zrobić? Zgłosić się do cyrku jako okaz do kolekcji pomyłek natury?

Staneła, by przyjrzeć się jaskiniowcowi z rysunku. Gęsta grzywa zwisała nad jego niskim czołem i krzaczastymi, zrośniętymi brwiami. Dotknęła swojego czoła.

„Przyjdźcie zobaczyć Ember - żywą kobietę jaskiniową”.

Dawniej udawało się Ember podtrzymywać jakieś takie samopoczucie, ale teraz siła woli ją opuściła. Wydawało się, że wszystko co dobre w jej życiu zniknęło bez śladu.

Usiadła na chodniku. Kręciło jej się w głowie. Malowidło ścienne rozpląnęło się i zamieniło w ruchomy obraz jak w filmie: robotnicy w pomarańczowych kombinezonach z kapturem uwijają się wokół głębokiego szybu; w zimnym, nieruchomym powietrzu unosi się czarny dym, ciężki od woni spalonej skóry, sierści i tłuszczu.

Krzyknęła i zamknęła oczy. Kiedy je znów otworzyła, malowidło było znów na swoim miejscu, a neon z napisem „Jaskinia” świecił i migotał w mroku. Ember odetchnęła z ulgą.

Przecucie wielkiego niebezpieczeństwa poderwało ją na równe nogi. Zerwała się, gotowa do walki. Rozejrzała się, ale na chodniku nie było nikogo. Wstrzymała oddech i nasłuchiwała. Ze świątyni Hare Kriszny przy następnej przecznicy niósł się śpiew i odgłos bębnów.

Dopiero po chwili Ember uświadomiła sobie, że niebezpieczeństwo nie grozi jej, lecz związane jest z wizją. Głos nawołujący do powstrzymania tragedii zmienił się w fizyczny bodziec. Ember ruszyła biegiem w stronę dworca autobusowego.

Rozdział 39

Mżawka ustała. O zmierzchu chmury sunące po niebie nad Deer Park zmieniły się w długie, blade smugi. Mike i Kaigani jechali wolno dżipem wzdłuż ogrodzenia z napisem: „Szkoła Indiańska Stanu Waszyngton” zbudowanego z trzymetrowych, ostro zakończonych czarnych słupów.

- Cholera. Równie dobrze mogliby otoczyć się fosą.

Kaigani odczytała słowa z ruchu jego warg i skinęła głową. Pokazała ręką słowo „pech”.

- Trzeba przemyśleć od nowa nasz plan. - Mike zaparkował dżipa przy krawężniku, blisko bramy z napisem: „Teren prywatny. Wstęp wzbroniony”. - Nie możemy się po prostu włamać do jego biura. Musimy się tam dostać fortelem.

Kaigani rozejrzała się wokół. Kilka budynków z białych desek - może dawny internat - otaczało dwupiętrową szkołę z czerwonej cegły na szczycie trawiastego wzgórza. W niektórych oknach paliło się światło. W kilku innych zaświeciły się kolejne. Automatyczny włącznik? A może nocny stróż? Biuro profesora Nahadeha znajdowało się prawdopodobnie w budynku szkoły. Jak odszukają dokumenty lub notatki dotyczące pochodzenia Ember?

- Czuję się jak szpieg - powiedziała Kaigani.

- Szpieg amator - dodał Mike. - Szkoda tylko, że nie wiemy, co dalej robić.

Kaigani przypomniała sobie rozmowę z robotnikami w budynku w Seattle, gdzie znajdowało się biuro firmy profesora Nahadeha.

- Martwi mnie to, że zostawiła rower w mieście - powiedziała. - Przecież nigdzie się bez niego nie dostanie.

- Jeśli ten facet z parkingu był dobrze poinformowany. - Myślę, że tak. Opisał rower...

- Tylko że rower nie jest biały, a w dodatku już go tam nie ma.

- Metalizowany lakier wyglądał jak biały... Ten facet mówił, że rower zniknął kilka dni temu.

- Jeśli to był rower Ember, to mam nadzieję, że wróciła, zabrała go stamtąd i teraz gdzieś na nim jeździ. - Mike zerknął w lusterko wsteczne. Po mokrej jezdni przemknął samochód policyjny. - Ale wątpię. Recepcjonistka widziała Ember wychodzącą z Nahadehem we wtorek rano. Wydaje mi się, że nadal z nim jest.

Kaigani zadrzała.

- Mike, mam dziwne, niedobre przeczucie, że Ember była tutaj i teraz grozi jej niebezpieczeństwo.

Mike spojrział na nią i zmarszczył czoło. Nagle uderzył ręką w kierownicę.

- To przeze mnie. Powiedziałem Ember, że powstała w laboratorium inżynierii genetycznej. To ją dotknęło. Jak mogłem być takim głupcem!

Kaigani wzięła go za rękę.

- Ja również jej nie pomogłam swoją zazdrością.

- To też była moja wina. Powiedzmy, że straciłem na chwilę głowę. Ale to już minęło. Wiem teraz, że Ember należy do świata, którego nie potrafię objąć rozumem. Ani ja, ani ty. Ona należy wyłącznie do swojego przeznaczenia.

Ścisnął rękę Kaigani.

- A ty, moja piękna, zniewoliłaś mnie od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem wtedy na szlaku. Już nigdy więcej nie dam ci powodu do zazdrości. Przysięgam.

Kaigani odpowiedziała mu uśmiechem. Ból, który czuła pod sercem, ustąpił. Patrzyła Mike'owi w oczy, dopóki nie zbliżył warg do jej ust. Zatracili się w długim pocałunku. Ujął jej twarz w swoje silne dłonie. Ich usta ocierały się o siebie, a potem złączyły. Dotknęli się językami. Kaigani przemknął w wyobraźni obraz zakochanych delfinów pływających razem w ciepłej morskiej wodzie. Uścisk rozpałił ją, dotarł do serca i brzucha. Pragnienie było tak silne, że Kaigani niemal poczuła rękę Mike'a między swoimi udami.

Mike odsunął się raptownie. Spojrział na nią swoimi dużymi orzechowymi oczami. Kaigani nigdy jeszcze nie widziała takiej łagodności w jego twarzy.

- Jesteś... Cudowna - powiedział biorąc głęboki oddech. - Trudno się powstrzymać.

- Wiem.

Kaigani położyła rękę na sercu. Uśmiechnęła się i znów ujęła jego dłoń. Mike wyprostował się.

- Myślę, że najlepsze, co w tej chwili możemy zrobić, żeby pomóc Ember, to zostać tutaj i czekać na okazję. - Zerknął na zegarek. - Dochodzi szósta. Jeśli tam w środku są strażnicy, niedługo powinni mieć zmianę. Może uda się ich przekonać, żeby nas wpuścili.

Zapadła ciemność i krople deszczu zaczęły znów bębnić po płóciennym dachu i przedniej szybie. Mike i Kaigani siedzieli trzymając się za ręce.

- Nie dokończyłeś mówić mi o tym, co znalazłeś w Internecie.

- Brytyjski raport z Indii, w którym była mowa o tym, że za czasów kolonialnych żył tam hinduski jogin, który miał ponad dwieście lat. Jeśli udało się komuś żyć tak długo w Indiach, to i Starzec mógł tego dokonać, prawda?

- A więc opowieści o Starcu są prawdziwe?

- Zaczynam w to wierzyć. On naprawdę zrobił na mnie olbrzymie wrażenie.

- A legenda o plemieniu O-kwo-ke?

- Nie rozumiałem jednego: Jak Ember mogła pamiętać coś, co wydarzyło się przed jej urodzeniem? Przejrzałem najnowsze publikacje na temat mózgu, świadomości i pamięci i wierz mi, że coraz trudniej odróżnić neurologów od mistyków.

Mike obrócił się twarzą do Kaigani i mówił pomagając sobie znakami języka migowego. Żółtawe światło ulicznych latarni oświetlało twarz Mike'a, więc Kaigani mogła czytać z ruchu jego warg.

- Uczeni przez długie lata próbowali ustalić, w której części mózgu znajduje się ośrodek pamięci. Co sprawia, że potrafimy się uczyć i przechowywać informacje? Nic nie znaleźli i w końcu dali za wygraną. Okazuje się, że pamięć nie ma ścisłej lokalizacji, że jest rozproszona po całym mózgu.

Wyobraźmy więc sobie, że fragment twojego mózgu zostaje uszkodzony. Może to zakłócić działanie pamięci, ale nie spowoduje w niej luk. Nie zapomnisz połowy swoich znajomych ani połowy książki, którą przeczytałeś. Rozumiesz?

- Chyba tak. Mów dalej.

- Wysłunięto więc teorię, że pamięć ma strukturę holograficzną. Wiesz coś o hologramach?

- Niewiele.

- Każdy kawałek taśmy holograficznej zawiera informację o całości obrazu. Jeśli przetniesz na pół holograficzne zdjęcie piłki plażowej i prześwietlisz połówkę laserem, otrzymasz trójwymiarowy obraz całej piłki. Możesz nawet pociąć tę połowę na mniejsze kawałki. Po prześwietleniu laserem któregośkolwiek z nich zobaczysz całą piłkę. Mimo zmniejszania się fragmentów, w wizerunku piłki nie pojawiają się luki. Cały obraz blaknie powoli i w końcu znika.

Kaigani powtórzyła część wyводу, aby upewnić się, że zrozumiała.

- Zgadza się - potwierdził Mike.

- I podobno w ten sam sposób działa pamięć.

- Właśnie. Trzeba też wziąć pod uwagę fakt, że ludzie pamiętają rzeczy, które wydarzyły się w stanie śmierci klinicznej, podczas znieczulenia, a nawet kiedy byli w łonie matki. Pamięć zatem nie jest umiejscowiona w mózgu, tylko z nim związana. Współczesny model pamięci zakłada, że mózg funkcjonuje jako odbiornik, taki jak na przykład telewizor,

natomiast zasoby pamięci przechowywane są poza mózgiem i poza ciałem. Są to niefizyczne, czyste informacje zapisane w postaci pola holograficznego.

Obraz ten nasunął Kaigani pewne skojarzenie, które bardzo ją podekscytowało.

- Kiedy dziadek Ozette zapadł w śpiączkę, rozmawiałam z jego duszą. Nie udawałam, że dziadek za chwilę wstanie i odpowie mi. Wiedziałam, że mózg dziadka umarł, ale jego istota nadal tam jest. Czulałam to.

- Odbiornik uległ nieodwracalnemu uszkodzeniu, ale sygnał nadal był obecny.

- Chcesz więc powiedzieć, że Ember potrafi się dostrajać do wspomnień wydarzeń, które działy się bardzo dawno temu?

- To wyjaśniałoby, dlaczego jej sny pasowały do opowieści Starca. Słyszałaś o Jungu, prawda?

- Tak, w szkole.

- A pamiętasz jego teorię pamięci rasowej?

Kaigani potrząsnęła głową.

- Jung uważał, że istnieje kolektywna podświadomość. Przeczytałem ostatnio jego pracę na ten temat. Według niego jest to coś w rodzaju powszechnego pola pamięci, w którym przechowywany jest holograficzny zapis wszystkich informacji. Jung nie wiedział nic o holografii, bo wynaleziono ją długo po jego śmierci, lecz taki właśnie model opisał. Wierzył, że mamy dostęp do informacji o wszystkich wydarzeniach, jakich ludzkość doświadczyła od początku swej historii.

- Teraz sobie przypominam. Omawialiśmy tę teorię na zajęciach. Poza tym ona pasuje do Quanoot-cha: Każdy z nas powtarza drogę życia wszystkich naszych przodków - nie tylko ich zapis genetyczny, ale spuściznę duchową.

- To logiczne. Jeśli każdy człowiek stanowi integralną część powszechnej holograficznej świadomości, to każdy z nas niesie w sobie zakodowaną informację o całości.

- I Ember posiada wyjątkową zdolność wychwytywania tych informacji.

- No właśnie!

- To wszystko wyjaśnia. Szkoda, że nie możesz jej tego powiedzieć.

- Szkoda, że powiedziałem co innego - westchnął.

Jego oczy zaszyły łzami. Przesunął palcami po wąsach i brodzie.

- Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego Ember wygląda tak, jak wygląda. Skąd wziął się ten kolor skóry? Właśnie to nasunęło mi myśl o inżynierii genetycznej.

- Ludzie, których widywałam w snach, mieli złotą skórę i bardzo muskularne ciała. Ember jest jedną z nich.

- Tak, ale kim oni są? I gdzie się podziewają?

Mike spojrział na budynek szkoły.

- Musimy sprawdzić, co wie ten Nahadeh. - Złapał Kaigani za rękę. - Patrz! Z garażu jednego z budynków wyjechał tyłem biały mikrobus.

- Oto nasza szansa - rzekł Mike włączając silnik. - Jedziemy. Samochód skierował się w ich stronę.

- Kaigani, powiedz mu... Że twoja matka chodziła kiedyś do tej szkoły, a ty chcesz wejść do środka i zobaczyć to wszystko, o czym ci opowiadała. Kiedy będziesz z nim rozmawiać - a to zajmie dużo czasu, bo będzie się starał mówić głośno i wyraźnie - ja przepraszę i wyjdę do łazienki. Spróbuję zakraść się do laboratorium jak najwięcej dowiedzieć.

Żelazna brama zaskrzypiała przy otwieraniu. Mike podjechał do mikrobusu, uśmiechnął się i zamachał do kierowcy. Tamten dał ręką znak, żeby się zatrzymać.

- Kim pan jest? - Spytał.

- Czy przyszła już druga zmiana?

- Tak. Doug ma teraz dyżur.

- Świetnie. Przywiozłem mu termos.

Mike wjechał do środka nie czekając na odpowiedź. Mikrobus stał chwilę w miejscu, a potem odjechał. Brama się zamknęła.

Rozdział 40

Nika Nahadeh przykręciła rączkę gazu skutera. Pojazd przyspieszył na ubitym śniegu drogi do kopalni. Mokre płatki wirowały w świetle reflektorów i opadały na plastikową szybę, gdzie zmiatała je wycieraczka. Wiał przenikliwie zimny wiatr. Nika miała na sobie mundur strażnika Parku Narodowego, a na nim tradycyjną indiańską kurtkę z kapturem ze skóry wołu piżmowego z podszewką z grubej wełny.

Mężczyzna, który zadzwonił z kopalni, powiedział, że sprawa jest bardzo pilna, ale nie podał żadnych szczegółów. Może znaleźli niedźwiedzia zabitego przez kłusowników? Chińscy i koreańscy przemytnicy płacili grube pieniądze za woreczki żółciowe niedźwiedzi, które później suszyli, prasowali w tabletki i sprzedawali jako lekarstwo na wszelkie choroby, od impotencji do raka. Tej zimy zabili już dwa niedźwiedzie grizzly. Wytropili jaskinie, gdzie niedźwiedzie przesypiają zimę. Tylko miejscowi Indianie potrafią znaleźć kryjówkę grizzly i odważyć się do niej wczłgać, ale Nika nie znalazła winnych.

Ojciec Niki powiedział, że gdyby dopadł Caiyuha, który zabił grizzly, to najchętniej wyciąłby mu jego własny woreczek żółciowy.

A więc chodzi pewnie o kolejnego martwego niedźwiedzia. Na wolności żyło jeszcze około tysiąca grizzly. Nika wiedziała, jak bardzo są ważne. Mimo to miała nadzieję, że nie wzywano jej z ważniejszego powodu.

Zając bielak wskoczył na drogę, odwrócił się i czmychnął z powrotem. Nika zwolniła. Szybka jazda nic nie pomoże, a gdyby przejechała łosia lub karibu...

Przetarła rękawicą zaśnieżone okulary. Wzywanie jej do niedźwiedzia w środku nocy nie miałyby sensu - zamrznięty grizzly może poczekać do rana. Poza tym żaden niedźwiedź nie położyłby się do snu zimowego w pobliżu kopalni, bo panował tam nieznośny hałas, a okolica była oświetlona jak lotnisko. Mężczyzna, który zadzwonił, wydawał się bardzo zaniepokojony.

- Musi pani przyjechać natychmiast - powiedział.

Czemu nie chciał podać żadnych szczegółów?

Co teraz robisz, ojczu? - Zapytała w myślach.

Ślizgacz mknął ku wiosce Swift Fork, a raczej ku temu, co z niej pozostało. Opuszczone chaty ciemniały nad brzegiem zamrzniętej rzeki. Tylko John i dwie starsze kobiety zostały w wiosce. Inni starsi Indianie przeprowadzili się do nowego osiedla w Fairbanks. Młodsze rodziny zamieszkały w hotelach firmy Canard w pobliżu kopalni złota.

Nika szukała wzrokiem smugi nad domem ojca, ale dym unosił się tylko nad chatami jego sióstr.

Ojciec poszedł do kopalni.

On i jego sprzymierzeńcy sprzeciwiali się budowie kopalni i zdolali opóźnić rozpoczęcie inwestycji o ponad dziesięć lat. W końcu jednak nadszedł dzień, w którym eksplozja dynamitu zadała wzgórzom pierwszą ranę. Pokonani Indianie zapomnieli o wspólnej walce o tradycyjny styl życia i zaczęli się kłócić między sobą. Każdy chciał skorzystać na kopalni jak najwięcej, żeby samemu się uratować.

- Byliśmy jak psi zaprzęg, pod którym zapadł się lód - wyznał jeden z przyjaciół ojca zapinając kombinezon z napisem „Canard”. - Przetrwaliśmy, ale nie jako plemię. Nie jesteśmy już Caiyuhami.

Ojciec nie chciał się poddać. Canard wydobywał już złoto od sześciu lat, a John Nahadeh nadal walczył o zamknięcie kopalni. Zeszłej zimy przyłapano go na wsypywaniu cukru do generatorów spalinowych.

- Uważasz, że zgorzkniałem - mówił do córki w chacie, gdzie urodziła się ona i Yute. - Gniew to ostatnia ucieczka przed żalem za tym, co mi skradziono.

Łzy błyszczały w jego czarnych oczach.

- Twoje dzieci nigdy nie będą polować na wzgórzach tak jak my, tak jak nasi przodkowie. Czy nauczą się żyć wśród natury? Czy nauczą się naszych pięknych pieśni? Naszego języka? Legend? Spójrz na swoich rówieśników, na dzieci wychowane w hotelach robotniczych. Nasza kultura umiera, znika w cieniu kopalni.

Uderzył się w pierś twardą, spracowaną dłonią.

- Muszę podsycać złość. To mój jedyny sprzymierzeniec. Gdyby mnie nie chroniła, umarłbym z żalu.

W zeszłym tygodniu ojciec powiedział Nice: „Czasem lepiej jest toczyć beznadziejną walkę, niż pozwolić się stratować”.

Nie mogła uwolnić się od tych słów. Tego samego dnia powtarzał wielokrotnie, jak bardzo ją kocha. Kiedy to mówił, jego okrągła, pomarszczona twarz promieniała. Przekazał Nice rodzinny spadek: nóż myśliwski, który należał do jego dziadka, i strój ślubny matki. Oddał jej nawet swój łuk i strzały.

Nika nie mogła sobie tego przebaczyć. Czy jestem aż tak ślepa? A może nie chcę wierzyć w to, co widzę? Czemu nie rozumiałam jego słów?

Ślizgacz sunął po twardym śniegu pokrywającym zwirową drogę. W ciągu dnia jeździły tędy ciężarówki z żywnością i zaopatrzeniem dla osady. W drugą stronę opancerzone samochody wywoziły złoto uzyskane z rudy.

Z zasnutego ciężkimi chmurami nieba leciały płatki wielkie jak półdolarówki. Dwadzieścia kilometrów od kopalni Nika zatrzymała się, aby przetrzeć osłonę. Srebrnoniebieskawa luna z rtęciowych lamp błyszczała nad wieżami kopalni na wzgórzu.

Pół godziny później Nika dotarła do stalowych suwanych wrót w wysokim ogrodzeniu. Na bramie wisiała metalowa tablica z lecącą kaczką i napisem:

CANARD

KOPALNIA KANTISHNA HILLS

Filia Matsuyo International

UWAGA! TEREN PRYWATNY. WEJŚCIE SUROWO WZBRONIONE

POD GROŹBĄ UŻYCIABRONI

Odwiedzający muszą się rejestrować u strażnika przed bramą

Dwóch strażników w jaskrawopomarańczowych kombinezonach wyskoczyło z aluminiowej budki. Na ich szyjach wisiały automatyczne pistolety maszynowe. Jeden z mężczyzn sprawdził szybko kartę identyfikacyjną Niki i dał drugiemu ręką znak, żeby otworzył bramę. Stalowe wrota potoczyły się po rolkach.

Trzech ludzi wyszło Nice na spotkanie. Zaprowadzili ją do transportera gaśnicowego, który czekał z włączonym silnikiem. Kierowca siedział w środku. Pojazd ruszył i dopiero wtedy człowiek w niebieskim kombinezonie ściągnął kaptur. Był nim wódz Willy.

- Pani Nahadeh, mam złą wiadomość...

- Mój ojciec? - Spytała Nika przetykając ślinę.

- Znowu wdarł się na teren kopalni. Obawiam się, że tym razem...

- Żyje?

- Został ciężko postrzelony.

Serce Niki zamarło.

- Jest przy nim lekarz i sanitariusze, ale... Będę z panią szczerzy. Wydaje mi się, że tego nie przeżyje. Bardzo mi przykro.

- Macie helikopter. Możecie go zawieźć do szpitala w Fairbanks.

- Nie można lecieć w taką pogodę. Poza tym nie mogą ruszyć pani ojca, bo jest ranny w kręgosłup. Postawili tam namiot.

Transporter zwolnił. Nika przycisnęła twarz do pleksiglasowej szyby i dostrzegła biały kwadrat z czerwonym krzyżem. Wskoczyła, zanim pojazd się zatrzymał. Pośliznęła się, ale zaraz wstała i pobiegła. Przepchnęła się przez szereg robotników w pomarańczowych kombinezonach i wpadła do namiotu.

W środku nie było podłogi. Pracował elektryczny grzejnik i pod baldachimem zebrał się obłok pary.

Ojciec leżał na wznak na śniegu, przykryty kilkoma grubymi śpiworami. Miał zamknięte oczy. Jego ciałem wstrząsały drgawki. Z dwóch ran na piersi wydobywał się świszczący charkot. Z gardła wystawała rurka. Sanitariusz rytmicznie pompował tlen do plastikowego worka.

Nika jęknęła.

- Pani jest córką? - Spytał mężczyzna ze stetoskopem.

Ułękła przy ojcu.

- Trzymał się przez prawie dwie godziny. Jest bardzo silnym mężczyzną.

Nika odgarnęła palcami kosmyk włosów z czoła ojca i przystawiła usta do jego ucha.

- Tato?

Ujęła jego ciężką, bezwładną dłoń i przyłożyła do piersi.

- Jestem przy tobie, tato.

W tej samej chwili ciało Johna rozluźniło się i drzenie ustało. Powieki drgnęły i otworzyły się. Nika pochyliła się i spojrzała ojcu w oczy. Była w nich łagodność, którą tak dobrze знаła.

- Kocham cię, tato - szepnęła. - Jestem wdzięczna, że mogłam być twoją córką. Dziękuję ci.

John poruszył wargami w leciutkim uśmiechu. Uścisnął rękę Niki. Potem jego oczy zaszyły mgłą. Od kiedy ciało przestało drżeć, ani razu nie poruszył piersią. Nika zerwała się na nogi. - Zdejmijcie namiot! Sanitariusze patrzyli na nią w milczeniu.

Lekarz położył jej rękę na ramieniu, ale Nika odepchnęła dłoń. Złapała folię i pociągnęła. Kołki wyskoczyły. Wiatr wdarł się do środka.

- Co pani robi?! - Zawołał lekarz.

- Caiyuh umiera pod otwartym niebem.

- Co?

Nika przemknęła pod rękami dwóch innych mężczyzn, którzy chcieli ją powstrzymać. Wyrwała kołki. Wiatr poniosł folię po śniegu jak spadochron. Kilku robotników rzuciło się w pogoń.

Nika nie zwracała uwagi na zamieszanie i przekleństwa. Uklękła przy ojcu. Płatki śniegu spadały na jego twarz i otwarte oczy.

- Tato, masz nad sobą niebo. - Łzy spływały po jej policzkach. - Żadnego sufitu, żadnych ścian. Pod tobą jest ziemia, a nad tobą niebo.

Zanuciła pieśń pożegnalną. Zazwyczaj śpiewało ją więcej osób. Jeden głos pytał o ukochaną umierającą osobę, a pozostałe opowiadały o zdarzeniach z jej życia. Nika śpiewała sama, wspominając zarówno dobre, jak i złe chwile.

- Ze szczytu Denali, wyżej niż lot orła - śpiewała gardłowym głosem, wystukując rytm na udach - Matka Duchów spogląda na wszystkie strony świata. Jej oczy błyszczą jak słońce na śniegu. Patrzcie! Znalazła swego syna, Johna Nahadeha, Magiczną Rzekę. Pamięta jego życie, słowa i czyny. Jej głos toczy się po ziemi i jak grom: „Oto widzę największego łowcę karibu, mężne serce, najlepszego ojca pod słońcem”. Teraz Duch, jej posłaniec, unosi Johna do domu, do Matki Duchów.

Będzie spał w niej, pod bębniem jej serca, aż się narodzi na nowo... Do zobaczenia, Johnie Magiczna Rzeko - nuciła cicho Nika. - Do zobaczenia, ojciec.

Rozejrzała się. Wszyscy wcisnęli się do transportera z obawy przed chłodem.

Nadjechał drugi transporter. Nika zauważyła, że jej łzy zamarły na twarzy ojca. Wódz Willy wyszedł z pojazdu i okrył Nike kocem. Powieki miał spuchnięte, a jego czarne sumiaste wąsy opadły.

- Gdzie go zawieziemy? - Spytała Nika.

- Nie mamy tu kostnicy. Możemy przechować ciało do jutra, a rano transporter zawiezie ciało tam, gdzie pani wskaże.

Skinęła głową. Caiuhowie, tak jak inne plemiona arktyczne, nie grzebały zmarłych. Trudno wykopać grób w twardej jak skała ziemi. Poza tym byłaby to strata pożywienia dla wilczego plemienia w zimnym, nękanym głodem świecie.

Nika przypomniała sobie, jak przechodzili kiedyś z ojcem koło złomowiska w Fairbanks. Zatrzymali się, aby popatrzeć, jak wielka maszyna kruszy w stalowych szczękach stare, zardzewiałe karoserie. Metal giął się, pękał z trzaskiem pod uderzeniami wielkiego młota. Potem dźwig z olbrzymim elektromagnesem pakował sześciany na płaskie wagony, które odwoziły je do hut przetapiających złom na nową stal. Ojciec patrzył z zaciekawieniem. Skojarzył ten proces z indiańską wizją wiecznie odradzającego się życia: wilki pożerają stare

karibu, odchody wilków idą do ziemi, a z ziemi wyrasta głóg, którym żywią się młode karibu - samooczyszczająca się machina wykorzystująca siłę ziemi, deszczu, wiatru i słońca.

Jutro Nika zawiezie ciało ojca do jego ulubionego miejsca na wzgórzach nad łabędzim jeziorem. Tam go zostawi, przywoławszy wpiery wilki, które zrobią sobie ucztę z ciała starego przyjaciela.

Wódz Willy dał znak ręką. Trzech mężczyzn wyskoczyło z transportera z foliową płachtą. Owinęli nią ciało Johna i zabrali do pojazdu. Na śniegu zostały zamrożone plamy krwi.

- Proszę wejść - powiedział Willy. - Jest tęgi mróz.

Delikatnie skierował Nikę w stronę transportera. Odwracając się, Nika zauważyła, że ojciec zakrwawionym palcem narysował na śniegu literę V.

- Już po wszystkim - rzekł Willy. - Znalazłem dla pani miejsce do spania w kobiecym hotelu. Przykro mi, ale nie mamy tu wolnego pokoju dla gości.

Skinęła głową.

Kiedyś jej ojciec przyjaźnił się z wodzem Willym. Mimo że walczyli zaciekle przeciwko sobie w sprawie kopalni, ojciec szanował Willy'ego za to, co ten próbował zrobić dla plemienia. „Nie powiem o nim nic złego. To dobry człowiek, chociaż wydaje mu się, że zbudowanie szybu do piekła zapewni jego plemieniu kawałek nieba”.

Nika oparła głowę na ramieniu Willy'ego. W końcu był przyjacielem ojca. Willy uściskał jej rękę z westchnieniem.

Nie chciała teraz słuchać, jak zginął ojciec. Nie była jeszcze gotowa. Ojciec został kilka razy aresztowany za bezprawne wejście na teren kopalni. Skazano go za niszczenie sprzętu. Willy ostrzegał Johna przed niebezpieczeństwem grożącym ze strony uzbrojonych strażników, a Nika błagała go o rozsądek. Czego można oczekiwać, jeśli sabotuje się najbardziej wydajną kopalnię złota na świecie? On jednak nie mógł zaprzestać walki, do której pchała go gorycz.

Ale dlaczego musieli zastrzelić ojca? Znajdował się na otwartym polu, z dala od szybu i maszyn. Nika nie знаła się na ranach postrzałowych, ale wyglądało na to, że strzelano z tyłu. Tylko za to że wszedł na teren kopalni? Pod powłoką bólu w sercu Niki zapłonął gniew.

- Pani Nahadeh - zaczął Willy. Jego głos ledwie przedzierał się przez wycie wichru i pracujących maszyn. - Czy mogę zwracać się do pani po imieniu?

- Był pan przyjacielem ojca.

- Pamiętam nasze rozmowy, kiedy byliśmy młodzi. Obaj chcieliśmy jak najlepiej dla naszych plemion. On wierzył w tradycję, a ja uważałem, że trzeba się dostosować do zmian.

- Zdaje się, że pan zwyciężył.

- Najważniejsze jest to, żeby raz na zawsze położyć kres temu nieszczęściu, żeby nie powiększać tragedii.

- Co pan ma na myśli?

- Twój ojciec był zawsze bohaterem, nawet dla mnie. Unosił się wysoko ponad nami. Nie chcę, żeby zrobiono z niego męczennika przegranej sprawy.

Nika odsunęła rękę, za którą trzymał Willy.

- Nie ma obawy. Nikogo to przecież nie obchodzi.

- Pracuje tu ponad tysiąc Indian, a kilkuset z nich to Caiyuhowie...

- Miliony ryb giną od kwaśnych ścieków. Widział pan potok Moose Creek? Woda ma pomarańczowy odcień. A jeśli w jeziorze Kantishna zostały jeszcze jakieś ryby...

- Naprawdę bardzo mi przykro z tego powodu. W fazie trzeciej projektu Canard zainwestuje miliony dolarów, żeby naprawić te straty.

- Nie można naprawić czegoś, co nie istnieje. Na te wzgórza przychodziły łosie i karibu, żeby się rozmnażać. Odstraszyliście je wybuchami. Myśli pan, że jeszcze tu kiedyś wrócą?

- Porozmawiaj z robotnikami. Powiedzą ci, że bardzo im zależy na kopalni. Dziesięć lat temu wszyscy żyli poniżej progu ubóstwa...

- A teraz mają do szczęścia wszystko, co można kupić za pieniądze. Co komu po karibu i pstrągach? Po co komu kultura?

- Nika, bardzo mi przykro z powodu twojego ojca, mojego przyjaciela. Ale to już skończone... Skończone.

Nika chciała spać, zapomnieć o wszystkim. Wódz Willy odprowadził ją do pokoju na trzecim piętrze hotelu.

Zdjęła kurtkę, buty i rzuciła się na łóżko w mundurze.

Pod zamkniętymi powiekami przesuwały się żywe wspomnienia. Najlepszy ojciec pod słońcem nie żyje.

Rano zadzwoni do Yute. Myślała o bracie z miłością pomieszaną z żalem. O ileż mocniej musiał to czuć ojciec. Smutek wylewał się z jego oczu, ilekroć wymieniał imię Yute.

Przypomniała sobie krwawą literę V. Jakie słowo zaczyna się na V? Musiało być ważne, skoro ojciec wypisał je na śniegu po tym, jak go postrzelili.

Może to nie było V? Strzałka, która miała coś wskazywać? Ale co? Leżał na otwartym polu w pobliżu szybu. Strzałka. Ale dlaczego narysował ją kropkami?

W końcu sen zgasił myśli Niki. Z ulgą zamknęła oczy.

Nagle zerwała się z łóżka.

To nie była litera V, tylko klucz lejących łabędzi.

Wyciągnęła spod koszuli amulet, zdjęła z szyi i spojrzała na rysunek. Figurki lejących ptaków tworzyły literę V, której czubek wskazywał północ. Odwróciła amulet. Wpatrzyła się w mapę połączonych jaskiń, którą kiedyś wzięła za usta, nos i oczy maski demona. Potarła palcami wygrawerowane postaci zwierząt i ludzi.

Serce uderzyło mocniej. Jaskinie są tutaj. Prehistoryczni ludzie i zwierzęta znajdują się tu, w kopalni. Jeśli nagłośni tę sprawę, uczeni przybiegną z wywieszonymi językami jak psy huskie do wiadra łososi. Zjadą się ekipy telewizyjne z całego świata. Uczeni wymuszą zatrzymanie pracy kopalni, może nawet jej zaniknięcie na długie miesiące. Canard straci tysiące, miliony dolarów dziennie.

Ojciec odkrył prawdę, dlatego go zabili!

Nika wstała i włożyła kurtkę. Zaraz jednak zdjęła ją i przeszukała szafkę. Znalazła kombinezon z identyfikatorem na nazwisko Yanu Nushagak. Na kolorowym zdjęciu widniała okrągła twarz o ciemnej karnacji, podobna do twarzy Niki. Zerknęła w lusterko i zapięła mocniej kaptur, aby lepiej zakryć twarz.

Małeńkie czerwone światełko migąło na górnej części nogawki kombinezonu. Nika rozpięła suwak. W kieszonce znajdował się moduł ogrzewania kombinezonu. Migająca kontrolka sygnalizowała wyczerpanie się baterii.

Nika rozejrzała się po pokoju. W ścianie znajdowała się ładowarka z akumulatorem. Lampka kontrolna paliła się równym światłem. Nika wymieniła akumulator i wyszła. Na zewnątrz owiał ją chłód arktycznej nocy.

Mylifeś się, wodzu Willy, pomyślała. To jeszcze nie koniec.

Rozdział 41

Śnieg przestał padać. Plac błyszczał srebrnoniebiesko w świetle rtęciowych lamp. Buty Niki skrzypiały na zamarzniętej skorupie. Każdy krok rozlegał się jak wystrzał. Rozejrzała się. Ani żywej duszy.

Amulet kołysał się na rzemyku pod koszulą. Przypomniała sobie dzień, w którym ojciec podarował jej go przy grobie starożytnej kobiety, kilka kilometrów od miejsca, w którym się teraz znajdowała.

Za radą ojca zaniósła amulet do niewidomej Frances. Staruszka drgnęła, gdy dotknęła palcami rysunku. Frances opowiedziała Nice legendę o plemieniu, które porozumiewało się mową serc, i o Tym, Który Powróci. Jej zdaniem amulet należał kiedyś do plemienia, o którym mówiła legenda.

- Łabędzie odlatują na południe i wracają na północ - powiedziała Frances. - Oczekuj Tego, Który Powróci. Przybędzie z południa.

- Mam go oczekiwać?

- Spotkasz się z nim.

To było dwadzieścia lat temu. Mimo że od tego dnia tak wiele się zdarzyło, Nika nie zapomniała wróżby starej Frances.

Zbliżyła się do ogrodzenia wokół głębokiego szybu. Brama do windy była zamknięta. Z dołu niósł się szum pracujących maszyn i ledwie słyszalne ludzkie głosy.

- I co teraz? - Spytała szeptem.

Na metalowej tabliczce narysowany był schemat podziemnych tuneli. Obok widniał napis: „Canard. Kopalnia Kantishna Hills. Sektor II, szyby 24-36”.

Spojrzała na plan. Tunele przecinały się pod kątem prostym, łącząc wielki system naturalnych jaskiń. Z początku nie mogła się zorientować w plątaninie linii. Nagle w lewym dolnym rogu ujrzała znajomą maskę demona. Przerwana czerwona linia oznaczała szyb numer 27, który biegł w kierunku miejsca spoczynku Pierwszych Ludzi.

Nika usłyszała za plecami kroki.

- Podnieś ręce do góry i odwróć się powoli.

Wykonała polecenie. Strażnik mierzył pistoletem automatycznym prosto w jej pierś. Lampką na kasku oświetlił znaczek identyfikacyjny na kombinezonie. Spoglądał to na zdjęcie, to na Nikę. Uśmiechnęła się krzywo, tak jak twarz na fotografii. Strażnik położył pistolet na zgięciu ramienia i przytknął czytnik komputerowy do kodu na znaczku.

- Yanu Nushagak - odczytał z wyświetlacza. - Jesteś na nocnej zmianie?

Nika skinęła głową.

- Od jak dawna?

- Od kilku tygodni.

- Dlaczego nie zmieniłaś kodu na znaczku?

- Przez mojego chłopaka.

- A co on ma z tym wspólnego? - Nie mam przy nim wolnej chwili.

- Ha! - Strażnik uśmiechnął się i założył pistolet na ramię. - Co robisz na powierzchni,

Yanu?

- Musiałam wrócić do pokoju.

- Który numer?

- Mm... dwadzieścia jeden.

- Po co wróciłaś?

- Po lekarstwo.

- Nie możesz się bez niego obyć?

- To dylantyna, środek na epilepsję.

Strażnik nacisnął kilka klawiszy.

- Masz uczulenie na penicylinę, ale o epilepsji nic tu nie piszą. Nika zmarszczyła brwi.

- Dziwne. Stwierdzili chorobę dopiero parę miesięcy temu, ale myślałam, że wprowadzili już informację do komputera.

Strażnik mierzył Nikę nieruchomym spojrzeniem.

- Nie wolno wracać do pokoju bez eskorty. Dobrze o tym wiesz. Muszę zawiadomić straż, żeby sprawdzili, czy nie ukryłaś złota w swoim pokoju. Nika odczytała imię na identyfikatorze strażnika.

- Przepraszam, Scott - powiedziała z uśmiechem.

Zaświecił jej lampką prosto w oczy.

- Nie założyłaś szkieł kontaktowych?

- Zagapiłam się i za długo trzymałam we wrzątku. Czekam teraz na nowe.

- To dziwne. - Sięgnął po pistolet. - Yanu nie nosi szkieł kontaktowych. Zdejmij kaptur. Chcę ci się przyjrzeć.

Nika ściągnęła z westchnieniem kaptur.

- Nigdy bym nie pomyślała, że przez takie głupstwo wpakuję się w tarapaty.

- Mogłabyś być jej siostrą - powiedział strażnik. - Ale na pewno nie jesteś kobietą ze zdjęcia. Pójdiesz ze mną.

- Przez jakiś czas brałam sterydy. Przytyłam, a potem znów straciłam na wadze.

- Aha. Idziemy na posterunek straży. Ty pierwsza.

- Ruszaj.

Nika brodziła po kolana w zaspach. Mignęły jej przed oczami plamy krwi na śniegu.

Czy tak zginął ojciec?

Zwolniła.

- Słabo mi - jęknęła. - Nie zatrzymuj się.

- Naprawdę źle się czuję. Muszę odpocząć.

- To niedaleko.

Nika zatoczyła się, przewróciła z jękiem na kolana, twarzą w śnieg, nie amortyzując upadku rękami. Całym jej ciałem wstrząsnęły dreszcze.

- O rany - mruknął strażnik odwracając Nikę nogą. Cały czas celował do niej z pistoletu. Źrenice oczu Niki uciekły do góry, a język wisiał bezwładnie w rozchyłonych wargach. Strażnik zarzucił pistolet na ramię, zerwał identyfikator z kombinezonu Niki i wsadził jej w usta.

Nika odwróciła się i z całej siły kopnęła go w krocze. Strażnik zgiął się wpół z jękiem. Chwyliła pistolet i zerwała z jego ramienia. Potoczyła się w bok i stanęła od razu na nogi. Mężczyzna klęczał, trzymając się za krocze.

- Rzuć mi radio.

- Wisi przy pasku - stęknął.

- Widzę. Rzuć mi je pod stopy.

Odpiął walkie-talkie i cisnął na śnieg. Nie spuszczał strażnika z oka, Nika podniosła radio i przyczepiła do paska.

- Skąd wzięłaś kombinezon? Jesteś sabotażystką?

- Teraz ja zadaję pytania. Co wiesz o szybie dwadzieścia siedem?

- Nic. Dla mnie wszystkie są takie same. Zgubiłbym się, gdybym zszedł na dół.

- Słyszałeś jakieś dziwne historie albo plotki o szybie numer dwadzieścia siedem?

Potrząsnął głową.

- Co cię obchodzi ten tunel?

- Kiedy ostatnio wódz Willy schodził do kopalni?

- Nigdy tam nie był. Podobno cierpi na klaustrofobię. On spełnia tu rolę bufora. Ma pilnować, żeby Indianie i biali nie skoczyli sobie do gardeł. Nie zajmuje się kopalnią.

Może Willy nic nie wie, pomyślała Nika. Jeśli nie schodzi do szybu, łatwo ukryć przed nim to, co tam znaleźli. Czy Indianin mógłby patrzeć obojętnie, jak niszczą szczątki

przodków? W jego plemienu znają na pewno opowieść o Pierwszych Ludziach. Te stare legendy zna każdy.

- Kto zarządza wydobyciem?

- Pan Kaiser. On jest szefem, przedstawicielem Canarda.

- Czy dostaliście jakieś specjalne rozkazy dotyczące szybu dwadzieścia siedem?

Strażnik usiadł z jękiem. Nika uniosła lufę pistoletu.

- Spokojnie. - Podniósł ręce. - Szyb dwadzieścia siedem... Czy to ten tunel zaznaczony przerywaną linią?

- Tak.

- To znaczy, że nie ma żadnego tunelu dwadzieścia siedem. Jest w trakcie budowy. Do tej pory przebili tam tylko wąski otwór na skuter.

Nika zmarszczyła brwi.

- Tak wąski, że mieści się tam tylko skuter elektryczny.

- A więc dotarli do jaskiń? - Chyba tak.

- I nic nie słyszałeś?

Nikt nic nie mówił?

- O duchach?

- Co słyszałeś o duchach?

- Tylko Indianie o nich mówią. Ja jestem z Denver, wierzę w Burger Kinga i McDonalda. Przyjechałem tu, żeby zarobić trochę grosza na college.

- Czy w jaskiniach znaleźli jakieś ciała?

- Ciała? Dziewczyno, o czym ty mówisz? Nikt niczego nie znalazł. Indianie gadają, że jakieś duchy unoszą im się w szybach nad głowami, to wszystko. Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Kiedy skończą drażyć szyb dwadzieścia siedem? - Nie mam pojęcia. Najpierw muszą stopić lód. Serce Niki zabiło mocniej.

- Co to znaczy?

Strażnik zmienił pozycję.

- Zdrowo mi przywaliłaś...

- Scott, ja nie jestem sabotażystką. Nie przyszedłem tu, żeby coś psuć albo robić komuś krzywdę...

- To drugie chyba ci nie wyszło.

- Dlaczego chcą topić lód?

- Jaskinie są wypełnione niebieskim lodem. Można się przez niego przebić, ale to paskudztwo często pęka i wali się ludziom na głowy. Więc najpierw wsadzają do jaskini palnik gazowy i zapalają. Lód się roztapia. Wypompowują wodę i dopiero wtedy kończą drążenie szybu.

Nika poczuła ściskanie w gardle.

- Można zawołać przez to radio wodza Willy'ego?

- Tak. Ważniejsi Indianie trzymają radia w pokojach.

Odpięła walkie-talkie i położyła na śniegu.

- Wstawaj. Połącz się z Willym i powiedz, że chcę z nim rozmawiać w cztery oczy, natychmiast.

- O rany! - Jęknął strażnik podnosząc się. - No dobrze.

Nika oparła pistolet na ramieniu i wymierzyła w pierś strażnika.

- W porządku, już go wołam...

- Jeśli spróbujesz skontaktować się z kimś innym, zginiesz, zanim radio spadnie na śnieg.

Albo wódz Willy nie wie o Pierwszych Ludziach w jaskini, albo wie i nic go to nie obchodzi, myślała Nika. Jeśli mu nie powiedzieli, to prawdopodobnie nie miał nic wspólnego ze śmiercią ojca. Mówił, że to tragedia, i wyglądało, że naprawdę tak myśli.

Wszystko zależało teraz od tego, czy Willy stanie po jej stronie.

Rozdział 42

Nika i strażnik zbliżali się do białej przyczepy mieszkalnej z napisem „Canard” na ścianie. Strażnik szedł pierwszy, lekko utykając.

- Odwróć się - rozkazała Nika. - Oddaj mi całą amunicję. Zawahał się.

- Jest w tylnej kieszeni. Szybciej.

Sięgnął do kieszeni.

- Co chcesz zrobić? Rozwalić wszystkich? - Nie jestem morderczynią, zaufaj mi.

Podał Nice dwa magazynki. Wsadziła je do kieszeni na biodrach, wyjęła magazynek z pistoletu, opróżniła do kieszonki w spodniach i wcisnęła pusty magazynek z powrotem do pistoletu.

- Weź broń. Teraz ja jestem twoim więźniem. Może nie stracisz pracy. Jeśli wódz Willy mi nie uwierzy albo nie zechce pomóc, i tak wszystko na nic.

Strażnik spojrział Nice w oczy.

- Dzięki.

Wódz Willy wpuścił oboje do biura. W pomieszczeniu paliła się tylko jedna mała lampa.

Nika weszła pierwsza. Nagle zapaliły się wszystkie światła. W wysokim skórzanym fotelu siedział tęgi mężczyzna, a przy nim stali dwaj strażnicy z pistoletami.

Nice serce skoczyło do gardła z przerażenia.

- Wracaj na posterunek - rozkazał Scottowi mężczyzna w fotelu.. - Tak jest.

- Przykro mi, że tak to wyszło, Nika - powiedział wódz Willy.

- Tak pan sobie wyobraża spotkanie w cztery oczy?

- Wódz Willy nie zdradził pani - rzekł grubas. - Moja straż monitoruje wszystkie rozmowy. Lubię wiedzieć, co się dzieje w mojej kopalni.

Wstał i wyciągnął do Niki pulchną dłoń. Miał na sobie białą koszulę i czarny skórzany krawat ze złotym wykończeniem. Na jego nadgarstku błyszczał zegarek ze złoto-turkusową bransoletą. Kosmyk rzadkich ciemnoblonde włosów zaczesany od ucha do ucha nie zakrywał łysiny. Lekko wylupiające bladoniebieskie oczy odcinały się od zaczerwienionej od wiatru twarzy.

- Rex Kaiser - przedstawił się.

Nika patrzyła nań w milczeniu. Zachichotał i rozsiadł się w fotelu z rękami za głową.

- Pani ojciec uparł się, żeby zamknąć moją kopalnię. Nie żyje. A teraz pani się tu kręci, chociaż nie ma do tego prawa. Co z wami jest? Nie umiecie przegrywać?

- Czasem lepiej jest toczyć beznadziejną walkę, niż pozwolić się zdeptać.

Pochylił się nad biurkiem.

- Kto kogo zdeptuje? Dałem pracę ponad dwustu pięćdziesięciu Indianom z plemienia Caiyuh. Od sześciu lat mają przyzwoite, stałe zarobki. Oni nie staną po pani stronie. Nie chcą, żeby ktoś sabotował kopalnię.

- Nie jestem sabotażystką. Może mój ojciec nim był. Ale wiem, że ktoś strzelił mu z bliska w plecy, i to na otwartej przestrzeni.

- To było całkowicie uzasadnione. Miał broń i biegł w stronę hotelu. Nie chciał się zatrzymać na wezwanie. Od dawna wiadomo było, że stanowi dla nas zagrożenie.

- Jaką miał broń? Nóż do oprawiania skór?

- Dziewięćmilimetrowy pistolet półautomatyczny, który zatrzymaliśmy jako dowód.

- Mój ojciec nigdy w życiu nie strzelał z pistoletu automatycznego ani z żadnego innego.

- Odciski palców świadczą o czymś innym.

- Odciski palców? Nawet Caiyuh nie wychodzi z domu bez rękawic w środku zimy.

Rex otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Nika podniosła rękę.

- Mniejsza z tym. Miał sądowy zakaz wchodzenia na teren kopalni. Jestem pewna, że jakoś się z tego wywiniecie. - Spojrzała na Willy'ego. - Nie przyszłam tu rozmawiać o ojcu.

- A więc o co ci chodzi? - Spytał Willy. Na jego okrągłej twarzy malowało się zmęczenie.

- Przyszłam powiedzieć panu o prehistorycznych ludziach w jaskini. Wódz uniósł brwi i spojrzał na Rexa, który milczał, zaciskając szczęki.

- Widzi pan? On wie - rzekła Nika.

- Kompletna bzdura! - Warknął Rex. - Czy dorośli ludzie wierzą w bajki o duchach?

- Dobrze pan wie, że nie mówię o duchach. - Spojrzała Willy'emu w oczy. - Dwadzieścia lat temu znaleźliśmy z ojcem prehistorycznego człowieka pod lodowcem, niedaleko stąd.

Willy skinął głową.

- Pamiętam. Dziennikarze z „National Geographic” mieszkali w naszej wiosce przez sześć tygodni.

- Rok później mój brat Yute odkrył w tej samej okolicy prehistoryczną kobietę.

- No i co z tego? - Spytał Rex.

- Wodzu Willy, czy plemię Chilkakot zna legendy o Pierwszych Ludziach?

- Tak. Babcia mi je opowiadała.

- W jednej z nich była mowa o tym, że plemię Tych, Którzy Mówią Sercem, czeka uśpione, aż do nowego świata przyjdzie wiosna?

- My nazywamy ich Słuchaczami. Znam tę legendę. Ten, Który Powróci, ma ich obudzić do nowego życia.

- Łabędzie odlatują na południe, a wracają na północ.

- U nas mówi się o gęsiach. Śnieżne gęsi odlatują, a potem wracają, żeby dać życie nowemu pokoleniu.

- Mity, bajki - parsknął Rex pogardliwie.

Wódz Willy zmierzył go ostrym spojrzeniem.

- Bez obrazu - sumitował się Rex Kaiser. - Wiesz, co chciałem powiedzieć. To zajęcie dla antropologów, uczonych. My kopujemy złoto.

Nika wyciągnęła spod koszuli amulet, zdjęła z szyi i podała Willy'emu.

- Co pan widzi?

- Klucz ptaków. - Zważył w dłoni metalowy dysk. - Złoto? Gdzie to znaleźliście?

Nika podeszła do planu kopalni.

- Proszę spojrzeć na to miejsce, w którym szyb numer dwadzieścia siedem dochodzi do jaskiń. Wygląda jak maska, prawda? Maska demona.

- A niech sobie wygląda choćby jak głowa Jana Chrzciciela - wtrącił Rex.

- Proszę odwrócić amulet - poleciała Nika.

Wódz Willy porównał plan z rysunkiem na złotym dysku. Otworzył szeroko oczy.

- Skąd to wzięłaś?

- Ojciec znalazł amulet w grobie, w którym leżała prehistoryczna kobieta. To jest mapa. A tutaj są figury ludzi i zwierząt...

- Tak, widzę...

- Oni są tam, wodzu Willy. Pierwsi Ludzie, Słuchacze, są tam, w jaskini, do której prowadzi szyb dwudziesty siódmy.

Willy dotknął mapy palcem.

- Ale tam już wydrążyli kanał dla skutera. Niczego nie znaleziono.

- To znaczy, nikt panu nic nie powiedział.

- Willy, zapewniam cię, że nic tam nie ma! - Wykrzyknął Rex Kaiser. - Możesz zejść i sam zobaczyć.

Willy uśmiechnął się drwiąco.

- Ja pana tam zaprowadzę. Chcę iść od razu - powiedziała Nika. Wódz zerknął na Rexa i skinął głową.

- Zgoda. Pójdziemy teraz.

- Akurat! - Żachnął się Rex. - Ona nie jest naszym pracownikiem! Nie będziemy się narażać na kosztą odszkodowania w razie wypadku.

- Podpiszę oświadczenie, że zesłałam na własną odpowiedzialność.

- To powinno wystarczyć.

- Zaraz - wtrącił Rex. - Bądź rozsądny, Willy. Jest czwarta w nocy. Potrzebujemy trochę czasu, żeby wszystko przygotować...

- Czyli ukryć ciała? - Spytała Nika. Rex trzasnął dłonią w blat biurka.

- Wszystko to jest śmiechu warte.

- W takim razie możemy zobaczyć - powiedziała Nika. - Teraz.

- Czemu nie chce pan jej tam wpuścić od razu, panie Kaiser? - Spytał Willy. - Trzymając w dłoni ten amulet, miałem dziwne przeczucie... Skąd pewność, że w tej legendzie nie ma ziarna prawdy? Poślijmy z dziewczyną kilku ludzi. Niech sprawdzą jaskinię.

- To bez sensu. Kto powiedział, że ten przedmiot pochodzi z czasów prehistorycznych?

- Zawrzyjmy umowę - zaproponowała Nika. - Ja pozwolę panu sprawdzić amulet metodą izotopu węgla, a pan wpuści mnie do jaskini.

Rex roześmiał się drwiąco.

- Nie można badać złota metodą izotopu węgla, bo nie ma na nim węgla. Sama pani pokazała, że nie ma o tych sprawach zielonego pojęcia.

- To nieistotne - stwierdził Willy. - Chcę, żeby obejrzała jaskinię. Rex poruszył się niespokojnie.

- Wykluczone.

- Chwileczkę. To ja odpowiadam tutaj za wszystko, co dotyczy Indian. Chcę, żeby Nika obejrzała jaskinię, i to jak najszybciej. Jeśli okaże się, że nic tam nie ma, to tym lepiej.

- A jeśli się nie zgodzę?

- Jeżeli jaskinia jest miejscem spoczynku Pierwszych Ludzi, powinniśmy zamknąć na jakiś czas kopalnię, sprowadzić uczonych, zrobić wszystko co możliwe, aby ocalić skarby przeszłości. Ta legenda jest częścią naszej kultury. Zna ją każde indiańskie dziecko w Arktyce.

Rex oparł brodę na splecionych dłoniach. Mięśnie jego szczęk poruszały się, a oczy błędziły po ścianach.

- Dobrze, pani Nahadeh. Za pół godziny moi ludzie zabiorą panią na wycieczkę do jaskini. Zgoda?

- Zgoda.

- Ja tymczasem przygotuję oświadczenia, które będzie pani musiała podpisać. - Podniósł słuchawkę i zwrócił się do strażnika po prawej stronie. - Rocky, muszę uruchomić centralne zasilanie. Zaprowadzisz tę panią do magazynu i dopilnujesz, żeby wzięła wszystko, co trzeba.

- Tak jest.

Nika podążyła za strażnikiem. Odwróciła się w drzwiach. Wódz Willy wpatrywał się w amulet. Zdumienie rozjaśniło jego smagłą pomarszczoną twarz.

Rozdział 43

Stalowa siatka zadźwięczała, gdy Nika oparła się o nią plecami, na których niosła żółty zbiornik tlenowy. Winda ruszyła w dół i Nika chwyciła za metalową poręcz. Pompy na powierzchni tłoczyły powietrze do wszystkich szybów. Tylko górnicy schodzący do nieukończonych korytarzy brali butle tlenowe.

Nika czuła się pękata jak spasiony borsuk. Pod ogrzewanym elektrycznie kombinezonem miała obcisły kostium z syntetycznego materiału pochłaniającego wilgoć, neoprenowe buty ze stalowymi czubkami i drobnymi kolcami na podeszwach, neoprenowe rękawice, grubą bawełnianą maskę narciarską, gogle i biały kask z włókna szklanego z halogenową lampką.

Winda zatrzymała się na dnie pionowego szybu, pięćdziesiąt metrów poniżej szczytu lodowca. Nika zobaczyła korytarz opadający jak rampa. Oświetlały go elektryczne żarówki w metalowych osłonach.

Rocky szedł pierwszy. Wewnątrz szybu, gdzie nie było żadnych punktów odniesienia, tylko siła ciężenia wskazywała, że korytarz opada pod większym kątem. Obłoki pary z ust rozplywały się w podmuchu powietrza pompowanego z powierzchni. Korytarz wyrównał się w rozległej naturalnej jaskini, której sklepienie podpierały betonowe słupy. Stalagmity wyrastające z podłogi sięgały prawie stalaktytów wiszących z sufitu. Z jaskini wychodziło sześć korytarzy prowadzących w różnych kierunkach.

- Wielki dworzec centralny - powiedział Rocky.
- Naprawdę wielki.
- Dlatego tak go nazywamy.
- Pięknie tu.

Rocky poprowadził do lewego rogu jaskini. Nie oświetlony tunel o przekroju siedemdziesięciu centymetrów zniknął w kamiennej ścianie.

- Lufa armatnia - rzekł Rocky.
- Tak, widzę. Nie ma tu żadnego oświetlenia? Rocky odwrócił się i zapalił lampkę na kasku Niki.
- Skutery mają przednie światła. Stąd dojedziesz do dwadzieścia siedem A.
- A ty?

- Za tobą. W tunelu jest miejsce tylko dla jednego człowieka. Zza załomu jaskini Rocky wyprowadził niski elektryczny pojazd z dwunastoma niewielkimi kółkami. Pokazał Nice, jaką pozycję ma przyjąć podczas jazdy. - Zdejmij butlę.

- Co jest w tym białym pojemniku?

- Zapasowe powietrze. Musi być przy każdym skuterze.

- Czuję się coraz bezpieczniejsza.

Nika położyła się na pojeździe. Rocky zaciągnął metalową siatkę nad jej głowę i zapiął.

- A to po co?

- Jeśli sufit jaskini się zawali, to cię nie zgniecie. Może.

- Musiałam zapytać.

- Ta rączka nad głowę zwalnia osłonę. Uważaj, bo siatka jest na sprężynie. Włączył reflektor skutera i podprowadził pojazd do rampy na wprost wąskiego tunelu.

- Daj mu trochę gazu.

Nika nacisnęła lekko pedał. Skuter potoczył się pół metra i cofnął. Przycisnęła mocniej. Pojazd drgnął i skoczył do przodu.

Zahamowała. Zerknęła na ściany oświetlone reflektorami skutera.

- Te wózki są szybkie - zachichotał Rocky. - Urządzamy na nich wyścigi w jaskiniach.

- Jakoś dziwnie bez kierownicy.

- Wyobraź sobie, że jesteś pociskiem w lufie armaty.

- Lepiej nie.

- Spotkamy się w jaskini, pięćset metrów stąd.

- Trochę tu strasznie. Zaczekam na ciebie.

- Dobra.

Po chwili zapalił się reflektor drugiego skutera.

- Jedziemy.

Nika nacisnęła pedał. Elektryczny silnik zawył i maszyna skoczyła w otwór tunelu. Parę minut później poszarpane granitowe ściany i sufit zniknęły. Nika krzyknęła cicho, gdy skuter zjechał raptownie w dół. Przycisnęła hamulec. Pojazd potoczył się kilka metrów po śliskim lodzie i zatrzymał się na gumowym zderzaku drugiego skutera. Snop światła z reflektora odbił się od ściany jaskini niczym jasnoniebieska kula.

Nika pociągnęła dźwignię osłony, usłyszała szumnięcie siatki nad głową. Wyszła z pojazdu i lampką hełmu oświetliła sklepienie jaskini.

Czegoś takiego nie mogła się spodziewać. Zaczęła drżeć. Włosy stanęły jej dęba.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że mimo woli otworzyła usta.

- *Aiyoo wa Denali* - szepnęła.

Stała w piętnastometrowej jaskini o łukowatym sklepieniu z niebieskiego lodu. Gładkie ściany połyskiwały w świetle latarki. Wokół leżały setki ciał. Wszystkie wyglądały jak żywe.

Zwłoki Człowieka Tundry, które znaleźli z ojcem, były całkowicie odwodnione. Skóra przypominała pergamin rozpięty na korpusie z wysuszonej gliny. Te ciała w niczym nie były podobne do mumii.

Po prawej stronie, we wnęce wyrzeźbionej w ścianie, na gęstym futrze kłęczała kobieta z małym chłopcem przy piersi. Owłosiony mężczyzna obejmował oboje muskularnymi ramionami. W skalnych niszach obejmowały się pary i wieloosobowe rodziny. Zdawało się, że wszyscy zapadli w krótką drzemkę.

- Witajcie, Ci, Którzy Mówią Sercem. Jestem Nika Nahadeh, córka Caiyuhów - powiedziała drżącym głosem. - Od dziecka słyszałam opowieści o was, lecz nie wiedziałam, że istniejecie naprawdę.

Przerwała na zaczerpnięcie tchu. Położyła dłoń na przeponie. Wyrównała oddech.

- Wróżka Frances, która umiała czytać sny, nie powiedziała mi, że macie złotą skórę. Caiyuhowie znają legendy o Złotoskórych, dobrych wróżkach, które słyszą nasze najgłębsze uczucia... Nie wiedziałam, że te opowieści też są prawdziwe. A więc to wy jesteście Pierwszymi Ludźmi, Złotoskórymi. Roześmiała się ze zdumienia.

- Jeśli jesteście prawdziwi, to wszystkie legendy, które znam z dzieciństwa, też muszą być prawdziwe. Czy świat naprawdę jest magiczny?

Zaprzagnęła dotknąć karmiącej matki, ale jej serce zadrżało na samą myśl o tym. Podeszła bliżej do obejmującej się rodziny. Wolno wyciągnęła rękę, ale zaraz cofnęła. Jeszcze raz musiała uspokoić oddech.

Po chwili zdjęła grubą rękawicę. Dotknęła zimnej, miękkiej skóry matki. Pierś kobiety drgnęła.

Nika wciągnęła raptownie powietrze i cofnęła dłoń. Serce waliło jej jak kopyta pędzącego konia. Odwróciła głowę. Gdzie jest Rocky?

- Rocky! - Krzyknęła. - Rocky!

W tym momencie usłyszała głośny terkot elektrycznej wiertarki przykręcającej śrubę. Podbiegła do tunelu. Ciężka metalowa płyta zasłaniała całkowicie otwór.

- Co ty wyprawiasz, do cholery?!

Znowu usłyszała terkot wiertarki.

Skoczyła do skutera. Złapała butlę z tlenem i podbiegła do tunelu. Zamachnęła się z całej siły. Dźwięk uderzenia odbił się od ścian. Na płycie został ślad żółtej farby z butli, ale metal nie drgnął ani nawet się nie wygiął.

- Rocky, wypuść mnie!

Ponownie zaterkotała wiertarka.

- Ty draniu! Zabiję cię!

Światło lampki na hełmie biegało po lodowych ścianach.

Nika rzuciła się do skutera. Odwróciła wózek przodem do tunelu i cofnęła o kilka metrów. Wskoczyła do środka, nacisnęła pedał do końca. Silnik zawył, skuter pomknął po rampie i uderzył z rozpędu w metalową płytę. Łoskot uderzenia przetoczył się po błękitnej jaskini.

Przednia część pojazdu zgmiotła się w harmonijkę, a metalowa płyta tkwiła na swoim miejscu.

- Głupia suko - jęknął Rocky po drugiej stronie. - Złamałaś mi kciuk!

- Kto ci to kazał zrobić?

- A kto tu wypisuje czeki?

- Powiedz Kaiserowi, że nie ujdzie mu to na sucho.

- Jasne, że ujdzie.

- Nikt nie zapyta, dlaczego ten otwór został zablokowany?

- To rutynowy sposób postępowania. Oddech zamarł w piersi Niki.

- Przy roztopianiu lodu w jaskini wytwarza się kula gorącego powietrza - mówił Rocky. - Trzeba zatkać wszystkie wyjścia, żeby nie wydostała się na zewnątrz.

Nika cofnęła się.

- W płycie jest otwór, w który wsadzimy palnik - tłumaczył dalej Rocky. - Zapalimy go i po sześciu, ośmiu godzinach z ciebie i tych sztywniaków zostanie tylko popiół.

- Wódz Willy wie, że tu jestem.

Odpowiedział jej szydarczy śmiech.

Usłyszała szcęk osłony jego skutera. Wycie silnika cichło coraz bardziej, aż zamilkło w oddali.

- Wódz Willy wie, że tu jestem! - Krzyknęła. Zamknęła oczy. Zrobiło jej się słabo, lecz nie upadła. Zaczerpnęła tchu.

- Jestem córką Johna Nahadeha - powiedziała głośno i otworzyła oczy. Powoli odwróciła się i spojrzała na lodowe mauzoleum. Plamka światła z lampki tańczyła po starożytnych ciałach.

Jestem sama w domu umarłych, pomyślała Nika.

- Słuchacze - zaczęła drżącym głosem. - Mówi do was Nika, córka Johna Nahadeha i Późnego Śniegu ze szczepu Caiyuliów w Swift Fork. Jestem zwykłą kobietą i boję się waszej magii. Nie żyjecie od tysięcy lat, ale wydaje się, że jesteście zahibernowani. Przyszłam jako wasza siostra, żeby was ocalić, ale teraz... Sama znalazłam się w niebezpieczeństwie.

Usiadła obok karmiącej matki i ostrożnie położyła dłoń na aksamitnych plecach dziecka. Po chwili wyrównała oddech.

- Wybaczcie mój strach - powiedziała cicho. - Szukam wśród was spokoju. Nauczcie mnie spać beztrąsko jak to dziecko. Chcę być spokojna, kiedy nadejdzie moja kolej.

Usłyszała szelest.

Włosy zjeżyły się jej na głowie. Czy któreś z ciał za chwilę się poruszy? Zaciśnęła zęby i przywarła czołem do ściany.

Ciało podniosło się, zachwiało i oparło się ręką o podłogę. Nika usłyszała swoje imię.

Rozdział 44

Ember siedziała samotnie w przedniej części autokaru Alaskon Express, z podwiniętymi nogami, z głową opartą na zimnej szybie. Płatki śniegu wirowały w świetle reflektorów, a wycieraczki z szumem kreśliły półokrągłe smugi na szerokiej przedniej szybie. Za szybą, w której Ember widziała swoje niewyraźne odbicie, samochody toczyły się po zabłoconych ulicach centrum Fairbanks. Arktyczne miasto budziło się powoli ze snu, mimo że do świtu zostało jeszcze kilka godzin.

Pomasowała sobie kark i zmusiła się do ziewnięcia, żeby rozciągnąć mięśnie szczęk. Niepokój nie dał jej zmrużyć oka podczas dwudniowej podróży z Seattle. Im bardziej zbliżała się do rodzinnych stron matki, tym mocniej odczuwała siłę pchającą ją w objęcia przeznaczenia.

Jestem już prawie w domu. Nareszcie.

Otworzyła pudełko z bandażem i owinęła ramię ostatnim kawałkiem gazy. Powoli uniosła prawą rękę. Ciągle bolało, lecz przewyciężyła ból. Pomyślała, że niebawem może potrzebować tej ręki. Ogarnęła ją fala niepokoju, serce zabiło szybciej. Wyprostowała się na siedzeniu, gotowa zerwać się na nogi.

Co się dzieje?

Wielka biała ciężarówka wyprzedziła autokar prawym pasem. Na drzwiach kierowcy widniał napis „Canard. Kopalnia Kantishna Hills” i znak firmy - klucz kaczek tworzący literę V.

Ember zerwała się bez namysłu i podbiegła do drzwi autokaru. Kierowca zdjął nogę z pedału gazu.

- Co robisz? Wracaj na miejsce.

- Proszę pana, muszę tu wysiąść!

- Niemożliwe. Może pani wysiąść na ostatnim przystanku. Już dojeżdżamy. Proszę wracać na miejsce. Nie żartuję. Niech pani siada.

Autokar zwolnił i zatrzymał się na światłach obok wielkiej ciężarówki.

- Wysiadam - powiedziała Ember i pchnęła drzwi. Otworzyły się do połowy i zatrzymały. Hydrauliczne ramię nie puszczało.

Odwróciła się do kierowcy.

- Niech mnie pan wypuści, proszę.

- Wracaj na miejsce, do jasnej cholery! Jesteśmy kilka przecznic od dworca. Chcesz mnie wpakować w kłopoty?

- Przepraszam, ale ja muszę wysiąść.

Ember schyliła się i popchnęła drzwi całym ciałem. Metalowe ramię ustąpiło. Wypadła na mokry asfalt i omal nie rozciągnęła się jak długa. Pozbierała się równo ze zmianą świateł na zielone. Roztrąbiły się klaksony. Ciężarówka ruszyła.

- Zaczekaj! - Krzyknęła Ember. Pobiegła za samochodem machając rękami.

Ciężarówka nie zwalniała. Ember wskoczyła na szeroki zderzak i złapała się klamki tylnych drzwi. Spojrzała w lusterku przerażoną twarz kierowcy w tym samym ułamku sekundy, w którym on zobaczył ją. Zaklął, podjechał do krawężnika i zaparkował pod latarnią.

Ember zeskoczyła ze zderzaka. Kierowca ubrany był w gruby pomarańczowy kombinezon, taki sam jakie widziała w snach. Miał śniadą skórę, okrągłą twarz z ukośnymi oczami i rzadką, nieco spiczastą bródkę.

- Nic ci się nie stało? - Spytał.

- Nie - odparła Ember.

Pomasowała bolące ramię.

- Co ty wyprawiasz? Jak się znalazłaś na zderzaku?

- Muszę się dostać tam, dokąd jedziesz.

- O czym ty mówisz?

- Muszę się dostać do kopalni.

- Wieszasz się na zderzaku na środku ulicy, żebym cię podwiózł do kopalni? Oszalałaś?

- Podwieź mnie, a dam ci wszystko, co chcesz.

- Wszystko co chcesz? Nic od ciebie nie chcę. Odbiło ci?

Ember rozpięła flanelową koszulę. Pod spodem miała czerwony stanik. Jej piersi rysowały się wyraźnie na cienkiej bawełnie. Kierowca otworzył usta.

- Tobie naprawdę odbiło. Ale masz tupet. To mi się podoba.

- Zawieszysz mnie tam?

Potarł palcami brodę.

- Wejście bez zezwolenia na teren kopalni to poważne wykroczenie. Coś takiego jak zagłodzenie na śmierć najlepszego psa z zaprzęgu.

Ember spojrzała mu prosto w oczy.

- Jestem najsilniejszą i najgorętszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałeś.

Roześmiał się nerwowo.

- No dobra. Muszę się zastanowić. Chcesz wejść za bramę? Masz tam chłopaka? Nie jesteś zbyt ciepło ubrana. Nie włożyłaś nawet kurtki.

- Nie jest mi zimno.

- Mogę cię przewieźć przez bramę, jeśli ukryjesz się w kontenerze. Jest pewna szansa.

- No to jedźmy. Nie ma chwili do stracenia.

- Poczekaj, jeszcze się nie zdecydowałem, czy chcę wziąć udział w tej zabawie.

Ember podbiegła do ciężarówki i uderzyła pięścią w drzwi. Były zamknięte od wewnątrz, lecz kierowca zaraz je otworzył.

*

Ciężarówka sunęła na południe autostradą z Anchorage do Fairbanks, która biegła skrajem tundry. Śnieg przestał padać, lecz ranek był ciemny jak noc. Kierowca pochylił się nad kierownicą. Zielone kontrolki odbijały się na jego twarzy.

Ember była tylko w staniku i dżinsach. Na jej skórze błyszczały kropelki potu. Kierowca zerknął na nią i wyłączył ogrzewanie. Przyjrzał się jej przez chwilę.

- Dobrze się czujesz?

Skinęła głową.

- Tak.

- Masz gorączkę?

- Nie, tylko... Gorąco mi.

Przekręcił w dół osłonę przeciwsłoneczną po stronie pasażera. Żłocista skóra Ember różowiła się, jakby była spalona słońcem. Pot skraplał się na jej czole, górnej wardze, spływał po skroniach.

Ember musiała przyznać się sama przed sobą, że połową swej istoty bała się tego, co ją czeka. Jednak druga połowa nigdy jeszcze nie czuła się silniejsza. I ta połowa brała stopniowo górę. Ember przewyciężyła opór i poddała się ognistej sile, która pchała ją do czynu. Strach minął, lecz wraz z przyływem energii niepokój stał się jeszcze bardziej nagłący, fizycznie odczuwalny. Zdawało jej się, że mogłaby otworzyć drzwi, wyskoczyć i przebiec sto kilometrów w śniegu do pasa, a i tak nie zdołałaby zużyć nawet połowy energii, która przepływała falami przez jej ciało.

Zerknęła na kierowcę.

- Możesz jechać szybciej?

- Myślisz, że to ślizgacz śnieżny? Nie ten wóz, nie po tej drodze. Gdzie ci tak spieszno? Ktoś na ciebie czeka?

- Nie wiem.

Kierowca przechylił się i przyłożył dłoń do czoła Ember. Cofnął szybko rękę.

- Jesteś gorąca jak kaloryfer. Niedobrze. - Zwolnił. - Muszę zawrócić i odwieźć cię do szpitala w Fairbanks.

- Nie rób tego! - Złapała go za rękę. - Nie jestem chora. To energia. Ona płynie przeze mnie.

Strumień siły spłynął z ręki Ember na kierowcę. Cofnął dłoń i spojrzał na nią zdumiony.

- Kim jesteś? - Spytał szeptem.

- Kimś, kto potrzebuje twojej pomocy. Muszę wrócić do domu.

- *Aiyoo*. Nie jesteś człowiekiem. Od razu zauważyłem, że wyglądasz dziwnie. Jesteś duchem. Wskoczyłaś na zderzak. Starzy ludzie opowiadali o takich duchach jak ty.

- Tak, jestem złota. Wracam tam, skąd pochodzę.

Z ust kierowcy popłynęły słowa w gardłowym języku. Zaciśnął zęby i złapał mocniej kierownicę. Patrzył prosto przed siebie, unikając wzroku Ember. Przyśpieszył.

Minęli drogowskaz z napisem: „Canard. Kopalnia Kantishna Hills 30 kilometrów”. Kierowca zwolnił, kiedy ciężarówka wpadła w lekki poślizg na pokrytej ubitym śniegiem żwirowej drodze. Zaraz jednak odzyskali przyczepność. Żwir skrzypiał pod warstwą śniegu. Na wschodzie, tuż nad linią horyzontu zajaśniała różowa zorza, zwiastun poranka.

Jestem prawie u celu, pomyślała Ember.

Oddychała powoli. Jej serce stało się teraz wschodzącym słońcem, kulistym centrum energii. Zamknęła oczy, zatopiła się w ogniu i złotym świetle.

- Od twojego ciepła zrobiło się tu gorąco jak w piekarniku - zauważył kierowca uchylając wywietrznik.

Zapach śniegu i ziemi obudził w Ember dziwną, głęboką nostalgię. W jej sercu coś się otworzyło. Uczucie było tak silne, że straciła kontakt z rzeczywistością.

Wiosna. Śniegi topnieją.

Kwiaty pomalowały falującą tundrę paletą bogatych barw. Ember, okryta zwierzęcą skórą, stoi na wzgórzu w gromadzie złotoskórych ludzi. W okrągłym grobie z kamieni leży na mchu ciało przykryte stosem różowych maków. Ember pochyla się, żeby przyjrzeć się dokładniej twarzy.

To jej twarz.

Nagle zmarła się podnosi. Spogląda z góry na ludzi rzucających maki na jej ciało.

Czuje za sobą czyjąś obecność. Odwraca się i widzi promieniejącą postać. To mężczyzna, z którego rozlewa się łagodne światło jak ze słońca o świcie. Ma złocistą, owłosioną skórę i potężne, umięśnione ciało. Jego włosy i broda są jasne, przynajmniej tak wyglądają w tej chwili.

- Tato? - Pyta Ember.

Mężczyzna zamienia się jednak w światło, z którego wyłania się druga postać: młoda kobieta o złotej skórze, rudych włosach i zielonych oczach. Uśmiecha się czule do Ember.

- U-Ma! Mamo!

Sylwetka matki rozmywa się i zamienia w piękną Indiankę o czarnych, błyszczących włosach.

- Mama! Chena! - Szeptuje Ember. - Ty też jesteś moją matką.

Postać Cheny przekształca się w Ember, która patrzy teraz na siebie, jak gdyby spoglądała w lustro. Ember zamyka oczy, ale pod powiekami ciągle widzi nagą złotoskórą kobietę.

Twarz Ember uśmiecha się do niej samej. Ember zdumiewa się swoją urodą. Jest piękna, od gęstych rudych włosów aż do silnych stóp. Tak pięknej kobiety nigdy jeszcze nie widziała. Śmiech tryska z jej ust, gdy uświadamia sobie, że kocha samą siebie. Nie dlatego że tak bardzo starała się zaakceptować swoją osobę, lecz dlatego że troska o samą siebie nagle uleciała, odsłaniając jej prawdziwą istotę, którą jest miłość. Dar czekał w sercu, nie trzeba było go szukać. Zawsze była piękna. To odkrycie nie jest jej osobistym zwycięstwem - to prawda wszystkich żywych istot: Piękno jest ich matką, dawczynią życia. To takie oczywiste. Ember znów się śmieje.

W tej samej chwili obraz znika. Ember nie widzi nikogo na zewnątrz ani wewnątrz siebie.

Potem rozplywa się u samego dna swej duszy.

Czuje się tak, jak gdyby przez całe życie wstrzymywała oddech, a teraz nagle otworzyła szeroko usta. Serce i oddech, nie skrepowane, wypełniają przestrzeń i czas. Serce i oddech jaśnieją tym samym światłem. Ember nie ma już ciała ani nawet postaci - jest blaskiem bez kształtu, bez granic...

Światło pulsuje jak oddech i osoba imieniem Ember zjawia się znów w swojej dawnej postaci.

Otworzyła oczy. Ośnieżona droga prowadziła przez tundrę prosto jak strzeł.

Kierowca zerknął przelotnie na Ember.

- Na pewno nic ci nie jest? Czy duch może dostać gorączki?

Ostrożnie położył palec na ramieniu pasażerki, jak gdyby spodziewał się iskry. Oderwał natychmiast dłoń i popatrzył na palec, marszcząc brwi.

- Jestem zdrowa. Jedź szybciej.

Wśród karłowatych zarośli ukazała się kręta, zamarznięta rzeka. Lód błyszczał w promieniach porannego słońca. Droga prowadziła teraz równolegle do rzeki. Dotarli do wioski Swift Fork. Drewniane chaty stały nad samym brzegiem. Większość domów zniknęła prawie pod zaspami śniegu. Jeden się zapadł, inne przygięły do ziemi.

- Zatrzymaj się - powiedziała Ember. Kierowca zwolnił.

- To opuszczona wioska.

- Nie, są tutaj ludzie. - Wskazała smużki dymu wijące się nad dachami dwóch chat. Intuicja podsuwała Ember jakieś obrazy. - Mieszka tu ktoś, kto wie o złotoskórym plemieniu.

- Widzę nowiutki skuter śnieżny - powiedział kierowca. Przy jednej z chat stał czerwony skuter z zamkniętą osłoną.

Ember wyskoczyła z kabiny, zanim samochód się zatrzymał. Kierowca zaparkował wóz na skraju drogi. Ember pobiegła wąską ścieżką i zapukała w drewniane drzwi pierwszej chaty. Zapukała powtórnie, tym razem mocniej.

- Może wyszli po drewno na opał - powiedział kierowca. - Chodźmy do drugiej chaty.

- To jest ten dom - rzekła Ember. - Dziewczyna, która tu mieszkała, teraz już kobieta, wie o moim plemieniu. Grozi jej wielkie niebezpieczeństwo.

Ember zamknęła oczy. Okropne obrazy ukazywały się jak na zdjęciach przy naświetlaniu. Jaskinia ze ścianami z niebieskiego lodu. Kobieta jest tam, wśród złotoskórych. Zginie razem z nimi w piekle płomieni.

Wtem Ember poczuła znajomy zapach. Rozpoznała go, zanim zdążyła się obejrzeć. Wysoki Indianin w czerwonym kombinezonie ukazał się zza węgła chaty z naręczem drewna.

Yute!

Oboje zamarli w bezruchu.

Ember pociągnęła kierowcę za rękaw.

- Do samochodu, prędko!

Yute rzucił drewno i ruszył ku Ember z podniesionymi rękami.

- Ember, zaczekaj! Chcę porozmawiać. Ember wskoczyła do ciężarówki.

- Proszę cię - mówił Yute. - Wiedziałem, że się tutaj spotkamy. Czy tego nie widzisz?

Coś nas ze sobą łączy. Ty też musisz to czuć.

Kierowca uruchomił silnik. Yute zaczął biec do samochodu.

- Ruszaj! - Krzyknęła Ember.

Spod kół ciężarówki trysnęły fontanny śniegu i żwiru. Yute gonił ich jeszcze przez kilkadziesiąt metrów, wreszcie zrezygnował. Ember patrzyła na jego sylwetkę znikającą w białym тумanie. Kierowca nie zdjął stopy z pedału gazu aż do Kantishna Hills.

Rozdział 45

Jedno z ciał w niebieskiej lodowej jaskini usiadło niepewnie.

- Nika? - Spytało chrapliwym głosem.

Nika cofnęła się. Z przerażenia nie mogła nawet krzyczeć.

- Nika, to ty? Jest ciemno, nie widzę cię.

- Zaśnij - szepnęła piskliwym głosem. - Przecież ty nie żyjesz. Potknęła się o skuter i usiadła ciężko na lodzie.

- Nika, to ja, Willy.

Jęknęła z ulgą.

- O mało się nie posikałam ze strachu.

- To moja wina... Powinienem był przewidzieć. Ta jaskinia i tak jest dość niesamowita.

Wódz Willy trzymał rękę na wielkim guzie. Włosy zlepły się od krwi. Nike zaświeciła mu latarką w oczy. Jego źrenice zmniejszyły się do rozmiarów główki od szpilki.

- Chyba nie ma obrażeń mózgu - powiedziała. - Dobrze się pan czuje?

- Jakoś żyję. Ale nie lubię być uwięziony w zamkniętych pomieszczeniach.

- Zapalę światło.

Nika włączyła reflektory wszystkich trzech skuterów. Wielka jaskinia nappełniła się błękitną poświatą. Wszędzie wokół spoczywały ciała, jak w składzie manekinów.

- Może poczuje się pan lepiej w moim kasku? - Spytała Nika.

- Może.

- Proszę. - Podała wodzowi kask.

- Dziękuję.

Willy założył biały hełm i rozejrzał się wokół.

- Teraz trochę lepiej. Dzięki.

Nika spojrzała na leżące tuż obok ciała Złotoskórych i zadrżała. Rozpięła kołnierz, zdjęła maskę i rozpuściła długie włosy.

- Nie zimno panu? Tu musi być ze dwadzieścia stopni mrozu.

- Na razie nie, ale nie wiem, jak długo wytrzyma ta stara bateria.

- Dlaczego oni to robią?

- Z chciwości. - Willy splunął. - Dwa dni temu, pod tym lodem, natrafili na macierzyste złożo. W innych szybach wydobywają siarkę z drobinkami złota, ale w tej i w sąsiedniej jaskini wykopali samородki wielkości kurzych jaj.

Nika usiadła obok Willy 'ego.

- A my stanęliśmy im na drodze do wielkiej forszy.

- Kiedy zauważyłem złoto, jeden ze strażników walnął mnie latarką w głowę.

- Może im to ująć na sucho?

- Chyba tak. Widziałem już, jak roztapiają lód w jaskini. Nie zostaje nic oprócz czarnej mętnej wody, którą wypompowują.

- Pocieszył mnie pan.

Klasnęła w dłonie, żeby otrzepać rękawice z lodu. Echo przetoczyło się po jaskini.

- Już od pewnego czasu mnie podejrzewali - stwierdził wódz Willy.

- Jak to?

- Dwa miesiące temu Kaiser zaczął wycofywać Indian ze straży i przenosić do zwykłych brygad. Teraz wszyscy strażnicy są biali. - Dlaczego?

- Canard złamał wszystkie obietnice, jakie złożył mnie i mojemu plemieniu. Wyzaczyłem więc kilku moich ludzi do zadań specjalnych.

- Indianie prowadzili sabotaż w kopalni?

- Chcieliśmy w ten sposób zmusić firmę do działań we właściwym kierunku. Kiedy Kaiser zrezygnował z planu budowy szpitala w mojej wiosce, uszkodziliśmy wentylatory. Gdy porzucił plan oczyszczenia jeziora Bluegill, wsypaliśmy cukru do generatorów. Terrorysty stawiali warunki i Kaiser od razu zaczynał inaczej śpiewać.

- A mój ojciec o mało nie trafił do więzienia za wsypanie cukru do generatorów.

- Przekonałem Kaisera, żeby wycofał oskarżenie o sabotaż i poprzestał na bezprawnym wtargnięciu na teren kopalni. Użyłem argumentu, że Indianie i sympatyzujący z nimi ludzie z całego świata uznają go za męczennika.

- Więc ojciec zepsuł generatory czy nie?

- Nie, on przychodził tu tylko po to, żeby szukać jaskiń. Udawał sabotażystę, aby odciągnąć uwagę od celu swoich poszukiwań.

- A więc wiedział pan o jaskiniach.

- Wiedziałem tylko, że twój ojciec wierzy w ich istnienie. Obiecałem mu, że jeśli znajdzie Pierwszych Ludzi, wtedy zatrzymamy kopalnię, przynajmniej na jakiś czas.

- Ale ktoś odkrył, że on wie...

- Przykro mi, Nika. Musiał się zakraść do jaskini i wtedy go złapali.

- Nie sądzę, żeby tu dotarł - powiedziała rozglądając się dokoła. - Nie musiał. Odczytał mapę przy windzie, tak jak ja.

- Ale w takim razie jak odgadli, że on wie?

- Bo ojciec nie potrafił ukryć radości. Umiał doskonale zamaskować każde inne uczucie. Kiedyś pies z zaprzęgu odgryzł mu koniuszek małego palca. Dowiedziałam się o tym dopiero w domu, wiele godzin później. Ale kiedy był szczęśliwy, wiedziała o tym cała wioska.

- Właśnie takiego pamiętam go z młodości. Gdy mówił o czymś smutnym, miał twarz jak z kamienia, głos nawet mu nie zadrżał. Ale kiedy opowiadał o swojej małej córeczce, o tobie, oczy błyszczały mu jak lampy.

- Wyobrażam go sobie w chwili, gdy zrozumiał, że znalazł jaskinie... Na całe gardło odśpiewał pieśń zwycięstwa. Nie przyszło mu do głowy, że Kaiser i jego goryle Pierwszych Ludzi mają gdzieś.

Plamka światła z lampy przesuwiała się powoli po szeregach złotych ciał.

- Wodzu Willy, dotknęłam ciała tamtej kobiety. Jest zimne jak lód, ale miękkie tak jak nasze ciała. Co to za magia? A może oni tylko śpią?

- Nie oddychają, więc naprawdę są martwi. Nie mam pojęcia, dlaczego nie zamazali na kość.

Nika odruchowo poszukała palcami amuletu. Nie było go tam.

- Amulet. Ma go pan? Willy poklepał się po kieszeni.

- A niech to lichy! Kaiser dostał go w swoje łapy.

- Ojciec podarował mi ten amulet, kiedy miałam piętnaście lat - powiedziała z żalem Nika.

- Kaiser go przetopi. Pozbędzie się dowodu, a zatrzyma złoto.

- Tak samo chce zrobić z nami.

Nika zerwała się na równe nogi. Wezbrała w niej fala buntu.

- Mam pomysł.

Wyciągnęła z kieszeni garść naboju dużego kalibru.

- Skąd je masz? - Zdziwił się wódz Willy.

- Z pistoletu strażnika, który przyprowadził mnie do Kaisera. Ma na imię Scott. Pomyślałam, że jest w porządku, i zrobiło mi się go żal, więc rozładowałam broń i mu oddałam.

- Rozbroiłaś go?

- Tak. Ale nie chciałam, żeby stracił pracę... Teraz wydaje mi się, że głupio postąpiłam. Czy ktoś nas usłyszy, jeśli wystrzelę te naboje?

Willy wzruszył ramionami.

- Myślisz, że ktoś chciałby nas stąd wyciągnąć?

- Nie możemy siedzieć beczynnie. Muszę spróbować.

Podbiegła do metalowej płyty i wcisnęła nabój w okrągły otwór. Rozejrzała się za kamieniem. Wszędzie tylko lód. W końcu zdjęła but i uderzyła w spłonkę stalowym okuciem na czubku.

Za czwartym uderzeniem pocisk wystrzelił. Przerażliwy huk przetaczał się po naturalnej komorze akustycznej przez pół minuty.

- *Aiyoo!* - Zawołała Nika zdejmując dłonie z uszu. - Ktoś musiał to usłyszeć.

- O ile nie wydali rozkazu opuszczenia tej części kopalni. Przecież przygotowują się do stopienia lodu.

Nika wzięła głęboki oddech i przyłożyła usta do otworu w metalowej płycie.

- Ratunku! Wypuście nas stąd!

Wstrzymała oddech i nadstawiła uszu. Krzyknęła jeszcze raz. Cisza. Nagle Nika usłyszała słaby szum silnika. Wystrzeliła kolejny pocisk, a potem jeszcze dwa.

Wreszcie dała za wygraną i odwróciła się do Willy'ego.

- Jak długo trwa przygotowanie sprzętu do topienia lodu?

- Normalnie około godziny. Ale rano zauważą, że ekoterrorysty wywiercili dziury w wężu doprowadzającym gaz.

- Naprawdę?

- To ostatnia rzecz, jaką zrobili moi ludzie. Kaiser zaczął kręcić nosem na obietnicę utworzenia funduszu edukacyjnego dla rodzin indiańskich górników, więc musieliśmy działać.

- Jak długo potrwa naprawa węża?

- Nie sądzę, aby można go było naprawić. Będą musieli posłać po nowy do kopalni w Terra Cotta.

- Ile to potrwa?

- Dwa, może trzy dni, jeśli wyślą ciężarówkę. Pół dnia, jeśli polecą samolot.

- Widział pan poświatę wokół księżyca wczoraj wieczorem, kiedy przestało padać? Jeśli szczęście nam sprzyja, to na górze jest teraz zamieć. Helikopter nie poleci.

- W takim razie posiedzimy tu jeszcze trzy dni. Czy to aż takie szczęście?

- Wodzu Willy, kiedy byłem mała, ojciec zabrał mnie do wioski Slow Fork. Mieszkała tam stara Frances, która umiała wróżyć. Powiedziała, że spotkam Tego, Który Powróci.

- Mam nadzieję, że przyjdzie szybko. Bo jeśli nie, zdążę zamarznąć, zanim mnie spalą.

Wskazał migającą kontrolkę baterii zasilającej ogrzewanie.

- Tego tylko brakowało.

Od metalowej płyty dobiegło zawrozczenie silnika elektrycznego.

- Ktoś nas jednak usłyszał! - Krzyknęła Nika. Przyłożyła oko do otworu.

Oślepił ją błysk reflektora. Oprócz szumu silnika z tunelu dobiegało szuranie.

Willy wstał.

- Ratunku! Zostaliśmy uwięzieni! Wypuście nas! - Krzyknęła Nika.

Reflektor znieruchomiał trzy metry od blokady.

- Oszczędzaj powietrze. To nie kawaleria, to ja, Rocky. - Jego głos był wzmocniony, jakby dochodził ze studni. - Przyjechałem założyć wąż.

- Wąż jest zepsuty - powiedziała Nika.

- Pomyłka. Stary wąż był zepsuty. Zauważyliśmy robotę Indian dwa tygodnie temu.

Rocky podczołgał się do stalowej płyty.

- To jest nowy wąż, przywieziony z Montany. Powiedz Willy'emu, że jest winien Kaiserowi dwadzieścia pięć kawałków plus koszt transportu.

- Powiedz Kaiserowi, żeby się wypchał.

Rocky szamotał się z ciężkim węzłem uzbrojonym w mosięzną obręcz, z której wystawała wąska dysza. Zajrzał przez dziurkę i puścił oczko.

- Niedługo zamienicie się w dwa obłoczki indiańskiej pary.

Nika wepchnęła pocisk do otworu i uderzyła butem.

Trach.

Rocky wrzasnął.

Nika zerknęła przez dziurkę. Kula odrzuciła Rocky'ego do tyłu. Leżał z podwiniętymi nogami, lampa świeciła prosto do góry.

- O Boże, chyba go zabiłam!

Willy schylił się do otworu, a potem spojrział z uśmiechem na Nikę. Poczwała ściskanie w żołądku. Nie wiedziała, jak zareagować. Wódz Willy poklepał ją po plecach.

- Zrobiłaś to w obronie własnej. Próbował nas zabić. Będziemy walczyć do samego końca.

Wódz wydał okrzyk wojenny. Po strachu nie zostało ani śladu.

- Miałaś rację, Nika. Lepiej toczyć beznadziejną walkę, niż pozwolić się zdeptać.

Rozdział 46

Nika jeszcze raz przyłożyła oko do otworu w metalowej płycie. Rocky leżał bez ruchu w świetle reflektora. Jedna strona gogli pociemniała, wypełniwszy się krwią. Nika obserwowała jego pierś.

Westchnęła ciężko.

- Powinam była go ostrzec.

- Powtarzam ci jeszcze raz: on był mordercą, chciał nas zabić.

- Teraz ja jestem morderczynią.

- Lepiej zмагаć się z wyrzutami sumienia, niż żywcem spłonąć. Radio na piersiach Rocky'ego zatrzeszczało.

- Rocky, urządziłeś tam sobie lunch? Co się tak grzebiesz?

- Zaczyna się.

- Rocky, odezwij się. Rocky...

- Przyślą na dół więcej ludzi.

- Niech przysyłają - rzekł wódz Willy.

- Rocky... Rocky, naciśnij guzik, do cholery. Wyłączyłeś radio? Co się z tobą dzieje?...

- Ile masz amunicji? - Spytał wódz.

Nika policzyła naboje.

- Piętnaście. - Dobrze.

- Rocky, mówi Nick. Naciśnij odbiór, ty ośle!

- Jak długo możemy ich powstrzymywać? - Spytała Nika.

- Tak długo, ile czasu potrwa zabranie ciał z tunelu.

- Dobra - zabrzmiał głos w walkie-talkie. - Schodzę, ale jak się okaże, że wyłączyłeś radio, to nakopię ci do dupy.

Serce Niki zabiło szybciej. Wódz Willy ścisnął ją lekko za ramię.

- Jak w ostatniej bitwie Custer.

- Indianie wtedy zwyciężyli.

- To właśnie chciałem powiedzieć.

Dziesięć minut później z tunelu dał się słyszeć szum silnika. Był coraz bliższy. Nika położyła rękę na piersi.

Obserwowała zbliżający się skuter. Snop światła padł na skuter Rocky'ego i znieruchomiał.

- Co jest?! - Krzyknął kierowca.

Oslona odskoczyła z metalicznym trzaskiem. Rosły mężczyzna podczołgał się do skutera Rocky'ego i wyciągnął szyję.

- O kurwa! - Spojrzał z obawą na metalową płytę.

- Powiedz swojemu szefowi, że mamy pistolet - powiedziała Nika. - Zastrzelimy każdego, kto się zbliży. Masz pięć sekund na powrót do skutera.

Dryblas odwrócił się i wskoczył do skutera. Ruszył na tylnym biegu i zniknął. Wódz Willy podniósł ręce.

- Po co mu powiedziałaś? Teraz wymyślę jakiś sposób, żeby zneutralizować naszą obronę.

- Nie mogłam go tak po prostu zastrzelić.

- Ja bym to zrobił - powiedział Willy. Zmusił się do uśmiechu.

Czekali. Willy pocierał czarne wąsy. Spozrzegł, że Nika zauważyła drżenie jego rąk, i wsadził je sobie pod pachy.

- Zimno panu? - Spytała.

- Trochę.

Zerknęła na wskaźnik baterii. Lampka zgasła.

- Wiem. - Spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się smutno. - Jedni mówią, że świat skończy się w okowach lodu, inni że w płomieniach ognia. Nasz świat skończy się w jednym i drugim.

- Proszę wziąć moją baterię. - Nika rozpięła kieszonkę.

- Nie mogę - zaprotestował Willy.

- Będziemy się wymieniać.

- Jesteś wspaniałomyślna, Nika, ale nie mogę przyjąć twojego poświęcenia. - Włożył baterię z powrotem do kieszeni Niki i podłączył. - Baterie wyczerpią się bardzo szybko, jeśli będą musiały ogrzać wyziębiony kombinezon.

Nika westchnęła. Rozejrzała się po jaskini. Złociste ciała leżały nieruchomo w niebieskim świetle odbijającym się od lodowych ścian.

- Wszystko, co słyszałam o Złotoskórych, było prawdą. Oni roztaczają magię. Frances wywróżyła, że spotkam Tego, Który Powróci...

- Miejmy nadzieję.

Willy objął się ramionami.

- Zamieńmy się bateriami - poprosiła Nika. - Ja mam jeszcze jeden kostium pod spodem.

Potrząsnął głową, szcękając zębami.

W tunelu rozległ się hałas. Nika zajrzała do otworu. Skuter podjechał i zatrzymał się za wózkiem Rocky'ego. Kierowca był ubrany w żółty bufiasty kombinezon z hełmem.

- To wygląda prawie jak... Skafander kosmiczny.

- Kombinezon saperski - wyjaśnił Willy. - Teraz może się śmiać z naszych kul.

- A osłona na twarz?

- Jest twardsza od stali.

Mężczyzna w skafandrze przymocował linkę do skutera Rocky'ego, wsiadł do swojego pojazdu i ruszył tyłem. Odholował pojazd. Światła zniknęły, ale zaraz ukazały się powtórnie.

Skuter zahamował ostro tuż przed ciałem. Tunel rozszerzał się w tym miejscu. Siatka ochronna była już zdjęta. Mężczyzna w kombinezonie ochronnym wysiadł i podpełznął sztywno do ciała Rocky'ego. Grubą rękawicą zdjął gogle. Krew rozlała się po skale.

Mężczyzna wbił wzrok w Nikę. Przez wąską szparę widać było tylko jego oczy i kawałek nosa.

- Teraz wasza kolej! - Krzyknął. Głos zdawał się dochodzić z żelaznego kotła zalanego wodą. - Kaiser uznał, że nie wystarczy was spalić, bo popiół też może być dowodem.

Podczołgał się do skutera i wrócił z niewielką czarną skrzynką. Podciągnął wąż do stalowej płyty i przymocował do dyszy.

- To jest detonator czasowy. Napuścimy do jaskini propanu i wysadzimy.

Typowy wypadek przemysłowy.

Nika cofnęła się, kiedy zobaczyła dyszę w otworze. Rura wystawała na pół centymetra. Szcęknięły zaciski.

Dziewczyna chwyciła stalową butlę, schyliła się nieco i z całej siły uderzyła w dyszę. Butla ześliznęła się ze zgrzytem, który odbił się od ścian jaskini. Dysza nawet nie drgnęła.

Wódz Willy spuścił wzrok. Przestał się trząść i uklęknął na lodzie.

- Usiądź koło mnie, moja piękna przyjaciółko - powiedział cicho. - Kiedy byłem chłopcem, splatałem w warkocze długie, czarne włosy mojej matki, a ona śpiewała mi piosenki Chilkakotów. Czasami opowiadała legendy o Pierwszych Ludziach...

Spojrzał Nice w oczy.

- Chciałbym upleść twoje włosy, jeśli pozwolisz. Nika przelknęła ślinę.

- Jeśli weźmiesz baterię, pozwolę ci upleść swoje włosy.

Willy uśmiechnął się. Nika przełożyła swoją baterię do kieszeni kombinezonu wodza i usiadła przed nim. Pomarszczonymi dłońmi jął czesać jej włosy i zaplatać w warkocze.

Nika skrzyżowała ręce na piersi, gdzie kiedyś wisiał amulet, i zamknęła oczy.
Ty, Który Powrócisz, przychodź jak najprędzej.

Rozdział 47

Na wzgórzu, w odległości pół kilometra ukazało się ogrodzenie kopalni. Ember ukryła się w plastikowym pudle wypełnionym do połowy kartonami pocztowymi.

Usłyszała krótką wymianę zdań kierowcy i strażnika, a potem ciężarówka potoczyła się do przodu. Po chwili Ember wróciła do kabiny. Przy zachodniej stronie ogrodzenia rozpoznała długie, czerwone ramię dźwigu, które widziała w koszmarным śnie.

Klepnęła kierowcę w ramię.

- Tam, po prawej stronie. Widzisz ślad skutera śnieżnego? Jedź za nim. Oni są niedaleko dźwigu.

- Kto?

- Ludzie o złotej skórze, tacy sami jak ja.

Kierowca popatrzył z obawą na Ember i zatrzymał ciężarówkę.

- Nic z tego. Odtąd sama musisz sobie radzić. - Nie mam czasu!

- Nie mogę. Boję się.

Zgasił silnik i wyjął kluczyki ze stacyjki.

Ember zdążyła już wyskoczyć i rzuciła się w stronę dźwigu. Biegła co sił, aż mięśnie nóg zaczęły ją parzyć. Widziała robotników w pomarańczowych kombinezonach kręcących się wokół wielkiej cysterny. Na błyszczącym jak lustro metalu widniał napis: „Propan. Łatwopalne”. Gruby wąż przymocowany do mosiężnej złączki zniknął w pionowym szybie.

- Zamknijcie gaz! - Zawołała Ember w biegu. - W jaskini jest kobieta!

Dwóch robotników skoczyło do pompy.

- Pompujemy od dwudziestu minut - powiedział jeden z nich. - Kto tam jest?

- Kobieta z plemienia Caiyuh - odparła Ember. - I... Mężczyzna... Stary mężczyzna.

Nie znam ich imion.

Indianie spojrzeli po sobie z przestachem i zaczęli coś mówić w swoim języku.

- Skąd wiesz, że oni tam są?

- Moja dusza czuje ich obecność.

Tęgi mężczyzna w niebieskiej bluzie przecisnął się przez krąg robotników.

- Jestem Rex Kaiser, szef tej kopalni. A ty kim jesteś, do jasnej cholery?

- W jaskini znajduje się dwoje ludzi, kobieta i mężczyzna. Jeszcze żyją. Są tam też ciała wielu złotoskórych, neandertalczyków takich jak ja.

- Neandertalczyków? Czego ty się nawąchałaś? Nic tam nie ma oprócz kupy lodu. Właśnie go topimy.

Ember zbliżyła się do Rexa.

- Jesteś kłamcą i mordercą - powiedziała. - Spójrz na mnie. Wiem, że w jaskini są moi bracia.

Kaiser cofnął się.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Ember wspięła się na maskę transportera.

- Indianie, przyjrzyjcie mi się dobrze! - Zawołała. - Czy w dzieciństwie rodzice opowiadali wam o złotoskórych? Spójrzcie na mnie. Ja należę do plemienia Pierwszych Ludzi. W jaskini jest wielu podobnych do mnie. Leżeli tam w spokoju przez dwadzieścia pięć tysięcy lat. Teraz musicie mi pomóc wyprowadzić ich znów na światło dzienne.

Trzech mężczyzn i jedna kobieta podbiegli i ze zdumieniem wpatrywali się w rysy twarzy Ember. Kobieta jej dotknęła, ale zaraz cofnęła rękę, jakby się oparzyła. Otworzyła usta, zasłoniła twarz i wybuchnęła płaczem. Wokół transportera zbierało się coraz więcej Indian.

- Ty jesteś złota - mówiła kobieta ze szlochem. - Babcia mi o tobie opowiadała, ale myślałam, że to baśnie... A ty naprawdę jesteś.

- Tak, i złotoskórzy też tam są. Znajdują się w lodowej jaskini, gdzie jest też Indianka z plemienia Caiyuh i mężczyzna, również Indianin... Wódz.

- Wódz Willy? - Zdziwił się robotnik. - Pompujemy tam gaz od ponad dwudziestu minut. Nikt nie mógłby tego przeżyć.

- Nie, to nieprawda. Wiem, że jeszcze żyją.

- Co tu się dzieje, panie Kaiser? - Spytał Indianin. Zawtórowały mu gniewne głosy pozostałych.

Kaiser odwrócił się i skinął lekko głową do strażnika. Mężczyzna oddalił się niepostrzeżenie.

Kaiser zwrócił się do robotników.

- Powtarzam wam, przeprowadziliśmy dokładne oględziny jaskini. Nie ma tam nic oprócz lodu.

- Oby tak było, bo jeśli pan kłamie, rozwalimy całą tę kopalnię.

Nagle koło szybu zawyły przenikliwie syreny. Robotnicy przy pompie podbiegli do mierników i spojrzeli po sobie z przerażeniem. Ember zeskoczyła z transportera.

- Co się dzieje?! - Zapytała.

Indianka pociągnęła ją za rękę.

- Szybko! To alarm wzywający do opuszczenia terenu. Jakaś awaria na dole.

- Co się zepsuło?

- Nie wiem. Kopalnia może w każdej chwili wylecieć w powietrze. Kobieta zerwała się do ucieczki. Uciekli też robotnicy, strażnicy i Kaiser. Niektórzy biegli pochyleni, z rękami na głowie.

Ember złapała za rękę przebiegającego obok Indianina.

- Czemu uciekasz?

- Zaraz wybuchnie. Puść mnie!

Chwyliła go za pasek.

- Co się dzieje w jaskini?

- Jaskinia jest jak piec pełen gazu, wystarczy jedna iskra, i bum! Ogień może dojść do cysterny!

- Gaz nagromadził się w jaskini, bo nie wybuchł, tak?

- Tak! Puść mnie wreszcie!

Przewrócił się, wstał i pobiegł. Ember ruszyła w przeciwnym kierunku, do windy przy szybie.

Muszę dostać się do jaskini i wypuścić gaz, nie wznecając iskry, myślała dziwnie jasno.

Syreny ucichły w chwili, gdy dotarła do windy. Kabina stała na samym dnie głębokiego szybu. Ember nacisnęła guzik, ale winda nie drgnęła.

Niech to licho. Uderzyła guzik nasadą kciuka. Musiała się wyłączyć automatycznie. Ember zerknęła w głąb studni. Jak się tam dostanę?

Spojrzała na metalową tabliczkę ze schematem szybów i jaskiń. Dwie owalne pieczary wyglądały jak oczodoły, a największa jaskinia pośrodku przypominała otwarte usta. Serce Ember zabiło mocniej. Obrazy dawnych czasów przesuwały się przed jej oczami jak klatki filmu.

Jestem tak blisko.

Obok drzwi do windy zauważyła aluminiowy schowek na narzędzia. Otworzyła. W środku znajdowało się kilka żółtych butli tlenowych, dwie gaśnice i duży zwój liny. Oprócz tego krótka, pękata strzelba. Ember pomyślała, że to raketnica, zaraz jednak spostrzegła obok stalowy hak.

Strzelba służy do wyrzucania haka z liną, po której można się piąć do góry. Ale ja strzelę hakiem w ścianę lodowca i spuszczę się na dół. Może wbije się dość głęboko, aby utrzymać mój ciężar.

Załadowała hak do grubej lufy. Obok spustu znajdowała się szpulka z metalowym rdzeniem, na który nawinięta była nylonowa lina biegnąca do lufy przez szerokie oczka. Ember przypięła koniec liny do haka.

Wdrapała się na furtkę windy. Złapała ręką za dźwigar i ostrożnie przeszła po oblodzonej stalowej ramie. Przyklękła, ułożyła lufę na zgięciu ramienia i wycelowała w ścianę lodowca. Nacisnęła spust.

Świsnęło. Spadła lawina drobnych odłamków lodu.

Ember zachwiała się od uderzenia kolby. Hak tkwił do połowy w lodzie. Pociągnęła dwa razy za nylonową linę. Trzymała mocno.

Szybko odwinęła linę ze szpuli i zrzuciła w dół. Sznur zawisł w kształcie litery U. Czy sięgnął połowy szybu?

Ember przesunęła się z powrotem do ściany lodowca i powoli spuściła strzelbę na linie. Strzelba zawisała około siedmiu metrów nad dnem szybu.

Nie sięga do samego dna, pomyślała. Czy uda mi się zeskoczyć z takiej wysokości?

- Drobiazg - powiedziała drżącym głosem. Kilka razy zacisnęła i otworzyła pięść, a potem chwyciła linę gołymi rękami.

Dam radę. Muszę patrzeć tylko przed siebie.

Zsunęła się z dźwigara. Opuszczała się stopniowo, wykorzystując owinięte w linę stopy jako hamulec. W połowie ściany ręce zaczęły ją piec.

Nie puszczaj, nakazała sobie surowo. Patrz przed siebie.

Wreszcie wyczuła pod stopami strzelbę. Doszła do końca liny i spojrzała w dół. Ubity śnieg wyglądał jak beton.

Złączyła nogi, ugięła lekko w kolanach i puściła linę, nie patrząc w dół.

Gwiazdy zawirowały jej w oczach, kiedy spadła na lód. Stęknęła głośno. Nogami zamortyzowała siłę uderzenia. Potoczyła się na biodro, a później na plecy.

Usiadła powoli, oszołomiona. Przycisnęła pokryte pęcherzami dłonie do śniegu. Spadła kropla krwi. Siła uderzenia otworzyła ranę w ramieniu. Ember odetchnęła głęboko kilka razy, a potem wstała i pobiegła korytarzem w stronę otwartych ust pradawnej twarzy.

Rozdział 48

Po trzydziestu metrach Ember ogarnęła całkowita ciemność. Nie widziała nawet własnej ręki. Biegła wzdłuż węża utykając na prawą nogę. Po minimalnej zmianie ciśnienia i ruchu powietrza zorientowała się, że weszła do wielkiej jaskini w kształcie ust.

Posuwała się teraz wolniej, wysunęła przed siebie ręce. Dno jaskini pokryte było stalagmitami i z trudem uniknęła upadku. Dotarła do wąskiego korytarza, wczołgała się do środka. Szum jej oddechu wypełnił ciasną przestrzeń tunelu.

Nagle dojrzała w ciemności maleńkie czerwone światełko. Korytarz rozszerzał się na tyle, że mogła się wyprostować. Wąż wznosił się nieco i dochodził do stalowej płyty w skale.

- Hej tam, słyszycie mnie?! - Zawołała Ember. - Idę na pomoc!

Głos odbijający się od granitowych ścian ranił uszy. Krzyknęła jeszcze raz i dopiero wtedy usłyszała kroki po drugiej stronie.

- Jesteśmy tutaj! - Krzyknęła Nika. - Ja i wódz Willy. Musisz rozwalić zapalnik. Ember poszukała palcami śrub na okrągłej płycie.

- Jak was wydostać?

- Najpierw rozwal zapalnik. W każdej chwili może wysadzić nas w powietrze. - Gdzie on jest?

- Przy końcu węża. Pośpiesz się.

Ember dotknęła ostrożnie czerwonej lampki. Palcami wyczuła kształt baterii. Wyjęła ją z pudełka. Zmiażdżyła skrzynkę nogą i kopnęła dwa razy. Detonator rozleciał się w kawałki.

- Rozwaliłam zapalnik.

- Uff, Bogu dzięki!

Ember usłyszała szum butli tlenowej.

- Masz butlę z tlenem?

- Tak. W jaskini jest pełno propanu. Wszyscy będziemy musieli oddychać z butli, kiedy tylko zdejmiesz płytę.

- Jak mam to zrobić?

- Poszukaj wiertarki. Musi tam gdzieś leżeć.

Ember przeszukiwała po omacku dno tunelu. Poczula zapach krwi.

- Duża wiertarka. Modlę się, żeby tam była. Masz ją?

Ręce Ember trafiły na zimny metal. Była to ciężka ręczna wiertarka z końcówką do wkręcania śrub.

- Mam.

Pierwsza mutra puściła łatwo. Spod płyty wydostała się wąska smuga światła. Druga śruba. Ostra woń propanu uderzyła Ember w nozdrza. Jeszcze jedna śruba i gaz zaczął się sączyć do tunelu. Coraz trudniej było oddychać.

Odpadły dwie kolejne śruby i promienie światła wydobyły z ciemności chmurę gazu w korytarzu. Ember poczuła klucie w płucach.

Wstrzymała oddech. Ostatnia mutra.

Ember zachłysnęła się propanem i zakręciło jej się w głowie. Nika odsunęła płytę na bok i szybkim ruchem wcisnęła respirator do ust Ember, która wciągnęła chciwie sprężone powietrze.

Nika przyklękła obok. Po chwili dotknęła ramienia Ember.

- Moja kolej.

Ember usiadła i podała ustnik Nice, która wzięła kilka długich haustów. Nagle z tunelu powiało świeżym powietrzem. Wentylatory na powierzchni zaczęły działać.

- Niektórzy na powierzchni zachodzą w głowę, dlaczego nie było wielkiego bum - powiedziała Nika. - Tam leży wódz Willy. Jest nieprzytomny.

Ember wzięła jeszcze jeden łyk powietrza z butli i weszła za Niką do jaskini.

Reflektory skuterów nadal świeciły. Jaskinia skąpana była w błękitnym blasku. Ember zerknęła na złociste ciała leżące pokotem pod ścianami groty i zaraz odwróciła wzrok. Nika klęczała przy szczupłej postaci w niebieskim kombinezonie. Wódz Willy leżał na wznak na podłodze z respiratorem w ustach i butlą tlenową ze skutera pod ramieniem. Ember siłą woli nakazała sobie odsunąć na bok uczucia i zająć się tym, co najpilniejsze. Jeszcze nie czas na powrót do domu.

- Pomóż mi - poprosiła Nika. - Trzeba go wynieść na zewnątrz. Doznał szoku termicznego. Boję się, że może być za późno.

Ember podała Nice respirator i po raz pierwszy ujrzała wyraźnie jej twarz. Zakryła usta dłonią.

- Co się stało? - Spytała Nika.

W jednej chwili wszystko stało się jasne, tak jakby usłyszała pierwszą nutę dobrze znanej symfonii.

- Jesteś jego siostrą - szepnęła zdumiona Ember.

- Znasz Yute? Ja jestem Nika.

Nika zaczerpnęła kilka razy powietrza z respiratora, a potem spróbowała oddychać bez niego.

- W porządku - stwierdziła. - Chyba już się nie udusimy. Posadźmy wodza na skuterze. Podholuję go.

Razem zaniósł Willy'ego do skutera i zasunęły siatkę ochronną. Ember połączyła oba pojazdy linką i Nika wsiadła do swojego.

- Spotkamy się na powierzchni - powiedziała. Po chwili skutery zniknęły w tunelu.

Ember skinęła tylko głową, niezdolna wydobyć z siebie słowa. Zewsząd otaczały ją ciała współplemięńców. Smutek i miłość mieszały się w jej sercu jak miód i wino. Łzy spływały po policzkach do ust.

Próbowała oddzielić radość od żalu, ulgę od lęku. Ale nie potrafiła. Wybuchnęła szlochem. Jej dusza złączyła się ze złotoskórymi, ale także z Niką, która pomogła ich uratować, a przez Nikę z Yute, jego ojcem i matką, jego miejscem urodzenia i całym życiem. Przeznaczenia wszystkich tych osób wydawały się splecione ściśle ze sobą jak włókna kory w cedrowym koszyku.

Ember zaczęła rozglądać się po jaskini. Niektórych ludzi pamiętała ze snów i wizji.

Jej oczy spoczęły na małym chłopcu, który wyglądał, jakby spał na piersiach rudowłosej kobiety. Zachwiała się pod naporem uczuć.

- Rayne! - Szeptęła chwytając się za pierś. - Braciszku!

Rozdział 49

Skóra chłopca była zimna, lecz miękka. Ember podniosła drobne ciało i przytuliła. Podała się fali miłości, której nawet łzy nie mogły wyrazić.

Zaniosła Rayne'a do trzeciego skutera, wsiadła i położyła chłopca na swojej piersi. Skuter potoczył się w ciemność korytarza. Na końcu tunelu widać było światło.

Ember wjechała do szybu transportowego. Po chwili skuter wynurzył się z ciemności.

Podbiegła Nika.

- Wódz Willy nie oddycha, jest zimny jak lód. Nie reaguje na sztuczne oddychanie. Nie wiem, co robić.

Ember wyskoczyła ze skutera. Położyła Rayne'a na siedzeniu. Willy leżał w skuterze. Ręka opadła mu na śnieg. Ember uklękła, położyła jedną dłoń na sercu Willy'ego, a drugą na brzuchu. Oddychała głęboko, rozdmuchując żywy wewnętrzny płomień, który świecił w jej brzuchu i sercu, a stamtąd promieniował na zewnątrz przez ręce. Po kilku sekundach poczuła, że jej świadomość łączy się ze świadomością Willy'ego. Każdym oddechem przekazywała mu więcej energii.

Wreszcie pierś wodza poruszyła się i Willy odetchnął razem z Ember.

- Jak to zrobiłaś? - Spytała Nika ze zdziwieniem. - Odzyskał przytomność.

Ember odczuwała teraz siebie jako świetlistą kulę mocy, która otaczała i przenikała jej ciało i ciało Willy'ego. Zamknęła oczy i ujrzała jego kości, naczynia krwionośne, nerwy, narządy - i światło, które trzymało to wszystko przy życiu.

Światło się rozjaśniło, wódz Willy otworzył oczy. Ember spojrzała w nie i jej blask stopniowo ogarnął twarz Willy'ego.

- Dziękuję - szepnął.

- *Aiyoo wa Denali!* - Nika ujęła ręce wodza i odwróciła się do Ember. - Kim jesteś? Skąd pochodzisz? Gdzie żyją złotoskórzy?

Ember potrząsnęła głową.

- Tylko ja jedna żyję. Nazywam się Ember Ozette. Pochodzę stąd.

Nika uniosła brwi.

- To długa historia - rzekła Ember. Uklękła przy Raynie. - To mój brat - powiedziała do siebie. Odwróciła chłopca na plecy i popatrzyła mu w twarz.

Promienie słońca przebiły się przez chmury tuż nad krawędzią pionowego szybu. Światło padło na dłoń Ember w chwili, gdy dotykała brata.

- Czy to znak? Czy to właśnie mam uczynić?

Zamknęła oczy. Jeśli siła życia będzie dość wielka, dość jasna, to może... Błagam...

Ciało Ember drżało targane emocjami. Oddechem czerpała siłę życia ze studni bez dna i przenosiła na Rayne'a, zalewając jego ciało miłością.

Nie było w nim jednak iskry, którą mogłaby rozdmuchać, rozjaśnić. Oddychała jeszcze głębiej, kołysząc się i dysząc z wysiłku. Nie otworzył się żaden korytarz dla jej światła. Nie mogła się połączyć z czymś, co nie istniało.

Otworzyła oczy. Śnieg roztopił się wokół jej kolan, lecz drobne ciało brata leżało nieruchome.

Wstała niepewnie, opierając się rękami o skuter. Zrobiła kilka chwiejnych kroków i rzuciła się na śnieg bijąc pięściami w ziemię.

Nika i Willy próbowali ją uspokoić, głaszcząc po włosach i karku.

- A więc po to przebyłam taką długą drogę?! Żeby zobaczyć zbiorowe samobójstwo?!
- Łkała. - Moje sny i wizje... Wszystko to kłamstwa. Moi bracia umarli i nie ma dla nich ratunku... Nie ma nowego życia. A kiedy ja umrę, nie będzie więcej złotoskórych, już nigdy.

Przy wejściu do głównego szybu zawył silnik śnieżnego skutera.

- Nie! - Krzyknął męski głos. - Stój!

Wystrzał. Śnieg rozprysnął się tuż obok Ember.

Nika zakryła ją swoim ciałem.

- Dranie wrócili, żeby nas wykończyć.

Rozdział 50

Padł drugi strzał, potem trzeci. Skuter był coraz bliżej. Ktoś krzyknął głośno i człowiek w niebieskim kombinezonie spadł tyłem z wieży szybu. Przebierał szybko nogami, jakby szukając w powietrzu oparcia, aż runął w śnieg. Czerwony skuter sunął skrajem szybu bez kierowcy.

- Padnij! - Krzyknęła Nika.

Wszyscy troje rzucili się na ziemię.

Skuter zawisł na chwilę na brzegu, zachwiał się i spadł. Odbił się parę razy od skały i wybuchnął. Pomarańczowe płomienie strzeliły wysoko, płonące odłamki spadały z sykiem na śnieg.

Echo wybuchu ucichło. Inny odgłos wypełnił powietrze: warkot zbliżających się kolejnych skuterów.

- I co teraz? - Spytał Willy.

- Uciekajmy do szybu - zaproponowała Nika. - Stoimy tu wystawieni na strzał jak kaczkę.

Ember złapała ją za rękę.

- Nie, to przyjaciele. Czuję ich.

Zwinięte ciało człowieka w niebieskim kombinezonie leżało wśród poczerńiałych kawałków skutera.

- Kaiser - powiedziała Nika.

Wódz Willy skinął głową.

Przy wieży szybu ukazały się skutery. Obok windy ukazały się sylwetki ludzi w pomarańczowych kombinezonach. Spoglądali w dół, krzyczeli i machali rękami.

- Moi przyjaciele - powiedział Willy z westchnieniem ulgi.

- I moi - dodała Ember ze zdumieniem. Wysoki mężczyzna o kasztanowych włosach przepchnął się przez szereg robotników.

- Ember, nic ci nie jest?! - Zawołał Mike, zwinąwszy usta w tubę. Po chwili Kaigani stanęła obok niego.

Ember uniosła kciuk, ale nie mogła zdobyć się na uśmiech.

- Idziemy do was! - Krzyknął Mike.

Zjechała winda. Mika i Kaigani biegli pierwsi. Wpadli z rozpędu na Ember i objęli ją oboje z taką siłą, że cofnęła się od dwa kroki.

- Jak się dowiedzieliście, że jestem tutaj?

- Od Yute. Zaskoczył nas, kiedy przeszukiwaliśmy jego laboratorium, i wszystko wyjaśnił. Powiedział, że jeśli chcemy ci pomóc, musimy pojechać na Alaskę...

- Wiedział, że trafisz do Kantishna Hills - mówiła Kaigani. - Przekonał nas. Jeszcze tej samej nocy wsiedliśmy w dżipa i wyruszyliśmy w drogę.

- Do kogo Kaiser strzelał tam na górze? - Spytała Nika. - Czy kogoś ranił?

Mike spojrział na Ember.

- Yute ocalił was wszystkich. Kaiser trafił go dwa razy, ale Yute staranował drania skuterem. Poświęcił się.

Nika krzyknęła z rozpaczą.

- Nie żyje? - Spytał Willy.

- Wątpię, żeby to przeżył. Są przy nim sanitariusze.

Nika skoczyła do windy.

Ember spoglądała na ścianę lodu. Ogarnęła ją słabość.

- Wszystko na próżno... Ja jestem ostatnia. - Zwiesiła głowę. - Teraz pozwoliłabym Yute przeprowadzić wszystkie testy, ale nawet na to jest za późno.

Brodaty Chilkakot przyglądał się Ember ze zdumieniem.

- Myślałem, że Ten, Który Powróci, będzie mężczyzną.

- Ja też - dodała kobieta o smagłej skórze. - Tak nas uczył strażnik historii.

- Nie martwcie się, ona ma dość siły - powiedział wódz Willy kładąc rękę na ramieniu Ember.

Ember zerknęła na Mike'a.

- Starzec nic nie mówił na ten temat.

- Powiedział wyraźnie, że Ten, Który Powróci, ma być mężczyzną.

- Tak... Tak. - Ember złożyła ręce. - Czegoś mi brakowało...

Przepchnęła się przez rosnący tłum Indian. Rozłożyła szeroko ręce z uniesionymi dłońmi. Zamieniła swe ciało w antenę.

Nie jestem wybawicielem O-kwo-ke. Nie ja. Nie wiedziałabym, co robić. Ten, który ma ich ocalić, wie dobrze, jak to uczynić. Jest tu teraz.

Kim jesteś? - Myślała. Gdzie jesteś? Otworzyła serce jak okno.

To ten, kto powołał mnie do życia z pradawnego zarodka. Odwróciła się i pobiegła do windy. Tym, Który Powróci, jest Yute Nahadeh.

Rozdział 51

Yute leżał przykryty kocem rozgrzewającym.

- Nie możemy zrobić nic więcej - szepnął sanitariusz.

Ember dała znak ruchem głowy, żeby się odsunęli. Nika uklękła po drugiej stronie. Trzymała brata za rękę.

Ember odsunęła koc. Na czerwonym kombinezonie ciemniały purpurowe plamy. W płucach Yute bulgotało i świszczowało przy każdym oddechu.

Yute otworzył oczy i wyciągnął rękę do Ember. Wzięła ją w swoje gorące dłonie.

- Ember... To ja jestem tym...

- Cicho. Wiem, kim jesteś. Ty masz przywrócić życie mojemu plemieniu, tak jak mnie przywróciłeś do życia.

Potrząsnął głową.

- Jeszcze nie rozumiesz... Dopiero teraz... Odkryłem tajemnicę mojego życia. Połącz swoje serce... Z moim... Tak wiele musimy sobie powiedzieć.

Ember położyła się koło niego na śniegu. Wsunęła lewą rękę pod głowę Yute jak poduszkę, a prawą położyła na jego sercu. Poczowała lepkość krwi.

Jej świadomość wsączyła się w Yute jak piasek przesypujący się w klepsydrze. Po chwili jej serce przelało się do studni jego serca, przestała być tylko Ember.

Była krzepkim, rudowłosym mężczyzną w tunice z baraniej skóry. Jego prawa ręka spoczywała na lasce z rogu jelenia z otworem w kształcie ust z rozchodzącymi się promieniami mocy. Wypukły tatuaż z tym samym rysunkiem zdobił jego czoło.

Miał na imię Talu i był wodzem-szamanem Giętkich Języków, morderców Dzikusów.

Raptem wspomnienia rozwinęły się jak w kalejdoskopie.

Talu wraz z grupą myśliwych trafił przypadkiem na trop zapomnianego szczepu Dzikusów. Ruszyli do ataku, ale tamci zakopali się żywcem w jaskini. Talu ścigał jedyną ocalałą kobietę po stromym, skalistym zboczu. Był z nią wielki biały wilk. Talu dogonił ofiarę, ale wilk odwrócił się i rzucił na niego. Spadali. Talu leżał z rozdartym, krwawiącym gardłem.

Kobieta położyła na nim ręce i stali się jednym. Za jej pośrednictwem Talu połączył się sercem z plemieniem Dzikusów. Przypomniał sobie wspólnych przodków, pojął wreszcie ich niechęć do walki. Z bólem uświadomił sobie, że on i jego ludzie zamordowali własnych braci.

Umierający Talu nakazał swym współplemieńcom ocalić od zapomnienia tragiczną historię.

Wtedy uczynił milczący ślub: Giętkie Języki będą zawsze podążać tropem słów i wiedzy, aż pewnego dnia ich nauka stanie się tak wielka, że będą mogli odkupić swoją zbrodnię. Ja się wtedy narodzę, aby odbudować to, co sam zabiłem.

W połączonej świadomości Yute i Ember ukazały się dokładne wizerunki urządzeń mikrochirurgicznych wynalezionych przez Yute. Ember już wiedziała, jak zapłodnić *in vitro* jaja złotoskórych kobiet spermą ich mężczyzn. Można w ten sposób stworzyć tysiące zarodków, a potem implantować je zastępczym matkom na całym świecie. Rasa złotoskórych się odrodzi.

Połączenie rozproszyło się jak sen. Ember otworzyła oczy i usiadła.

Yute oddychał płytko. Otworzył oczy.

- Przebaczasz mi? - Spytał szeptem.

Zamiast odpowiedzi pocałowała go w czoło.

Umarł.

Epilog

Ember wspinała się po stromej ścieżce. Słońce jeszcze nie wzeszło. Dotarła do swego ulubionego miejsca i usiadła na sprężystym kobiercu mchu. Z kamienia na szczycie wzgórza Kantishna Hills spojrzała na bezkresną ciemną tundrę.

Wyjęła z kieszeni kościany flet U-My. Jej palce spoczęły na dziurkach wygładzonych palcami matki dawno, dawno temu. Zagrała na flecie lekką, dźwięczną melodię, która pofrunęła nad morzem trawy. Przez tę muzykę Ember całowała swoją matkę, dotykając ustnika jej fletu.

Małeńki syn Ember poruszył się i zakwilił. Z jej piersi zaczął się sączyć pokarm. Dziecko zapłakało głośniej.

- Cicho. Przez ciebie cała jestem mokra.

Ember zdjęła niemowlę z nosidła i rozpięła koszulę. Na jej szyi kołysał się złoty amulet matki. Chłopiec ssał głośno, rączką trzymając drugą pierś. Nazwała go Rayne na pamiątkę braciszka. Uśmiechnął się do matki zielonymi oczkami. Brzuszek powoli mu się zaokrąglał. Ember poczuła więź ze wszystkimi matkami na świecie. Westchnęła z wdzięczności do Yute, którego wiedza pozwoliła na urzeczywistnienie tego cudu.

Na wschodzie pokazała się zorza; brzegi chmur się zaróżowiły. Słońce wzeszło w fanfarach ptasich śpiewów. Jego ciepło rozgrzało twarz i ręce Ember. Lekki wiaterek targał jej włosy.

Rayne przestał jeść i przytulił się do piersi. Kropelka mleka bielila się na jego wargach. Oboje mieli skórę tego samego koloru, tak samo gorącą. Ember pogładziła jasne włosy syna czerwieniejące w blasku słońca. Poranne chmury przesuwały się po niebie, jak świetliste polana w ognisku.

Na zielonej równinie błękit nieba odbijał się w tysiącu wodnych luster ukrytych wśród barwnej tkaniny kwiatów: różowych maków, żółtych jaskrów, purpurowych lilii, niebieskich niezapominajek. Stado karibu skubało porosty u podnóża niewielkiego lodowca.

W górze ozwały się łabędzie. Ember patrzyła na klucz pięknych białych ptaków. Było ich ponad pięćdziesiąt. Pogwizdując melodyjnie, leciały na gody do swego ulubionego stawu.

Wiatr gnał po niebie chmury piętrami. Najniższa warstwa, czarna jak węgiel, przesuwała się szybko. Najwyższa składała się z pierzastych, białych obłoczków, które zakrywały błękit jak wełniana czapka. Pośrodku dryfowały szare, purpurowe i beżowe obłoki. Słońce odbiło się od samolotu, który rysował na arktycznym niebie długą, postrzępioną linię.

W wiosce u stóp wzgórza rozbłysły pierwsze światła. Ember odetchnęła aromatem wilgotnej ziemi i wiosennego lasu. Pocałowała w czoło śpiącego syna. Pachniał siłą życia jak rosa.

Łzy szczęścia zamglily oczy Ember i spadły razem z pierwszymi kroplami deszczu.

- Synku - szepnęła. - My, złotoskórzy, mówiący i słyszający sercem, będziemy żyć. Nasz zapach przetrwa w pamięci naszych dzieci i nigdy nie zginie.